



**Josie Lloyd, Emlyn Rees**

**CHODŹMY RAZEM**

*Tytuł oryginału COME TOGETHER*



## PODZIĘKOWANIA

Serdeczne podziękowania zechc# przyj#% Vivienne Schuster i Jonny Geller — najlepsi agenci w mie(cie. Dzi kujemy te\* wszystkim innym z Curtis Brown za ich nieocenione wsparcie. ;

Wyrazy podziękowania kierujemy tak\*e do wszystkich pracowników Random House za to, \*e od samego pocz#tku, b'yl tak wspaniali. Szczególna wdzi czno(% nale\*y si „Dru\*yynie A": ' - ndy'emu McKillopowi, naszemu wydawcy, oraz Lynne Drew, redaktor, za ich przyja01 i fachow# pomoc, lecz przede wszystkim za to, \*e dzi ki nim nasza współpraca by#a wspania3# zabaw# i przygod#. Odnosi si to tak\*e do ich pomocników (Thomasa i Jo). Dzi kujemy równie\* Susan i Rachael, Markowi i Grainne, Ronowi, całemu działowi sprzeda\*y oraz Glenn. Nie wolno nam tak\*e tu pomin#% Simona (on wie, \*e to o niego chodzi) i pok3oni% mu si za sprowadzanie nas na ziemi , a tak\*e za skuteczn# pomoc w opró\*nianiu barku...

Gor#ce podziękowania sk3adamy te\* jedynej i wyj#tkowej Dawn Fozard za towarzyszenie nam przez cały czas.

Chcieliby(my równie\* podzi kowa% wszystkim naszym znajomym i przyjaci3om, za wyznania, anegdoty i wsparcie, których nam nie szcz - dzili. S# to szczególnie: James & Helen, Paddy, Harriet & Matt, Lozza, Katy, Ruth, Lok, Tim & Danni, Mark & Charlie, Lucy, Emma, George, Daniel, „Barry" C-G, Kirsti, Henny & Alan, Mands & Chas, Anna, Phil & the Mollster, Kate, Carol, Vicks, Ali, Jonny P., Lorna, Chris & Paula, Rupert & Toni, Ray & Anna, Simon & Caroline, a tak\*e Lizzie.

Dzi kujemy z całego serca — co chyba zrozumia3e — naszym rodzinom, które tak bardzo nam pomog3y, rozpowiadaj#c o naszym przedsi wzi ciu wszem wobec. Chylimy g3owy zw3aszcza przed naszymi cudownymi rodzicami, którzy ani na chwil nie przestali nas wspiera%.

Podziękowania sk3adamy tak\*e Johnowi Eminsonowi i Davidowi Proudlockowi, najlepszym nauczycielom angielskiego, jakich mogli(my kiedykolwiek mie%.

# 1

## JACK

### IDEAŁ

Powiedzmy, \*e jeste( dziewczyn#. Powiedzmy, \*e jeste( dziewczyn# i przysz( w( nie na imprez , do pubu, mo\*e do jakiego( klubu. Powiedzmy, \*e jeste( dziewczyn#, jeste( na imprezie, w pubie, a mo\*e klubie, i ja ci zaczepi(em.

Powiedzmy, \*e nigdy dot#d mnie nie widzia(.

Niektóre rzeczy b d# dla ciebie oczywiste od samego pocz#tku. Bez trudu zauwa\*ysz, \*e mam prawie metr osiemdziesi#t wzrostu i jestem (redniej budowy cia(. Je\*eli podamy sobie r ce, stwierdzisz, \*e mam mocny u(cisk d(oni i czyste paznokcie. Na pewno tak\*e zobaczysz, \*e mam br#zowe oczy i niemal identycznej barwy w(osy. Prawdopodobnie te\* nie ujdzie twojej uwagi blizna przecinaj#ca moj# lew# brew. Dojdiesz równie\* do wniosku, \*e jestem mi dzy dwudziestym pi#tym a trzydziestym rokiem \*ycia.

Zaó\*my, \*e to, co zobaczy(, nie odstraszy ci od nawi#zania ze mn# rozmowy.

Je(li wszystko pójdzie w miar( dobrze, twoja wiedza o mnie poszerzy si( jeszcze troch( . Powiem ci wi( c, \*e nazywam si( Jack Rossiter. Gdyby zainteresowa( ci( moja blizna, opowiem ci, jak to mój najlepszy kumpel, Matt Davies, strzeli( do mnie z kapiszonowca, kiedy miałem dwana(cie lat. Szcz( liwie nie straci(em oka, ale i tak moja matka przez rok nie wpuszcza( Matta do naszego domu. Natychmiast jednak dodam, \*e teraz Matt bardzo z(agodnia( i czuj( si( na tyle bezpiecznie w jego obecno(ci, i\* bez obaw dziel( z nim mieszkanie. Powiem ci te\*, \*e mój przyjaciel pracuje w jednej z firm adwokackich w City, nie powiem natomiast, \*e dom, w którym razem z nim mieszkam, jest jego własno(ci#

i p3ac mu czynsz. Pewnie nasz dom ci zainteresuje, opowiem ci wi c, \*e to dawny pub w zachodniej cz (ci Londynu, z którego zachowali(my st33 do bilardu i tablic do rzutek, anulowali(my natomiast prawo do korzystania z niego pewnemu nerwowemu alkoholikowi, który z ponurym wyrazem twarzy zwyk3 by3 siadywa% w rogu. Nie omieszka te\* pochwali% si ogrodem, który jest wielki i zapuszczony.

Zapytasz, czym si zajmuj , a ja odpowiem, \*e jestem artyst#, co jest prawd#, a tak\*e, \*e z tego si utrzymuj , co ju\* prawd# nie jest. Na pewno si nie przyznam, \*e przez trzy dni w tygodniu pracuj w niewielkiej galerii w Mayfair, co pozwala mi jako( wi#za% koniec z ko1cem. Przyjrzyysz si moim ubraniom, które zapewne jak zwykle b d# pochodzone od Matta, i mylnie dojdiesz do wniosku, \*e jestem raczej nadziany. Poniewa\* ani razu nie wspomn o dziewczynie, prawdopodobnie s3usznie zgadniesz, \*e aktualnie z nikim nie jestem zwi#zany. Ja ci nie zapytam o ch3opaka, ale bacznie b d si przygl#da3 twoim d3oniom, staraj#c si odgadn#%, czy jeste( zar czona albo nawet zam \*na.

Powiedzmy, \*e w ko1cu wyl#dujemy u ciebie albo u mnie.

B dziemy si kocha%. Przy odrobinie szcz (cia si nam spodoba, mo\*e nawet do tego stopnia, \*e zdecydujemy si na jeszcze jeden raz. Potem za(niemy. Rano, je\*eli rzecz si b dzie rozgrywa% u ciebie, ja zapewne wy(lizgn si cichaczem, jeszcze zanim ty si obudzisz. Nie zostawi swojego numeru telefonu. Gdybym natomiast to ja by3 gospodarzem, wówczas ty post#pisz w ten sposób. Nie poca3ujesz mnie na do widzenia. To z nas, które zostanie, w ko1cu si obudzi, by stwierdzi%, \*e tej drugiej osoby nie ma. Lecz to akurat dobrze, bo na pewno \*adne z nas nie chcia3oby, \*eby by3o inaczej.

*Wyznania. Nr 1. Antykoncepcja.*

Miejsce: Toaleta pomi dzy wagonami B i C poci#gu InterCity 14.45 z dworca Parkway w Bristolu do londy1skiego Paddington. Czas: 15.45, 15 maja 1988 roku.

W zamkni tej toalecie m3ody, siedemnastoletni cz3owiek sta3 przed lustrem, z opuszczonymi do kostek spodniami i bokserkami. W jednej

r ce trzymał (wie\*utki kondom o zapachu curry, drug# za( (cisnął na-  
brzmiały, stercz#cy penis — swój penis.

Co do tego nie mam \*adnych w#tpliwo(ci. Nie dlatego, \*e siedziałem  
w wagonie C i wpatruj#c si w napis TOALETA ZAJ4TA, zanosiałem  
modły, by wypełniony po brzegi p cherz wytrzymał, jednocze(nie za-  
stanawiaj#c si , có\* to za sobek blokuje klop przez całe dwadzie(cia mi-  
nut. Nie dlatego te\*, \*e coraz gwałtowniejsze wibracje poci#gu zbli\*aj#-  
cego si do stacji Reading zmusiły mnie, bym podszedł i kopniakiem  
otworzył drzwi, dzi ki czemu ujrzałem, co si za nimi dzieło. Nie, wiem  
to wszystko tak dokładnie st#d, \*e tym młodym człowiekiem byłem ja  
sam.

Nie ma sprawy, z powodzeniem mo\*na przyj#%, \*e byłem albo

a)zboce1cem,

b)amatorem curry,

c)(wirem,

albo wszystkim jednocze(nie.

Na podstawie dotychczas przedstawionych faktów wszystkie te zało-  
\*enia s# słuszne i nie ma chyba s#du, który by mnie nie uznał winnym  
wszystkich trzech zarzutów. Zwa\*ywszy jednak na to, \*e nie jestem w  
stanie si gn#% ustami własnych kolan, nie mówi#c ju\* o innych cz -  
(ciach mego ciała, zarzut szczególnego upodobania do curry mo\*e  
wzbudza% uzasadnione w#tpliwo(ci.

Czas na obron .

Siedemnastoletni chłopcy — co bez wahania po(wiadczy ka\*dy m \*-  
czyzna, któremu szcz (liwie (i bez w#tpienia z ulg#) udało si wiek ów  
jako( prze\*y% — s# do(% dziwacznymi stworzeniami. Zawieszeni po-  
mi dzy dojrzewaniem a dojrzało(ci#, prawie wy3#cznie składaj#cy si z  
szalej#cych hormonów, tkwi# w okresie odkrywania siebie, wypełnio-  
nym pytaniami, poszukiwaniem odpowiedzi i potajemn#, lecz jak\*e cz -  
st# masturbacj#. Ja w niczym od tego schematu nie odbiegałem. Zada-  
wałem zwykłe pytania. Czy Bóg istnieje? Czy na (wiecie kiedy( zapanu-  
je pokój? Dlaczego włosy 3onowe maj# okre(lon# i do tego niezmienna,  
długo(% , przez co fryzjerstwo 3onowe automatycznie skazane jest na



niebył? Na pró\*no jednak oczekiwałem odpowiedzi na te, i podobne, pytania. A \*eby jako( sobie to oczekiwanie urozmaici%, waliłem konia. Bardzo cz sto.

Bez w#tpienia znalazłby si krowy rekordzistki, których udój i tak nie mógł si równa% z moim (bior#c jednak pod uwag , \*e doiło sieje zaledwie dwa razy dziennie, nie powinno to specjalnie dziwi%). Je(li nie przeszkodził mi po\*ar, powód0, trz sienie ziemi lub jakakolwiek inna siła wy\*sza — (rednio waliłem konia trzy razy dziennie. Byłem przy tym niezwykle pomysłowy. Trzepałem kapucyna nad umywalk#. Waliłem gruch w tylnej cz (ci autobusu. Kr ciłem (migło pod kołdr#. M - czyłem ptaka w czasie podniesienia. Kr ciłem fujar , waliłem konia, glansowałem patyka, brykałem sobie, ci#gn#łem małego, onanizowałem si , rozrzewniałem, masturbowałem, brandzlowałem. Nigdy jednak, przez cały ten fascynuj#cy okres onanizuj#cych eksperymentów nie zdarzyło mi si spróbowa% jednego: Trzepania Bogacza.

Gdyby komu( termin ów nic nie mówił, (piesz wyja(ni%: TB to nic innego jak zwykłe walenie konia, tyle \*e w prezerwatywie. Trudno powiedzieć%, co to ma wspólnego z bogaczami, cho% mo\*na by przypu(ci%, \*e ci, którym nie zbywa na pieni#dzach, maj# te\* pod r k# zbyt du\*o wolnego czasu (najwyraźniej nie tylko czasu). Jednak wtedy, 15 maja 1988 roku, w zupełnie nie erotycznym otoczeniu toalety Brytyjskich Kolei pomi dzy wagonami B i C, mnie chodziło o co( zgoła zupełnie innego. Mianowicie moje zainteresowanie ograniczało si wyż#cznie do samej prezerwatywy, nie za( ochrony, któr# miała zapewnia%.

Problem polegał na tym, \*e nigdy wcze(niej nie miałem okazji korzysta% z kondoma. Jak dot#d, raz jeden tylko zdarzyło mi si bli\*ej mie% z nim do czynienia, kiedy to mój szkolny kolega, Keith Rawlings, na której( z balang dokonał sztuczki, dzisiaj b d#cej ju\* swoist# legend#. Naci#gn#ł on mianowicie prezerwatyw na głow i tak długo j# nadmuchiwał, wypuszczaj#c powietrze nosem, a\* stała si wielka jak zeppelin, po czym, nie przymierzaj#c jak „Hindenburg", p kła z wielkim hukiem przy gromkim aplauzie wszystkich obecnych. Ja jednak, cho% doskonale zdawałem sobie spraw z teatralno(cii podobnego wyczynu, nie uczest-

ników imprezy chciałem tego dnia zadziwi%. Moim zamiarem było wywarcie niezatartego wrażenia na Mary Rayner, dziewczynie poznanej na przyjęciu w domu rodziców Matta tydzień wcześniej, która mieszkała w Londynie i zaprosiła mnie do siebie, w czasie gdy jej rodzice bawili na wakacjach na Majorce. Jednym słowem na dziewczynie, co do której miałem wielkie nadzieje, i okazała się na tyle żaskawa, by uwolnić mnie od dziewictwa. Stąd prezerwatywa o zapachu curry. Stąd toaleta. W poocięgu.

Istniało spore prawdopodobieństwo, że za dwie godziny będzie musiał z prezerwatywy skorzystać naprawdę. Chwila, do której psychicznie i fizycznie się przygotowywałem, prawda, rękawiczki zapałniczek (niczy ucisk, była tu-tu\*. I cóż uczyniłem? To, co robi wszyscy napaleni, pewni siebie siedemnastoletni mężczyźni: spanikowałem. Całkowicie i bez reszty. Siedziałem w wagonie C, bębniłem palcami o portfel, myślałem o trzech zapakowanych prezerwatywach, które w takim poście kupiłem w automacie, w jakimś pubie. Co robi, jeżeli nie będzie pasowały? Na przykład okazała się za mała lub — o zgrozo! — za duża? Pieniążki albo się zliznę? Będzie leżała obok Mary, tłumacz się jej sto — oto, co mnie czeka! A gdyby moje przewidywania się sprawdziły, Mary mogłaby mi już nie dać następnej szansy i zostać prawiczką. Chryste, mógłbym nawet prawiczką umrzeć%. Wierciłem się na siedzeniu, przerażony wizją mojego epitafium: ZMARŁ W WIEKU STU JEDEN LAT, ANI RAZU NIE ZAZNAWSZY KO-BIETY. RIV — REQUIESCAT IN VIRGINITATI, spoczywaj w dziewictwie. Zerwałem się więc z portfelem w rękę pognąłem do toalety na suchą zaprawę przed głównym występem. Na tym opierała się obrona.

Mary przeciwnie, nie opierała się wcale, o czym (piesz donieć z radością. Z chwilą, gdy dotarliśmy do sypialni i potykając się, runeliśmy na łóżko, opieranie się było chyba ostatnią rzeczą, o jakiej mogłaby pomyśleć. Wtedy po raz pierwszy przeżyłem to, co z czasem zacząłem określać mianem „bycia”. „Byłem” z nią. „Byłem” w łóżku. W niej tak „byłem”. Uczucie „bycia” przypominało falę, która rosła i potaniała, a osiągnęła punkt, w którym musiała się przelać.

## POCZĄTEK

Jest czerwiec, rok 1998, pi#tkowy poranek, a ja mam k#opot.

Co gorsza, nie pami tam, jak k#opot ma na imi .

Pogr#ona we (nie wzdycha i mru#y co( niezrozumiale, obraca si twarz# ku mnie, k#adzie mi r k na brzuchu i zostawia j# tam, mokr# i lepk# od potu. Spogl#dam na wy(wietlacz stoj#cego na nocnym stoliku budzika: 07.31. Potem patrz na ni#: zas#ona z br#zowych w#os#w, przez któr# trudno cokolwiek dostrzec poza nosem. W(r#d znanych mi nos#w, ten prezentuje si nie najgorzej. Miotany krzy\*owym ogniem sprzecznych my(li przenosz wzrok na sufit.

Z jednej strony sytuacja, w której si znalaz#em, wygl#da ca#kiem mi#o. Oto ja, heteroseksualny, samotny m \*czyzna, le\* w #\*ku obok nagiej kobiety, która — chocia\* posiadane przeze mnie informacje ograniczaj# si jedynie do ksza#tu jej nosa i paru przymglonych oparami alkoholu wspomnie# — okaza#a si w miar dobrym towarzystwem na wiecz#r i do #\*ka. O ile pami tam, miniona noc przebieg#a nadzwyczaj spokojnie: oby#o si bez kajdanek, ataków hysterii czy wyzna# dozgonnej mi#o(ci.

Spotkali(my si w klubie, ta#czyli(my i flirtowali(my, na koniec p#o- n# noc# przyjechali(my taks#wk# do mnie.

Seks by# dobry. Spoczone cia#a, wznoszone ku niebu oczy, g# bokie westchnienia. Zwa\*ywszy, \*e robili(my to po raz pierwszy, byli(my ca#kiem nie#le zgrani. Nie mówili(my nic. Czasem mi to odpowiada: \*adnej wymiany s#w, my(li, wy#cznie nagi, jak my sami, seks. 7adnego udawania, \*e to, co robimy, nie jest czysto fizyczne. A po wszystkim, kiedy spoceni popijali(my z dwóch szklanek do piwa wod , któr# nala#em z kranu w #azience, Idea# nadal tkwi# na swym piedestale.

Dowodem na to niech b dzie, \*e:



a)nie (ciskała mnie za r k  
b)nie spogl#dała mi t sknie w oczy  
c)nie pytała, czy czuj si samotny, nie maj#c dziewczyny  
d)nie spoufalała si , zaci#gaj#c si moim papierosem  
e)nie proponowała, \*eby(my si wkrótce spotkali znowu Zamiast tego:

a)r ce trzymała przy sobie  
b)patrzyła w sufit  
c)powiedziała, \*e w sypianiu z kim popadnie najbardziej podoba jej si to, \*e za ka\*dym razem jest inaczej  
d)zapaliła własnego papierosa  
e)powiedziała, \*e wyje\*d\*a w trzymiesi czn# podró\* do Australii.

Nast pnie dopalili(my papierosy — ka\*de swojego — ja zgasiłem (wiatło i poszli(my spa%.

Jak dot#d wszystko szło (wietnie. Idealny, jednorazowy numer. Kiedy przed kilkoma minutami si obudziłem, byłem bardzo dumny. Albo raczej zadowolony z siebie. Na chwil zapomniałem o dr cz#cych mnie typowych Strachach Samotnego. Tak jest, wci#\* jeszcze potrafi wy-rwa% dziewczyn . I wci#\* jeszcze potrafi uprawia% seks z nieznanom#. Innymi słowy, na razie wszystko jest ze mn# w porz#dku.

Z drugiej jednak strony sytuacja wcale nie przedstawiała si tak ró\*owo. Jest pi#tek rano i — znowu spojrzę na zegar, by stwierdzi%, \*e upłyn ły kolejne dwie minuty — mam par spraw do załatwienia. Oczywiście najpro(ciej byłoby trwa% jeszcze w bógim, postkoitalnym rozleniwieniu, mo\*e nawet uj#% jej spoczywaj#c# na mym brzuchu dło i chwil przytrzyma%, przedzu\*aj#c zbudzenie intymno(ci; niestety jednak nadeszła pora, by(my oboje wstali i zaj li si swoimi sprawami.

Ostro\*nie, staraj#c si jej nie zbudzi%, zsuwam bezwładn# i ci \*k# jak ołów r k na prze(cieradło i siadam. Od razu dostrzegam jej ubranie rzucone na kupk koło łó\*ka. Chwil jeszcze siedz bez ruchu, by zdoby% pewno(% , \*e dziewczyna (pi naprawdę , po czym wy(lizguj si spod

końdry i ostro\*nie przeszukuj jej rzeczy, by w kołcu w kieszeni \*akietu znale0% portfel. Nakładam slipy i w druj do kuchni.

W kuchni siedzi Matt, ubrany i obuty, z czarnymi włosami wci#\* jeszcze po3yskuj#cymi wilgoci# po niedawnym prysznicu, nachylony nad misk# suchych p3atków i kubkiem paruj#cej kawy. Ju\* chce co( powiedzie%, ubiegam go jednak, znacz#co przyk3adaj#c palec do ust. Siadam naprzeciwko niego i upijam 3yk z jego kubka.

—Wci#\* jeszcze tu jest? — pyta szeptem.

—Owszem.

—Jak-jej-tam? S#siadka Chloe?

Chloe to dziewczyna, z któr# chodzili(my do szko3y, ale z któr# nigdy nie chodzili(my. W zwi#zku z czym uda3o jej si z potencjalnej dziewczyny awansowa% na przyjaciela.

— No w3a(nie, jak-jej-tam. To ona.

Kiwa g3ow#, przyjmuj#c to do wiadomo(ci, po czym pyta:

—Bzykanko w porz#dku?

—Niczego sobie. U(miecha si . — G3o(ne.

Ja te\* si u(miecham. — Opowiedz mi.—Wznosz toast jego kubkiem z kaw#. — A propos, wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

—Pami ta3e(? Bóg ci zap3a%, stary.

—Mam nawet dla ciebie prezent.

—Co to takiego?

—B dziesz musia3 z tym zaczeka% do wieczora.

—To znaczy, \*e jeszcze nie kupi3e(.

— To znaczy, \*e poczekaj i si , kurwa, przekonasz. — Oddaj mu kubek. — Kto dzisiaj przychodzi?

Zapala papierosa, zaci#ga si .

—Ci sami co zwykle, plus par ekstrasów.

—Samotne ekstrasy rodzaju \*elskiego?

—By% mo\*e.

—Wi cej danych, prosz .

—Poczekaj i si , kurwa, przekonasz.

—To znaczy same psychole i (wiry... Nie daje si jednak wypu(ci%.

— Jak zważ, tak zważ. Mo\*e nie. A mo\*e jedni i drudzy. — Stuka palcem w portfel. — Zanik pami ci?

Otwieram portfel i ogl#dam dowód.

—W3a(nie min#3.

—No i?

—Co, no i?

—No i jak-jej-tam si nazywa?

—Catherine Bradshaw — czytam. — Urodzona w Oksfordzie, szesnastego pa0dziernika 1969. — Wyci#gam jej bilet miesi czny i przygl#dam si zdj ciu, potem pokazuj je Mattowi. — W skali od jeden do dziesi ciu?

—Siedem. — Przygl#da si dok3adniej, chwil zastanawia. — Nie, jednak sze(% Wczoraj wygl#da3a lepiej.

—Zawsze wygl#daj# lepiej, ale...

—Aparat nigdy nie k3amie — mówi, ko1cz#c rozpoc te przeze mnie zdanie.

—Otó\* to.

—Popraw mnie, je(li si myl , ale czy mo\*e jeste( dzisiaj umówiony z S&M?

W ten sposób Matt okre(ła,Sally McCullen, bo wie, \*e mózg mi si lasuje od samego my(lenia o niej — powiedzie%, \*e jest (wietna, to za ma3o.

—Uhm, o dziesi#tej.

Patrzy na zegarek i wydaje cichy gwizd.

—Nie przeci#gasz struny?

Podchodz do termostatu i ustawiam go na maksimum.

— Plan A — oznajmiam, nalewaj#c sobie zimnej wody z trzymanej w lodówce butelki. —Wypocimy j#.

—A je(li si nie uda?

Wypijam wod i ocieram usta. — Zawsze si udaje.

Kiedy( jednak musi by% ten pierwszy raz.

Godzina na zegarze z 08.40 zmienia si na 08.46. Od ponad godziny ogrzewanie nastawione jest na pe3n# moc, a ja mog jedynie doj(% do

wniosku, \*e dowód Catherine Bradshaw jest sfałszowany, w#tpliwe bowiem, \*eby urodziła si w Oksfordzie; bardziej prawdopodobne jest, \*e na (wiat przysła w Bombaju. Latem. W porze najwi kszych upałów. Obok kotła centralnego ogrzewania. W samo południe. Na nic zdaje si moja mro\*ona woda. Letnie słońce pali ogniem pozamykane okna, grzejniki wr#, a ja czuj si jak w saunie. Z czoła pot leje mi si strumieniami. Poduszka, na której spoczywa moja głowa, zamienia si w gor#cy termofor, a kołdra w koc elektryczny. Lecz Bradshaw dosłownie i w przeno(ni jest zimna jak gład. Ani razu nawet cicho nie j knie, nie poprosi o otwarcie okna, nawet o kropl wody. 7adnej reakcji, poza regularnym oddechem i odpr \*onym wyrazem gład bokiego u(pienia na twarzy. Lodowa panienka.

Plan B.

—Catherine — mówi , podnosz#c si do pozycji siedz#cej. — Cath? — Tym razem chyba nieco gło(niej, czemu towarzyszy lekkie potrzeb#sanie jej za rami . — Cathy?

—Mmmmm? — odpowiada w kołcu, oczu jednak nie otwiera.

—Pora wstawa%. Musz lecie%, bo ju\* jestem spóóniony. Trze zaci(ni tymi pi (ciami oczy, potem spogl#da na swój zegarek.

—Jeszcze nawet nie ma dziewi#tej — stwierdza naburmuszona, naci#ga kołdr pod szyj i zamyka oczy. — Zdaje si , mówi#e(, \*e dzisiaj nie b dziesz pracował... My(lałam, \*e oboje zrobimy sobie wolne... Zawarli(my umow , pami tasz? Umow ...

To prawda. Mi dzy innymi dlatego w#a(nie wspólny wieczór w klubie przed#u\*y3 si o wspóln# noc.

—Pami tam — mówi — ale dzwonili z galerii. Przyjechał jaki( kolekcjoner z Ameryki i jest zainteresowany któr#( z moich prac — kłami . — Chciałby si ze mn# spotka%. Dzisiaj rano, bo po południu odlatuje z powrotem do Los Angeles, wi c raczej nie mam wyboru.

— Dobrze ju\*, dobrze — burczy i siada. — Słysz ci . Zanim kołczy prysznic i ubierane, robi si kwadrans po

dziewi#tej. Wchodzi do kuchni, w której siedz ja, t po zagapiony w pusty blat stołu. Je(li o to chodzi, nie najgorsze sobie wynalazłem zaj -

cie. Matt wpadł na pomysł, żeby zrobić blat stołu z szyldu, który niegdyś wisiał nad wejściem do pubu. Wielka szkoda, że nie mógł tam zostać, ale niektórzy dawni bywalcy „Churchill Arms” do najbystrzejszych nie należeli i nie przestawali nas nawiedzać w (rodku nocy. Gapiłem się więc. Winston Churchill odpowiadał pełnym dezaprobaty spojrzeniem. *Nigdy, w historii całej ludzkości...* OK, OK, nie ma co, trzeba brnąć dalej.

Nie proponuj :

a) kawy,

b) że ję podwioz do domu,

c) rozmowy o niczym.

Odsuwam natomiast kubek, wstaję i mówię :

— Dobra, pora na nas.

Kiedy idę w stronę drzwi, a stukot jej kroków po kafelkach towarzyszy mi za plecami, pamięć wraca do jej dowodu osobistego. Według niego mieszka w Fulham, może więc z powodzeniem wraca metrem.

— Stacja metra jest o parę minut drogi stąd — mówi, gdy wychodzimy na zewnątrz.

Zamykam za nami drzwi i wspólnie idziemy ulicą kilkanaście metrów do miejsca, gdzie stoi zaparkowany spitfire Matta.

— Twój? — pyta, gdy wspieram się ręką o dach samochodu.

— Tak — odpowiadam i nie przerywając, mówię dalej: — Idź prosto, na rogu skręć w lewo. Stacja jest jakieś trzydzieści metrów dalej.

Ona jednak, zamiast powiedzieć do widzenia i wyjść z mojego życia, wracając do własnego, lustruje wzrokiem drugą stronę ulicy, gdzie zauważa przystanek autobusowy.

— W porządku — oznajmia. — Pojadę autobusem. Tak będzie szybciej.

— Źwrotnie — ja na to, chociaż jest akurat wręcz odwrotnie. — W takim razie do zobaczenia.

— Serio? — Spogląda na mnie trochę niepewnie. — Zostawiłam swój numer w twoim pokoju, na paczce szlufów. Kożożóka.

— Zdawało mi się, że wyjedziesz do Australii?

—Bo wyje\*d\*am. Ale nie na sze(% tygodni.

—Aha.

Stoimy, patrz#c na siebie, i nie bardzo wiemy, co robi%.

—Wychodzisz wi c? — pyta.

— Jasne. W3a(nie teraz. — Bez sensu chwytam za klamk samochodu. Robi g3upi# min . — Kluczyki. Zapomnia3em zabra%. — Macham r k#, wci#\* unikaj#c z ni# kontaktu wzrokowego. — Do zobaczenia.

—Tak, ju\* to mówi3e(.

Wracam szybko do domu i zamykam za sob# drzwi. Patrz na zegarek: dwadzie(cia po. Pomalutku skradam si do salonu. Kryj#c si za barem, który biegnie wzd3u\* ca3ej tylnej (ciany, zerkam przez okno na ulic . Catherine Bradshaw stoi w3a(nie na przystanku autobusowym, do3adnie naprzeciwko mojego domu. Padam na kolana i gapi si na rz#d pustych miarek do nalewania alkoholu. Cholera. Jestem zm czony. Umordowany. Sally McCullen, kobieta, na punkcie której przez ostatnie dwa tygodnie mia3em istn# obsesj , zjawi si tu za nieca3e p33 godziny. A Catherine

Bradshaw czeka sobie na jednym z najrzadziej odwiedzanych przez autobusy przystanku na ca3ej ziemi, bez \*adnej gazety, czasopisma, ksi#\*ki czy,cho%by walkmana, wobec czego nie ma nic lepszego do roboty, jak oboj tnie obserwowa% drzwi frontowe domu Matta i czeka%, a\* si w nich pojawi , \*eby odjecha% kabrioletem, który nawet nie jest mój, na spotkanie z nie istniej#cym ameryka1skim kolekcjonerem sztuki.

Jaki( wewn trzny g3os mówi mi: *No i co z tego? Nawet jeśli nie wyjdiesz z domu, potwierdzając tym samym jej podejrzenia, że całe to zamieszanie z galerią i kolekcjonerem to tylko zwykły wybieg, żeby się jej pozbyć. Cóż się stanie, jeśli o dziesiątej, kiedy ty będziesz otwierał drzwi Sally McCullen, ona wciąż jeszcze będzie czekała na autobus? Przecie\* dopiero co si poznali(my. Nie chodzimy ze sob#. Więc, g3os nie daje za wygran#, dlaczego nie potrafi3e3 być wobec niej uczciwy? Czy to taka sztuka powiedzieć jej po prostu: „Hej, było super, dzięki za niezłe ru-chanko. Bawiłem się świetnie ”. No co, czy tak nie byłoby o wiele pro-ściej? I przyjemniej?*



Jednak chór innych głosów jest zupełnie odmiennego zdania.

Głos samoluba: *Ona jest sąsiadką i kumpelą Chloe, a Chloe jest twoją kumpelą. Olejesz Catherine, a w związku z tym Chloe, i zostanie ci tylko przyglądać się, jak całe twoje życie towarzyskie wali się w gruzy. Głos niepewnego siebie: Nie chcesz, żeby ani ona, ani tym bardziej ktokolwiek inny rozgłaszał na prawo i lewo czy choćby tylko myślał, jaki z ciebie dupek. Głos człowieka przyzwoitego: Porządny z ciebie facet, a porządnifaceci nie lubią sprawiać przykrości porządnym dziewczynom.*

Có\*, wszystkie te głosy w zasadzie miały rację, \*aden jednak nie powiedział tego, o co chodziło naprawdę. A to niewiele miało wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Nic z tych rzeczy. Było to zwykłe, proste i czyste uwarunkowanie, a mianowicie sposób, w jakim zostałem zaprogramowany. Nie wi#zało się w \*aden sposób z myśleniem, lecz z tym, kim instynktownie byłem.

Oszukiwanie samego siebie jest na tyle proste, \*e nawyków, których nabieramy, pozostaj#ć z kim( w zwi#zku, nie pozbywamy się nawet po zakończeniu znajomości. Z Zoe Thompson zerwałem mi#dzę 6 a 9 wieczorem, w sobotę, 13 maja 1995 roku, po moim powrocie z weekendu spędzonego u mamy, w ca#o(oci po(wi#cone go na płacze i rozterki serca, a przed tym, jak jej ojciec zjawił się i zabrał J# z wynajętego mieszkania, w którym przez ostatnie pięć miesięcy staraliśmy się budować wspólny dom. G#odziliśmy ze sobą przez ponad dwa lata. Miesi#ce, które upłynęły Od czasu zerwania, obejmowały następujące zmiany emocjonalne i stylu \*ycia:

a)Przestałem u\*ywać pi#ny do zmniejszania tkanin i zwraca% uwagę na dziury, które w niewyt#umaczalny sposób pojawiały się w moich skarpetkach.

b)Szczoteczka do zębów zmieniałem nie co trzy miesiące, lecz dopiero wtedy, gdy miałem wrażenie, \*e szoruję zby starym, wytartym dywanem.

c)Do pielęgnacji paznokci u stóp nie u\*ywałem no\*yczek, lecz r#k.

d) Co kilka tygodni, zamiast zmieniać, obracałem prześcieradło na drugą stronę .

e) Nareszcie przestało mnie gnębić poczucie winy, gdy rozmawiałem z potencjalnie niebezpiecznym przedstawicielem płci przeciwnej (to znaczy kimś innym niż dziewczyna kumpla, dawna dobra koleżanka, którą Zoe zaakceptowała, albo koleżanka Zoe).

f) W czasie stosunków płciowych używałem prezerwatyw.

g) Spałem, tuląc w ramionach poduszkę, a nie ukochaną osobę .

h) Niedzielne poranki spędzałem w łóżku samotnie, ażujac, że nie ma przy mnie nikogo, na kim zależałoby mi tak bardzo, że chciałbym spędzić z nim (z nią?) resztę dnia.

Były jednak inne nawyki, które weszły mi w krew, gdy byłem z Zoe, i których się nie pozbyłem, choć nie było już komu mnie pilnować — one jednak stały się już za bardzo moje. Wymieniłem tu należyte, co następuje:

a) Wci#\* sypia#em po prawej stronie 3ó\*ka, cho% teraz mia#em je ca#e wy3#cznie dla siebie i mog#em si# na nim uk#ada% pod dowolnym k#tem.

b) Zmywa#em po ka\*dym posi#ku, zamiast, jak dawniej, raz w tygodniu wypowiada% wojn# stercie talerzy, szklanek i sztu#ców.

c) Delektowa#em si# smakiem warzyw i sa#atek, nie uwa\*aj#c ich ju\* za prze\*ytek w dobie witamin w tabletkach.

d) Spuszczam klap# sedesu.

e) Ogl#dam serial *Eastenders*.

f) Staram si# , by rozmowa nie ogranicza#a si# wy3#cznie do pi#ki no\*nej, je\*eli w towarzystwie znajdowa#y si# przedstawicielki p#ci przeciwnej.

g) Zwracaj#c, si# do kobiet, patrzy#em im w oczy, a nie w dekolt.

h) Rozumia#em, \*e bez wzgl#du na pozory zewn#trzne, ego innych ludzi jest równe kruche i podatne na zranienia jak moje w#asne.

Có\*, \*aden ze mnie (wirolog, nie potrafi wi#c wyja(ni%, dlaczego niektóre z nawyków z okresu Zoe mi zosta#y, podczas gdy inne odesz#y w zapomnienie. Wiem jedynie, \*e te, których si# nie pozby#em, s# w tej chwili tak samo moje jak odciski palców. Dotyczy to równie\* stosunku do cudzego ego.

Istnieje, rzecz jasna, szansa, \*e Catherine Bradshaw chce o mnie zapomnie% równie szybko, jak ja o niej. By% mo\*e zostawi#a swój telefon po to, abym nie czu# si# podle albo \*eby ona nie czu#a si# podle, albo jedno i drugie. Bardzo prawdopodobne, \*e gdybym do niej zadzwoni#, wypar#aby si# jakiegokolwiek ze mn# znajomo(ci lub na d0wi k# mojego g#osu niespodziewanie objawi#aby si# u niej bieg#a znajomo(% 3otewskiego. Z drugiej jednak strony istnieje cie# szansy, \*e troch# jej zale\*y, co z kolei oznacza, \*e je(li potraktuj#j#jak szmat#, summa summarum sam zaczn# si# jak szmata czu%. W ten sposób ko#o si# zamyka: oka\* jej troch# szacunku i nie stra% szacunku dla samego siebie. Bezinteresowno(% i egoizm jednocze(nie. Idealne po3#czenie, gwarantuj#c czysto(% sumienia.

Na szcz (cie kluczyki Matta wisz# na tablicy w kuchni, mija wi c za- ledwie kilka minut i ju\* macham r k# do stoj#cej po drugiej stronie ulicy Bradshaw, wskakuj do spitfire'a Matta, poprawiam siedzenie i lusterko wsteczne, wkładam kluczyk do stacyjki. Skr cam za róg, zastanawiaj#c si jednocze(nie nad tym, \*e po pierwsze, nie jestem ubezpieczony, a po drugie, nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby Matt na wie(% o tym, \*e o(mieśliem si przejecha% obiektem jego dumy i uwielbienia, gro\*#c mi no\*em przyżo\*onym do gardła, zmusił mnie do pożgni cia własnych do- piero co obci tych genitaliów. Parkuj spitfire'a w bocznej uliczce, w bezpiecznej odległo(ci od przystanku autobusowego, gasz silnik i wż#- czam radio.

Cztery piosenki, jeden komunikat o aktualnym stanie ruchu drogowego, wiadomo(ci i dwa papierosy pó0niej podejmuj ryzyko: wysiadam z samochodu i ruszam ulic#, \*eby oceni% sytuacj . Gdy wża(nie zbli\*am si do rogu, zwalniam#c, by sprawdzi%, czy moja ulica jest ju\* stref# wol- n# od Bradshaw, mija mnie autobus. Zamieram, albowiem przez autobu- sow# szyb mój wzrok napotyka spojrzenie Catherine Bradshaw. Widz , jak potrz#sa głow# i w jednoznaczny ge(cie podnosi do góry (rodkowy palec.

Nie trzeba zdolno(ci telepatycznych, by odgadn#% niektóre my(li. Ty dupku, to jedna z nich.

Jest pó0ne popołudnie. Oparty plecami o (cian mojego atelier pal papierosa i studiuj pó0tno rozpi te na sztalugach, które wża(nie prze- stawiłem bli\*ej francuskiego okna wychodz#cego na ogród. Pokój tonie w słonecznym (wietle, jaskrawym jak blask nie osłoni tej niczym \*a- rówki.

Atelier mie(ci si na tyżach domu. Jednolit# biel sufitu i (cian żami# jedynie rysunki i kolorowe szkice. Podłoga jest z surowych desek; nie zmieniałem jej, gdy wkrótce po wprowadzeniu zerwałem poplamion# piwem wykładzin . Mattowi to nie przeszkadzało, po cz (ci dlatego, \*e pokój i tak pozostawiał wiele do \*yczenia — głównie pełnił funkcj ma- gazynu, w którym przechowywał pudła, nigdy do kołca nie opró\*nione

z rzeczy przewiezionych z domu jego rodziców w Bristolu; po cz (ci za( dlatego, \*e wiedział, i\* i tak nie sta% mnie na wynaj cie innego mieszkania. Po (ci#gni ciu wykładziny i odmalowaniu (cian jedynym (wiadectwem dawnej (wietno(cci pubu „Churchill Arms" był stół do bilardu.

Minionej nocy udało mi si jednak powiedzie% Bradshaw co(, co nie było kłamstwem: nie pracowałem w pi#tki. To znaczy nie chodziłem do pracy, za któr# nale\*ała mi si wypłata. Tak było we wtorki, (rody i czwartki, w Paulie's Gallery. Jej wśa(ciciel, Paulie, nazywał mnie swoim dyrektorem, zwa\*ywszy jednak, i\* byłem jedynym pracownikiem, wśadza nie uderzyła mi do głowy. Głównie siedziałem za biurkiem w cz (ci wystawowej, przegl#dałem czasopisma i powie(cci i czekałem, a\* zadzwoni telefon, co . zdarzało si niezwykle rzadko — chyba \*e Paulie, bawi#c w kolejnym bajkowym Med-club, postanowił sprawdzi%, jak si sprawuj . Od czasu do czasu zjawiał si jaki( klient, chwil rozgl#dał, zadawał jedno, dwa pytania o którym( z obrazów. Jeszcze bardziej od czasu do czasu, mo\*e trzy razy na miesi#c, co( kupował, a ja uruchamiałem kas , wr czałem paragon, organizowałem dostaw . Głównie jednak czytałem albo gapiłem si na przechodz#cych ulic# ludzi.

Pi#tki jednak — pi#tki i poniedziałki — nale\*ały wyś#cznie do mnie. W te dwa dni mogłem zajmowa% si jedynie sob#. I starałem si , by nigdy nie musiało to by% nic wi cej. Starałem si za wszelk# cen nie wychodzi% z domu, chyba \*e sprawa była naprawdę powa\*na, na przykład kupno paczki papierosów, kilku puszek pepsi max albo rozmowa z pracownikiem banku na temat Dziury Bez Dna (tj. debetu na koncie). Starałem si wstawa% o tej samej porze, jak w dni, kiedy otwierałem galeri (10 rano). Brałem prysznic, chwil gaw dziłem z Mattem — je(li akurat udało mi si zżapa% go przy (niadaniu. Potem szedłem do atelier i wś#-czałem radio — do towarzystwa. Zapalałem papierosa, brałem do r ki p dzel i zaczynałem tam, gdzie ostatnio przerwałem.

Staram si , \*eby tak wśa(nie te dni wygl#dały, cz sto jednak zdarza mi si zaspaa% i wtedy wszystko bierze w żeb.

Dalej wpatruj się w płótno. Je(li nie liczy% drobnej porannej afery z Bradshaw, dzieł sp dziłem bardzo pracowicie. Od dziesi#tej rano do czwartej po południu, z godzinn# przerw# na lunch. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, z wyj#tkiem radia do towarzystwa; tym razem nie było mi po prostu potrzebne. To jednak było cz (ci# innego planu.

— No i jak—pyta McCullen, która wróciła w3a(nie do atelier i stoi teraz pomi dzy mn# a płótnem, zasłaniaj#c mi widok. — Zadowolony?

McCullen ma około metra siedemdziesi ciu pi ciu i jest szczupła. Jasne włosy sp3ywaj# z3ocist# fal# do połowy pleców. Ma te\* wyj#tkowo seksowny (miech.

— Nie wiem — odpowiadam, nie dlatego jednak, \*e przesłania mi sob# płótno, ale dlatego, \*e zbyt d3ugo byłem skoncentrowany. Teraz musz si na chwil oderwa%, pozwoli% oczom odpocz#%, zanim znowu odzyskam zdolno(% obiektywnego patrzenia. — A co ty o tym s#dzisz?

Obraca się i staje twarz# do mnie.

—Mnie się podoba.

Ciesz się ; ona mi się te\* podoba. I to bardzo.

Poznali(my się dwa tygodnie temu na przyjęciu, które moja siostra, Kate, wydała dla uczczenia swoich dwudziestych urodzin. Kate studiuje historię i iberystyk na uniwersytecie londyńskim. Jej chłopak ma na imię Phil. On z kolei studiuje romanistyk , na tym samym co Kate uniwersytecie. To on w3a(nie na pierwszym roku studiów poznał McCullen, zaprzyja0nili się , udało im się t przyja01 utrzyma%, a\* w końcu w zeszłym roku zamieszkali we wspólnie wynajmowanym domu. Kate i McCullen tak\*e się skumplowały i w ten sposób ja mog3em rozpocz#% nasz# znajomo(% od rozmowy w kuchni Kate.

Kate ju\* zd#\*yła jej o mnie naopowiada%, a obraz, który podarowałem Kate na urodziny, wisiał w salonie, 3atwo więc przyszło nam nawi#za% rozmow . McCullen wypytywała o moje malarstwo. W szkole chodziła na zajęcia z plastyki, trochę te\* rysowała w czasie weekendów. Zapytałem, dlaczego w takim razie dalej się tym nie zajmuje, na co ona stwierdziła, \*e z winy jej rodziców, według których malarstwo to bardzo dobre hobby, ona jednak powinna przede wszystkim nauczyć się jakiego( za-



wodu. Ja zrewan\*owałem si opowie(ci# o swoich do(% skromnych — jak dot#d — sukcesach: trzy obrazy udało mi si sprzeda%, a troch nieoficjalna wystawa moich prac, jak# kilka miesi cy temu zorganizowałem w galerii Pauliego, zebrała całkiem niezłe recenzje. Zapytała, nad czym aktualnie pracuj , a ja — ponieważ\* byłem wstawiony, ona była cudowna, ignorowała niestety całkowicie wszystkie moje subtelne aluzje i nie istniał nawet cie1 szansy, \*eby udało mi si j# namówi% na wspóln# kontynuacj wieczoru — wyjawiłem jej, \*e mam w planie kilka studiów z natury. Zaproponowałem, \*eby mi pozowała, mówi#c prosz , prosz , prosz , zgod0 si .

Cho% zakrawało to na cud, zgodziła si . Lub raczej zapytała:

— Za ile?

A ja odpowiedziałem:

— Miałem nadziej , \*e za darmo. Na co ona:

— Nie ma mowy. Zaproponowałem wi c:

— Dwadzie(cia funtów? Ona na to:

— Trzydzie(ci. A ja:

— Umowa stoi.

W3a(ciwie czemu nie? I tak byłem ju\* ugotowany.

McCullen podchodzi do kanapy, odsłaniaj#c w pełni p3ótno. Patrz na ni#, na obraz i znowu na ni#. Jedno i drugie niewiele ma ze sob# wspólnego. Nie dlatego, \*e obraz nie oddaje podobie1stwa. Po prostu przez te wszystkie godziny, podczas których przek3adałem jej ciało z trzech wymiarów na dwa, przestałem widzie% j# jako cało(% , lecz raczej jako zbiór konturów i cieni. A teraz na nowo odzyskiwała form , zmartwychwstała. Nie była ju\* obiektem moich studiów, lecz kobiet#, której pragn#3em dotkn#%. Wr cz si do tego paliłem.

Prawd mówi#c, pragnienie to sporadycznie mnie ogarniało od chwili, gdy zjawiła si u mnie dzisiaj rano, dok3adnie trzy minuty po tym, jak zaparkowałem spitfire'a na starym miejscu z dok3adno(ci# co do milimetra i przestawiłem siedzenie, nie zapominaj#c o lusterku wstecznym. Zrobiłem jej kaw i zabawiaj#c rozmow#, zaprowadziłem do studia. Rozebrała si w 3azience, sk#d wróciła owini ta r cznikiem. Udawałem, \*e

bardzo jestem zajęty ustawianiem płótna, ze wszystkich sił staraję się nie gapić na nią, gdy szła przez pokój. Chciałem, żeby poczuła się jak najbardziej swobodnie.

— Co mam robić? — zapytała.

Oddała mi się. Teraz. Na stole bilardowym. Pod prysznicem. Na plaży. W samolocie. Z ciastem unurzonym w bitej (mietanie i oblanym czekoladą. Odpowiedzi miałem bez liku i w innych okolicznościach na pewno któreś z nich bezzwłocznie wprowadziłbym w czyn. Ale jest się w kolecu profesjonalistki, no nie? Ja byłem artystką, ona moją modelką. Płaciłem jej za to, żeby do mnie przyszła i rozebrała się, zarówno dla sztuki, jak i dla pieniędzy. Mam rację? Mam. Koniec pieśni.

— Połóż się na kanapie — poleciłem. — Po prostu się połóż, tak żeby ci było wygodnie.

Posłusznie podeszła do kanapy i stojąc do mnie plecami, zsunęła rękawiczki, porzuciła go złożyła na podłodze, po czym ułożyła się na brzuchu.

— Może by?

Cóż, z estetycznego punktu widzenia ta pozycja była niezła. Z głową wspartą bokiem o skrzyżowane dłonie, ze wzrokiem skierowanym ku mnie wyglądała bardzo naturalnie, jakby wstała (nie budziła się z głębi bokiego snu. Światło tak też nie pozostawiało nic do życzenia. Mniej więcej przez (rodek jej szydełko biegła smuga cienia, co dawało doskonały efekt.

— Nie — pokręciłem głową. — Niedobrze. Spróbuj może położyć się na boku, twarzą do mnie...

Cóż, artystyczna integralność jest najważniejsza, ale czy nie należałoby mi się drobna rekompensata za biedę i samotność? Przewróciła się na bok, zaczęła krzyżować na piersiach.

— Tak lepiej?

— Troszeczkę — powiedziałem — ale wolałbym, żeby (inaczej ułożyła rękę. Spróbuj może oprzeć się o biodro. — Zrobiła, jak prosiłem. — O, teraz dobrze. — Spojrzałem na nią, potem na płótno, zmarszczyłem czoło, znowu popatrzyłem na nią. — Zegnij lekko nogi. Jeszcze trochę.

Wspaniale. Po prostu wy(mienicie. — Kiwałem głowę w naprawdę szczerym zachwycie. — Wygodnie ci?

Leża bez ruchu.

—W porządku, dziękuję.

Patrzyłem na niego, tak bez ruchu, kompletnie zauroczony.

—Ciesz się.

Có my powiecie o naszych obsesjach? To bardzo szczególne siły napędowe ludzkiego zachowania. Życie w pojedynkę przypomina — w co naprawdę szczerze wierzy — stan oblężenia; człowiek wymyśla sobie całe mnóstwo wymagań i jak lew broni swojej wolności do czasu, gdy pojawi się jego Wymarzona. Wtedy wszystkie obsesje, jak piętka kolumna, burzą mury obronne i wpadają drzwiami i oknami, strzelając do wszystkiego, co się rusza. Dzieje się tak najczęściej wtedy, gdy człowiek czuje się bezpieczny i pewny siebie, niestety, pod ich naporem zamula się wszelka obrona.

Tak właśnie (nie jest w przypadku McCullen. Odkąd ją poznałem, jej obraz oraz wizje, w których ja jestem z nią, nie opuszczają mnie (ciwie ani na chwilę. Najbardziej martwi mnie, i wiele z nich jest niemalże afrontem dla Kodeksu Samotnego, według którego postanowiłem wieść swoje życie. Wyobrażam sobie, że:

a) Idziemy z nią ulicami i trzymamy się za ręce.

b) Leżę obok niej w łóżku, jest (wit, a ja patrzę na nią, jak (pi.

c) Siedzimy przy ustronnym stoliku w restauracji, popijamy wino i patrzymy sobie w oczy.

Innymi słowy, nie są to wersety z Biblii Samotnego Faceta, która z kolei głosi, że są pewne cechy, którym moja Wymarzona sprosta, niestety, nie zdoła. Na przykład, nie potrafię sobie wyobrazić, że:

a) Po półrocznym rozstaniu z powodów ode mnie niezależnych ona wciąż na mnie czeka.

b) Mieszkamy razem.

c) Proszę ją, aby za mnie wyszła.

Mimo to jednak McCullen bliższa jest mojej Wymarzonej niż jakkolwiek inna od czasu rozstania z Zoe. A w tej chwili jest szczególnie blisko.

—Czy na dzisiaj skończyli? — pyta.

—Tak. Dziękuję ci za cierpliwość. Podnosi rękę i owija się nim.

—Co teraz?

Dobre pytanie. Od dobrych paru godzin zastanawiałem się, czy go nie zadać. Odpowiedź, której najchętniej bym udzielił, brzmiałaby mniej więcej tak: „Przyjdźcie u Matta nie zacznie się wcześniej niż za jakieś trzy godziny, może więc byście zabili ten czas w śródku?” Na moje jednak nieszczęście, w mieście Londyn, na planecie Ziemia, panna McCullen ani razu w ciągu dnia nie dała mi najmniejszej nadziei, że przystąpiłaby na podobną propozycję. Zdecydowałem się więc na coś bardziej dwuznacznego.

—Cóż, mógłbym otworzyć butelkę wina... Uśmiecha się.

—Nie, nie, mówisz „teraz”, nie miałam na myśli tej chwili. Chodziło mi o obraz. Jeszcze go nie skończyłeś, prawda? Chciałbyś pewnie, żebyśmy się jeszcze raz spotkali?

—Ach, tak. Jasne. Oczywiście. — Zupełnie, jakbym wiedział, że właśnie to miała na myśli. — Będziemy chyba potrzebowali jeszcze kilku sesji. Jeżeli oczywiście to wytrzymasz.

—Żaden problem. Świetnie się bawię. — Ręka masuje sobie ramię.  
— Trochę tylko zesztywniałam.

— Nie nudziłaś się?

— Nie, fajnie się z tobą gada. Zresztą zabawianie modeli to pewnie dla ciebie nic nowego.

Teraz lepiej. Dogadujemy się. Ona najwyraźniej mnie lubi.

— Chyba tak — zgadzam się z nią. — A wino? Mam w lodówce butelkę ...

Chwilę się zastanawia, wreszcie mówi:

— Nie, lepiej już pójdź. Wieczorem mam spotkanie z teściami. Jakby mnie ktoś walnął w oko. Zanim zdążyłem pomyśleć, słowa same cisnęły mi się na usta.

—Te(ciowie? Nie chcesz chyba powiedzie%, \*e... 9mieje si , odgarnia włosy z twarzy.

—Jestem m \*atk#? Bo\*e, uchwaj. Tak naprawd to jeszcze nie te(ciowie, tylko rodzice mojego ch3opaka. Dzisiaj s# urodziny jego matki.

—Nie wiedzia3em, \*e masz ch3opaka. — Cho% bardzo si staram to ukry%, wyra0nie s3ycha% w moim g3osie rozczarowanie. — Co( powa\*-nego?

—Chodzimy ze sob# ju\* trzy lata.

—O, wi c to nie \*arty.

—Raczej nie.

W jej g3osie s3ycha% lekkie wahanie. To mi wystarcza.

—Mam nadziej , \*e twoje pozowanie nago mu nie przeszkadza?

—Przeszkadza3oby, gdyby wiedzia3. U(miechamy si oboje.

—Kapuj .

— Chodzi mi o to, \*e nie powinno. Przecie\* nic takiego si nie dzieje. Nie zdradzam go ani nic z tych rzeczy.

— Dlaczego mu w takim razie nie powiesz?

— Poniewa\* poczu3by si zagro\*ony i zazdrosny. Gra niewarta (wieczki.

— Kochasz go?

— Tak — o(wiadacza, id#c przez pok3j, \*eby si ubra%. — Bardzo.

OK, typowy scenariusz uwodzenia wygl#da nieco inaczej. Zupe3nie jakbym zacz#3 czyta% od ostatniej strony. Obiekt mojego po\*#dania najpierw by3 nagi, potem owin#3 si r cznikiem, teraz si ubiera i wkr3tce p3jdzie sobie w og3le. Co gorsza, oznajmi3a mi z niezachwian# pewno-(ci#, \*e od trzech lat pozostaje w zwi#zku z m \*czynn#, kt3rego kocha. Do tego kocha bardzo.

To wystarczy3oby na wyleczenie z obsesji wi kszo(ciludzi. Ja jednak by3em przypadkiem beznadziejnym. W sk#din#d czarnej rzeczywisto(cil dostrzeg3em dla siebie iskierk nadziei: \*eby by% ze mn#, jest gotowa oszuka% m \*czynn , kt3rego kocha. Do tego zamierza3a dopu(cil% si kolejnego oszustwa w przysz3ym tygodniu. C3\*, mo\*na to raczej por3wna% do lekkiego kiwni cia g3ow# w pokoju pe3nym ludzi ni\* do czerwonej

flary rozbyskującej na ciemnym nocnym niebie. Niemniej jednak nie byłem tak całkowicie bez szans. Wniosek: fatalnie, \*e odrzuciła moje zaproszenie, by móc spotkać się ze swoim chłopakiem, ale jest przecie\* przyszły tydzień...

Je\*eli natomiast chodzi o moje ego, to na tym froncie spotykały mnie ju\* o wiele gorsze pora\*ki.

\* \* \*

W tym momencie N... ma rację. M...  
Cz... of... J... c... j...





Mary: 6garz.

Ja: Wcale nie.

Mary: Tutaj, tak lepiej.

Ja: Tutaj?

Mary: Tak, dokładnie tutaj...

Opis rzeczywisty samego aktu: raz, dwa, trzy, cztery, pi %, sze(% , siedem, osiem, dziewi %, dziesi %, jedna(cie, dwana(cie, trzyna(cie, czterna(cie, pi tna(cie, szesna(cie, siedemna(cie, osiemna(cie, dziewi tna(cie, dwadzie(...

Mary: Ju\*?

Ja: Tak. Jak mi poszło? Mary: Beznadziejnie.

## PRZYJĘCIE URODZINOWE MATTA

Nikogo chyba nie zdziwi, \*e zwi#zek z Mary Rayner nie przetrwał zbyt długo. Dłu\*ej co prawda ni\* te nieszcz sne dziewi tna(cie i pół sekundy, lecz niewiele. Tamt# noc sp dziłem u niej i rano kochali(my si znowu. Tym razem byłem o wiele bardziej wytrwały—zanim skołczyłem, w Capital Radio zd#\*yli nada% jedn# reklam dietetycznej coli i trzy piosenki — cho% z technicznego punktu widzenia, na co zreszt# zwróciłem pó0niej uwag Mattowi, mog (miało mówi% o sze(ciu piosenkach, zwa\*ywszy na to, \*e jedn# z nich była *Cygańska rapsodia*. Nawet Mary musiała przyzna%, \*e pod jej genialnym przewodnictwem awansowałem z „beznadziejnie" na „w porz#dku" w ci#gu zaledwie dwudziestu czterech godzin. Przyszło(% rysowała si (wietli(cie. Byłem bardzo zadowolony. Moja misja zakołczyła si peźnym sukcesem. Wyszli(my z domu przed lunchem, długo ob(ciskiwali(my si przy stacji metra na Ealing Broadway, po czym odjechałem do Bristolu. Zadzwoiłem do niej jeszcze raz, ona jednak nie oddzwoniła. Nigdy wi cej o niej nie słyszałem.

Wiedziony nostalgią lubi sobie myśleć, że rozdzieliły nas okoliczności — ona mieszkała w Londynie, ja w Bristolu, żadne z nas nie miało do kasy na regularne odwiedziny, a poza tym oboje byli zajęci przygotowaniami do matury i brakło nam czasu, żeby poznać się lepiej. Rzeczywiście jednak przedstawiała się zgoła inaczej. Tak naprawdę Mary po prostu miała lepszych ode mnie, mnie za to nigdy wcześniej nie było tak dobrze. Każdym z nas powodowały inne motywy: Mary nie miała ochoty zostać przy czymś pomiędzy „beznadziejnie” a „w porządku”, ja natomiast wkroczyłem w nowy cudowny świat i skoro udało mi się zjednać dziewczynę (dwukrotnie), dlaczego nie miałem spróbować z innymi (tyle razy, ile się da).

Przeprawa była ciężka, ale warta zachodu. Po tym jednym weekendzie w Londynie wszystko się zmieniło. Bardzo pewny siebie wróciłem do Bristolu, zamknąłem się z telefonem w kuchni i zadzwoniłem do Matta. Opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami, potem on kazał mi opowiadać jeszcze raz wszystko od początku. Chociaż starałem się nie dać po sobie niczego poznać, przyznaj, że delectowałem się każdym słowem.

Następnego dnia, w poniedziałek, Matt odprowadził do domu Laur Riley, dziewczynę, z którą chodził na zajęcia z matmy i w której podkochiwał się od kilku miesięcy, nigdy jednak nie miał odwagi, żeby jej o tym powiedzieć. Wtedy jednak nie tylko ją odprowadził, ale jeszcze pocałował na przystanku autobusowym na ulicy, przy której mieszkała. Umówił się z nią. Dwa tygodnie później jego rodzice wyjechali do Lake District na weekend i Matt wraz z Laurą pozbawili się nawzajem dziewictwa na dolnej części piętrowego łóżka, gdzie Matt sypia, odkąd skończył siedem lat.

Można by przypisać przypadkowi, że Matt przestał być prawieczkiem w tak niedługim czasie po mnie, ja jednak w to wątpię. Bardziej odpowiada mi teoria współzawodnictwa. Albo raczej domieszka rywalizacji, która zawsze dodawała kolorytu naszej przyjaźni. Miało mogłoby powiedzieć, że okres po pokwitaniu, a przed Mary, w siedemdziesięciu procentach wypełniony był rozmowami o seksie, z tym że na poziomie czy-

sto teoretycznym. Jak to zrobimy? Jak to będzie, kiedy w końcu to zrobimy? Z chwilą, gdy uzyskałem odpowiedzi na obydwa te pytania, równowaga ignorancji, na której opierała się nasza przyjaźń, uległa zachwianiu. Hu(tawka drgnęła: Matt, wciąż jeszcze chłopiec, spoglądał na mnie z doświadczeniem, a ja, w pełni świadoma, patrzyłam na niego z góry wzrokiem, z którego biło doświadczenie. Żeby przywrócić mi równowagę — nazwijmy to, zremisowa — nie miał Matt innego wyjścia, jak strzelić gola. Co tego uczyni. Z Laurą Riley. W swoim pierwszym roku.

Rzecz jasna, na tym się nie skończyło. Poznałem kogoś i hu(tawka znowu się zachwiała, więc Matt zerwał z Laurą i dorównał do mnie. Jeśli nie liczyć piętnastu miesięcy, kiedy to chodził z Penny Brown, co — naturalnie zupełnie przypadkowo — zbiegło się w czasie z moją znajomością z Zoe, chyba nigdy nie przestaliśmy rywalizować. I wszystko wskazuje na to, że dzisiaj — otworzyłem drzwi do „BarKing”, miejsca wybranego przez Matta na (wizytowanie swoich urodzin — nie będzie inaczej. Obaj nie mamy dziewczyny. Obaj kogoś szukamy. I chociaż niczego już nie musimy udowadniać, a nasza przyjaźń dawno przekroczyła pułap, na którym wam nie było, komu pierwszemu się udało, sportowy duch dalej każe nam walczyć o przechylenie hu(tawki na swoją stronę. Dziewczyna na jedną noc. Bez komplikacji. Po prostu jeszcze jedna kreska na tablicy. Taka sobie nieszkodliwa zabawa.

Omiotłem wzrokiem bar w poszukiwaniu twarzy znanych i tych, na które przyjemnie popatrzę. „BarKing” to znane miejsce spotkań bogatych młodych ludzi, i dlatego Matt w nim bywa. Nie reklamuje się jako Bar Samotnych Serc, ale w zasadzie tym właśnie jest. Z założenia hałaśliwy i pełen życia, ma tylko kilka stolików, przy których jest miejsce dla jakichś dwunastu osób. Innymi słowami, na pewno nie jest to miejsce, które w *Przewodniku po romantycznych zakątkach Londynu dla zakochanych* zdobyłoby duży liczb gwiazdek.

Inspekcja wizualna potwierdza, że podobnie jest i dzisiaj: jeden bal samców, jeden babski comber, poza tym kilka pomniejszych skupisk przedstawicieli tej samej płci. Na palcach jednej ręki można policzyć

obraczki i pierścionki zaręczynowe, co — jestem tego całkowicie pewny — nie ja jeden na tej sali uczyniłem. Towarzystwo przedstawia się różnorodnie, lecz jedno jest niewątpliwie: markowe ciuchy, fryzury autorstwa najlepszych mistrzów grzebienia i wypielęgnowane twarze. Ludzie tu przychodzą, żeby się dobrze sprzedać, trafić na właściciela kupca. Ja, dzięki ubraniom pożyczonym od Matta, całkiem nieźle się z tym tematem komponuję. Jak obliczyli (my, Matt był tu już dziesięć razy i dwa razy udało mu się wyrwać panienkę, co daje mu sukces dwudziestoprocentowy. Jeżeli chodzi o mnie, dzisiaj zjawiłem się w barze po raz szósty, a dziewczynę wyrwałem raz, co stawia mnie na równi z Mattem. Jak dotąd, huśtawka jest w równowadze.

Jak dotąd...

Dostrzegam Matta przy stoliku na drugim końcu sali, nie ruszam jednak natychmiast ku niemu przez kłopotliwie, lecz przebijam się do baru, gdzie zamawiam piwo dla siebie, a dla Matta tradycyjny urodzinowy koktajl o wyszukanej recepturze. Czekać, a szatański napój dla mego przyjaciela zostanie przygotowany, przyglądam się towarzystwu, które na dzisiaj zaprosił. Matt nie jest szczególnie dobry w organizowaniu przyjęć urodzinowych, zdecydowanie skłania się ku podejściu, że jest to jeszcze jeden dobry pretekst, aby napić się z przyjaciółmi. Jest Chloe, nasza droga przyjaciółka, ku mojej uldze nie zauważam jednak Bradshaw. Są Andy, William i Jenny, znajomi Matta z pracy, poza tym Carla, Sue i Mike, przyjaciele z uniwersytetu, a także Mark i Tim, którzy przyjechali na weekend z Bristolu.

Jest tylko kilka osób dotąd mi nie znanych — zapewne „ekstrasy”, o których Matt wspominał dzisiaj rano przy kuchennym stole. Jest ich pięć, dwóch facetów i trzy dziewczyny. Widok tylko jednej z nich nie uruchamia systemu syren ostrzegających przed psycholami i wirami. Siedzi po lewej stronie Matta, profilem do mnie. Prezentuje się nieźle. Matt mnie zauważa i macha ręką, co (widać, lecz jego słowa tonem w powodzi huczących wokół gości. Odpowiadam skinieniem głoni i raz jeszcze taksuję wzrokiem Tajemniczą Dziewczynę, po czym odwracam się, żeby zapłacić za drinki.

Mam kolegę o imieniu Paddy, który mniej więcej w ten sposób definiuje dylemat samotnego faceta szukającego dziewczyny:

Ja to widzę tak: opcje są dwie — krótkoterminowa i długoterminowa.

Na opcję krótkoterminową decydujesz się wtedy, kiedy chodzi ci tylko o ruchankę. To oznacza, że zaczepiasz każdą kobietę, u której masz według siebie jakiś szansę. No więc zaczynasz z nią gadać i obserwujesz rozwój sytuacji. Dajmy na to, panią zaczyna ciemnieć, że nie sypia z byle kim albo że cię może jej bez faceta czy teściu ma do tracenia czasu na dupków, którzy nie dojrżeli jeszcze do związku — uczynisz rozmowę i zabierasz się do kogoś innego. I tak wdrążasz od jednej do drugiej, aż spotykasz wreszcie tę, która nawet jeżeli nie powiedziała od razu tak, to wysłała odpowiednio wiele sygnałów wskazujących, że zrobi to bardzo szybko.

Jest też opcja druga, długoterminowa. Zasadnicza różnica polega na tym, że w przypadku tej drugiej myślisz nie tylko kutasem, ale także głową. Podejście jest takie samo. Widzisz kogoś, kto ci się podoba, podchodzisz i zaczynasz gadać. Tyle tylko, że tym razem, jeżeli to, co słyszysz, podoba ci się tak samo jak to, co widzisz — a spójrzmy prawdzie w oczy, na dłuższą metę, pod koniec dnia tak naprawdę liczy się nie ciało, lecz to, co w sobie kryje — nie odpuszczasz jej tylko dlatego, że nie zamierza przed (witem cię) dla ciebie majtek. Myślisz sobie natomiast: „Hej, ona mi się podoba. Chciałbym poznać ją lepiej”. I próbujesz. Pora na wszystkie te staromodne bzdury: wymieniacie numery telefonów, dzwonisz do niej, umawiacie się na randkę i tu się wszystko zaczyna.

Wybór opcji musi zapaść na początku wieczoru, ponieważ jedna automatycznie wyklucza drugą. Wybierasz opcję pierwszą i zarywasz panią z jednego tylko powodu: ponieważ chodzi ci wyłącznie o seks. Mała szansa, żeby później myślał o niej w innych kategoriach. Wybierasz opcję drugą i musisz być przygotowany na fakt, że do domu wrócisz sam, przynajmniej tego dnia.

Paddy o\*enił si dwa miesi#ce temu, nietrudno wi c zgadn#%, na któr# opcj si zdecydował. Ja ci#gle jeszcze nie wyszedłem poza pierwsz#.

Podchodz do stolika, gdzie wita mnie seria „jak si masz” i „cze(%, i „co u ciebie”, w zale\*no(ci od tego, jak dawno si z dan# osob# widzia-łem. Krzesło Tajemniczej Dziewczyny jest puste, ale na oparciu wisi \*a-kiel. Stawiam przed Mattem jego urodzinowy koktajl. Krzywi si ju\* na sam jego widok.

—Jezu — mamrocze, wpatruj#c si w szaraw#, m tn# mikstur — kiedy wreszcie wyro(niemy z tego gówna?

—Kiedy b dziemy starzy i \*onaci.

Poniewa\* w najbli\*szej przyszło(ci nie ma szans ani na staro(%, ani na o\*enek, Matt z rezygnacj# si ga po szklank i opró\*nia jednym haustem do dna.

— Wszystkiego najlepszego — mówi i wr czam mu jego karykatu- r , któr# dałem oprawi%.

Patrzy na ni# i wybucha (miechem, po czym przekazuje j# dalej.

—9wietna. Dzi ki. Siadaj — zwraca si do mnie, ocieraj#c usta i za- palaj#c papierosa. Przesuwa krzesło Tajemniczej Dziewczyny, \*eby zrobi% mi miejsce koło siebie. — Skombinuj sobie co( do siedzenia.

Zanim udało mi si ze zdobycznym krzesłem wróci% do stolika, Ta- jemnicza Dziewczyna ju\* si pojawiła. Ustawiam swoje krzesło obok niej i siadam.

— Cze( — zagaduj , obracaj#c si ku niej. — Jestem Jack.



## AMY

O Bo\*e.

To nie mo\*e by% prawda.

Niemo\*liwe, \*eby istota ludzka mog3a czu% si tak fatalnie.

S3ysz dziwny (wiszcz#cy d0wi k, co oznacza, \*e oddycham (grani-  
czy to z cudem, zwa\*ywszy na to, \*e wczoraj wypali3am 4000 fajek).  
Dr czy mnie jednak paskudne przeczucie, \*e je(li natychmiast nie wsta-  
n , porazi mnie wylew krwi do mózgu.

6atwiej pomy(le%, ni\* zrobi%. W nocy moje stawy zmieni3y si w ga-  
laret . Jeden zgrabny ruch i potykam si o moje zrzucone byle gdzie od-  
lotowe buty, wal paluchem w \*eberko kaloryfera i kiedy podskakuj ,  
wij#c si z bólu, trac równowag , przelatuj g3ow# naprzód przez pla-  
stikowe drzwi do sypialni, by wreszcie z wdzi kiem wyl#dowa% na ko-  
modzie w salonie.

Zapada cisza. Le\* jak d3uga na s3omianej macie i czuj mu(ni cia po-  
rannego wietrzyku na po(ladkach, bo podczas upadku moja przedpoto-  
powa koszulka z napisem RELAX podar3a si .

Apogeum.

Rozlega si brz k, jakiego nie wydaje nic poza pust# butelk#, i nieza-  
przechalny powód mojego aktualnego kaca z piek3a rodem stacza si z  
komody i wali mnie w g3ow .

Na widok butelki po whisky z gard3a dobywa mi si j k, po czym z  
wolna, w przera\*aj#cy sposób wydarzenia minionej nocy zaczynaj# wy-  
3ania% si z mg3y bólu.

B d rzyga%.

Kiedy w kolcu wracam do pozycji pionowej, szacuj zniszczenia w  
3azienkowym lustrze. Zgroza.

Amy Crosbie, lokatorka mieszkania D przy Pemberton Villas na Shepherd's Bush, znikła. W porządku. Ale kto wpucił do łazienki tego potwora? Kim ona jest?

Czy to możliwe, żeby z długowłosej lali w staniku wonderbra, która opuściła dom zaledwie wczoraj o 8.30 wieczorem, przeistoczyła się tak całkowicie w chodzący podobizny kostuchy? Ręka mi stęży się zapach nad najnowszym osiągnięciem fryzjerki--poduszki i wysuwam język. Jest zielony.

Jako urodzona optymistka, staram się dostrzec przede wszystkim dobre strony:

1. Gorzej już być nie może (muszę przyznać, że zazwyczaj ten wątek nie pojawia się na początku mojej listy dobrych stron).

2. Dziękuję Bogu, Jack nie został na noc, nie muszę więc znosić upokorzenia, jakiego bym doznała, gdyby przyszedł do mnie w tym stanie.

3.?

Numeru trzy nie ma, ponieważ numer 2 jest pierwszym punktem na liście stron złych. Z piersi wydziera mi się język rozpacz. Jack nie został.

Pierwszy porządny facet, jakiego udało mi się poznać po tylu miesiącach, dał nogę. O (wicie przepadł, nawet bez jednego buziaka na dobranoc. Prawda mówi, trudno mi to za złe. W końcu zrobiłam z siebie kompletnie, całkowicie idiotkę.

Zbyt wielka to tragedia i sama sobie z nią nie poradzę. Dzwonię do H, mojej najlepszej kumpeli.

H: (na wdech) Uhm?

Ja: (chwilę czekam, żeby domyśliła się, że to ja) Szlaggggggg! (Staram się, aby moje powitanie zabrzmiało jak najbardziej tragicznie).

H: Szlag-szlag-szlag? Czy tylko szlag?

Ja: Szlaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaag! H: Zaraz będzie.

Uwielbiam H. Ona mnie naprawdę rozumie.

Dwadzieścia minut później H ustawia rower w stojaku na rowery w wskim holu mojej czynszowej kamienicy. Wygląda obrzydliwie zdrowo i (wie\*o po SPN (Spokojnie Przespanej Nocy) i prawdopodobnie odpowiedniej ilo(ci GSS (Gł boko Satysfakcjonuj#cego Seksu) z Gavem (aktualnym facetem). Cażuje mnie i oznajmia, \*e cuchn jak browar, a z by mam pomarańczowe.

Mrucz co( w odpowiedzi, ale i tak jestem z siebie zadowolona, bo udało mi si zej(% po schodach do drzwi wej(ciuwych, czym zaznaczam swój powrót do rodzaju ludzkiego.

Zd#\*yżam ju\* zje(% trzy nurofeny-plus, wypić% dwie fili\*anki czarnej kawy, ka\*d# z 3y\*k# br#zowego cukru (wiem, \*e to paskudztwo, ale sytuacja jest kryzysowa), i zmusiłam si do przeżgni cia czterech rozpuszczalnych witamin C. Buzuje we mnie cztery tysi#ce procent wi cej, ni\* wynosi dzienna dopuszczalna dawka, ale przynajmniej mog mówi%.

H sadowi si w kuchni na blacie, a ja tymczasem nastawiam czajnik.

— O ile rozumiem, nikogo nie zarważa( — stwierdza, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. — Co si stało?

Od razu wida%, \*e jest zawiedziona, tym bardziej \*e wczoraj wieczorem zabawiła si w Garderobian#. Obiecywała mi nie wiadomo jakie wzi cie i tylko dlatego zgodziłam si w3o\*y% czarn# sukienk , która gdyby była cho% odrobin krótsza, nie byłaby sukienk#, ale paskiem, stanik wonderbra i odlotowe buty (które, notabene, kupiłam kiedy( w przypływie dobrego humoru, nigdy w \*yciu nie miał#c zamiaru ich na3o\*y%). Na co dzieł zdecydowanie wol d\*insy i adidas, tym razem jednak H postawiła stanowcze weto. Przed wyj(ciem zawlokła mnie jeszcze do siebie, \*eby w pełni oceni% mój potencjał. Gdy weszłam, Gav wydał przeci#gły gwizd aprobaty i uraczył mnie pot \*n# wódk# z tonikiem, a H przyznała mi dziewięć % punktów na dziesięć % (dziesięć % na dziesięć % jest zarezerwowane na dzieł mojego (lubu), po czym żagodnie wygoniła w noc, \*ebym mogła w pełni wykorzysta% swe niewie(cie wdzi ki i uwie(% boskiego Matta.

Wiem, \*e wszystko to brzmi nieco dramatycznie, ale H zna mój straszliwy sekret. Sekret, który ostatnio pomażu zaczął# przerażać si w

kryzys. O mój Boże, cię nawet o tym myślałem, lecz prawda jest taka, że... od ponad sześć miesięcy nie uprawiam z nikim seksu.

Słuchaj, i z technicznego punktu widzenia fakt ten czyni mnie na powrót dziewicą; przecie wszystko musiało mi już tam pozarastać. Zresztą nieważne, czym się stałam, ale nie jest to normalna sytuacja dla zdrowej, dwudziestoletniej dziewczyny. Nic dziwnego więc, że koniec końców musiałam dojść do nieuchronnego wniosku: CO9 ZE MN; JEST NIE TAK.

H się ze mną nie zgadza. Według niej to tylko kwestia czasu. Mimo to nawet jej coraz bardziej zależy na tym, żeby w końcu znalazła sobie chłopaka, szczególnie od czasu, gdy po trzymiesięcznym próbnym okresie z Gavem zaczęła stosować pigułek, a jego samego określiła mianem swojego „partnera”. Ta zmiana w jej życiu oddaliła nas od siebie, na pozór tylko troszeczkę, ale z psychologicznego punktu widzenia jest to niemal przepaść nie do przebycia, w obliczu której H wyruszyła na osobistą krucjatę mającą na celu znalezienie mi w pierwszym rzędzie posuwacza, by w następnej kolejności doprowadził mnie do wygodnego związku, choć trochę przypominającego to, co było z Gavem.

Bardzo by mi to pasowało.

Kiedy wspomniłam, że Chloe zaprosiła mnie na przyjęcie urodzinowe Matta, to H, a nie ja, wpadła w stan euforii. Tym bardziej że Matt osobiście prosił, abym przyszła, mimo że wcześniej spotkaliśmy się zaledwie raz. (Dobrze straciłam wtedy przytomność.) Słuchaj, że dla H to zaproszenie jawiło się jako oaza nadziei na pustyni mego samotnego życia, a ja głupia pozwoliłam, żeby jej entuzjazm udzielił się mnie.

Wszystko to zaowocowało dzisiejszym tragicznym porankiem i wiem, że muszę się ze wszystkiego wytłumaczyć. I to szczerze.

Na początek postanowiłam sprawę przedstawić w choć trochę korzystniejszym dla mnie (wielu).

—Cóż, w zasadzie kogoś poderwałam — zaczynam opowieść, a H czuje mnie swoimi papierosami Marlboro Lights. Dobrze wiem, że zaledwie dwadzieścia minut wcześniej poprzysięgam sobie solennie nigdy, przenigdy już nie zapalić ani jednego papierosa, niestety przecze-

nie samej sobie zawsze należało do moich najmocniejszych stron. Wi c chociaż mam głos o dwie oktawy niższy i czuję się zatruta do szpiku kości, biorę jednego z jej paczki.

—Kogo, Matta? — pyta H, zdejmując okulary. Pod spodem ma nową, supermodną kamizelkę.

—Nie, nie Matta, chociaż przyznaj, jest fantastyczny. Nie, on się mną specjalnie nie interesował. Chyba za bardzo się śla.

—Wi c kogo?

Oddaj jej paczkę, a ona wyciąga z niej jednego papierosa. Podaj jej ogień.

— Kolegę, który z nim mieszka. — Przypalam swojego papierosa i wyciskam herbacianą torebkę o widelec. — Ma na imię Jack.

Wystarczy, że wypowiem tylko jego imię, a natychmiast pogrzebam się w otchłani wstydu.

— Szczegóły, proszę — rozkazuje H, siada wygodnie i obejmuje dłońmi swój kubek.

Opowiadam jej więc po kolei wydarzenia wieczoru: o tłumie w „BarKingu”, o picciu, flirtowaniu, tałcach, wyjściu, długim spacerze do mojego domu, milionach papierosów, o siedzeniu bardzo blisko siebie na podłodze i wreszcie o ROZMOWIE. Wyglądało na to, że zdecydowałyśmy z Jackiem omówić już absolutnie wszystko, z wyjątkiem naszego pościgu seksualnego. Piliśmy whisky, rozwaleni na kanapie jak starzy kumple. Wydawało mi się niemożliwe, żeby nasza rozmowa dobiegła kiedykolwiek końca, tyle mieliśmy sobie do powiedzenia. Kiedy temat, którego do tej pory starannie unikaliśmy, w końcu wypłynął, w butelce widać już było dno, a ja fizycznie i emocjonalnie znajdowałam się u kresu wytrzymałości.

— A więc? Z jakim to szczęściem dzielisz aktualnie życie? — zapytał Jack, nalewając mi kolejną porcję whisky.

Bawiłam się woskiem ze świeczki i wciągałam (nie wtedy, gdy wpatrywałam się w jej pociemniałe whisky mnie dopadała. Nagle poczułam się kompletnie pijana i zrobiło mi się straszliwie smutno.

— Z żadnym — wyszeptałam.

Jack dotknął mojej dłoni i zajął mi w oczy.

— Uups. Zdaje się, że trafiłem w czuły punkt.

—Nie, wcale nie. Albo chyba tak. Chodzi o to... — O co?

—O nic.

Zrobiło mi się potwornie źle samej siebie. Poczuję, jak z oka wypływa mi pot na czoło i spada na kolano.

Jack odsunął z mojej twarzy kosmyk włosów.

—Hej, hej. No co ty, chyba nie jest aż tak źle? — próbował mnie uspokoić.

—Och, Jack — szlochałam, a po twarzy płynęła mi czarna mieszanina łez i tuszu do rzęs. — Ze mną chyba nie wszystko jest w porządku.

— To znaczy?

— Od wieków z nikim się nie kochałam. Nie umiem sobie znaleźć żadnego faceta, jestem w tym beznadziejna. Chyba po prostu nikomu się specjalnie nie podobam.

Jack zamknął się cicho i pogłaskał mnie po karku.

—Daj spokój. Jesteś bardzo ładna. — Matt tak nie uważa.

—Matt! — Ręka Jacka zamiera u nasady moich włosów.

— To takie typowe. Najpierw zaprasza mnie na imprezę, a kiedy się zjawiam, natychmiast go odstraszam.

Jack wyprostował się, a na jego twarzy malowało się autentyczne zdziwienie. — Matt ci się podoba? Przytaknęłam na wpół przytomnie.

— Ale chyba nie mam szans, prawda?—Pociągnęłam nosem (nie najlepiej mi to wyszło, więc wytarłam go w spódnice). — Nigdy w życiu się ze mną nie przebiegnę. Muszę się z tym pogodzić. Nikt nie chce mnie zerwać. Ty też nie, co?

Nie mam siły mówić dalej. Przeniosłyśmy się z H do salonu i teraz spoglądamy na siebie z przeciwległych krańców kanapy. Chowam twarz, a wstyd aż mnie pali. H pociesza mnie klepiąc po kolanie.

— Myślę, że za bardzo się przejmujesz — wydaje w końcu wyrok. — Może rzeczywiście trochę go wystraszyłaś, ale to jeszcze nie koniec (wiata. Wydaje mi się, że na swój sposób mu pochlebia).



Czy ona mnie w ogóle nie słucała? Czy ona nie dostrzega otchłani upokorzenia, w której wśa(nie ton bez aparatu tlenowego? Tym razem było gorzej niż w college'u, kiedy chciałam uwieć Borisa, bardzo seksownego fotografa z Niemiec. Głęboko przekonana, że chemia pomiędzy nami zaiskrzyła, i umierając z podniecenia, pojawiłam się pewnej nocy u jego drzwi w czarnej koronkowej bieliźnie. Od jego siostra dzieliło mnie już tylko kilka metrów, rzucałam mu zabójcze spojrzenia i uwodzicielsko spuszczałam ramiączko stanika, gdy on odśwyczał gazet i oświadczył, że jest pedalem.

Sytuacja z Jackiem przedstawia się znacznie gorzej.

—Uch! —j cz . — Wcale mu nie pochlebiłam.

—Może się po prostu martwiś, że nie będzie mógł... no wiesz... tego zrobić.

—Dopóki nie powiedziałam mu, że poszłam na te imprezy, by podejrzeć Matta, nic nie wskazywało, że może mieć jakieś kłopoty! — wrzasnąłam.

—Po co więc mu o tym powiedziała? — chce wiedzieć H. Dobre pytanie.

Wstaję i zaczynam chodzić — no, może raczej z trudem się przemieszczam po nie zastawionym metrze kwadratowym dywanu pod oknem.

— Nie wiem. Byłam pijana, rozkleiłam się i tak mi się jakoś wymknęło. — Składam ramiona na piersiach. — Problem w tym, że on mi się podoba — rozmarzam się. — Pierwszy facet od stu lat, z którym mogłam pogadać. No i (wielkie talczy. I jest taki przystojny. Tak się dobrze bawiliśmy, dopóki... — 9ciskam dłońmi głowę. — O Boże, aleja jestem beznadziejna. H ignoruje moje samobiczowanie.

—Zaś si , że zadzwoni do ciebie.

—Nie może. Wyszedł i nie wziął mojego numeru.

—Ale wie, gdzie mieszkasz. Istnieje coś takiego jak księżka telefoniczna.

—Ty nic nie rozumiesz.

—Posłuchaj. Wypiliście wspólnie butelkę whisky. Powiedziałaś parę rzeczy za dużo. No i co z tego? To nie przestępstwo mieć chwilę słabości.

Słabość to jedno. I nic w niej złego, póki nie wykracza poza nieszkodliwe szczegóły, jak śpianie od czasu do czasu z pluszowym niedźwiadkiem albo przyznanie się, że *Top Gun* wciąż należy do twoich ulubionych filmów. Ale opowiadanie (wie o poznanemu facetowi (który w dodatku jest jeszcze bardzo przystojny), że jest się najbardziej zdesperowanym, potrzebującym, seksualnie wygłodzonym kobietom na kuli ziemskiej, to coś zupełnie innego.

— Chyba ci rozum odjęło, jeżeli myślisz, że on zadzwoni. Nie zadzwoni. Wiem, że nie — zaczynam popadać w czarną rozpacz.

W tym momencie dzwoni telefon.

Patrzemy na niego obie, a H unosi brwi, jakby mówiła: „Czyby?”

— Co mam powiedzieć? — wpadam w panikę.

— Nie wiem, ale odbierz!

Chociaż kącik wciąż jeszcze mam czy mnie niemiłosiernie, zaczynam podejrzewać, że może H ma jednak rację i Bóg istnieje, niestety ociągamy się zbyt długo. W chwili gdy podnosisz słuchawkę, włącza się automatyczna sekretarka. Przez chwilę ton w kakofonii jęków i gwizdów wydawanych przez tę mechaniczną pomyślną, po czym następuje martwa cisza. Spoglądam z niedowierzaniem na słuchawkę, po czym walnięciem się w czoło.

— Zadzwoń na 1471 — woła pełnym entuzjazmu głosem H i siada ze skrzyżowanymi po turecku nogami.

Wykręcam numer.

— Przepraszamy, ale nie znamy numeru abonenta. Przepraszamy, ale nie...

Zwlekając ciskam słuchawkę na widełki.

— Gówno!

W milczeniu każda z nas analizuje sytuację.

— Zaświadczy, że to był on — mówi H, tuląc w ramionach poduszkę.

Chocia\* wiem, \*e nie ma racji, staram si oceni% sytuacj z ka\*dej strony.

—Dobra, zaó\*my — ale tylko chwilowo—\*e hipotetycznie to byó on. Jak mam mu wyja(ni%, \*e si pomylióam, \*e Matt wcale mi si nie podoba i \*e pragn tylko jego?

—Zadzwońi jeszcze raz, a wtedy po prostu nie wspominaj wczorajszego wieczoru. B#d0 dowcipna i na luzie. Powiedz, \*e urwaó ci si film i nie pami tasz nawet, kiedy sobie poszedó.

—Na pewno.

—Mo\*esz sobie gada%, co chcesz. Zadzwońió, wi c mu zale\*y. Dowód na to, \*e pi ciominutowa góupota nie jest w stanie przekre(li% o(miu godzin, kiedy byóa( top dziewczyn#.

H potrafi poprawi% mi nastrój. W ko1cu nie bez przyczyny pracuje u mnie jako najlepsza kumpela.

Pomalutku wst puje we mnie nadzieja. Mo\*e rzeczywi(cie Jack jest na tyle zainteresowany, \*e zadzwoni, na co w peóni zasóuguj , a kiedy to si stanie, b d absolutnie cool.

Pi % minut pó0niej telefon odzywa si ponownie. H trzyma za mnie kciuki, ja robi do niej wielkie oczy. Podnosz sóuchawk i staram si ze wszystkich sió nada% mojemu góosowi seksowne brzmienie.

—Cze(% — mruzc uwodzicielsko.

—Kochanie, to ty? Dzi ki Bogu, wyó#czyóa( to obrzydliwe urz#dzenie.

Dzwoni moja matka. Kruchutki balon nadziei p ka z hukiem. Potrz#sam góow#, na co H wspóóczuj#co (ciska mnie za r k . Odsuwam od ucha sóuchawk , \*eby mogóa sobie posóucha% znajomego matczynego trajkotu. Jestem w takim doóku, \*e nawet nie wiem kiedy, godz si i(% z matk# na zakupy. Gdy dociera do mnie, co uczynióam, jest ju\* za pó0no. Odkóadam sóuchawk i pocieram dóolmi skronie.

—Co robisz dzisiaj? — pytam H. Spogl#da na mnie ironicznie.

— Je(li o to ci chodzi, to na pewno nie id na zakupy z twoj# matk#. Skóadam dóonie jak do pokornej modlitwy.

—Prosz ! Bardzo, bardzo prosz ! Nie dam rady.

— Bdziesz musiała. A poza tym to ci trochę zajmie i nie będziesz miała czasu się zamartwiać.

Myliła się. Cały (wiat przypominał mi o Jacku. Matka czeka na mnie w Barking. Barking... „BarKing” — tam przecie\* się poznali(my. O, a tam, na Notting Hill Gate, wisi plakat z Leonardem Rossiterem. Rossiter — Rossiter. Nie uciekn przed tym.

Pomiędzy Shepherd's Bush a Lancaster Gate dochodzi do wniosku, \*e z Jackiem nie wszystko może jeszcze stracone. Zanim od Lancaster Gate dochodzi do Marble Arch, przekonuj sam# siebie, \*e Jack nie jest bez serca, nie może więc zapomnie%, jak wspaniale się razem bawili(my, dopóki nie wspomniłam o Matcie. Między Marble Arch a Bond Street wiem już\* na pewno, \*e jeste(my na siebie skazani. A w drodze z Bond Street na Oxford Street nabieram pewno(ci, i\* Jack to mój facet idealny.

Wystarczy tylko przestudiować dane. Wzrostu s#usznego (jakie( metr osiemdziesiąt), oczy wielkie jak jeziora, (wielkie poczucie humoru, interesuj#ca blizna na brwi w miejscu, gdzie Matt go postrzelił (biedactwo). Odlotowe ciuchy — na pewno miał na sobie T-shirt od Paula Smitha — więc jeszcze na dodatek dziany. Mieszka w domu przerobionym z pubu — przerobiony pub — czy\* to nie super? (Z wystarczaj#co du\*ym ogrodem, \*eby urz#dza% w nim letniego grilla.) I w końcu rzecz najważniejsza. Jest artyst#. Prawdziwie twórczy człowiek sukcesu.

Pełen odlot.

Niejasno dociera do mnie, \*e ja\* po peronie metrajak sm tna krowa, lecz właśnie my(li tak bardzo mnie pochłaniaj#, \*e zaczynam mówić na głos. Wszystko #czy mnie z Jackiem. No, może trochę nakłamałam mu o pracy (ale praca dorywcza nie zrobiłaby odpowiedniego wrażenia), za to naprawdę zdawałam matur z historii sztuki, teoretycznie więc mógłbym pracować w Sotheby's. Ale poza tym oboje lubimy hinduskie jedzenie na wynos, oboje mamy za sobą# trwaj#ce ponad dwa lata związku, pasujemy więc do siebie wprost idealnie.

Jack opowiedział mi o Zoe, swojej byłej, ja natomiast niezbyt rozwodziłam się na temat Andy'ego, chłopaka, z którym ostatnio chodziłam.

Ograniczyłam się tylko do rzeczy pozytywnych — a mianowicie, \*e Andy był starszy (miał trzydzieści lat), pracował jako makler i zarabiał niezłą forsa, a tak \*e \*e przez jakiś czas mieszkali (my razem w apartamencie w Islington. Nie wspomniałam natomiast, \*e Andy był największym czubem, pasywnie — agresywnym zimnym draniem, jakiego ta ziemia nosiła, a nasz związek okazał się kompletną katastrofą. A wszystko to dlatego, \*e Andy'ego i mnie łączyło tylko jedno: oboje byliśmy w nim zakochani.

Model, którego — przypiszę to H — nigdy więcej nie powtórzę. A ja na pewno nie z Jackiem, ponieważ Jack jest Inny. Gdy wbiegam po dwa schody wyjdę na Oxford Street, dusza (piewa we mnie ze szczęścia. Czy \*by były to pierwsze oznaki miłości?

Zgodnie z tradycją mama czeka na mnie w kawiarni Dickens & Jones. Zdzwyczajnie mi zamówi herbatę i ciastko, a mnie trudno ukryć rozczarowanie, ponieważ cała droga przeładowały mnie skacowane wizje hektolitrów coli i kanapki z bekonem. Ale chyba nie mam wyboru.

— Có\*, posprzątaj (już mieszkanie? — pyta mama, gdy osuwam się na plastikowe krzeselko.

— Mm, hm, w zasadzie tak, no, prawie.

Oczywiście to kłamstwo. Przeprowadziłam się cztery tygodnie temu, ale jeszcze się nawet do kołca nie rozpakowałam.

Rzeczka mamy nurkuje w torbie na zakupy, skąd po chwili dobywa notes.

— Zrobiłam list rzeczy, których będziesz potrzebować. Pomyślałam sobie, \*e to i owo mogłybyście kupić.

Bardzo to miłe z jej strony, aleja nie jestem raczej w nastroju. Na maminej listy tego i owego do mojego mieszkania na pewno znalazł się różowy futrzak na klapsy i taki sam dywanik.

— Mamo, naprawdę niczego nie potrzebuję — mówi wesoło. — Wszystko jest tip-top. Bardzo przytulnie.

Jest wyraźnie rozczarowana, ale odkłada list z zakupami.

— Có\*, może wiemy coś o rozejrzemy się za czymś ładnym do ubrania. W tych szmatach nikogo nie oczarujesz.

Ha, to dopiero! Tak jakby sama była szczytem elegancji. A przecie\* uwielbia T-shirty do wszystkiego, mog#ce spe3nia% rol torby pla\*owej, wieczorowego \*akietu albo nakrycia g3owy, w zale\*no(ci jak si je obróci. Dosta3am od niej jeden na Bo\*e Narodzenie i bardzo prze\*y3a, kiedy jej powiedzia3am, \*e zgin#3 mi podczas przeprowadzki. No, ale nie mog powstrzymywa% jej w niesko1czono(% . Pora ruszy% na sklepy.

Trzy godziny i dwadzie(cia minut pó0niej docieramy do Marksa i Sparksa w coraz gorszych nastrojach. Niezmiennie podczas wspólnych zakupów b3yskawicznie na powrót staj si dra\*liw# czternastolatka# z dawnych czasów.

— Nie, nie chc zielonej satynowej bluzki z pó3yskiem, mamó. Do pracy chodz w T-shirtach. Nie, nie, mamó, mamó, od3ó\* ten welurowy szlafrok. Jest przecie\* lato i umr w nim z gor#ca.

Wreszcie zgadza si wej(% ze mn# do Warehouse i krzywi si , s3ysz#c g3o(n# muzyk . Przymierzam obcis3# sukienk i wychodz z przymierzalni, \*eby si pokaza%.

—Troch dziwny fason, kochanie — stwierdza.

—Taki ma by% — sycz .

Mama 3apie metk i a\* dech jej zapiera.

— Przecie\* to tylko dwa kawa3ki materia3u!

W tym momencie poczucie humoru zawodzi mnie kompletnie.

— Do diab3a, nie masz za grosz gustu! Zreszt# mnie si podoba — wrzeszcz i wpadam z powrotem do kabiny, w(ciekle szarpi#c po drodze zas3on .

Kiedy wychodz z przebieralni, mama czeka na mnie na ulicy.

—Chcia3am tylko pomóc—mówi p3aczkliwie. — Nie musia3a( od razu by% niegrzeczna.

—Przepraszam — wzdycham i ujmuj j# pod rami . — Chod0, wejd0my gdzie( na drinka.

W pubie mamie przeszkadza zbyt du\*o dymu. Ja jestem zachwycona. Ca3a si trz s , tak bardzo chce mi si pali%, gdybym jednak teraz wy-ci#gn 3a papierosa, wpad3aby w sza3. Ona chyba wie, \*e pal , mimo to



ci się przyzna do tego oficjalnie — \*ażosne ze mnie stworzenie.

Siadamy w rogu przy otwartym oknie i dopiero kiedy wlewam w niego cytodajny d\*in z tonikiem, zrzuca wreszcie z piersi ci \*ar, który już przygniata.

— Kochanie, tak bardzo się o ciebie martwi. Nie masz \*adnych perspektyw na dobr# prac, no i to nie jest normalne, \*eby( mieszkała sama. Dlaczego nie poszukasz sobie jakiej( stałej pracy? Przecie\* zawsze mo\*esz wróci%, skołczy% kurs i zosta% ksi gow# czy co( w tym rodzaju. Córka Barbary Tyson — mieszka par domów od nas — radzi sobie tak (wietnie, doskonale zarabia...

Wy#czam się. T gadk s#yszałam już setki razy. Do diabła, wcale nie marzę o stałej pracy, a co do pracy w ksi gowoci, wolałabym raczej reszt \*ycia spędzi% w jacie, niż przekroczy% próg biura rachunkowego. Wkurza mnie, \*e według matki jestem nieudacznic# tylko dlatego, \*e nie robi czego(, czym mogłaby się chwali% przed s#iadkami.

Poza tym, za kogo ona się uważa\*? Za nic w (wiecie bym się z nią nie zamieniła. Całe to beznadziejne podmiejskie \*ycie, regularne wycieczki do B&Q i Slimners World, ciepła posadka w miejscowym urzędzie. Dla mnie nie jest to wyznacznikiem \*adnego sukcesu, podobnie jak przesiadanie do półna w noc nad niekołcz#cymi się kolumnami liczb i zaharowywanie się na (mier%.

Z drugiej strony wkurzam się, bo wiem, \*e cz (ciowo ma rację. Zawaliłam mnóstwo rzeczy i przera\*am mnie cynizm, z jakim od trzech lat spogl#dam na (wiat. Kiedy kołczyłam szkołę, wszystko wygl#dało inaczej. Przede wszystkim ja byłam inna. Rozpierał mnie entuzjazm, a moim jedynym celem była wspaniała kariera zawodowa. Chciałam projektowa% ciuchy. Nie zastanawiałam się, jak powinnam zaczą#%, uważam, \*e po prostu nagle wydarzy się cud. Ten jednak nigdy nie nadszedł i po sze(ciu miesi#cach obnoszenia się z CV i b#aganiem o prac, byle jak# prac, poddałam się.

I zacząłam pracowa% dorywczo. Od dziewi#tej do pi#tej, \*adnego zwracania głowy, dopóki nie wymy(ł, co ze sobą poczn#% dalej.

— Praca dorywcza jest (wietna — przerywam jej wesoło star#, zu\*yt# (piewk#.—Dostaj ciekawe zlecenia, no i to idealny sposób, \*eby si rozejrze% i zorientowa%. Jak co( mi si naprawd spodoba, bez problemu zatrudni# mnie na staże... musz tylko chcie% — dodaj . — Nawet w tej chwili mam chyba ze sto propozycji.

Staram si , \*eby to zabrzmiało przekonuj#co, ekscytuj#co nawet. Mama daje si na to zapa% i zadowolona kiwa głow#. Nienawidz jej za to. Wszyscy, ale to dokładnie wszyscy wiedz#, \*e praca dorywcza to droga znik#d donik#d. Pr dzej zostan pierwsz# astronautk# na Marsie, ni\* znajd cho%by najmniej interesuj#c# prac , zatrudniaj#c si dorywcz. Ale to moje \*ycie i dobrze mi z nim, dzi kuj bardzo.

— Jeszcze jedno — zaczyna nie(miało mama, bawi#c si nerwowo podkąd# pod piwo.

Otó\* to. Główny powód jej wizyty.

— Chodzi o to, \*e w twoim wieku byłam ju\* m \*atk# i planowałam rodzin . Dlatego zastanawiałam si , czy...

— Ta-ak?

— Cóż\*, wiem, jak bliska jest ci Helen, wi c je\*eli chciałaby( mi co( powiedzie%, o tobie i o niej... no... starałabym si zrozumie%.

Własnym uszom nie wierz ! Moj a matka my(li, \*e jestem lesb#! Wspaniale.

Przerywam jej chory tok rozumowania, zanim zd#\*y nadwer \*y% mo- j# reputacj jeszcze bardziej.

—Mamo, naprawd nie ma powodu do zmartwienia. — Bior g3 boki oddech i zaciskam kciuki, \*eby nie zapeszy%. — W3a(nie kogo( pozna- lam. M \*czynn — dodaj znac#co, \*eby nie było w#tpliwo(ci.

Prawie słysz , jak w głowie mojej matki chóry anielskie wy(piewuj # *A lleluja!*

—To jeszcze nic powa\* nego — mamroc niepewnie, speszona bla- skiem, jaki roz(wietli3 jej twarz.—Nie chciałabym wi c na razie jeszcze zbyt du\*o na ten temat mówi%.

—Och, kochanie moje — a\* si zaj#kn 3a. — To wspaniale, có\* za ulga. Zaczynałam si ju\* martwi%, \*e...

—Dobrze wiem, czym się zaczynała( martwi% — wtr#cam przez zaci-  
(ni te z by.

Zauwa#a wreszcie mój nie wró\*#cy nic dobrego ton.

—Och, stała( się taka wra\*liwa. Ale to zrozumia#e, mi#o(% jest taka fascynuj#ca.

Wypijam swój d\*in z tonikiem i wy#czam się . Dobrze wiem, \*e przyjdzie mi za to zap#aci%.

Niedziele s# obrzydliwe. Nienawidzę ich, nie cierpię . Nie ma nic do roboty, poza ogl#daniem *Waltonów* i powtórek *Eastenders*. To wkurza, zwłaszcza je(li jest się cz#owikiem samotnym.

Wiadomo, jak się ma ukochanego, taka niedziela wygl#da zupełnie inaczej. Dla ludzi szcz (liwie po##czonych w pary niedziela to czas s#odkiego bycia razem.

Och, nienawidzę ich wszystkich.

Za#o\* się , \*e siedz# w#a(nie w „Cafe Flo”, pod roz#o\*onymi gazetami (ciskaj# się za ręce, cali rozpromienieni po porannym niespiesznym kochaniu się . Albo rozbijaj# się po mie(cie w swoich kabrioletach, roze-  
(miani i bardzo cool. Lub, co jeszcze gorsze, wyjechali na wie( i rozle-  
niwieni popijaj# piwo z przyjació#mi, jak i oni, szcz (liwie po##czonymi w pary. Albo po prostu le\*# sobie razem na kanapie i ogl#daj# wideo. I dam sobie g#ow uci#%, \*e nie uwa\*aj# tego za nic nadzwyczajnego. Dranie.

Podle się czuję . Jack nie zadzwoni# , a dochodzi już\* w#ó# do drugiej. Przez cały ranek wyobra#a#am sobie, jak zaprasza mnie na lunch, po którym idziemy na spacer do parku, potem mo\*e do kina? Tak d#ugo i dok#adnie obmy#la#am ka\*dy szczegó# , a\* w ko#cu zacz #am wierzyć%, \*e to stanie się naprawd . Pró\*ne nadzieje. Telefon mam w zasięgu wzroku, ten jednak milczy jak zak#ł ty. Sprawdzi#am już\*, czy aby na pewno jest w##czony, zadzwoni#am nawet do operatora, aby się upew-  
ni%, \*e nie ma \*adnych uszkodze# na linii.

Le\* na kanapie z policzkiem przyci(ni tym do poduszki i wpatruję się w plamę na dywanie. Do nikogo nie mog # zadzwoni%, bo a nu\* on

wła(nie wtedy postanowi zatelefonowa% do mnie, nie mog nic zje( na wypadek, gdyby zaprosi3 mnie gdzie( na obiad. Z nudów trzy razy doprowadzi3am si do pot \*nych orgazmów, ale wci#\* z\*era mnie \*#dza. Próbowa3em nawet telepatii. Wszystko na pró\*no. Taki pi kny dzie1, aja tu tkwi jak wi zie1. Wi zie1 własnej nadziei.

Gdy dzwoni H, nieomal wyskakuj ze skóry.

—Nic nowego?

—Nie.

—Wybieramy si do pubu. Idziesz z nami?

—Nie. Nie wiem. Mam troch roboty — pl#cz si .

—Co mo\*esz mie% do roboty? Przecie\* jest niedziela!

—Co( tam mam — mówi obronnym tonem.

H wzdycha. — Czekasz, a\* on zadzwoni, prawda? Dobrze wiesz, \*e to nie jest najlepszy pomys3. Zadzwoni, kiedy zadzwoni. Nie ma sensu wgapia% si w telefon, bo ze(wirujesz.

Nienawidz jej za to, \*e zna mnie a\* tak dobrze.

—Nie musisz mi tego mówi%. Id na si3owni — blefuj .

—Co takiego?

—Na si3owni , no wiesz, po%wiczy%.

— Ach, tak. Zrobisz, jak uwa\*asz. Gdyby co, wiesz, gdzie nas szuka%.

—Dzi ki.

—Wariatka — mruczy na po\*egnanie.

Pokazuj s3uchawce j zyk. Nie mam najmniejszego zamiaru i( na si3owni . Ale chyba pójd si przej(.

Spacer to dobra rzecz. Shepherd's Bush nie jest mo\*e najlepszym miejscem na przechadzka , ale przynajmniej niewiele mo\*na tu spotka% zakochanych par, a %punów i pijaczków prawie nie dostrzegam, tak bardzo poch3oni ta jestem rozmow# z sam# sob#. Przy trzecim okr#\*eniu zie1e1ca jestem na haju od nadmiaru tlenu w gla, ale wypracowa3am strategii .

Jest mo\*e troch zakr cona, ale w ogólnym zarysie przedstawia si nast puj#co: Jack musi wiedzie%, \*e wpad3 mi w oko. Je(li nie liczy% ostatniego potkni cia, nasze pierwsze spotkanie wypad3o (wietnie, nie

może wi c mie w#tpliwo(ci, i\* ch tnie znowu si z nim spotkam. Z drugiej jednak strony, jest cool facetem i ma kup spraw na głowie. W kołcu to artysta. Prawdopodobnie bardzo zapracowany. Co wcale nie oznacza, \*e o mnie nie my(li, po prostu był ju\* wcze(niej na t niedziel ustawiony. A poza tym, skoro jest taki cool, to na pewno nie zadzwoni wcze(niej ni\* dopiero jutro. Najdalej we wtorek. Zreszt# musi te\* na pewno po(wi ci% troch czasu Mattowi. W kołcu przez ca3# urodzinow# imprez nie zwraca3 uwagi na swojego najlepszego przyjaciela, i to w3a-(nie z mojego powodu. Nie ma wi c sensu siedzie% i czeka% na darmo, tylko trzeba wzi#% si do przygotowa1.

Przygotowania to pot ga.

Postanawiam nie i(% do pubu, gdy\* to tylko niepotrzebnie by mnie rozproszy3o. Id natomiast do Bootsa w Notting Hill i poddaj si terapii zakupowej. Trudno wyobrazi% sobie lepsz# rozrywk . Uwielbiam Bootsa. To mój ulubiony sklep, no może poza Hemleysem. Kupuj sobie typowe dziewczylskie zabawki: przybory do k#pieli, drogi szampon i od\*ywk z gratisowym olejkiem do włosów, zestaw sztucznych paznokci, trzy lakiery do paznokci, pincetk , g#bk , maseczk z glinki, now# szmink i paczk kolorowych chusteczek higienicznych (dobrze jest mie% (wie\*y zapas ko3o 3ó\*ka), oliwk , wosk-do depilacji, samoopalacz i dwadzie(cia cztery superdelikatne prezerwatywy.

Wy(mienicie.

Po powrocie przez chwil bawi si w pani# domu i bardzo podobaj# mi si rezultaty mojej dzia3alno(ci. Nie jest to nic ambitnego, jak na przyk3ad zrywanie starych tapet albo podklejanie p kni cia w kuchennej (cianie. Przeszawiam tylko ksi#\*ki na pó3kach i wk3adam do ramki zdj - cie, na którym jestem z H podczas naszej wycieczki do Tajlandii.

By3y(my wtedy wolne i swobodne i bawi3y(my si jak nigdy w \*yciu. Na zdj ciu obie jeste(my szczup3e i opalone, siedzimy oparte o siebie plecami i zanosimy si (miechem. Mia3y(my wtedy przez trzy tygodnie zwiedza% po kolei wszystkie wyspy, ale utkn 3y(my na jednej pla\*y. H dwa razy pu(cia3a si na całego, par razy da3a si obmacywa%, a ja zako- cha3am si naraz w trzech facetach. Bombastycznie!

Porz#dkuj stert skarpetek nie do pary i zdejmuj swetry, które od tygodni wisz# przy drzwiach wej(ciowych. Zdumiewaj#ce, jak szybko mija mi czas. Fajna sprawa mie% jaki( cel.

Puszczam wod do wanny, a sama postanawiam przyjrze% si sobie w lustrze. Nago prezentuj si nie najgorzej. W sprzyjaj#cych okoliczno-(ciach mo\*na powiedzie%, \*e nosz rozmiar 38.

Jak jednak wygl#dałabym w oczach Jacka? Mo\*na uj#% to nast puj#-co: gdybym zrobiła publiczny striptiz, ludzie za\*#daliby zwrotu pieni - dzy.

Pora przej(% na diet .

Ledwo podj łam t decyzj , \*oó#dek (ciska mi si z gódu, a wyobra0nia podsuwa kusz#ce obrazy smakowitego, tustego jedzonka, które chciałabym zje(% natychmiast. Jedyne ratunek w k#pieli. Le\* w k3 -bach pary, z glinian# maseczk# na twarzy i wyobra\*am sobie, jak wspa- niale b d wygl#dała za tydzień.

Wieczór mija mi na nerwowym pogryzaniu dietetycznego muesli i lekturze ksi#\*ki *Potęga kobiet*, któr# kto( podarował mi na ostatnie uro- dziny. Bardzo interesuj#ca pozycja.

W poniedziałek rano zrywam si z łó\*ka, jeszcze zanim zadzwonił budzik. Kiedy wstanie si przed siódm#, poranki s# takie miłe. 9piewaj# ptaki, a ja dla odmiany słucham radia, co nale\*y do moich nowych po- stanowień. Uwa\*am, \*e trzeba wiedzie%, co si dzieje na (wiecie.

Wypiwszy drug# fili\*ank herbaty, wyławiam spod łó\*ka *Potęgą ko- biet* i staj przed lustrem w łazience. Nadeszła pora na pozytywne afir- macje.

—Jestem wyj#tkow#, przepeźnion# współczuciem i miłó(ci# kobiet# — czytam na głos. Spogl#dam na swoje odbicie, \*eby sprawdzi%, czy przyj łó to do wiadomo(ci.

—Jestem Kobiet# Wszechmocn#. Potrafi zmieni% (wiat, w którym \*yj . — Znowu patrz w lustro.



—Wygl#dam wspaniale, czuj si wspaniale. Kocham siebie. .. I Jack dzisiaj do mnie zadzwoni — dodaj na wszelki wypadek, po czym zatraskuj ksi#\*k i zaczynam szorowa% z by.

Wyci#gam wag 3azienkow#, \*eby si zwa\*y%. Czy to mo\*liwe? Od wczoraj przyty3am p33 kilo. Odmawia3am sobie jedzenia przez ca3e dwana(cie godzin; powinnam wa\*y% co najmniej o kilo mniej.

Znowu spogl#dam w lustro.

— Wygl#dam wspaniale. Czuj si wspaniale. Kocham siebie — mówi z gro0b# w tonie.

Elaine z agencji „Najlepsza praca dorywcza" znajduje mi fuch u Boothroyda, Cartera i Maya, pod któr# to nazw# kryje si nad ta firma konsultingowa na Portland Square. Janet, ich recepcjonistka, wyjecha3a na wakacje i mam j# zast#pi%. Prawdziwa szcz (ciara ze mnie.

Jad wind#, pogr#\*ona w dziwnie ponurym nastroju. Nie mog uwie- rzy%, \*e znowu podj 3am prac dorywcz#. Wci#\* si zastanawiam, czy zaczn w ko1cu pracowa% naprawd ? Zazdroszcz ludziom, którzy wie- dz#, co chc# robi% w \*yciu. Ludziom, którzy mówi#: „B d lekarzem". I rzeczywi(cie swój zamiar realizuj#. Ja mog tylko powiedzie%: „B d ?"

Przez najbli\*szy tydzie1 znudzon# recepcjonistk#, to pewne.

Na pierwszy dzie1 w nowej pracy mam pi % wytycznych:

1. Dowiedzie% si , jaki jest bezpo(redni numer do mnie, i poda% go H.
2. Znale0% w komputerze gry, poza tym zlokalizowa% klopot i kuchni .
3. Dowiedzie% si , kto b dzie podpisywa% moj# kart pracy i ju\* w pierwszej godzinie poda% mu/jej kaw .
4. Dowiedzie% si , jak nazywa si i wygl#da sam wielki szef, w celu unikni cia gafy.
5. Nigdy, przenigdy nie zostawa% w pracy d3u\*ej ni\* do 17.30 i zawsze wychodzi% na przerw na lunch.

Osob#, której podlegam bezpo(rednio, jest pani Audrey Payne. Od ra- zu nadaj jej przydomek Panna Skwaszona. Wyra0nie mnie nie lubi, przypuszczam jednak, \*e nie lubi nikogo, a dobry humor to co(, czego

jak dotąd w swoim życiu nie doświadczyła. Robi jej kawę, a ilekroć przechodzi obok mojego biurka, walczy w klawiaturę i staram się wyglądać bardzo kompetentnie.

O 11.30 dzwoni Elaine.

— Słyszałam, że nie dałoby się sobie radzić.

Znowu mi się udało ich ocyganić. Wyjmuję egzemplarz „Hello!” i zestaw do manikiuru. Wiem, że czytanie „Hello!” jest cholernie banalne, ale kiedy pracuje się dorywczo, nie sposób się bez tego obejść. Nigdy jeszcze nie spotkałam w biurze osoby, która by się powstrzymała — nie bez poczucia winy — przed przejrzeniem egzemplarza tego wspaniałego czasopisma. Jako doświadczona pracownica dorywcza wiem, że jeżeli pozwoli się komuś ulec choć na chwilę jego potrzebie (jak najbardziej zdrowej, według mnie) eskapizmowi, zdobywa się w nim przyjaciela na całe życie. „Hello!” nigdy mnie nie zawiodło.

Godzinę przerw na lunch spędzam na Portland Square na obserwacji gołębi. Wmawiam sobie, że mimo iż w ułamku sekundy pochłonęłam niskokaloryczną kanapkę z kurczakiem, czuję się w pełni usatysfakcjonowana i zdecydowanie nie jestem już głodna. Zauważam, że do ławki zbliża się jedna z pracownic biura, udaję więc, że pilnie szukam czegoś w torebce, byle tylko uniknąć kontaktu wzrokowego. Nie mam najmniejszej ochoty na rozmowę, a tym bardziej na tłumaczenie, dlaczego pracuję tylko dorywczo. Dawno już się przekonałam, że w mojej sytuacji najlepiej jest nie wychodzić poza układ oni i my. Każde zaangażowanie tak czy owak musi dać się skończyć i odkrywam, że niezawieranie bliższych znajomości odpowiada mi najbardziej. Unikam w ten sposób podpisywania się na połączalnych kartkach do nieznanych mi osób, nikt nie wciąga mnie w małe eleganckie biurowe aferki, nie muszę też po godzinach podpiekać baru w towarzystwie narzekających na kierownictwo ludzi.

Mniej więcej o 14.15 na znak protestu mój ośrodek zaczyna porażać. W kuchni znajduję paczkę płatków kukurydzianych i zdesperowana pożykam kilka ich garści, po czym popijam galonami herbaty.

Między 14.30 a 16.15 przez nikogo nie niepokojona rozgrywam par partyjek komputerowego pasjansa, przez pół godziny opowiadam H o tym, jak to jest by% Kobiet# Wszechmocn#, jednocze(nie zdejmuję ze swetra okruchy pączków kukurydzianych, bawi się spinaczami, piszę wizytówkę dla Panny Skwaszonej, nalepiam znaczki i zanim zd##\* się obejrze%, sychta dobiega kołca. W sumie trafił mi się całkiem miły, bezstresowy dzień.

Kiedy jednak docieram do domu, by przekona% się, \*e nie ma dla mnie \*adnych wiadomości na automatycznej sekretarce, dobry nastrój pryska jak bałka mydlana. Mamrocze pod prysznicem afirmacje, po czym zasiadam przed telewizorem.

Wci##\* nic się nie dzieje. Około północy jestem już\* trochę roztrzęsiona. Wspaniale jest by% Kobiet# Wszechmocn# i cały (wiat mię% pod kontrol#, z czasem jednak staje się to nudne.

Nadchodzi wtorek, a ja nadal jestem spokojna. Zmizerowana, ale spokojna.

Wi kszo(% dnia spędzam, zastanawiaj#c się, czy pój(% na siłownię. Skoro jednak szansa, \*e mimo wszystko trochę po%wiesz, przeskakuje na skali z „odległe” na „mo\*liwe”, przez moje ciało przebiegaj# skurcze. Wczesnym popołudniem jestem przekonana, \*e cierpię na przedwczesny artretyzm i lekkie zapalenie płuca. Na szczęście znam swoje ciało i jego sztuczki. Zapomniało, \*e jestem Kobiet# Wszechmocn#.

Koło siódmej zjawiam się w siłowni. Pełno w niej %wicz#cych, na widok których czuję się nieco jak cz (% zapasowa. Co ja tu, u diabła, robię?

Z ca##\* pewno(cie# nie jest to moje (rodowisko naturalne.

Mam na sobie poplamione farb# getry, pochodzące mniej więcej z 1984 roku szkolne tenisówki (zudziłam się, \*e b d# wygl#da% retro i coo!, pomyliłam się jednak), poszarzały w praniu podkoszulki i nie pasuj#ce do niczego skarpetki. Cindy Crawford może się schowa%.

Przemykam obok superwysportowanych facetów, z zapałem kształtuj#cych swoje i tak już\* doskonałe mi (nie klatki piersiowej, do szafki w

rogu, skąd po krótkich poszukiwaniach wyciągam swój kart . Zdmuchuj z niej wiekowy pył i wskakuj na rower stacjonarny.

Po dwóch minutach pedałowania przypominam skapanego w pocie buraka, zeskakuj więc i postanawiam spróbować (cia na biegni. Obok mnie dziewczyna ze słuchawkami nowiutkiego discmana na uszach gna sprintem w nieskazitelnym kostiumie Reeboka. Nie widam, \*eby specjalnie się m czyż, %wiczenie jest więc chyba stosunkowo proste.

Nie spieszona jej pełnym dezaprobaty spojrzeniem, zwińszam pr dko( i staram się jej dorównać. Niestety jednak, nie potrafi do( szybko przebrać nogami i wypadam z biegni. Dziewczyna prychna, lecz ją ignoruję . Gramolę się z powrotem i stawiam stopy na plastikowej obudowie, zmniejszam pr dko( biegni do tempa spacerowego.

Lubi spacerować. To naprawdę całkiem fajne zajęcie.

Wpatruję się w licznik kalorii, który chyba musiał się zepsuć, bo mam wrażenie, że stoi w miejscu. Po dwudziestu minutach odczyt pokazuje, że spaliłam dokładnie czterdzieści dwie kalorie. To mniej więcej trzy płatki kukurydziane.

Zaczynam się poważnie martwić swoją kondycją. Gdy wdrapuję się na stopnia, serce wyraźnie daje mi do zrozumienia, że pora sobie odpuścić. Postanawiam więc, że od teraz %wiczę na siłowni regularnie i codziennie. Skoro tak, nie powinnam się na pierwszy raz przetrenować, lecz potraktować sprawę poważnie.

Przechodzę teraz na atlas, ale chyba jest zepsuty, bo nie chce się ruszyć. Wykończona padam na matę . Po wicz teraz brzuszki. Udaje mi się zrobić kilka skłonów, dodaj sobie jednak otuchy myśli, że przecie tak naprawdę to wcale mi nie zależy na płaskim brzuchu. Płaskie brzuchy to przeżytek z lat osiemdziesiątych.

O 19.35 jestem już w szatni. Włosy kleją się mi do twarzy. Ani nie wyglądam, ani tym bardziej nie czuję się najlepiej. Z ogromnym wysiłkiem schylam się, żeby rozwinąć tenisówki.

— Amy?

Powoli podnosz wzrok. Najpierw dostrzegam nowiułtkie zrolowane skarpety, dalej smukłe, opalone łydki, idealne kolarki, gołby brzuch i piersi porz#dnie zapakowane w top marki Elle. Wreszcie moje oczy zatrzymuj# si na u(miechu prosto z reklamy aparatów ortodontycznych.

Koszmar z moich snów.

Chloe.

— Wszystko w porz#dku? — pyta.

— Nic mi nie jest — odpowiadam, odgarniaj#c z twarzy lepkie włosy.

— Co u ciebie?

— Super, dzi kuj . Dobrze si bawił(a na urodzinach Matta? Wpadam w lekk# panik . Musi wiedzie% o mnie i o Jacku.

T po przytakuj skinieniem głowy. Halo? Gdzie si podział(a moja osobowo(%)?

— O ile si nie myl , wyszł(a z Jackiem?

— O, to nic takiego — wtr#cam pośpiesznie.

— Słyszał(a co( wr cz odwrotnego. — Puszcz(a do mnie oczko.

Chrz#kam. — Mówił co(?

— Niewiele. Kiedy wrócił, był porz#dnie zalany. Nie zwracaj na niego uwagi. Szczerze mówi#c, straszny z niego dupek.

— Powa\*nie?

— Jest koszmarne! Nie tak dawno przespał si z moj# s#siadk#, Cathy, aranoj#wygonił, nie proponuj#c nawet fili\*anki kawy. I leci na te wszystkie nagie modelki, które mu pozuj#. Cały czas si z niego nabijamy, ale wiesz, faceci go lubi#...

— Tak. Zauwa\*ył(a. — Mam wielk# ochot j# udusi% i chyba co( w moim tonie zdradza jej, \*e troch przegi ł(a.

— Cóż\*, nie zdziwił(a bym si , gdyby( miał(a ochot ... No wiesz. On jest w sumie całkiem niezły. — Patrzy na mnie znacz#co.

— Najwyraźniej dobrze si znacie — mruzc pod nosem.

— Och, i to od lat. Chodzili(my razem do szkoły.

— A tak, mówił mi, ale zapomniał(a.

Kłamaczka ze mnie. Pami tam ka\*de słowo, które wtedy powiedział(a.

—W zasadzie dobry z niego kumpel. Zawsze można się z nim po(mia%. Powinna( się z nami czy (ciej spotyka%. — Chloe u(miecha się promiennie, a mnie przepełnia nienawi(%.

—Ch tnie. 9wietnie się bawiłam. Miałam nawet zadzwoni% do Matta i mu podzi kowa%, ale nie znam numeru.

Troch inwencji, dziewczyno, inwencji!

Chloe otwiera torbę i wyjmuje z niej gruby notes. Nie mog( oderwa% oczu, kiedy wrywa z niego szeleszcz#c# karteczk( koloru lawendowego i bazgrze na niej — pozornie luzackim, ale na pewno cholernie drogim piórem—numer. Wr(za mi bezcenny skrawek papieru.

— Dzi ki. — Staram się , \*eby nie zabrzmiało to nazbyt rado(nie, i starannie składam karteczk( .

U(miecha się , po czym nachyla i całuje mnie w lepki od potu policzek.

— Doskonale. A wi( c do zobaczenia wkrótce. Jest ju\* prawie w drzwiach, gdy nagle się obraca.

— Och, byłabym zapomniała. Dałam Jackowi twój numer telefonu. Mam nadzieję , \*e się nie obrazisz.

Zanim omówiły(my to dog( bnie z H, zjadły(my paczk( chipsów i wypiły(my trzy du\*e piwa. Rozwa\*ały(my ka\*d# z mo\*liwych opcji. Według mnie, Chloe starała się doda% mi otuchy, bo mnie lubi i nie chce robi% mi przykro(ci, a mo\*e przedstawiaj#c Jacka jako zimnego drania, miała nadzieję , \*e wyda mi się bardziej atrakcyjny. H absolutnie się ze mn# nie zgadza, ale te\* nie przepada za Chloe. Twierdzi, \*e Chloe miesza z premedytacj#, ponieważ\* boi się , \*e równowaga w jej małym, poukładanym (wiatku ulegnie zachwianiu, a z tego, co wiemy, sama ma chrapk( na Jacka.

Swego czasu Chloe chodziła z koleg# brata H i dała się wtedy pozna% jako wyj#tkowa suka. Jaki( rok temu poznałam j# na imprezie, kiedy ich zwi#zek miał się ku ko1cowi. Upiła się wtedy i wyp(akiwała mi się w mankiet. Potem spotkałam j# znowu na (lubie brata H i od tego czasu w zasadzie pozostajemy ze sob# w kontakcie. Lubi( Chloe, ale musz





Do 30\*ka k3ad si z *Potęgą kobiet* i-natychmiast usypiam.

Po przebudzeniu w (rod rano stwierdzam, \*e nie mog si rusza%. Ka\*dy, najmniejszy mi sie1 mojego cia3a znajduje si w stanie g3 bo-kiego szoku. W pierwszej chwili dopada mnie przera\*aj#ca my(1, \*e mia3am tragiczny wypadek samochodowy, zaraz jednak przypominam sobie o si3owni. Nie zd#\*y3am jeszcze dobrze otworzy% oczu, a ju\* wie-dzia3am, \*e samopoczucie tego dnia b d mia3a fatalne.

Teoretycznie moje poranki rutynowo powinny wygl#da% nast puj#co:

7.00: Dzwoni budzik. Wy3#czam go.

7.20: Budzik dzwoni po raz drugi. Po raz drugi go wy3#czam.

7.40: Trzeci dzwonek. Tym razem wstaj . Ochlapuj twarz wod#, na-stawiam czajnik. Szykuj k#piel.

7.45: Wypijam herbat . Wypowiadam pozytywne afirmacje. Wchodz do wanny.

8.10: Wychodz z wanny, w3osy mam umyte.

8.15: Susz i uk3adam w3osy (jak zwykle bez powodzenia).

8.25 : Otwieram szaf . Wybieram ubrania i przyodziewam si w nie (mo\*liwe prasowanie).

8.30: Zjadam talerz p3atk3ów albo tost (zale\*y od stanu zapas3ów mlecznych).

8.35: Sprawdzam powt3ornie, czy jestem odpowiednio ubrana. Myj z by. Robi list rzeczy do za3atwienia, np. pralnia chemiczna, szewc etc. Nak3adam makija\*.

8.40: Sprawdzam i jeszcze raz sprawdzam zawarto(88 T(a jF0 . 32976 T(b . 1

is \*cap(3)di(-0)S7j0506048  
T(yT

Panna Skwaszona robi mi wykład o punktualności, a ja postanawiam, że otruję rozmowy z niewłaściwymi ludźmi i generalnie Zawalam Cały Dzień. W porze lunchu pocieszam się Whopperem z podwójnym majonezem. Po co mam być chuda?

Popołudnie mijają mi na wyobrażeniu sobie rozmowy z Jackiem.

Ja: Słucham?

Jack: Cześć, Amy, mówi Jack. Ja: (zdezorientowana) Kto?

Jack: No wiesz, poznaliśmy się niedawno. Świetnie się bawiłem. Była super. Szczerze, nigdy w życiu nie spotkałem tak inteligentnej, seksownej...

Dość tych bzdur. Nigdy czegoś takiego nie powie.

Ja: Słucham?

Jack: Cześć, mała. Mówi Jack.

Ja: (opanowana aż do bólu) Cześć, co u ciebie?

Jack: Smutno mi bez ciebie...

Fuj, zaraz się zrzygam.

I tak w kółko. Wypróbowałam każdą możliwą wersję, z wynikiem tej, w której to ja dzwonię do niego. Ale pod koniec dnia tak się przyzwyczaiłam do rozmowy z nim, że nie mogę nie zadzwonić. To niemożliwe, żeby tyle o kimś myśleć i nie spowodować jakiegoś odzewu, no nie?

W domu czeka na mnie tylko jedna nagrana wiadomość. Dzwoniła H z poleceniem, żebym zaraz dała jej znać, jak tylko zadzwoni do Jacka.

Nie mogę się od tego wykręcić. Dodaj sobie odwagi, kartkuj *Potęgę kobiet*. „Nie oddawaj swojej mocy innym... Kobiety, które dostają to, czego chcą, są aktywne...”

Wpatruję się w kartkę z numerem telefonu Jacka. Po prostu to zrób. Zrób to. Zrób to. No, dalej, podnieć słuchawkę.

Sygnal rozlega się cztery razy. Z całej siły przyciskam słuchawkę do ucha. Kłódkie mam zupełnie białe. Czuję się taka bezbronna. Dzwoni do jego domu!

I wtedy wyczuwa się automatyczna sekretarka. Z nagraniem głosem Maty:

— Cześć, mieszkanie Matta i Jacka. Nie możemy w tej chwili podejść do telefonu. Po sygnale proszę zostawić wiadomość. Oddzwonimy na pewno. Piii.

Nagle dzieje się coś dziwnego. W moim gardle mieszkała chyba jakaś wiewiórka.

— Cześć, mówi... — zaczynam. Po czym milknę. Jestem gdzieś boko wstrząsnęta głosem dobywającym się z moich ust. Próbuje raz jeszcze: — Mówi Amy. Hm. — Znowu cisza, potem rozlega się sygnał.

Sama, osobiście zostawiłam najgorszą wiadomość, jaką ktokolwiek kiedykolwiek zostawił na automatycznej sekretarce. Kiedykolwiek. W historii świata. I nic już nie mogła na to poradzić. Odkładam gwałtownie słuchawkę, jakby poraził mnie prąd. Czuję, że cała płonę.

Wyrywam wtyczkę telefonu z gniazdka, wyłączam sekretarkę, otwieram okno i wyrzucam do sąsiedniego ogrodu *Potęgą kobiet*.

Czwartek: poddaj się.

W pracy zachowuj się, jakbym była w katatonicznym transie. Dociera do mnie wreszcie, że mam znacznie poważniejszy problem niż tylko idiotyczna wiadomość zostawiona na sekretarce Jacka. Jest nim całe moje życie. Niechcący i niezastępowanie w samym środku tego osobistego kryzysu lęduje Geoff.

Geoff jest konsultantem w firmie Boothroyd, Carter & May i od początku tygodnia krąży ci się w pobliżu mojego biurka. Pewnie dlatego, że nie ma żadnych kumpli. Na dodatek jest jakiś gwałtowny; wygląda jak paszkwil na człowieka. Naprawdę nie ma w nim nic, co choć trochę mogłoby się podobać. Nosi okulary w kwadratowych oprawkach, na czubku głowy zaczyna łyśleć. Jakby tego nie dość, niezbyt przyjemnie pachnie.

Ja jednak jestem w takim stanie, że kiedy Geoff zaprasza mnie na lunch, nie odmawiam. Mam randkę z Geoffem!

Idziemy do włoskiej restauracji, gdzie on zamawia spaghetti, którym natychmiast ochlapuje sobie cały krawat. Jest ogromnie zdenerwowany i wyraźnie mu pochlebiło, że zgodziłam się z nim wyjść. Szczerze mówię

wi#c, niewiele mam z tym wspólnego, bo dzisiejszy dzień to jeden z tych, kiedy duch przebywa poza ciałem. Rozmowa nam się trochę nie klei. Kiedy zaczynam bezmyślnie dziobać widelcem stojąc przede mną lasagne, Geoff mówi:

—Nie wyglądasz na szczególnie zadowolony. Celności uwagi przebiły Einsteina. Wzruszam ramionami.

—Nic mi nie jest.

—O czym myślisz? — pyta (głupio). No więc mu odpowiadam.

Ponosi mnie.

Mówi, że według mnie ludzie podobają się osobom, które są do nich podobne. Elizabeth Taylor dlatego wpadła w oko Richardowi Burtonowi, że oboje byli mniej więcej jednakowo urodziwi. Natomiast ja spodobałam się Geoffowi. A to oznacza, że muszę być równie atrakcyjna jak on. Co, szczerze mówiąc, sprawia, że zastanawiam się, czy skończy ze sobą.

Nie wiem, co mnie naszło. Nigdy dotąd nie zachowałam się tak niegrzecznie wobec kogoś obcego. Przez chwilę spoglądamy na siebie. Uśmiecham się nerwowo, Geoff jednak jest wyraźnie zły. Drżącymi rękami wyciąga jakieś drobne z kieszeni, ciska je na stół i wybiega z knajpy.

Bogu dzięki, w biurze nikt z Geoffem nie rozmawia, nie ma komu się poskarżyć, w pracy więc nie muszę obawiać się żadnych nieprzyjemności. Mimo to całe popołudnie dręcz mnie wyrzuty sumienia.

Po powrocie do domu zdobywam się na odwagę i włączam telefon.

Natychmiast dzwoni mama, żeby skutecznie jedną z tych jej ulubionych „pogaduszek”.

— Kochanie, jak tam ten twój wspaniały nowy przyjaciel? Wprost umieram z ciekawości...

—On nie jest ani wspaniały, ani mój! — wrzeszczę. Najwyraźniej cierpi na kryzys osobowości.

Jack w dalszym ciągu się nie odzywa. Kiedy zjawia się H i stara się poprawić mi nieco nastrój, kołczy się to awanturą. Słyszę od H, że je-

stem \*ałosna i nie powinnam odgrywa% si na innych za własne nie-  
szcz (cia. Bez w#tupienia ma racj , ja jednak tego nie dostrzegam.

— Nic nie rozumiesz — sycz z w(ciek3o(ci#. — Nie masz poj cia,  
co czuje kobieta odrzucona jeszcze przed pierwsz# randk#.

H jednak jest twarda.

—To nie ma nic wspólnego z Jackiem — oznajmi ze spokojem, któ-  
ry doprowadza mnie do sza3u. — W ko1cu si za3ama3a(, a win za to  
ponosi twoja dorywcza praca. Od pocz#tku wiedzia3am, \*e tak si stanie.

—No i co z tego, \*e mam gówniane \*ycie i gównian# prac ? To moja  
broszka. Nic innego nie potrafi ! — krzycz . — Jestem beznadziejna.

H nie daje si sprowokowa%.

—Gadasz kompletne bzdury. Po prostu si nie starasz. Czasem mam  
wra\*enie, \*e si podda3a(. Marzy ci si praca przy projektowaniu ubra1,  
ale za bardzo si boisz, \*eby co( w tym kierunku zrobi%.

—Och, zamknij si ! To prehistoria! Zreszt# i tak jest ju\* za pó0no na  
cokolwiek.

—Wcale nie jest za pó0no, tylko ty jeste( uparta jak mu3.

—No prosz , a co ty mo\*esz o tym wiedzie%? Z t# swoj# szpanersk#  
prac# w telewizji i z Gavem, który co wieczór grzecznie wraca do domu.  
Sk#d mo\*esz wiedzie%, jak si czuje cz3owiek, który znalaz3 si w (le-  
pym zau3ku? — Wci#\* jeszcze jestem bojowo nastawiona, ale zaczynam  
poma3u p ka% i s3ysz , jak g3os dr\*y mi coraz bardziej.

—Amy, naprawd my(lisz, \*e facet na sta3e rozwi#\*e wszystkie twoje  
problemy?

—Dzi kuj ci bardzo, Claire Rayner—chlipi . — By% mo\*e nie roz-  
wi#\*e, ale by3by to niez3y pocz#tek, bo nie masz zielonego poj cia, jak  
nienawidz by% sama. Walczy% z tym ca3ym... gównem! — wyrzucam z  
siebie, teraz ju\* p3acz#c na ca3ego.—Gdyby( jeszcze nie zauwa\*y3a, to  
zwró% uwag , \*e ju\* od jakiego( czasu nie uda3o mi si nikogo pode-  
rwa%. Nawet Geoffa, poniewa\* zawczasu zrozumia3, \*e jestem potwo-  
rem, a moje \*ycie zmierza donik#d... i... i... sko1cz jako zgorzknia3a,  
niewydarzona trzydziestolatka. .. i... umr jako dzie-wi-wi-wi-ca...



H przytula mnie mocno, otwiera pudełko z kolorowymi chusteczkami, parzy fili\*ank herbaty ziołowej i kładzie do 3ó\*ka. Na dobranoc zapewnia mnie, \*e jutro wszystko będzie dobrze.

Racja. Pieprzy% ich wszystkich! Koniec z u\*alaniem si ! Wystarczy. Straciłam zbyt du\*o energii i nerwów, czekaj#c, a\* ten dupek zadzwoni. Wystarczyłby jeden, jedyny telefon, ale nie, na to jest zbyt wielkim, egoistycznym draniem! Có\*, w tej chwili czasu na niego traci% nie zamierzam. Do(% mam cierpienia, którego mi przysporzył. W tym tygodniu schudłam, a potem przytyłam mniej więcej trzy kilo, pokłóciłam si ze wszystkimi, nawet z H, i po co? No, słucham?

No, to byłoby na tyle. Dla Jacka Rossitera nie ma ju\* miejsca w moim \*yciu. Czy on wie, z kim ma do czynienia? Powinien na kl czkach b3a-ga% mnie o randk , kabel telefoniczny powinien by% rozgrzany do czerwono(ci, a moje mieszkanie powinno wygl#da% jak jaka( cholerna kwiatarnia. I wiecie co? Niech si pocażuje w dup . A swoje panienki, szpnerskie ciuchy i artystyczne duperale mo\*e sobie wsadzi% gdzie(.

Rany, ale\* jestem dzisiaj bojowa. Niczym Tarzan; a nie jaka( tam rozhisteryzowana Jane. Czy jednak Kobieta Wszechmocna mo\*e zachowywa% si inaczej ?

Nie potrzebuj facetów. Ani facetów, ani ich cuchn#cych genitaliów, obrzydliwych paznokci u stóp i (wira na punkcie sprz tu graj#cego. Zreszt#, kto by ich potrzebował? Bo ja na pewno nie. Nie ma mocnych.

Staj na progu i robi g3 boki, o\*ywoczy wdech. Huh! Nie dam si ju\* \*adnemu durnemu facetowi. Dzisiaj jest ostatni dzieł pracy dorywczej i PIERWSZY DZIEŁ MOJEGO NOWEGO 7YCIA.

Niestety, potykam si na wej(ciovych schodkach i bole(nie t3uk sobie udo.

Nie poddaj si jednak i mam wra\*enie, \*e nowa postawa wobec \*ycia a\* ze mnie promieniuje. Ludzie schodz# mi z drogi w metrze, a w biurze s3owa powitania zamieraj# im na ustach. Przez ca3y dzieł jestem niezwykle pracowita i kompetentna. Porz#dkuj nawet szafk z papierami, co robi niew#tpliwe wra\*enie na Pannie Skwaszonej.

Punktualnie o 17.30 wracam jej moją kartę pracy. To chyba najgorszy moment w pracy dorywczej. Przy podpisywaniu karty pracy ludzie zwykle robią tyle zamieszania, skrupulatnie liczą każdą przepracowaną godzinę, zupełnie jakbym był jakimś winowajcą na przepustce. Nie dzisiaj jednak. Panna Skwaszona lustruje mnie z góry na dół, gdy stoję przed nią na baczność.

— Anno, dziękuję ci bardzo za cię — mówi. — Muszę przyznać, że dzisiaj byłoby szczególnie, hm, pilna.

— Jestem Amy. I proszę bardzo.

— W przyszłym tygodniu nie będziemy ci potrzebowali. Janet wraca z urlopu, ale jeżeli tylko coś się trafi, na pewno dam ci znać.

Akurat, ale niech będzie. Zabieram się stąd.

Idę piechotą do biura „Najlepszej pracy dorywczej”. Jak co tydzień, Elaine urządza piątkowe przyjęcie dla swoich wyrobników, którego nie sposób uniknąć, tym bardziej że muszę odnieść swoją kartę pracy. Elaine bardzo chce, żebyśmy się wszyscy poczuli jedną wielką, szczęśliwą rodziną, a nie plagą społeczną, jak się zazwyczaj o nas myśli. Prawda mówi, że te przyjęcia są do krępujące. Pracownicy dorywczy nie mają do szacunku dla samych siebie, trudno więc oczekiwać, żeby szanowali ich inni.

W biurze panuje temperatura tropikalna. Na biurku recepcjonistki stoi półmisek z kanapkami, parę butelek lemoniady i skrzynka wina „Błkitna zakonnica”. Elaine wypija już chyba połowę jej zawartości i z rozmazanymi oczami wygląda jak miś panda.

— Hej, Amy, zostań i napij się jednego — bezkocznie i dołóż do mojej karty do sterty innych na biurku.

Nie przyjmuj jej zaproszenia, tłumacz, że jestem umówiona na wieczór. Ona obiecuje, że odezwie się w przyszłym tygodniu w sprawie nowej pracy.

Korzystaj z biurowego telefonu, zostawiam H wiadomość na komórce. Mówi, że nie ma wyboru i musi wyruszyć dzisiaj ze mną na podbój miasta.

Zostanę z niego same gruzy.

Wbiegam po schodach, nucę pod nosem. Cieszy mnie perspektywa damskiego wieczoru. Schleję się na umór. Albo jeszcze bardziej. Należy mi się. Dzisiaj jestem zdolna do wszystkiego. Nie powstrzyma mnie nic. W końcu jestem Kobiet# Wszemocn#.

Wkładam klucz do zamka. Nawet nie spojrzę na automatyczn# sekretarkę. Nie dam jej tej satysfakcji: niech wie, że mi nie zależy. Bo tak naprawdę rzeczywiście mi nie zależy. Nawet gdyby było dziesięć wiadomości od tego dupka, Jacka, i tak wykasuję je wszystkie. A gdyby mu przyszedła ochota zadzwonić jeszcze raz, usłyszy tylko, żeby spadać.

Kiedy otwieram drzwi, dzwoni telefon. Super, to na pewno H — chce się umówić.

Chwytam słuchawkę.

— Halo — mówię. W słuchawce cisza. Po chwili:

— Cześć, Amy, mówi Jack. Co robisz dzisiaj wieczorem? Och, jest 0le, bardzo 0le, czuję to. Wystarczyły dwie sekundy, żeby dwudziestoletnia walka Ruchu Wyzwolenia Kobiet wzięła w łeb. Po prostu cholernie się cieszę, słysząc jego głos. Jestem mu tak beznadziejnie wdzięczna za ten telefon, że kiedy odpowiadam, mój głos zdradza o wiele więcej entuzjazmu, niż bym sobie życzyła.

— Nic specjalnego. A czemu pytasz?

## ROZMOWA TELEFONICZNA

— Nic specjalnego. A czemu pytasz?

To akurat jest proste. Na takie pytanie mogłobyś odpowiedzieć, stojąc na głowie ze zwiżanymi rękami. Bo jest pi#tkowy wieczór, a ja jestem sam w domu. Bo chociaż w zeszłym tygodniu powiedziałam ci, że podobasz mi się, Matt, nie straciłem nadziei, że i ja mógłbym ci się spodobać. Bo od tygodnia z nikim nie uprawiałem seksu, podobnie jak ty, z tym że od ponad pół roku. Mamy więc wspólne potrzeby, Amy. I, tak, dlatego tak że, że mi się podobasz.

Ale to „nic specjalnego”... Tym zbiłaś mnie trochę z pantałyku. Nie spodziewałem się takiej odpowiedzi. „Nic specjalnego” — to jest po prostu zbyt uczciwe. Chcę przez to powiedzieć, że w tej grze obowiązują pewne reguły, których trzeba przestrzegać. Ludzie wolni pewne rzeczy mogą robić, innych nie powinni. Mogą:

a) Poznać na imprezie kogoś, kto im wpadnie w oko, i zaksięgować go (jako Opcję w aktach pod nagłówkiem PMdZ (Potencjalny Materiał do Zer\*nięcia).

b) Od czasu do czasu, mając w perspektywie samotne spędzenie pi#tkowego wieczoru, przejrzeć akta PMdZ w poszukiwaniu właściwej Opcji.

c) Postanowi% do rzeczonyj Opcji zadzwoni% i umówi% si na spotkanie.

Nie mog# natomiast:

a) Odbiera% telefonów za ka\*dym razem, wiedz# bowiem, \*e automatyczne sekretarki, jak rottweilery, strzeg# ich przed atakami intruzów.

b) Podnosi% słuchawki w pi#tkowy wieczór, je\*eli nie maj# akurat towarzystwa, poniewa\* to pozwala dzwoni#cemu podejrzewa%, \*e ich \*y-cie towarzyskie znajduje si w stanie kryzysu.

c) Utwierdza% dzwoni#cego w tym podejrzeniu, u\*ywaj#c słów „Nic specjalnego” w odpowiedzi na pytanie o plany na wieczór.

Reguł owych powinni(my (ci(le przestrzega%, zostały one bowiem sformułowane po to, by strzec naszego statusu Ludzi Wolnych. Stanowi# one nasz# Deklarację Niepodległoci i mamy obowi#zek ka\*dym swym czynem dawa% wyraz naszego dla niej poparcia.

Najwyraźniej jednak, Amy, moje reguły ró\*ni# si od twoich. Dwa twoje słowa wystarczyły, \*eby wytr#ci% mi or \* z r ki. Zaskoczyła(mnie, zostałem przyłapany z r k# w nocniku i nie pozostaje mi nic innego, jak owo nic zamieni% na co(. Si gam po papierosa.

—Có\* — zaczynam, przysiadaj#c na oparciu fotela — miałem co prawda dzisiaj pracowa%. Przyrzekłem jednemu go(ciwowi, \*e do niedzieli skołcz dla niego portret na jego pi %dziesiąte urodziny. Ale skołczyłem jak#( godzin temu i... i... sam nie wiem... Fajnie mi si z tob# w zeszłym tygodniu gadało. No wiesz, u(miali(my si i pomy(łałem, \*e mogliby(my to powtórzy%. No wi c zadzwoniłem, tak sobie... 7eby zobaczyć, co u ciebie, i w ogóle...

—Jack, chcesz si ze mn# umówi%?

Walisz prosto z mostu. 9wietnie, te\* tak umiem.

— Mo\*na to i tak nazwa%.

—Okay.

—Okay, zastanawiam si , czy okay, dobra, spotkajmy si ?

—Okay, ju\* si zastanowiłam i okay, dobra, spotkajmy si . Podoba mi si , w jaki sposób mnie przedrze0nia.

— Dobra, wymy(l jak#( knajp . Ale je(li chcesz, to najpierw mo\*e-my wyskoczy% gdzie( na drinka.

—Chc .

U(miecham si . — Znasz knajp „U Zacka”?

—Jasne.

—To co, „U Zacka” o ósmej?

—Okay, to do ósmej.

Kiedy odkładam słuchawk , czuj si , jakbym schował do kabury rewolwer po wystrzeleniu z niego wszystkich sze(ciu naboí w pojedynku. Poza tym jednak, oprócz tego, \*e serce bije mi odrobin szybciej ni\* zwykle, czuj si nie najgorzej. Prze\*yżem Rozmow Telefoniczn# na 7ywo. Wszystko poszło dobrze. Amy była bardzo miła, wyra0nie zadowolona, \*e si odezwałem. Zaprosiłem j# na randk i zaproszenie przy-j 3a. Spotkamy si . Dzisiaj. Taki jest wynik: Billy the Kid — 1 punkt, Calamity Jane — punktów 0.

Zaraz jednak prawda dociera do mnie z przera\*aj#c# wyrazisto(ci#: Mój Bo\*e, id na Randk . Randk , na mi3o(% bosk#. Z drinkami i obiadem. B d musiał rozmawia% z dziewczyn#, której prawie wcale nie znam. Czeka mnie wieczór w rodzaju tych, z których dawno ju\* zrezygnowałem, ledwo dotarło do mnie, \*e s# o wiele prostsze drogi prowadz#ce do seksu.

W co ja si , do diabła, pakuj ?

Tylko spokojnie.

Zaci#gam si g3 boko papierosem, przekonuj#c samego siebie, \*e nie taki diabeł straszny. Amy jest mi3# dziewczyn#. Do tego bardzo ładn#. I weso3#. Naprawd chc si z ni# zobaczy%. Inaczej po có\* bym dzwonił? Poza tym to nieprawda, \*e jej nie znam. W ko1cu sp dzili(my ze "sob# prawie ca3# noc, no nie? I chyba jest mn# zainteresowana. Skoro zgodzi-3a si ze mn# spotka%, to chyba jednak Matt tak bardzo nie chodzi jej po głowie. W tej sytuacji post puj jak najbardziej odpowiednio.



W pewnym sensie powinienem mieć pretensje do Chloe, za obrót, jaki rzeczy przybrały tego dnia. Patrz na kawałek papieru, który trzymam w rękę: pismo Chloe; numer telefonu Amy. Chloe dała mi ten (wistek w poniedziałek, znudzona (miertelnie moim marudzeniem o wci#\* nie wyja(nionej sytuacji z McCullen. Powiedziała, \*e powinienem zadzwonić do Amy, bo według niej jestem wyraźnie sfrustrowany i może ruchanko dobrze by mi zrobiło. A we wtorek Amy — co do tego nie mam cienia wątpliwości — zadzwoniła i zostawiła tę dziwną wiadomość na sekretarce. Mój numer musiała dostać od Chloe. Nikt poza nią nie odważyłby się tego zrobić. Zawsze pogrywa sobie w ten sposób z Mattem i ze mną; bardzo dba o to, \*eby jej chłopcy byli szczęśliwi. My nie pozostajemy dłużej i od czasu do czasu napędzamy jej znajomych koleśków.

Czasami zastanawiam się, czy nie było lepiej, gdyby (my z Chloe zrezygnowali z wszystkich tych pośredników i zaczęli ze sobą chodzić. Parę razy brałem nawet tak# możliwość pod uwagę, niejednokrotnie też flirtowaliśmy. Gadałem nawet o tym z Mattem niedługo po rozstaniu z Zoe. Dzień wcześniej upiliśmy się razem z Chloe, która w końcu wylądowała obok mnie w łóżku. Rano, kiedy w pokoju zjawił się Matt z kawą, Chloe spała w moich objęciach. Kiedy sobie poszła, Matt chciał wiedzieć, czy do czegoś doszło, na co odpowiedziałem mu, \*e nie. Wi on zapytał dlaczego, a ja wyjaśniłem, \*e ją kocham, ale nigdy się w niej nie zakocham. Była w końcu moją koleżanką, podobnie jak i jego. Zbyt wiele wysiłku i starał musielibyśmy włożyć w nasz związek. No i przede wszystkim, za dobrze ją znałem. Nie mogłaby niczym mnie zaskoczyć. Nie wiem jednak, czy mi uwierzył. Nie jestem nawet pewien, czy sam sobie wierzę.

Spoglądam na drugi koniec salonu, gdzie wisi stary barowy zegar z napisem „Marlboro”: szósta trzydzieci. Mam trochę spraw do załatwienia...

Idę do sypialni Matta i otwieram jego szafę, po raz pierwszy chyba składając Bogu dzięki, \*e mój najlepszy przyjaciel chociaż dzieli się wszystkim. Trzeba mu to przyznać. W szafie znalazłem moją ciuchę na każdą okazję: ubrania wieczorowe, fraki, garnitury, markowe koszule i

d\*insy, swetry. Wizyta w tej szafie to jak zakupy ze złot# kart# American Express: tylko wybiera%. (Najwa\*niejsze to znale0% współlokatora o podobnej budowie ciała). Modl si tylko, \*eby si nie spał na tych tłu-  
stych lunchach, które bez przerwy jada w City, bo miałbym wtedy spory  
problem ubraniowy. Chyba b d musiał przej(% na diet opart# na smal-  
cu, \*eby nie zosta% z wag# w tyle. Jest te\* drugie wyj(cie: mógłbym zna-  
le0% prawdziw# prac i samemu zarobi% na złot# kart . To si jednak nie  
stanie przed kołcem tego roku — ostatecznym terminem, jaki sobie wy-  
znaczyłem na odniesienie sukcesu w malarstwie. Wybieram potrzebny  
zestaw i w druj do łazienki.

Dla wi kszo(ci znanych mi dziewczyn higiena osobista to sprawa  
płci: dla dziewczyn istotna, dla facetów nie. Koniec pie(ni. Do pewnego  
stopnia si nie myl#. Dajmy na to, \*e przez rok facet jest pozostawiony  
sam sobie. Odci ty od cywilizacji i, co znacznie wa\*niejsze, jakichkol-  
wiek szans na seks. Jest wi cej ni\* pewne, \*e bardzo szybko zdiadzieje.  
Skarpet i slipów nie b dzie zmieniał, dopóki nie zaczn# go dra\*ni% albo  
ich zapach przy%mi smród ple(niowego sera w lodówce. Maże Sahary  
kurzu pokryj# wszystkie sprz ty, kuchenka z wolna, w miar jak tłuuszcz  
pryskaj#cy z patelni b dzie pokrywał j# coraz grubsz# warstw#, upodob-  
ni si do z zy na statku. A paznokcie u r#k i nóg prawie \*e poodpadaj#,  
wypychane coraz bardziej zatłuszczon# warstw# brudu.

Niech no jednak ten sam facet znajdzie si w swoim naturalnym (ro-  
dowisku, a wszystko potoczy si zupełnie innym torem. Wystarczy, \*e  
ma na widoku randk z dziewczyn# i przynajmniej dziesi % procent  
szansy, \*e randka znajdzie finał w łó\*ku, a natychmiast zacznie si ob-  
lewa% dezodorantami i wodami toaletowymi, bij#c w tym na głow sam#  
Kleopatry . Według mnie sprawa jest prosta: dla facetów higiena osobista  
jest nierozzerwalnie zwi#zana z seksem. Jeste( czysty, b dziesz pieprzył.  
We0my na przykład szczeniaków, którzy wychodz# z zało\*enia, \*e do-  
póki skarpety nie uciekaj# same, z powodzeniem nadaj# si do noszenia.  
Nie obchodzi ich, jak bardzo s# brudni. Je(li znajd# si sto metrów od  
psiego gówna, to i tak najprawdopodobniej w nie wdepn#. Kiedy jednak  
osi#gn# dojrzało(% seksualn#, zaczynaj# co( kapowa%. Zauwa\*aj#, \*e

kiedy cuchn#, dziewczyny ich sp3awiaj#. Cho% na og33 z matematyki s# t pi, bez problemu nagle sami uk3adaj# seri podstawowych równa1: Cuchn#cy oddech plus brudne z by = Zero ca3owania; Niedostateczna higiena dolnych cz (ci cia3a = Zero seksu.

Ze mn# wcale nie jest inaczej. Na przyk3ad dzisiaj. Mimo \*e trudno mówi% nawet o tych dziesi ciu procentach szansy. Stawiam na jakie( pi % procent, w najlepszym razie. Je(li jednak w3a(ciwie rozegram karty, mo\*e uda mi si szcz (liwie pod#\*y% (cie\*k#, na ko1cu której czeka 9wi#tynia Rozkoszy. Na wszelki wi c wypadek nie lekcewa\* zabieg3w higienicznych. Tych od wielkiego dzwonu. Bior prysznic, szoruj si , gol , uk3adam w3osy, myj i czyszcz nitk# z by, nie zapominao o uszach, przycinam paznokcie, nacieram si balsamem do cia3a i wod# po goleniu. Teraz ciuchy: slipy od Calvina (czytaj Slipy na Podryw), czyste skarpetki i zestaw po\*yczony od Matta (jak zwykle wszystko czyste i wyprasowane). Oceniam si w lustrze, %wicz#c u(miech, jakim b d czarowa3 Amy podczas obiadu. Wra\*enie og3lne? Mnie si podoba. Miejmy wi c nadziej , \*e i jej spodoba si tak\*e.

Schodz na d33, bior sobie piwo i przegl#dam kompakty. „U Zacka” jest tu\* za rogiem, nie ma wi c po(piechu. Pozostaje mi jedynie wybra% i zarezerwowa% restauracj . Najlepiej, \*eby by3o to co( fajnego i, rzecz jasna, niezbyt drogiego. Gdzie mogliby(my si wyluzowa% i po(mia%. To znaczy, tylko to by mi pozosta3o, gdybym wcze(niej si ju\* tym nie zaj#3. Ale si zaj#3em. Jakie( cztery godziny temu, zanim w og3le przy- sz3o mi do g3owy zacizwoni% do Amy. Cztery godziny temu, gdy kolej- na sesja z McCullen dobiega3a ko1ca. Cztery godziny temu, gdy posta- nowi3em zam3wi% stolik w „Hot House”, w nadziei, \*e McCullen si tam spodoba. Cztery godziny temu, jak#( godzin przed tym, jak po raz drugi w ci#gu dw3och tygodni zorientowa3em si , \*e ona nadal nie jest zainteresowana.

## G3RA MCCULLEN: OB3Z PIERWSZY

Około dziesiątej dzisiaj rano McCuñlen zadzwoniła do moich drzwi. Tym razem byłem gotów. Na przystanku autobusowym nie czaiła się demonicznie żadna Catherine Bradshaw. Brak snu nie ograniczył mojej swobody wypowiedzi. Nie miałem czyść mnie kacz. Jednym słowem nic nie stało na przeszkodzie podjąć drugą próbę zdobycia Góry McCuñlen.

Kiedy otworzyłem drzwi, pocałowała mnie (w policzek), posunęła się nawet tak daleko, że mnie ucałowała (wyjątkowo płatonicznie). Podniosła mnie to na duchu. Co prawda gesty pozbawione były podtekstu namiotności, niemniej jednak Pierwszy Kontakt został nawiązany. Zresztą całe jej zachowanie było zdecydowanie inne niż w zeszłym tygodniu. Miejsce rezerwy, nerwowych ruchów, zmarszczonego czoła zajęły wyjątkowo uśmiechy. Wypiliśmy szybki kawę, trochę pogadaliśmy o imprezie, na której była z Kate, o jednych plotkach, innych obgadaliśmy. Zupełnie jakbyśmy się znali całe wieki. Potem przeszliśmy do atelier, gdzie się rozebrała bez ładunku powołania i ułożyła na kanapie. Jak dotąd wszystko szło dobrze, a kiedy zrobiliśmy sobie przerwę na drinka w ogrodzie, wszystko wskazywało na to, że będzie jeszcze lepiej.

Słońce (wieciło jak wielka lampa na czystym błękitnym niebie; jego blask wręcz oślepił McCuñlen, w reżymie (moim) i raybanach (Matta) siedziała obok mnie na jednej z trzech drewnianych ławek w ogrodzie. Obok naszych bosych stóp na trawie walały się cztery dopiero co opróżnione butelki po piwie, pośpisujemy w słońcu. Przed nami stał stolik osłonięty parasolem, którego cień chłodził trochę nasze rozgrzane ciała. Pomiędzy nami, na ławce, stała skrzynka z lodem, wypełniona piwami. Wyjęłem z niej dwie butelki, otworzyłem o kant stolika, jedną podałem McCuñlen, drugą podniosłem do ust.

Obróciłem się, by spojrzeć na nią, jak zapala papierosa i wpatruje się w ogród przed sobą. Po raz pierwszy w życiu zauważyłem, że ma twarz pokrytą piegami. Nic dziwnego, że wcześniej uszły mojej uwagi, mimo iż tyle czasu spędziłem, przyglądając się jej. Jednak nie piegi, lecz inne szczegóły jej anatomii przykuwały w głównej mierze mój wzrok. Piegi były bardzo delikatne. Nie takie, które od razu mają się ochotę porządkować kreskami. Nie, te wyglądały jak konfetti, które najłagodniejszy powiew wiatru

mo\*e zdmuchn#. Odwróciła głow , a ja nie chc#, \*eby przyłapała mnie na gapieniu si , spu(ciżem oczy i zaj#żem si obserwacj# delikatnych w3osków porastaj#cych moje uda.

Nie miałem \*adnych w#tpliwo(ci. Było idealnie. Nadeszła ta Chwila. Przepełniona spokojem. Jestem ja. Jest ona. 9wieci s3o1ce, mamy piwo. Od trzech lat nie sta% mnie było na wakacje za granic#, ale teraz było dokładnie tak, jak sobie wyobra\*ażem przez te zimne, samotne noce, kiedy to nie było przy mnie \*adnego ciepłego ciała, do którego mógłbym si przytuli%. Wszystko ton 3o w barwach zabijaj#cych ka\*dy smutek. I nawet je(li w owe noce twarz, któr# wyobra\*ażem sobie obok siebie na ławce, nie nale\*ała do McCullen, niewiele si od niej ró\*niła.

— Opowiedz mi o swoim m \*czy0nie—zagaiżem, obracaj#c si ku niej.

—Poco?

—Jestem ciekawy z natury.

Co, rzecz jasna, było i nie było prawd#.

Istniej# dwie szko3y rozpoczynania rozmowy o partnerach osób, które nas interesuj#. Jest szkoła pasywna, jest te\* i aktywna. Pierwsza opiera si na teorii, \*e im mniej wspomina si rzezonego partnera, tym mniej osoba owa o nim my(li. No, a kiedy w ko1cu przestaje o nim my(le% zupełnie, nie ma powodu w#tpi%, \*e my(li o nas. A kiedy tak si stanie, wygrali(my. Jest te\* szkoła aktywna, która zaleca bezzw3oczne przej(cie do sedna sprawy. Zaczynamy rozmawia% o chłopaku i szybko dowiadujemy si , z jakim przeciwnikiem mamy do czynienia. Ja skłaniam si ku tej drugiej szkole; uwa\*am, \*e pozwala zaoszcz dzi% mnóstwo czasu.

McCullen u(miechn 3a si . Nie wiem, czy dlatego, i\* odgadła moje zamiary i poczuła si zak3opotana, czy te\* po prostu sama my(l o nim sprawiała jej tak# przyjemno(% . Oczywiście wierzyżem, \*e prawdziwy jest ten pierwszy powód.

—Nie bardzo wiem, od czego zacz#%.

— Mo\*e od pocz#tku? To si na og33 sprawdza. W przypadku Julie Andrews sprawdzi3o si na pewno.



Nie trzeba jej było specjalnie namawiać. Dowiedziałem się, że on na imię ma Jonathan, ale wszyscy zwracają się do niego Jons. Poznaliśmy się w szkole, kiedy ona miała siedemnaście lat. Powiedziała mi, że był cholernie przystojny i śpiewał w zespole. I kiedy miałem już się gnę po torebce na wymioty, w duchu przeklinając, że nie skorzystałem z nauk Profesora Pasywnego, niespodziewanie Luke Skywalker przeistoczył się w Darta Vadera. Uśmiech, dotychczas rozświetlający twarz McCullen, teraz ustąpił miejsca zmarszczce na czole, która pogłębiała się, w miarę jak kurtyna odsłaniała Ciemne Strony: uzależnienie od koki, na którym nie było go stać; ataki paranoi; jak zmuszał ją do zażywania tabletek podczas studiów na uniwersytecie w Glasgow, upierając się przy regularnym seksie w każdym weekend; w jaki sposób obraził jej przyjaciół; pewno, że odbiłoby mu całkowicie, gdyby dowiedział się, że pozuje dla mnie.

Zabawne, jak czasem to, co złe, może ostatecznie okazać się najlepsze. W im gorszym (wiedle go przedstawiała, tym bardziej rosła u niej moja szansa. Jezu, prawie zaczynałem lubić tego faceta.

I wtedy powiedziała:

—Czasami się zastanawiam, dlaczego cięgle z nim jestem. A ja sobie pomyślałem: „Houston, problemu już nie ma”. Ale wtedy ona rzekła:

— To głupie. Wcale tak nie myśli. Ja go kocham. — Popatrzyła oskarżycielskim wzrokiem na swój butelkę piwa i pokręciła z wolną głową.—Alkohol i sólce. Zawsze mnie rozkłada. Zapomnij, że w ogóle coś takiego usłyszałem.

Odpowiedziałem jej w myślach: „Kontrola naziemna do majora Toma. Wasze obwody nie działają, dzieje się coś złego”.

I przeszedłem do ultimatum, zadałem jej pytanie należące do Scenariusza Najgorszego z Możliwych:

—Słyszysz, że w końcu za niego wyjdiesz?

Wzruszyła ramionami. Trudno było mi ją obwiniać; w równie kłopotliwym położeniu zachowałbym się zapewne nie inaczej.

—Byłoby to. Ale jeszcze nie teraz.

—Dlaczego?



Chwil si namy(lała, by wreszcie powiedzie%:

—Chyba jestem jeszcze za młoda.

—To twój pierwszy prawdziwy chłopak?

—Nie rozumiem?

—No, pierwszy, z którym jeste( dłu\*szy czas.

—Pierwszy i jedyny...

—Jak to?

—Poza nim nie było nikogo innego.

Przyznaj , \*e to mn# wstrz#sn ło. — 7artujesz chyba? Obróciła si do mnie i spojrzała mi prosto w oczy. — Nie.

—Nigdy dot#d...

—Co?

— No, zastanawiała( si ... Czy nigdy si nie zastanawiała(, jak by to było z innym facetem?

Pochyliła si i zgasiła na trawie papierosa. — Czasami.

—To znaczy kiedy?

—No, nie wiem.

Popatrzyłem na ni# wymownie, w sposób, w jaki oczy wyra\*aj# wszystko i nie trzeba nic mówi%.

—Na przykład teraz?

—Mo\*e.

Ha, mam j#. Połkn ła haczyk. U(miechn#łem si , zmru\*yłem oczy i naciskałem dalej.

—Mo\*e tak czy mo\*e nie?

— Mo\*e po prostu nie wiem. — Zapaliła kolejnego papierosa. Z jej ust popłyn ła smu\*ka dymu. —A ty? Masz dziewczyn ?

—Nie.

I siedzieli(my, nie odrywaj#c od siebie wzroku, a\* ona dopaliła papierosa, a ja skołczyłem piwo. Sprawa wygl#dała nast puj#co: McCullen musiała podj#% co do mnie decyzj , ale była ju\* bardzo blisko; tak blisko, \*e a\* skóra mi cierpła. Lecz je(li nie teraz, to kiedy? Dzi( wieczorem? Tak, z caź# pewno(ci# nie pó0niej. Kiedy patrzyłem na ni#, nie mogłem znie(% my(li, \*e mogłoby to si cho% troch odwlec w czasie. A

wi c restauracja. I ci#g dalszy rozmowy, słownych gierek. I wreszcie decyzja.

Wtedy ju\* moje oczy w drowały po całym jej ciele, a ja \*aśowałem, \*e okrywa je r cznik. Nagle dotarło do mnie, \*e przecie\* czasami mo\*na sta% si swoim własnym d\*inem i sprawi%, by marzenia zamieniały si w rzeczywisto(%.

—No, koniec tego dobrego — o(wiadczyłem. — Wracamy do roboty.

Co te\* uczynili(my. Gdy McCullen układała si na kanapie, ja poszedłem do kuchni, sk#d zadzwoniłem, \*eby powiedzie%, i\* nie pójd z Mattem na imprez , jak umawiali(my si wcze(niej, po czym zarezerwowałem stolik dla dwóch osób w „Hot House”. Chocia\* byłem tak bardzo pewny siebie, nie zdawałem sobie jednak sprawy, jak gó boko McCullen była zaanga\*owana w ten flirt. Szansa, \*e cała sprawa przeci#gnie si o par godzin, była raczej zerowa; tu si zanosilo na o wiele dłu\*sz# i ci \*sz# kampani . W jaki( czas pó0niej, gdy zaprosiłem j# na obiad, jej odpowied0 nie pozostawiła mi złudze1:

—Och, to słodkie, \*e mnie zapraszasz, ale dzisiaj nie dam rady. Jons przyje\*d\*a jutro z Glasgow i musz wcze(nie wsta%, \*eby wyj(% po niego na dworzec.

Po czym pocałowała mnie na do widzenia (znowu tylko w policzek) i wyszła. Kiedy patrzyłem, jak idzie ulic#, poj#łem, \*e chocia\* niew#tpliwie j# poci#gam, to mam du\*y problem, bo Jons poci#gaj# zdecydowanie bardziej. A skoro tak, nadzieja, \*e j# w ko1cu zdob d , drastycznie si skurczyła. Pozostawało mi siedzie%, czeka% i obserwowa%. Co te\* czyni% b d .

Przez lornetk .

Dziel i noc.

Bez wytchnienia.

Nie po raz pierwszy b d brał udział w zabawie w wyczekiwanie.

*Wyznania. Nr 3. Zniewolenie. Miejsce: Moja sypialnia, chata Matta. Czas: 3 rano, 13 kwietnia 1997.*

Matt zawsze ostrzegał mnie przed powtórkami. Jego poglądy na te sprawy w skrócie przedstawiaj# si nast puj#co:

1. Podstawowa cecha przygód na jedn# noc jest taka, \*e trwaj# one jedn# noc w3a(nie).
2. Powtórne spotkania wprowadzaj# element za\*y3o(ci).
3. Za\*y3o(%) jest zaprzeczeniem \*ycia w pojedynk .

I oto nadesz3a w3a(nie chwila, kiedy przysz3o mi uwierzy% jego s3o-  
wom i uzna% je w tej materii za ostateczne.

Le\*a3em na w3asnym 3ó\*ku, na plecach, z roz3o\*onymi r kami i no-  
gami, nagusielki jak mnie Pan Bóg stworzy3. Okrakiem siedzia3a na  
mnie, równie naga, Hazel Atkinson. Spotka3em j# u Barry'ego w sylwe-  
stra. Tu\* po pó3nocy pow drowali(my wspólnie na gór , znale0li(my  
wolny pokój i zamkn li(my si w nim. Rano wychyn#3em z niego oko3o  
siódmej i uda3o mi si przekona% Matta, \*eby wsta3 i jak najszybciej za-  
bra3 mnie z powrotem do Londynu. Nie chodzi o to, \*e noc niezbyt si  
uda3a; w zasadzie by3o wr cz odwrotnie. Nie chodzi3o te\* o to, \*e Atkin-  
son mi si nie podoba3a; uwa\*a3em, \*e jest niez3a. Chodzi3o o to, \*e noc  
przebieg3a dosy% dziwnie.

Atkinson mia3a sk3onno(%) do praktyk, które generacja moich rodziców  
okre3a3a mianem „zbozonych”. Inaczej mówi#c, lubi3a wi#za% m \*-  
czyzn i zabawia% si z nimi, a\* pieszczeli. Nie chcia3bym zosta% 0le zro-  
zumiany: nie jestem pruderyjny. Bardzo lubi eksperymentowa%, nawet  
je\*eli owe eksperymenty mog# czasem wyda% si dziwne. No wi c wte-  
dy, w tamt# sylwestrow# noc, pozwoli3em jej si zwi#za% i pieszcz3em  
a\* mi3o. Potraktowa3em to jako jeszcze jedno do(wiadczenie, wzbogaca-  
j#ce moj# wiedz . Ale nie by3em szczególnie zainteresowany specjaliza-  
cj# w tym kierunku, podobnie jak w szkole 3acin#. Efekt kolcowy: nie  
odpowiada3em na telefony Atkinson i starannie unika3em wszelkich im-  
prez, na których ona mia3a si pojawi%. G3upi by3em.

Jest godzina wpó3 do dwunastej w nocy, 12 kwietnia 1997, i kogó\* to  
moje przepite oczka widz# ko3o baru w „Klaxon”? A jak\*e, Hazel At-

kinson we własnej osobie — wspaniały, dostaję i patrzę prosto na mnie. Normalnie, rzecz jasna, uciekłbym, gdzie pieprz rośnie. Barry powiedział mi, że Atkinson, w następnym zastosowanej przeze mnie techniki całkowitego unikania, zaczął mnie postrzegać jako stworzenie czegoś nie mniej od ameby w łańcuchu rozwoju ewolucyjnego. Ale byłem pijany i tyle razy w ciągu minionej godziny dostałem kosza, że nadzieja na zarwanie jakiegoś towaru wywietrzała mi z głowy zupełnie, kiedy wybiegła do mnie i zaczął rozmowę, nie zdradzając żadnych oznak gniewu czy pretensji, czy mogłem postąpić inaczej i nie zaprosić jej do siebie?

Wydawali mi się wódkę.

Przywiłała mi ręce do zagłówek, nogi do przeciwległego końca łóżka. Super; wiem, co będzie dalej. Najpierw małe lanie, potem słowne potyczki — ona będzie mi mówiła, co powiesz, a ja będę jej posłuszny. I wreszcie to najlepsze: seks — choć to dziwne, ale i miłe, zupełnie normalny.

Niestety, tym razem plan Atkinson nieco od tego schematu odbiegał.

— No, ty kupo gówna — zaczął. — Teraz dostaniesz nauczki, której nie zapomnisz do końca swoich niedźnych dni.

To już słyszałem przedtem.

— Byłem niegrzecznym chłopcem, prawda? — zapytałem, wczuwając się w rolę, choć, jak poprzednim razem, wszystko to wydawało mi się dosyć (mieszane. — Niedobry ze mnie szczeniak i należało mi się szkoła.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka — stwierdziła, patrząc na mnie z góry. — Kiedy Matt wraca z Bristolu?

— Czemu pytasz?

— Po prostu odpowiedz.

— Jutro rano — odpowiedziałem lekko skożowany. — Gdzieś koło dziewiętej.

Spojrzała na zegarek.

— Za siedem godzin. Dobrze. Jakoś to wytrzymasz.

— O czym ty mówisz?

Nie odpowiedziała, tylko wstała z łóżka i ubrała się.

— Czy wiesz, na czym polega twój problem, Jack?—zapytała, przysiadając na skraju łóżka, żeby nałożyć buty. Próbowałem uwolnić choć jedną rękę, jednak bezskutecznie. Spróbowałem drugą, potem nogę. Ale i tym razem szczęście mi nie dopisało. Rajstopy, którymi mnie związała, były naprawdę obcisłe. Tymczasem Atkinson wstała. — Pogrywałem sobie z niewiastą (ciw dziewczyną).

Po czym wyszła z pokoju, a po kilku sekundach dobiegł mnie sześć zatraskiwanych drzwi frontowych. Czekałem.

Po chwili zapał mnie skurcz. W ustach mi zaschło. Czekałem. Czekałem dalej.

Wreszcie dotarło do mnie, że ona nie wróci.

Tej nocy najróżniejsze myśli przychodziły mi do głowy. Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej zdarzyło mi się myśleć tak intensywnie. Głównie były to straszliwe bzdury. Że umrę albo że Matt nie wróci lub, co gorsza, zjawi się Atkinson z biczem i elektrycznym dziadkiem do orzechów. I że nad tym wszystkim górowała Myli Główna: jeżeli umrę, to jako mężczyzna, który nie odnalazł tej, z którą chciałby spędzić resztę swojego życia. Ona gdzieś tam będzie, samotna, bo i ona nie odnalazła mnie. A winę za to wszystko mogą obarczyć tylko i wyłącznie siebie. Był może wściekła (nie tak naprawdę) chciała mi dać Atkinson.

Wreszcie w drzwiach stanął oniemiały Matt.

— Nie mów tego — udało mi się wykrztusić.

— Czego?

— A nie mówiłem.

Usiadł na łóżku i zaczął odwijawać mi nogi.

— Atkinson? — spytał tylko.

— Owszem.

— Tak myślałem.

## WYJŚCIE

Zamykam za sobą drzwi frontowe domu Matta, doświadczam przedziwnego uczucia. Mam wrażenie, jakby w moim otoczeniu zamieszkał jakiś stwór. I to na pewno upierzony, bo okropnie mnie ściska. Z poczuciem kłopotu to na karb sporej ilości piwa, które wypiję dzisiaj po południu na niemal pustym stole, postanawiam więc wstąpić gdzieś po drodze na frytki. Szybko jednak dociera do mnie, że najzwyczajniej na świecie się denerwuję. Nie tylko się denerwuję, ale jestem też podekscytowany. A przyczyną tego stanu jest oczywista: Amy. Lub raczej Randka z Amy. Czy mi się to podoba, czy nie, wyjaśnienie jest tylko jedno. Ona mnie interesuje. Podobnie jak przebieg randki z Nicią. Ciekawi mnie, czy w dalszym ciągu stała się dla mnie na zarwanie takiej dziewczyny i jak będzie się wtedy bawiła.

„U Zacka” jest fantastycznie. Uwielbiam ten lokal. Prawdziwiejszy, gdyby „U Zacka” był kobietą, nie musiałbym się dzisiaj umawiać z Amy. Nie byłoby takiej potrzeby, ponieważ na pewno bym się z nią najpóźniej i powiedział z nią małe 7aczki na bardzo, bardzo odległej wyspie. „U Zacka” to wygodne kanapy, małe stoliczki, mnóstwo przestrzeni, przyjemne światło i delikatna muzyka. A żeby się czuć dobrze, znajduje się rzut kamieniem od chaty Matta.

Pokój spacerkiem i docieram na miejsce około 19.30. Jak na piątek, panuje względny spokój. Ale pora jest jeszcze wczesna. Wszyscy normalnie pracujący ludzie muszą jeszcze wypić obowiązkowe drinki po pracy, wkrótce jednak zaczną się urywać i wracać do prywatnego życia.

Lustruję pobieżnie stoliki i mój wybór pada na ten w kącie, w bezpiecznej odległości od stołu bilardowego i górników, gdzie nic nie będzie nas rozpraszało. Rezerwuję sobie krzesło pod ścianą, przerzucając przez oparcie marynarkę Matta. Amy usiadła naprzeciwko i w ten sposób jej pole widzenia ograniczy się do mnie lub ściany za moimi plecami, dzięki czemu z łatwością przykuję jej uwagę.

Z portfelem w dłoni podchodzę do baru, gdzie chwilę gawędzi z Janet, właścicielką. Kim wobec tego jest Zack? Kiedyś zapytałem i dowiedziałem się: Zack to byłby mój Janek, który rzucił ją i poszedł w stronę



dal z własnej sekretarki. Janet s#downie wydoiła z niego spor# kas , za któr# kupiła bar i, \*eby sobie ul\*y%, nazwała go jego imieniem. Znam j# od trzech lat, w ci#gu których niezmiennie ma trzydzieci sze(% lat i wcale nie wida%, \*eby jej ich przybywało. Jest zabawna, dla niektórych mo\*e nawet ekscentryczna. Podj li(my rozmow w miejscu, w którym j# przerwali(my ostatnim razem, we wtorek, zupełnie jakby mnie nie by- ło zaledwie kilka minut. Dopijałem w#a(nie drug# butelk „Labatta”, ze sprzeda\*y których zasilała fundusz dla g#oduj#cych artystów, gdy uszy- szałem za sob# głos.

Głos powiedział:

— Cze(% , Jack.

Popatrz#m, jaki wyraz twarzy przybrała J<sub>an</sub>et.

Jednoznacznie mówi: „Szcz (ciarz z ciebie”.

Obracam si i widz , \*e ma racj : jestem szcz (ciarzem.

Amy stoi przede mn# z szerokim, radosnym u(miechem, na widok którego nie sposób nie odpowiedzie% tym samym. Taki u(miech mnie rajcuje, w dobrym tego s#owa znaczeniu. Kiedy widzieli(my si ostatnio, a ona wydziwiała na temat jej nie istniej#cego \*ycia seksualnego i nie odwzajemnionego poci#gu do Matta, usta miała (ci#gni te w dwie w#- skie kreseczki. Teraz jednak — musz przyzna% i z rado(ci# to czyni — zapraszaj# tylko do j ednego: ca#uj nas. Ubrała si te\* z gustem: w krót- k# czarn# spódniczki i popielat# obcis# bluzeczk . Wygl#da dobrze. Serio. Pi knie. I chyba wie o tym. Wytrzymuje moje spojrzenie, a mnie zaczynaj# puszcza% nerwy. U(miecham si i s#owa wymykaj# mi si same.

—Cze(% , Amy — odpowiadam. — Wygl#dasz super.

— Dzi ki. Mi#o ci znowu widzie%.

—Czego si napijesz?

—Wódki z tonikiem.

—Z cytryn#? — pyta Janet, przygotowuj#c drinka.

—Tak, bardzo prosz .

Janet kroi limonkę i wrzuca jeden plasterk do szklanki. Sięgam po portfel, ale Janet—niech jej Bóg błogosławi — macha ręką, podając Amy drinka.

—Nie martw się, Jack — zwraca się do mnie — dopisz do twojego rachunku.

—Wielkie dzięki — mówi naprawdę szczerze.

Żeby nie zapomnieć: zgodnie z obietnicą muszę w końcu podarować Janet któryś z obrazów. Nie tylko ze względu na przyjaciół, po prostu sporo jej już wiesz, czas więc jakoś te długie uregulować.

Przez chwilę spojrzę na Amy na siebie, po czym ona upija łyk ze swojej szklanki i rozgląda się po barze. To naprawdę dziwne. Czasem można z kimś spędzić całą noc, upić się i wysłuchiwać nawzajem swoich zwierzeń a do (witu, po czym przy następnym spotkaniu nie wie gdzie, w jaki sposób przerwać niezręczne milczenie. Powiedz coś, ponaglę siebie w duchu. Zrób coś z tym ciszą.

—Zostawiłem tam swój marynark — wyjął (niam, wskazując na stół.

Podchodzimy do niego i siadamy, oboje zapalamy papierosy, zaciągamy się, wypuszczamy dym. Podnosimy szklanki i upijamy z nich po łyku.

W końcu ona odzywa się pierwsza.

—Myślę, że powinnam zacząć od przeprosin.

—Za co?

—Za to, że w zeszłym tygodniu zachowałam się jak kompletna idiotka.

W tej chwili powinienem jej zaprzeczyć, zastosować wszystkie te nie-nie-nie, ale skąd, wcale tak się nie zachowałam. Amy wyglądała na szczerze zawstydzoną i každy dzień na moim miejscu tak właśnie by się zachowała. Do niczego by to jednak nie doprowadziło. Wyszliśmy tylko przed nią na sentymentalnego głupca, co absolutnie nie jest prawdą. A już z całą pewnością nie w tej chwili. I nie wobec kogoś, kogo prawie nie znam.

—W sobotę rano — poprawię ją.

—Słucham?

— W sobot rano. Zachowała( si jak kompletna idiotka nie w pi#tek, ale w sobot . Rano, koło szóstej. W pi#tek była( (wietna. Zreszt# w sobot te\*. Przynajmniej do szóstej.

—Kiedy mi odbiło?

—Kiedy ci odbiło.

—Có\*, tak czy owak, przepraszam.

— Nie ma sprawy. Ka\*dy ma prawo zrobi% z siebie od czasu do czasu idiot . To jedno z naszych niezbywalnych, demokratycznych praw.

—Ale i tak przestraszy( si jak cholera, no nie?

—Wcale nie — skłamałem. — A niby dlaczego?

— Och, dobra ju\*. — U(miecha si po raz pierwszy, odk#d usiedli(my. — Jak mam wi c rozumie% twoj# ucieczk ? Bo da( nog , jakby si paliło. — Unosi lekko brwi. — Chyba \*e w ten sposób codziennie witasz nadchodz#cy (wit.

Wybucham (miechem i od razu przypomina mi si , jak było fajnie w zeszły pi#tek. To, jak wi cej gadałem z ni# ni\* z Mattem — akt zdrady, którego nie z własnej si dopu(ciłem winy. I z jak# łatwo(ci# potrafiła mnie roz(mieszy%. No i przede wszystkim fakt, \*e kiedy jej odbiło, nie zostawiłem jej, tylko starałem si jako( uspokoi%, o ca( pól godziny odwlekaj#c ostateczny odwrót. Dobrze pami tam, dlaczego mi si spodobała. Bo była bezpo(rednia. Niczego nie udawała i na nic si nie zgrywała. Poniewa\* była pierwsz# od wieków dziewczyn#, z któr# nie musiałem wdawa% si w \*adne psychologiczne gierki.

— Niech ci b dzie — odpowiadam. — Dałem w d(ug#. Ale nie z twojego powodu. Po prostu byłem trafiony, nic poza tym— ryzykuj u(miech. — Jezu, zanim przyszli(my do ciebie, wypili(my chyba prawie ca( butelk whisky. Mózg miałem jak g#bka.

—Ja te\* nie byłem w szczytowej formie — przyznaje. — Musiałem zastosowa% plan odnowy KAZA.

—Co takiego?

—Plan odnowy KAZA — powtarza. — No wiesz... — Poniewa\* jednak wyra0nie nie kapuj , tłumaczy dokładnie: — K#piel, Alkaprim, Zero Alkoholu.

Uśmiecham się .

—Warto zapamiętać na przyszłość.

—Jest niezawodny.

Zapada milczenie. Załatwiliśmy drażliwą kwestię —jej wyznanie na temat Matta i mojej ucieczki, przy czym imię mojego przyjaciela ani razu nie padło. Dzięki temu zostali tylko ona i ja.

Co dalej? Rzecz jasna możliwość jest multum. Wolno słowa i takie tam. Problem w tym, że trzy tematy, które mnie interesują — ja, ona i jak to połączyć — na obecnym etapie w ogóle nie wchodzi w grę. Do tego potrzebny jest odpowiedni czas i miejsce. A za takowe trudno znaleźć bar „U Zacka” w piątek o ósmej wieczorem. Na razie musimy zająć się innymi sprawami. Jeszcze trochę wypić. Pogadać. Co zjeść. Wrócić do domu taksówką. Cierpliwie, bracie, mówi sobie w duchu. Cierpliwie, a nagroda z pewnością ci nie minie. Otwieram usta, gotów wyskoczyć z jakiegoś dowcipnego uwagi, po której rozmowa znów potoczyłaby się gładko, ale uprzedza mnie Janet, która wyrasta obok naszego stolika, proponując nam następny kolejkę drinków. Cóż, niegrzecznie byłoby odmówić. Z wdziękiem przyjmujemy poczęstunek, Janet egluje w stronę baru, a my mamy już o czym rozmawiać.

— Powiedz mi — zaczyna Amy, przez chwilę spoglądając za oddalającą się właścicielką knajpy —jak to jest, że przychodzisz tu mniej więcej raz w miesiącu niemal od roku, a ta kobieta za barem nawet mnie nie rozpoznaje, za to ciebie zna z imienia i sprzedaje ci na krech, chociaż nad barem wisi wielki napis „Na kredyt nie sprzedajemy”?

— Ponieważ ja tu właśnie mieszkam. Dom Matta jest tuż za rogiem, a Janet to nasza kumpela.

Lody wreszcie pokłóły i rozmowa toczy się gładko. Gadamy i gadamy, a ja, niczym Poirot, pomalutku wypełniam luki powstałe podczas naszej pijackiej rozmowy w zeszłym tygodniu. Kiedy wysiadamy z taksówki i wchodzimy do „Hot House” znam już całą historię Amy. Jej CV, odpowiednio już skatalogowane, wygląda następująco:

Imię i nazwisko: Amy Crosbie

Wiek: 25 lat

Stan cywilny: WOLNA

Kwalifikacje: matura z angielskiego, geografii i sztuki, licencjat z w3ókiennictwa

Kariera: ró\*ne prace dorywcze od czasu uko1czenia studiów

Uk3ady damsko-m skie: niejasne. Jeden wyj#tek; jaki( czas wspólne mieszkanie; teraz to ju\* przesz3o(

Inne: (wietna partnerka do rozmowy; pi kny u(miech; fajne cycki

W „Hot House” do stolika prowadzi nas jeden z tych kociaków w przepisowej króciute1kiej czarnej spódniczce i obcis3ej bia3ej bluzeczce. Z tych, co to nale\*y patrze% na prawo, kiedy stoi po lewej stronie i odwrotnie. Kln si na Boga, \*e dziewczyny wyczuwaj#, kiedy w ich pobli\*u znajdzie si potencjalna rywalka. Jaki( szósty zmys3 czy co? PWS (Postrzeganie Wrogiej Spódniczki). Kiedy wi c kociak nas sadza i podaje menu, bardzo si pilnuj , \*eby ani na chwil mój wzrok na niej nie spocz#3. Nie istnieje dla mnie. Widz i zauwa\*am tylko Amy. „Male1ka, poza tob# (wiata nie widz ...”

Niby to uwa\*nie studiuj kart win, wybieram butelk o umiarkowanej cenie, po czym jako pierwszy zamawiam najta1sze danie z ca3ej karty, w nadziei, \*e Amy nie nabierze nagle szczególnego apetytu na homara. Wsuwamy, ani na chwil nie przerywaj#c rozmowy. Nie wymiguj si , kiedy wypytuje o mnie i moje \*ycie: wyjawiam tylko to, co uwa\*am za

stosowne i co dawno ju\* prze%wiczy3em podczas rozmów z dziewczynami. Dlaczego maluj , gdzie si wystawiam. Stosuj star#, wypróbowan# polityk : pozwalam jej mówi%, dzi ki czemu szybko odkrywam, co tak naprawd si dla niej liczy, a potem powalam j# jej w3asn# broni#. Wysy3am delikatne, ale jak\*e wymowne sygna3y, \*e spotka3a w3a- (nie tego odpowiedniego kandydata. Marzy ci si lepszy (wiat? G3osuj na Jacka Rossitera.

—No, a ty? — pyta.

—To znaczy?

—Ty. T-Y. Co ci rusza? Czego oczekujesz od \*ycia?

—Hm, nie byle jakie pytanie — migam si .

—Prosz wi c o nie byle jak# odpowied0.

Rzecz jasna, mam j#. Jak chyba ka\*dy. I zawsze brzmi ona tak samo: mi3o(ci. Pewnie, s# rzeczy, które mi si marz#, ale nie zdradzam tego nikomu, bo a nu\* stanie si inaczej. Ale to s# sprawy Pewnego Dnia. Jak na przykład taka, \*e pewnego dnia chcia3bym si zakocha%. Pewnego dnia chcia3bym po(lubi% kobiet , w której si zakocha3em. Pewnego dnia chcia3bym mie% rodzin i dom, i \*eby pewnego dnia moje dzieci w niedzielny poranek wpad3y do sypialni i obudzi3y mnie, jak ja sam robi3em, kiedy by3em ma3y. Ale Pewien Dzie1 jeszcze nie nadszed3. I z tego, co mi wiadomo, mo\*e nie nadej(% nigdy.

—Sam nie wiem—stwierdzam bez przekonania. — Dobrej zabawy? Tak, chyba to w3a(nie jest dla mnie najwa\*niejsze.

—OK — ona na to. — Powiedz mi w takim razie, kiedy ostatnio na-  
prawd dobrze si bawi3e(?

—To proste — odpowiadam, a u(miech sam ci(nie mi si na usta. —  
Kiedy poszed3em do Hemleysa kupi% bratankowi prezent na urodziny.

—Masz bratanka?

—Tak, to syn mojego starszego brata. Jest super. To znaczy bratanek.  
Bo mój brat, Billy, jest troch ... sam nie wiem. Kate i mnie w sumie  
niewiele z nim 3#czy.

—Dlaczego?

—No wiesz, w zasadzie jest fajny i w ogóle. Och, niech to szlag, jest  
bardzo fajny, tylko \*e du\*o starszy. Ma ju\* prawie pod czterdziech , a  
o\*eni3 si i ustatkowa3, kiedy by3 m3odszy ni\* ja teraz. Pozna3 t dziew-  
czyn , zakocha3 si i na tym si sko1czy3o. Potem przysz3y dzieci i jest  
ugotowany na ca3ego. Czyste wariactwo.

—To znaczy, \*e mi3o(% i dzieci to nie dla ciebie?

—7adnych wi zów. Jeszcze nie teraz. Nawet o tym nie my(l .

—Kapuj . — Przez chwil mi si przygl#da, a ja za choler nie wiem,  
co jej chodzi po g3owie. Zaraz jednak twarz jej 3agodnieje i pyta: — I co  
mu kupi3e(?



—Komu?

—Bratankowi?

—Ach, Johnowi. Zdalnie sterowany samochód. Jedn# z tych amerykańskich wy(cigówek. Zapierdzielał, jak nie wiem co. Postanowili(my z Mattem go najpierw przetestowa%. No wiesz, gdyby si okazało, \*e ma jaki( feler.

—Jasne—przytakuje, t#umi#c (miech. —Gdyby si okazało, \*e ma feler, a nie dlatego, \*e chcieli(cie si po prostu pobawi%.

—No co( ty — oburzam si , ale nad u(miechem nie udaje mi si za-panowa%. — Na mi#o(% bosk#, przecie\* nie jeste(my ju\* dzie%mi. Chodziło mi wy#cznie o Johna. Chyba nie ma nic gorszego, jak dosta% prezent, który nie działa, no nie? No wi c musieli(my sprawdzi%, czy wszystko jest w porz#dku. — Teraz kr ci ju\* z dezaprobat# g#ow#. — Poszli(my do ogrodu — opowiadam dalej — i zacz li(my jazd prób#. A potem zrobili(my tor przeszkód.

Nie mo\*e uwierzy%.

—Zrobili(cie tor przeszkód?

—Nic specjalnego, par desek z szopy podpartych ceg#ami. Chcieli(my sprawdzi%, jakie ma zawieszenie.

—A po tym wszystkim pos#aje( autko Johnowi?

—No, nie. Najpierw trzeba by je troch oczy(ci%. — Upijam #yk wina. — I naprawi% ko#o. Przednie. — Robi skrzywion# min . — Troch si wygi #o przy ostatnim skoku.

—Twierdzisz, \*e nie przepadasz za dzie%mi, a sam jeste( jak du\*e dziecko.

Godziny mijaj# niepostrze\*enie i nagle zauwa\*am, \*e „Hot

House", poza nami, opustoszał kompletnie. Wo#am um czonego kelnera i prosz o rachunek, który szcz (liwie nie czyni ze mnie bankruta, mog wi c po pałsku odrzuci% propozycj Amy, \*e p#acimy p#ó na p#ó.

Jej mieszkanie jest niedaleko, po cz (ci wi c dlatego, \*e noc jest gor#ca, roz(wietlona gwiazdami, wprost stworzona do spacerów, po cz (ci za( dlatego, \*e nie wiem, czy sta% by mnie by#o na taksówk do najbli\*szego rogu, zaproponowa#em powrót piechot#.

—Ostatnio wspominała( — mówi — \*e nie uprawiała( seksu od wieków. Mówiła( powa\*nie?

To j# mogło wkurzy%. Na szcz (cie jednak potraktowała moje w(cibstwo spokojnie.

—Owszem. Prawie od sze(ciu miesi cy, je(li chcesz zna% gorzk# prawd . To mój \*yciowy rekord. A czemu pytasz?

—Po prostu byłem zaskoczony, nic wi cej.

—A to czemu?

—Nie wiem—zaczynam.—Jeste( przecie\* bardzo ładna... I fajna. Nie wygl#dasz na tak#, co to jest skazana na samotno(%, je(li jej nie chce...

Wybucha (miechem.

—Do(% ju\* prze\*yżam nieudaczników, teraz czekam na kogo(, kto na prawd mi si spodoba.

—Chcesz powiedzie%, \*e teraz interesuje ci tylko porz#dny facet?

— Otó\* to.

Skr camy w boczn# uliczk , dłu\*szy# chwil idziemy w milczeniu, by wreszcie zatrzyma% si przed szeregowym domem w stylu gregoriałskim.

—Tu mieszkasz? — pytam.

—Tak. Kochany domeczek. Mówi : — No to...

Mówi ona: — No to...

Nagle bardzo pragn by% tym porz#dnym facetem, na którego tak dłu-go czekała, mam wi c nadziei , \*e zaraz nast#pi# korzystne dla mnie wydarzenia. Otó\* ona mo\*e:

a)zapyta%, czy napiżbym si kawy,

b)w3#czy% muzyk , usi#(% obok mnie na kanapie i popijaj#c kaw , czeka% na mój ruch,

c)ola% kaw i rzuci% si na mnie.

Czego jednak si nie spodziewam, a co ona — ku mojemu przera\*eniu — czyni:

- a) dzi kuje mi za wspaniały wieczór i odprowadzenie jej do domu,
- b) przelotnie mnie całuje i odsuwa się ,
- c) mówi, \*e bym odezwał się w przyszłym tygodniu.

Po czym odwraca się , podchodzi do drzwi Przybytku Rozkoszy, otwiera je, wchodzi i dokładnie za sobą zamyka. Stoj jak zamurowany. Gapi się jak sroka w gnat. — Kurwa.

Tyle tylko udaje mi się wykrztusi%, bo poza tym mów odj 3o mi kompletnie.

To tyle, je(li chodzi o porządnych facetów i ich dobr# pass .

## BYCIE

— Chyba \*artujesz? — mówi Matt.

Jest poranek następnego dnia. Kilka minut temu Matt pojawił się w kuchni, gdzie siedziałem skulony przy stole, zamglonymi z niewyspania oczami i po wpatrując się w par unoszących się ze stojącego przede mną kubka z herbatą. Wyraźnie było widać%, \*e stan moich zmysłów jest daleki od zadowolającego. Zapytał mnie więc, co się stało, a ja zrelacjonowałem mu klask , która spadła na mnie wczoraj wieczorem.

— Czy wyglądam na kogoś, kto \*artuje? — warcz .

Siada naprzeciw mnie i przesuwając rękę po zmierzwiionych podczas snu włosach.

— Nie stary, wyglądasz raczej na kogoś, kto traci form .

— Wielkie dzięki. Wzrusza ramionami.

— I co zamierzasz? Zadzwoń do niej?

— Teraz to ty \*artujesz.

— Czemu? Z tego, co mówisz, jest raczej zainteresowana. Może warto spróbować jeszcze raz, je(li ci rajcuje? Rajcuje ci ?

—Cholera, pewnie \*e mnie rajcuje. I to jak. Chyba nie my(lisz, \*e w przeciwnym razie bym si z ni# umówi3? Ale rzecz nie w tym, czy mnie rajcuje.

—W czym wi c?

—Chodzi o to, \*e nie mam nic przeciwko umawianiu si . Wielka mi rzecz. Ale nie znosz dosta% od dziewczyny kosza, po czym ona oczekuje, \*e znowu do niej zadzwoni i si z ni# umówi . Chryste, do czego to prowadzi? Tak samo mo\*e by% nast pnym razem. I nast pnym. Zanim si obejrz , b d zgrzybia3ym starcem, który nigdy w \*yciu nie zazna3 dziewczyny. — Zapalam papierosa. — Matt, wczoraj wszystko sz3o po prostu idealnie, a ona i tak sp3awi3a mnie na progu. Chodzi o to, \*e jestem cholernie wkurwiony.

—Nie opowiadaj. Tak do ko1ca ci nie sp3awi3a. Przecie\* ci poca3owa3a.

—Ty mnie w og3ole nie s3uchasz. Nie po to zabiera3em j# do „Hot House” i wyda3em nie wiadomo ile, \*eby mnie poca3owa3a. Ca3owa% to si mog# dzieci. A ja jestem pe3noletni i doros3y, na mi3o(% bosk#. Gdybym tylko chcia3 dotkn#% j zykiem czego( wilgotnego, to bym sobie kupi3 pieprzone lody.

—Po co si tak denerwujesz? Chcia3em ci tylko podnie(% na duchu. — Jego fa3szywy u(miech zdradza mi, \*e jego zamiarem by3o co( wr cz przeciwnego.

—To ci si nie uda3o.

—Stary, wyluzuj. Mo\*e da si jej zachowanie jako( wyt3umaczy%.

—Na przyk3ad?

—Nie wiem. Mo\*e jest staro(wiecka? Nie chcia3a wyj(% na tak#, co to zaraz daje.

—Na pewno nie jest staro(wiecka. To ostatnia rzecz, jak# mo\*na o niej powiedzie%.

—No to mo\*e trafi3e( na jej tydzie1 \*ycia w czysto(ci.

Ta rozmowa doprowadza mnie do sza3u, zmieniam wi c temat.

—A co u ciebie? Jak tam impreza?

—W porz#dku — mówi, bierze ode mnie papierosa i zaci#ga si g3 - boko. — By#a Linda. Pyta#a o ciebie.

Linda to szybka panienska, marzenie jednej nocy, które przeistoczy#o si w sze(ciotygodniowy koszmar. Telefony, listy, e-maile... przypadek, który Freuda wprowadzi#by w stan euforii.

—Co jej powiedzia#e(?)

—To, co uzgodnili(my, \*e powiem, je(li kiedy( si na ni# natkn : \*e zwariowa#e( na punkcie wiary. Nie wychodzisz. 7yjesz w stuprocentowym celibacie. I tak dalej.

—Uwierz#a ci?

—Kwestionujesz moje zdolno(ci we wciskaniu dziewczynom kitu?

—Nie odwa\*y#bym si .

—To dobrze.

Odbieram swojego papierosa.

— Tobie si poszcz (ci#o?

Nie musi nawet odpowiada%. S#ysz zbli\*aj#ce si do kuchni kroki, po chwili otwieraj# si drzwi i wchodzi dziewczyna. Niebrzydka, musz przyzna%. Nawet z odcini tymi na twarzy (wie\*ymi (ladami poduszki. Nie szkodzi jej te\* stary rozci#gni ty szlafrok Matta — jego jedyne sentymentalne i kompletnie niemodne odzienie — którym si otuli#a.

—Cze( — mówi do mnie lekko ochryp#ym g#osem po zbyt wielu wypalonych papierosach i wypitych drinkach.—Jestem Sian.

—Nie ma sprawy — mamroc .

—Mog sobie zrobi% kawy? — zwraca si do Matta i idzie w stron czajnika.

—Jasne — odpowiada mój przyjaciel. — Gdyby( tylko mog#a si po- (pieszy%. Za jakie( pó3 godziny musimy z Jackiem jecha% do Bristolu.

Jest lekko zaskoczona. — O?

— Sze(%dziesi#tka mojej matki. Chcemy jej zrobi% niespodziank . Przecie\* ci wczoraj mówi#em. Nie pami tasz?

Jasne, \*e nie pami ta, ale to mnie nie dziwi. Je(li si nie myl , to chyba ju\* dziesi#te przyj cie-niespodzianka, jakie Matt urz#dza swojej matce z okazji jej sze(%dziesi#tych urodzin. Zreszt# niewa\*ne. Dziewczyna

zapewnia, że si po(pieszy. Chwil jeszcze siedz w kuchni, przysłuchuj#c si , jak ich rozmowa o niczym powoli przeradza si w milczenie. Wreszcie wstaj i przepraszam, tłumacz#c, i\* musz si przygotowa% na wyjazd do Bristolu. Matt puszcza do mnie oczko, wdzi czny, \*e tak gładko wczużem si w sytuacj . Nawet mi si nie chce odwzajemni% gestu. Prawd powiedziawszy, mam go chwilowo dosy%, i to wyż#cznie z czystej zawi(ci. W kuchni kr ci si wielkooka, w peñni przez niego zaspokojona dziewczyna. A gdzie moja dziewczyna? Ch tnie bym si dowiedział. „Hej, Amy!” — mam ochot wrzasn#%. „Gdzie moja dziewczyna?”

Ponury nastrój i poczucie frustracji nie opuszczaj# mnie przez cały nast pny dzień. Z pocz#tku udaje mi si jako( je ignorowa%, ale nie trwa to wiecznie. W sobot wieczorem id na popijaw z Mattem, Chloe i caż# reszt#. Chloe pyta, jak mi si układa z Amy, ja mówi , \*e w porz#dku. Kiedy jednak domaga si szczegóów, spławiam j#. Postanawiam wzi## si w gar( i wdaj si w rozmow z jak#( dziewczyn#, ale nie najlepiej mi to idzie, wi c wracam samotnie do domu taksówk#.

Zdaj sobie, oczywi(cie, spraw , \*e to Znak. Zaj(cie z Amy mocno nadwer \*yżo moje poczucie własnej warto(ci. Robiżem wszystko jak trzeba, a i tak poszżo fatalnie. Có\* to oznacza? 7e Matt ma racj , a ja w istocie trac form ? 7e Amy zalazła mi za skór ? Czy mój czas podrywacza si kołczy?

Odpowiedzi, które si nasuwaj#, wcale nie przypadaj# mi do gustu.

W niedziel jem z Mattem lunch „U Zacka” i Matt radzi mi, \*ebym dał sobie spokój. Według niego powinienem to potraktowa% jak jeszcze jedno niezbyt szcz (liwe do(wiadczenie i nie zawraca% sobie nim gżowy. Posłucham go. W pi#tek czeka mnie sesja z McCullen, mam wi c o czym my(le%. Szcz (cie chyba jednak mnie opu(ciżo, bo w domu czeka na mnie wiadomo( od niej, \*e niestety, w tym tygodniu si nie spotkamy, poniewa\* wyje\*d\*a do Glasgow, gdzie Jons bierze udział w jakim( idiotycznym studenckim festiwalu rockowym.

Kiedy nadchodzi poniedziałkowe popożudnie, nie ma sensu dżu\*ej ukrywa%, \*e mam problem, któremu na imi Amy. 6api si na tym, \*e



co chwila zerkam na telefon. Chocia\* trudno mi to przyzna%, kusi mnie ogromnie, aby do niej zadzwoni%. Za grosz w tym sensu. Staram si przeanalizowa% stan swojego umysłu i z ulg# stwierdzam, \*e uczuciem dominuj#cym jest gniew. Gniew na ni#, \*e tak mnie urz#dza. I gniew na na siebie, \*e nie udało mi si jej zbajerowa% do kołca. Do ci \*kiej cholery, ale\* jestem w(ciekły. Nie da si przecie\* ukry%, \*e jej si podobam, o co wi c w tym wszystkim chodzi?

Nie zadzwoni do niej. Tak si skada, \*e nie musz .

We wtorek wieczorem siedz sobie w salonie, słucham radia i czytam gazet , kiedy dzwoni telefon, a po chwili w#cza si automatyczna sekretarka. „Cze(%, mieszkanie Matta i Jacka. Nie mo\*emy w tej chwili podej(% do telefonu. Po sygnale prosz zostawi% wiadomo(% . Oddzwonimy na pewno".

Rozlega si sygnał, po nim głos dzwoni#cego:

— Cze(%, chłopaki. Mówi Amy. Mam nadziej , \*e u was wszystko w porz#dku. Chciałam zostawi% wiadomo(% dla Jacka. Dzwoni , \*eby...

I wtedy robi najdziwniejsz# rzecz pod słołcem. Podnosz słuchawk i mówi :

— Cze(%, Amy? Co u ciebie?

Kiedy si roz#czam, ze zdumieniem stwierdzam, \*e przegadali(my ponad godzin . Jeszcze bardziej zdumiewaj#ce jest to, o co j# poprosiłem, a ona si zgodziła. Zaprosiłem j# na obiad. Do siebie.

W pi#tek wieczorem. Halo? Któ\* to chciał o niej zapomnie%, wyrzuci% ze swojego \*ycia i zaj#% si własnymi sprawami? Któ\* to miał si z ni# wi cej nie umawia%? Nigdy, przenigdy w \*yciu?

OK, schrzaniłem spraw .

Schrzaniłem i si u(miecham.

Teraz musz zaj#% si wszystkim.

Dzwoni do Phila, kumpla, który jest głównym kucharzem. Jest mi winien przysług , bo w zeszłym roku nagrałem mu randk z Chloe. Porra, \*eby si zrewan\*ował obiadem z trzech dał dla dwóch osób z dostaw# do mnie w pi#tek po południu. Nic nazbyt wyszukanego; co(, co mog przechowa% w lodówce i odgrza% w piekarniku, kiedy przyjdzie

Amy. Niech sobie pomyśli, jaki to ze mnie wymienity kucharz i super-facet na miar lat dwudziestu.

Wszystko ustalone.

Nie może się nie udać.

Zdobądź swoją kobietę.

Zrekompensuj sobie z powodu niepowodzenia ubiegłego tygodnia.

Nadchodzi piątkowy wieczór i Amy zjawia się punktualnie. Idzie na całość. Chce, żeby było romantycznie? Proszę bardzo, wszystko wedle życzenia. W salonie czeka nakryty stół, zasłony w oknach są zaciągnięte, a Ella Fitzgerald (pieśń o zranionych sercach. Na ścianach, tańcząc, odbija się blask (wiec. Kiedy podaj jedzenie (Phila) i nalewam do kieliszków wino (Matta), sam niemal ulegam czarowi chwili.

Nie do końca jednak. Ponieważ Super-Jack daje o sobie znać.

Pijemy wino.

Jemy.

Opowiadam jej różne rzeczy.

W głębi duszy wiem, czuję to, że błąd jest moja.

Nagle jednak mój cynizm słabnie. Może to wina alkoholu. A może nie jestem tak odporny na romantyczne (wiatry (wiec, wino i towarzystwo pięknej kobiety, jak myślałem. A może dlatego, że gdzieś w połowie kolacji Amy wstaje i zmienia płytę. Wybiera Cata Stevensa. Płytę, o której wszyscy wiedzą, że jej nienawidzę i jednocześnie uwielbiam. A może dlatego, że podoba mi się ona, Amy. O zaniku moich krwiożerczych instynktów może świadczyć nasza rozmowa, która nie milknie ani na chwilę. Przechodzimy od jednego tematu do drugiego, zupełnie jakbyśmy grali w niekończącą się grę domino. Nie da się ukryć: Amy to zjawisko. Tak dobrze nie rozmawiałem z nikim od wieków, ani z Chloe, ani nawet z Mattem.

—To dlaczego z nią zerwałeś? — pyta, zrzucając pantofle i sadowi się obok mnie na kanapie.

Ważne opowiedziałam ci historię mojego życia, nie pomijaj niczego o tym dupku, swoim byłym, teraz wciąż kolej na mnie. Czuję, jak coś we mnie zamyka. Nie lubi mówić o Zoe i naszym rozstaniu.

Zawsze starannie tego tematu unikałem, ponieważ\* zbyt wiele mnie to kosztowało i czułem się zupełnie bezbronny.

—Dlatego — ucinam.

—Nie można tylko „dlatego” skończyć z kimś, z kim było się przez dwa lata. — Przygląda mi się bacznie i potrzebuje głowę. — A może się myli.

Już\* mam zmienić temat, kiedy nagle nasze oczy się spotykają. I dociera do mnie, że nic się nie stanie, kiedy o wszystkim jej opowiem. Nie czai się w niej żaden wilk, gotów porwać mnie w jednej chwili, nie ma też najmniejszej ochoty mnie oszukać. Wbijam wzrok w podłogę i zaczynam mówić, chociaż\* nie wiem, czy sprawiło to wino czy też ja sam; mam to jednak gdzieś.

—Kochałem ją. Nawet wtedy, kiedy ze sobą zrywaliśmy. I to jest ważne (nie najgorsze. Chciałem z nią być, nawet kiedy mówiłem jej, że odchodzi. To bez sensu, no nie?

—W tych sprawach rzadko jest sens.

—Po prostu wiedziałem, że ona nie jest... Mówi ludziom, że gdzieś tam czeka ten ktoś, stworzony właśnie dla ciebie, druga półka jabłka. Z nią nie było, chociaż\* to wspaniała i piękna dziewczyna. Ani ona dla mnie, ani ja nie byłem stworzony dla niej. — Zapalam papierosa, upijam łyk wina. — Zresztą nieważne; tak czy owak nie byliśmy sobie pisani. Historia.

—A potem? Znalazłeś ją?

—Kogo?

—Tę właśnie, tobie pisaną?

—Nie—przyznaj. — Nawet się jeszcze do niej nie zbliżyłem.

—No to chyba nam obojgu szczyt (cie nie za bardzo sprzyja — mówi na koniec.

Prawdziwy ja wie, że oto nadeszła moja godzina. Prawdziwy ja trzyma podniesiony wysoko, migoczący neon: NADCHODZI SUPER-JACK! TWÓJ RUCH. Właśnie teraz powinienem działać w przekonaniu, że jedyne ważne zachowanie szczyt (cie to moje własne, a może liwe jest do osiągnięcia tylko i wyłącznie przez oficjalne „bycie”. Dlaczego więc,

gdy na nią spojrzę, a ona się do mnie uśmiecha, stała przede mną wyjątkowo na odwzajemnienie tego uśmiechu? Dlaczego w głębi duszy żywi przekonanie, że ona jeszcze nie jest gotowa, nie powinienem więc być zbyt natarczywy, bo wszystko mogłoby popsuć i nigdy nie wyjść poza fazę rozmów? I dlaczego wierzę, że to, co ona mówi, jest prawdą?

Ponieważ Marta ma rację, oto dlaczego. Chyba faktycznie tracę formę.

Amy wstaje z kanapy i podchodzi do okna, rozsuwa zasłony i wpatruje się w niebo. Ja nie ruszam się z miejsca, staraję się choć trochę wytrzeźwieć.

— Dzisiaj jest jedna z tych nocy, które długo i dobrze się wspomina — oznajmia.

— Uhm — zgadzam się z nią. — Taka, co to mogłaby trwać bez końca. — No, już jest lepiej. Dochodzę do siebie. Czuję przypływ pewności siebie, mówi: — Ostatnia rzecz, o jakiej można w takiej noc marzyć, to położyć się spać...

„Samotnie”, chciałem powiedzieć „samotnie”. Zanim jednak dokończyłem myślenie, Amy odwraca się i podchodzi do mnie z ożywieniem na twarzy.

— Naprawdę? — pyta.

— Naprawdę — potwierdzam.

— Moja kumpela ze szkoły urządza dzień imprez. Może pójdziemy? Co ty na to? Masz ochotę?

Ale tak, mam ochotę, i to jak, ale na to; nie na tamto.

Nawet nie raczy zaczekać, a ja odpowiem, tylko podchodzi do telefonu i zanim zdążyłbym ją powstrzymać, zamawia taksówkę; po czym odkłada słuchawkę i wraca do okna.

W taksówce podaje kierowcy adres i jedziemy. Na dworze jest ciemno, z radia słychać muzykę dyskotekową, a ja sobie myślę: „Dlaczego nic nie zrobię przed przyjazdem taksówki?” Zająłoby to nie więcej jak dwie sekundy.

Palant.

Na chwilę pogrążam się w stoickiej zadumie. Może po prostu całe to zamieszanie z Amy jest zwykłą pomyślną, rzecz bez przyszłości? Z

rozwoju sytuacji 3atwo przewidzie%, jak si dalej wiecz3r rozwinie. Wejdziemy na imprez , gdzie Amy spotka milion znajomych, a ja ani jednego. Ona b dzie si (wietnie bawi%, mnie zostanie alkohol i sto procent pewno(ci, \*e Do Niczego Nie Dojdzie. Chwila Minie. Patrz na migaj#ce za oknami latarnie i czuj , jak jej noga dotyka mojej. I dochodz do wniosku, \*e jedynym ratunkiem jest zrobi% teraz to, co powinienem by3 zrobi% wtedy.

Wi c robi to.

Ca3uj j#.

Ca3kiem dobry ten poca3unek. Nie najlepszy w \*yciu; ten zaszczyt nale\*y si Mandy Macrone, dziewczynie, z któr# ca3owa3em si po raz pierwszy. Och, to by3o elektryzuj#ce. Dos3ownie. Oboje nosili(my wtedy szelki i kiedy si nimi zetkn li(my, poczuli(my kopni cie, zupe3nie jakby(my wsadzili do kontaktu widelec. Ale poca3unek z Amy jest dobry. M3g3bym tak ca3owa% j# bez ko1ca.

Niestety Amy najwyra3niej jest innego zdania.

Kiedy jednak s3ysz jej s3owa, szybko jej wybaczam.

A ona m3wi:

— Olejmy imprez i jed0my do ciebie.

Mam ochot krzycze%. Skaka% ze szcz (cia. Wypisa% TAK! na wszystkich domach w mie(cie i podzi kowa% nauczycielom, rodzicom, przyjacio3om, ka\*demu, kto kiedy( we mnie wierzy3. Trac form ? Pieprz ci , Matcie Davies. Patrz i podziwiaj.

— Nie3y pomys3 — m3wi . — Zgoda.

Jedyn# niezadowolon# osob# jest taks3wkarz, ale m3wi mi, \*e mo\*e sobie zatrzyma% swoje pieni#dze, byle tylko zawr3ci3 i zawi33 nas z powrotem. Wtedy i on jest ju\* szcz (liwy. Jezu, ca3y (wiat si u(miecha. Zatrzymujemy si przed domem Matta, p3ac i wysiadamy. Wchodzimy do (rodka i zamykam za nami drzwi.

I zaczyna si radocha.

Najpierw przy (cianie, potem przez ca3y hol, a\* do schod3w, a za nami (ciel# si po kolei cz (ci naszej garderoby: moja marynarka, \*akiet Amy. Nie my(lcie sobie jednak, \*e si za siebie ogl#dam. Nic z tych

rzeczy. Patrz wy3#cznie wprzód, koncentruj#c si na tym, co mnie czeka, i na tym, co czyni# moje r ce.

W3#czam autopilota i moje d3#nie wyruszaj# na misj badawcz#. Najpierw w druj# pod bluzeczk , potem pod stanik, gdzie przez chwil manipuluj# wok3# brodawek; ona tymczasem przywiera do mnie całym ciałem i odpina mi pasek przy spodniach. Moje r ce sun# w d3#, ujmuj# j# za po(ladki i przyci#gaj# jeszcze bli\*ej do mnie. Dalej przesuwaj# si wzd3#u\* bioder, pod sp3#dnic , wreszcie trafiaj# pod majteczki.

Wyniki wst pnego rozpoznania terenu, przes3#ane do kontroli naziemnej, wygl#daj# nast puj#co:

- a)drogi stanik
- b)obfite piersi
- c)stercz#ce brodawki
- d)j drne po(ladki
- e)g3#adkie uda

Warunki pogodowe na ni\*ej po3#o\*onych terenach okre(li% mo\*na jako wilgotne. Wniosek og3#lny: — Planeta Odpowiednia do Zamieszkania — Zdolna do Utrzymania Ludzkiego 7ycia. Kontrola naziemna jest zadowolona i daje sygna3 uniesionym do g3#ry kciukiem, zezwalaj#c na rozpocz cie kolonizacji.

Tymczasem Amy otwiera mi rozporek. Jej r ka w(lizguje si do (rodka, a kiedy w pewnym chwycie wi zi zamieszkuj#cego tam stwora, po raz pierwszy od przekroczenia progu przestaj j# ca3owa%. Zdejmuj jej przez g3#ow bluzk i upuszczam na schody, Amy ma zamkni te oczy i przez chwil na ni# patrz , ws3#uchuj#c si w coraz szybszy rytm jej oddechu. Potem odpinam jej stanik, a ona uwalnia z niego ramiona i przerzuca go przez por cz schod3#w.

Otwiera oczy, u(miecha si i szeptem mówi:

—Cze(%.

Czuj si jak w niebie. Tylko na ni# patrz#c.



Jest piękna i, musisz to przyznać, wszystko wskazuje na to, że warto było trochę poczekać. Przesuwam dłońmi wzdłuż jej ciała, wzdłuż bioder, chwytam kraj jej spódnicy i trochę unoszę.

—Pożóć się — mówi.

Co teraz czyni. Poładki i nogi ma na podłodze, plecami wspiera się o schody. Klękam obok niej, odpinam podwiązki i zdejmuję pończochy. Rozsuwam jej nogi, układam się odpowiednio i zniżę głowę, ustami muskam wewnątrz stron jej ud; drażnię, jakby na miar stworzonym językiem, rowek, chwilę pieszczę delikatną skórę na brzuchu. Słyszysz, że wzdycha, i zamykam oczy. Ciesz się, że jestem z nią. Ciesz się, że wciągnę (nie jej zapach wdycham).

Sięgam głowę.

Znacznie głowę.

Ponieważ tam głowa jest wciągnę (nie to).

4

AMY

Sytuację, w jakiej się znajduję, można określić mianem (liskiej).

Nie tak sobie to zaplanowałam. Zaledwie dziesięć minut wcześniej Jack pocałował mnie w taksówce i nie wiem naprawdę, co było w tym pocałunku, ale chyba jakiś narkotyk, ponieważ najwyraźniej postradałam zmysły.

W jednej chwili czuję się jak bohaterka zwykłego romansidła odgrywająca część scenek, a już w następnej zamieniam się w heroinę *Niegrzecznej Anty*, hard porno.

Halo, Amy?

Ziemia wzywa Planetę Ładacznicę?

Le\* na schodach w domu Jacka — stanik porzuciłam gdzieś ( na por -  
czy — i z nogami wspartymi o jego ramiona, z jednej strony czuj si ,  
och... OCH... TAK... TAK... TAM... W6A9NIE TAM... ochhhhhhhh...  
tak... tak... wspaniale, z drugiej jednak ogarnia mnie PRAWDZIWA  
PANIKA, któr# wywołuj#:

Głos Mojej Matki: Zachowujesz si jak zwykła dziwka. Co ty sobie  
wyobra\*asz?

Moja Pró\*no(%: Zaraz zauwa\*y mój cellulitis i pomy(li, \*e jestem tłu-  
stym potworem.

Moje Płuca: Nie mog ju\* dłu\*ej wstrzymywa% oddechu i CO B4-  
DZIE, JE9LI SPOJRZY W GÓR4 I ZOBACZY MÓJ BRZUCH!

Moja Paranoja: Co b dzie, je(li w tej chwili wejdzie do domu Matt?

I najgorsze... okropne... Co, je(li... 9mierdz ?

To ostatnie jest raczej mało prawdopodobne, ponieważ\* przed wyj-  
(ciem pławiłam si i szorowałam w wannie, a\* moja skóra zacz ła  
skrzypie%, ale mimo wszystko niebezpieczeństwo istnieje.

Przed wszystkim jednak czuj si za\*enowana i skr powana tym za-  
\*enowaniem. Chc powiedzie%, \*e sytuacja, kiedy kto( dotyka j zykiem  
tego miejsca... tam... mmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmmm... i zaczyna  
ci delikatnie liza%... ochhhhhhhhhh... tam... nie przytrafia si codzien-  
nie, mam racj ? Rzadko pozwala si na co( takiego pierwszemu lepsze-  
mu Tomowi, Dickowi czy Harry'emu. To takie intymne. Osobiste. OB-  
NA7ONE!

I je(li Jack Rossiter s#dzi, \*e w tym stanie umysłu jestem w stanie  
osi#gn#% orgazm, mo\*e si srodze zawie(%.

Z drugiej jednak strony wcale nie chc , aby przestał. Tak dawno nic  
podobnego mi si nie przytrafiło, \*e nie mam co wybrzydza%. A zreszt#  
Jack to zdobywca — si ga szczytów, o jakich inni nawet nie marz#.

To miże. Miże, ponieważ\* stara si sprawi% mi przyjemno(%). Miże, po-  
nieważ\* wyraźnie o to mu chodzi, i miże, bo H b dzie zadowolona. Co ja  
mówi , H b dzie wniebowzi ta. „Nareszcie — powie. — Nareszcie, do  
ci \*kiej cholery".

Zgadza mi się z nią całkowicie. Tegoroczny, Panie Głowico Prusznica, witaj, faceciu, któremu się naprawdę chce!

Skarb.

Rzadko.

Pieprzony cud!

Ponieważ wszyscy, których do tej pory miałam, byli w tym względzie do niczego.

Wiem na przykład Andy'ego. Pan Byle Szybko Zerknij Panienki (nie szkodzi, może mogłaby w tym czasie wyprasować mu koszulki). Po trzech miesiącach zdobyłam się wreszcie na odwagę i nie miałam napomknąć, że są jeszcze inne rzeczy, które dwoje ludzi może robić razem w łóżku. Jakaś się, zacinałam, plutałam i kiedy wreszcie Andy spojrzął na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem, by natychmiast wrócić do czytanej w niedzielę gazety, miałam się pod ziemią nie zapadać.

Lecz gdy nazajutrz wróciłam z pracy, a Andy spadł na mnie niczym grom z jasnego nieba, powalił na podłogę i wziął się do rzeczy, o której nie umarłam z wrażeń. Nie wierzyłam własnemu szczęściu. Wiłam się zachęcać, jechać, dziękować Bogu i kiedy doszłam do wniosku, że mimo wszystko mogłabym jednak wyjść za Andy'ego, on przestał. Po prostu przestał. Po jakiejś minucie.

— Proszę bardzo — powiedział niezwykle z siebie zadowolony. — Prezent na dzień dobry.

Ale Jack jest inny. On się naprawdę angażuje. Pomrukuje. Jest wyraźnie podniecony, podobnie jak ja. Niestety jednak, nic nie trwa wiecznie. Biedak wkrótce dostanie szczęścia, a poza tym pragnę go dotknąć. Och, jak bardzo.

Dotykam jego głowy, szczęście (liwie porośniętymi włosami. Pachnie niele, super obciętą, a co najważniejsze, nigdzie (ładu żysiny. Wsuwam w niego palce i nie mogę powstrzymać cichego jęku. Jack zapuści od razu. Patrzy na mnie i uśmiecha się.

— Jesteś wspaniałą — mówi, a mnie serce skacze z radości. Po czym mnie całuje. (Phi. Jednak nie (mierdz !)

Nie jest to taki sobie, zwykły pocałunek. To jest Pocałunek.

Wtedy w3a(nie, poniewa\* ma niesamowite cia3o, poniewa\* topniej ca3a pod jego spojrzeniem i poniewa\* chcia3o mu si pie(ci% mnie tak wspaniale, i poniewa\* podoba mi si bardziej ni\* Mel Gibson, Brad Pitt i ten facet z *S3asiad3w* razem wzi ci, postanawiam pieprzy% si z nim, a\* padnie.

Co te\* czyni .

Rany, wydaje mi si , \*e Jack naprawd umiera! Albo to, albo zaraz dostanie orgazmu, na co w sumie by3aby pora najwy\*sza, zwa\*ywszy, \*e odby3 w3a(nie mi3osny maraton.

— Ju\* — dyszy i na czole pojawia mu si bruzda, a usta ma szeroko otwarte. I robi rzecz wspania3#. Wypowiada moje imi . Dok3adnie w chwili, gdy szczytuje.

Super.

Nie pomyli3 si !

Wyczerpany pada na mnie, a ja czuj , jak mocno wali mu serce. Delikatnie g3aszcz go po plecach i patrz w sufit.

Daj mu siedem punkt3w na dziesi %. Nie, to nie fair. Osiem. Ale to i owo mo\*na by jeszcze poprawi%.

Na og33 kochaj#c si z kim( po raz pierwszy, nie nale\*y oczekiwa% zbyt wiele. Zawsze my(la3am, \*e b dzie tak, jak w powie(ciach, którymi zaczytywa3am si , maj#c kilkana(cie lat — obezw3adniaj#ca nami tno(% z jednoczesnym orgazmem o sile trz sienia ziemi, trwaj#ca ca3# noc, a\* do (witu. Kiedy wi c Wayne Cartwright (ci#gle nie mog uwierzy%, \*e straci3am cnot z kim( o imieniu Wayne) wyci#gn#3 ze swoich wrangle-r3w rurek co(, co wygl#da3o r3wnie podejrzenie jak indycze podroby, prze\*y3am prawdziwy szok.

Nast pnego dnia zaczy3am si pod (wietlic#, wiedziona nadziej# uj-rzenia Wayne' a cho% przelotnie, i us3ysza3am, jak dyskutuje z kolegami na temat definicji seksu doskona3ego. Zafascynowana znieruchomia3am pod otwartym oknem. Kiedy jednak wszyscy dyskutuj#cy zgodnie stwierdzili, \*e liczy si tylko jednoczesny orgazm, zdenerwowa3am si i zmiesza3am. Szansa, \*e Wayne Cartwright z penisem grubo(ci pogrzebacza doprowadzi mnie do orgazmu, by3a bliska zeru, ale niech mnie

diabli, je(li dam si zaszufładowa% jako ozi b3a. Dlatego te\* z dnia na dzieł sta3am si Amy Crosbie, Królow# Udawanych Orgazmów. Meg Ryan? Te\* co(! Do pi t mi nie dorasta.

Lecz udawanie to niebezpieczna gra. Stwierdzi3am, \*e chodzi mi tylko o to, \*eby przekona% si , czy który( z3apie mnie na oszustwie. I tu niespodzianka, nigdy \*adnemu si to nie uda3o. Dranie!

Dopiero przy dwunastej próbie (dobry Bo\*e, Jack jest ju\* moim dwunastym facetem) otrze0wia3am. Zrozumia3am, \*e nie pozostaje mi nic innego, jak pogodzi% si z faktem, \*e nie nale\* do tych szcz (liwych, które prze\*ywaj# czysty orgazm pochwowy. No i co z tego? Wszystkie one i tak k3ami#.

Jack mruczy cicho, a ja nie przestaj g3aska% go po plecach.

7eby nasza przygoda zas3u\*y3a na miano idealnej, musia3by teraz da% nura z powrotem pod ko3dr i dokołczy% to, co tak obiecuj#co zacz#3, dobrze wiem jednak, \*e nie bardzo mog na to liczy%, poniewa\* istniej# dwie z3ote zasady seksu:

Zasada I: Faceci nigdy, przenigdy tego nie robi#. Zasada II: Nale\*y za wszelk# cen mie% orgazm przed nimi.

Je\*eli nie uda si wprowadzi% w \*ycie numeru drugiego, trudno mie% pretensje do faceta w zwi#zku z numerem pierwszym. Tak wi c Jack odpad3, mimo \*e moje strefy erogenne krzycz#: „Jeszcze ja, ja, ja, ja, ja!"

Jack obraca si na bok i g3adzi mnie po w3osach. U(miechamy si do siebie, a mnie zalewa uczucie mi3o(ci tak pot \*ne, \*e narz#d mowy wymyka si spod kontroli mózgu.

— Jack, bardzo ci lubi . Naprawd . Jeste( najlepszy — szepcz .

S3owa jeszcze d0wi cz# w powietrzu, a ju\* wiem, \*e w3a(nie zdoby3am pierwsz# nagrod w konkursie na najbardziej ckliw# deklaracj . Po co otwiera3am t swoj# g3upi# g b i w ogóle co( mówi3am? Tak czy owak w rzeczonyj kategorii nie ma sobie równych.

Jack, chyba trochę przestraszony, delikatnie wyjmuję ze mnie swój (dziesięć procent punktów na dziesięć procent) penis, na którym wciąż jeszcze tkwi pomarszczony kondom. W ułamku sekundy zsuwa prezerwatywę, zawiązuje ją i rzuca na podłogę. (Nie da się ukryć, musiał ją kiedyś tego próbować.)

— Jestem niewygodny — wzdycha, pada na łóżko i obejmuje mnie. Leżąc z uchem przytulonym do włosów na jego piersi. Dużo bym dała, żeby cofnąć to idiotyczne wyznanie albo chociaż dowiedzieć się, co on myśli, co czuje, czy wszystko to coś (dla niego znaczy. Nagle jedyne, czego pragnę, to odpowiedzi, odpowiedzi, odpowiedzi.

Zachowuj się jak kretynka. Przez ostatnie dwie godziny odsłaniałam każdy milimetr ciała przed tym mężczyzną, zaliczając nie mniej, nie więcej, tylko dziewięć pozycji, co jak na pierwszy raz jest wynikiem całkiem niezłym. Chyba więc (miało mogą być, że mi się podobam.

Z drugiej jednak strony wiem, że zostałam wykorzystana. W każdym znaczeniu tego słowa. Straciłam przewagę w naszej grze i odwrotu już nie mam. Nie da się odpieprzyć z nim, wobec czego zmuszona jestem renegocjować swoją pozycję i dlatego właśnie (nie tak bardzo pragnę, aby Jack zapewnił mnie, że nie byłoby to jednorazowa przygoda i że rano mój widok go ucieszy.

Mógłbyś przynajmniej coś powiedzieć.

— Jack? — mówi szeptem, głaszcząc go po delikatnej skórze na brzuchu.

Lecz, szczerze (liwie dla siebie, Jack nie wiadomo jest burzy uczucie targającej moją duszę, ponieważ (pi jak niemowlę.

Usnęłam tak mocno, jakby co najmniej od tygodnia nie zaznałam snu. Nie dociera do niego nic, spędzam więc prawie całą noc, zastanawiając się, czy wie, że pewnego dnia powróci pod postacią rozwiązania.

Jest już dziewięć rano i słońce po wietle wpadającym przez szczeliny w żaluzjach, zapowiada się kolejny upalny dzień. Jack mógłby się w końcu obudzić. Marzę, żeby otworzył oczy, dał nura pod kołdrę i na wpół jeszcze (pięć kochał się ze mną znowu. Niestety jednak, pozosta-



je mi tylko le\*e% przy akompaniamencie jego pochrapywania i czu%, jak p chertz z wolna nadyma mi si niczym balon.

Delikatnie odsuwam jego r k , któr# obejmuje mnie za szyj , i ostro\*nie wy(lizguj si z 3ó\*ka. Zmierzaj#c do drzwi, zarzucam na siebie jego koszul . Spogl#dam na niego z czu3o(ci#, jak pomrukuj#c co( przez sen, ze zmierzwionymi włosami, przewraca si na bok.

U(miechni ta, bo zadowolona ze zdobyczy, i lekka jak piórko, bo nareszcie z pustym p chertzem, wychodz z 3azienki i wpadam prosto na Matta. Uups! Rumieni si po koniuszki palców u stóp, a\* nadto (wiadoma, \*e oto stoj przed nim tylko w koszuli Jacka, a ta ledwo zakrywa mi po(ladki.

Matt jest wyra0nie ubawiony, a ja czuj si jak bezwstydna dziewczucha, za któr# bez w#tpienia mnie uwa\*a.

—Jack jeszcze (pi? — pyta z u(miechem. Kiwam g3ow#, unikaj#c jego wzroku.

—Bez kontaktu.

—Mo\*e si napijemy herbaty?

—Nie, chyba nie, ja... — J zyk mi si pl#cze. Matt nie spuszcza ze mnie oczu. Kiedy stoi tak blisko, zauwa\*am, \*e jest du\*o wy\*szy, ni\*my(la3am, i cholernie przystojny. Ubrany jest tylko w bokserki i podkoszulek. Ma wysportowane, atletyczne i wspaniale opalone —jak to mo\*liwe? — cia3o i chocia\* dopiero co wysz3am z 3ó\*ka Jacka, czuj dreszcz podniecenia pomieszany z poczuciem winy. Lecz có\*, jestem przecie\* tylko zwyk3# istot# z krwi i ko(ci.

—Chod0. On b dzie jeszcze spa3 ca3e wieki — szepcze konspiracyjnie Matt, a ja u(miecham si do niego. Wci#\* nie spuszcza ze mnie badawczych niebieskich oczu, wi c w ko1cu kiwam g3ow#, cho% czuj si troch jak spiskowiec.

Naci#gam koszul , ile si da, i niczym japo1ska konkubina drobnymi kroczkami sun za nim korytarzem, (ciskaj#c kolana. Z zachwytem patrz , jak swobodnie stawia d3ugie kroki. Ma bardzo pi kne stopy. Du\*o pi kniejsze ni\* Jack.

Po wczorajszej kolacji kuchnia wygląda, jakby przeszło przez nią tornado. Matt ostro\*nie zdejmuję czajnik ze stosu brudnych talerzy i trz#cego się na blacie.

— Wybacz ten bajzel — mamrocze skr powana. — Ale nie dali(my rady... hm... posprz#ta%.

Matt wybucha (miechem.

— To znaczy, \*e noc była udana?

Pchni ciem otwiera podwójne drzwi i w jednej chwili kuchni zalewa ciepłe s#oneczne (wiat#o i (piew ptaków. Mam wra\*enie, \*e gram w reklamie.

— Och, było super — mówi i oparta o framug drzwi spogl#dam na niego.

Halo? C#o\* to się dzieje?

— Jack wy(mienicie gotuje — dodaj .

RS

Matt nalewa do czajnika wodę .

— Prawda? Wciąż mu mówi, że powinien wziąć udział w *Gotowaniu na ekranie*.

— To prawda.

— No tak, niestety jest zbyt zajęty. Wiesz, jacy są artyści.

— Z tego, co mówi, rzeczywiście ma kupić roboty, i jeszcze te wszystkie modelki.

Wciąż czajnik.

— Fakt, kup z tym zachodu.

— Widziałeś jego prace? Są dobre? Kiwa głową.

— Doskonale. Chociaż ostatniej mi jeszcze nie pokazał.

— Ach, tej z Sally? — Ciekawość zwyciężyła. — Jaka ona jest? Matt nie potrafi ukryć zakłopotania.

— Hm, jakby tu powiedzieć?

To miżę, że stara się chronić Jacka.

— Nie musisz się krępować — uspokajam go z uśmiechem. — Jack mówił mi, że to stary, szpetny karakan.

Matt odrzuca do tyłu głowę i wybucha śmiechem. Kiedy wreszcie się uspokoja, spojrzą na mnie, a ja zaczynam czuć się niepewnie.

— Co? — pytam.

— Do twarzy ci w tej koszuli.

— To koszula Jacka — tłumacz się nerwowo bawiąc się jej brzegiem.

— Hm. Niebrzydka — stwierdza Matt. — Herbata zwykła czy Earl Grey?

On ze mną flirtuje! Patrzy na moje nogi!

— Zwykła proszę. Pozmywam trochę — proponuję bokiem, jak kaleki krab, przesuwam się w stronę zlewu. A ja nadto jestem (wiadoma, że nie mam majtek. Jest więc nie do pewnego, że Matt o tym wie. Boję się spojrzeć mu w oczy.

Nachyla się i sięga po herbatę do szafki nad zlewozmywakiem. Jest tak blisko, że czuję jego zapach. Nie pachnie jednak płynem po goleniu, ale (wieżym) mydłem. Śładnie. Dostrzegam też delikatne włoski na jego

przedramieniu. Na łokciu ma bliznę i nie zastanawiam się, dotykam jej. Ma ciepło w dotyku skóry.

—Skąd to masz? — pytam.

—Ja mu ją zrobiłem.

Odwracamy się oboje i widzimy Jacka stojącego w drzwiach.

—Jeśli ci to interesuje, wykopałem go z domku na drzewie. Słuchaj po wyrazie jego twarzy, \*a\* może chyba, \*e\* nie wykopał go bardziej skutecznie. Na wpół (wiadomie obciążam na udach koszul).

Jakby nigdy nic, Matt przewiesza przez ramiona czarny rękawiczki, obrzuca mnie półmrocznym spojrzeniem, co nie uchodzi uwagi Jacka, który wie, \*e\* jestem (wiadoma, i\* to zauważ).

—Herbaty, stary? — zagaduje Matt.

Jack mruży coś potakująco. Proszę, proszę. To by było na tyle, jeśli chodzi o występ w reklamie.

Matt puszcza do mnie oczko i podnosi wzrok do nieba. Jestem w kropce. Ruszam w stronę Jacka, on jednak tylko unosi brwi i obojgnie spogląda na ogród.

Matt zalewa herbatę.

—Jakie masz na dzisiaj plany? — zwracam się do Matta, usiłując nawiązać rozmowę i przynajmniej stworzyć pozory, \*e\* nic się nie stało, mój głos jednak przepojony jest poczuciem winy.

Matt wzrusza ramionami.

—Chyba nigdzie się nie wybieram. Poopalam się trochę w ogrodzie i obejrzyj mecz. Jack, a ty? Będziesz oglądał?

Jack tak \*e\* wzrusza ramionami, wyraźnie zirytowany.

—Sam nie wiem. Myślę, \*e\* trochę dzielić popracuję.

—Jak chcesz — mówi Matt i cicho pogwizduje, wycofuje się z kuchni. Zostaj sama na placu boju, a atmosfera jest tak gęsta, \*e\* a\* boli.

Jak mam dotrzeć do Jacka, przebić się przez gradów chmur, którymi się otoczy? Po co w ogóle wyrażałam złość? Co mnie pokusiło, \*e\*by nie zaczekała, a\* on się obudzi? Patrzy teraz na mnie jak na kogoś zupełnie obcego i trudno mi to zażyć.

Gdybym to ja zastała go w kuchni głaszczącego łokieć po naszej pierwszej wspólnej nocy, chyba by mnie szlag trafił. Bardzo chciałabym powiedzieć coś zabawnego o Matcie albo przynajmniej wyjaśnić, że nie miałam wyboru i musiałam przyjść z nim do kuchni, wiem jednak, że cokolwiek wymyślę, i tak będzie wyglądało, jakbym czuła się winna.

—Cukru? — pytam drżącym głosem.

—Nie, dziękuję — mówi i siada przy stole.

Podaj mi herbatę. Wygląda na wycieńczonego. Och, gdyby tak dało się przewinąć tą i zacząć jeszcze raz. Totalna klęska.

—Masz dużo pracy? — usiłuję nawiązać rozmowę.

—Tak.

—Och. — Wbijam wzrok w podłogę. Jack pociąga łyk herbaty.

—A ty? Jakie masz plany?

Jego głos nie brzmi zbyt zachęcająco. Wzruszam ramionami. Cóż mogłoby powiedzieć? Jeśli mnie teraz wyrzuci, spędzę cały dzień pogromiona w łóżku, szlochając i zawodząc. Nie sądzę jednak, żeby go to interesowało.

—Chyba żadne.

Spoglądam na niego ukradkiem. Czy nie widzi, że jedyne, o czym marzę, to przeskoczyć tę dzielnicę nas wielką przepaścią i uczeplić się go po wsze czasy? Czyżby nie dostrzegał, że poważnie zastanawiam się, czy nie zostałam od dzisiaj pijawką? Cóż mogłoby poradzić, że schrzaniłam?

Zapada długa, niezręczna cisza, którą przerywa Jack.

—Znosi się na piwnicy dzień — kiwa głową w stronę ogrodu.

Nie, nie, nie. Nie serwuj mi teraz grzecznej rozmowy o pogodzie, bógam. Nie zniosę tego. Przeżykam (lin i także spoglądam na ogród.

—W takim pogodzie nie znoszę Londynu. Myśl tylko o tym, żeby znaleźć się na plaży — mamroczę, popijając herbatę.

Podnoszę wzrok na Jacka. Nie mam już nic do stracenia. Muszę poprosić, staraj się jednocześnie, żeby nie zabrzmiało to jak bóganie.

—Nie miałabyś ochoty wybrać się do Brighton? Moglibyśmy zapaść pociąg i być tam za kilka godzin.

Przemówiła kobieta zdesperowana.

Jack mruży oczy i chwilą na mnie patrzy. Nie ma zbyt zachęcającej miny, jednak w końcu wzdusza ramionami i rzuca:

—Czemu nie?

W pierwszej chwili nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam. Gapię się na niego z otwartymi ustami, a wreszcie do mnie dociera.

— Super! — wykrztuszam, jakby poraził mnie prąd. Och, ale jestem wdzieczna. Mam ochotę całować jego stopy. Jak mogłam choć przez chwilę myśleć, że Matt ma śladniejsze?

W moim mieszkaniu, kiedy przyszedliśmy, żebyśmy się przebrała (podwiązki i szpilki nie są najodpowiedniejszym strojem na plażę) nie mogłam przestać na niego patrzeć, wciąż sprawdzając, czy jest prawdziwy. I czy naprawdę jest tu ze mną.

Ale jest. W mojej kuchni. Została mi dana jeszcze jedna szansa! To powinno wystarczyć, żeby w gazetach ogólnokrajowych pojawiły się nagłówki: AKCJA RATUNKOWA SKAZANEJ NA STAROPANIE<-STWO.

Zostawiam go w kuchni, gdzie używa wycignięty z zamrażarki lód, a sama tanecznym krokiem wchodzi do sypialni i całuje swojego misia.

— Misiaczku, w mojej kuchni krzycisz mi coś! — szepczę mu do ucha. Mię spogląda na mnie szklanym jak zwykle wzrokiem.—No, nie siedź tak, tylko poradź, w co mam się ubrać?

Rozbieram się i przekopuję komodę w poszukiwaniu niebieskiej sukienki, kiedy jednak ją nakładam, na samym przodzie zauważam wielki plamę po czerwonym winie. Typowe. Szybko przebieram się w wystrzępione szorty i plażową bluzeczkę. Zbyt swobodne? Za bardzo w stylu *Aniołków Charliego* Misiu, pomocy!

Jack nie zabrał żadnego bagażu. Ma tylko to, co na sobie. Jak ci faceci to robią? Czy można czuć się bezpiecznie bez kompletnego zestawu pielęgnowanego i księżki czekowej? Nie rozumiem. Zanim się zorientowałam, na stole pojawił się stos, który starczyłby na trzytygodniowe wakacje, a są to tylko rzeczy najpotrzebniejsze: szczotka do włosów, kosmetyki, bikini (czy się odważę?), okulary przeciwsłoneczne, rękawiczki



pla\*owy, d\*insy (na wypadek, gdyby si nagle ochłodziło), zapasowe majtki (nieodrodna córeczka mamusi), dezodorant, czapka — kolca nie wida%.

Grzebi w górnej szufladzie, (wiadoma, \*e nuc pod nosem: „Jedziemy na wakacje”, jakbym była samym Cliffem Richardem. Pora si zbiera%, bo lada moment przejd do bardziej ambitnego repertuaru, a to ju\* byłaby przesada. Nie \*ażuj sobie perfum, spryskuj nimi nawet żono, na wszelki wypadek.

Mam ju\* zamkn#% szuflad , kiedy mój wzrok pada na prezerwatywy. Przyciskam opakowanie do piersi, wypowiadaj#c w duchu \*yczenie. Błagam, błagam, błagam, niech Jack prze(pi si ze mn# raz jeszcze... Chwileczk , te s# ekstradżugie! Cholera!

Natura hojnie Jacka obdarzyła, na pewno jednak nie w stopniu usprawiedliwiaj#cym u\*ycie superwielkich kondomów. Rzucam si do szafki ze wszystkim, która stoi w rogu, i znajduj w niej peźne opakowanie elektronicznie sprawdzanych, superbezpiecznych, o ró\*nych zapachach, w które zaopatrzyła mnie pani z kliniki planowania rodziny. Prawdopodobnie ich data wa\*no(ci min ła ze sto lat temu, ale nie mam ju\* czasu tego sprawdza%.

—Co ty tam robisz? — woła z kuchni Jack.

—Jeszcze sekund — %wierkam, padaj#c na kolana, \*eby wyci#gn#% spod żó\*ka torb . Udaje mi si znale0% tylko t najwi ksz#, ale trudno. Upycham w niej wszystko, ż#cznie z prezerwatywami (b dziemy mogli troch pogrymasi%) i wracam do kuchni.

—Wiaderko i żopatk te\* spakowała(? — pyta Jack, wr czaj#c mi szklank soku z lodem.

—Jasne! — u(miecham si i wypijam sok. — Mo\*emy i(%.

Mam wra\*enie, jakbym była na haju, Jack jednak wci#\* zachowuje si z rezerw#, kiedy wi c stoimy w kolejce do kasy na dworcu Victoria, sytuacja jest do(% niezr czna. Nasze dżonie dzieli pi tna(cie centymetrów przestrzeni nie do przebycia; mierz j# wzrokiem, modl#c si w duchu o odrobin odwagi, która pozwoliłaby mi j# pokona%. Niestety, moje na-

dzieje s# p#onne. Zbyt dobrze wiem, \*e intymno(% , któr# dopiero co dzielili(my minionej nocy, jest niemo\*liwa w miejscu publicznym, zwłaszcza przy wt#rze nieustannie wyg#aszanych przez megafony komunikat#w.

C#\*, Jack zachowuje zimn# krew. W porz#dku, ja te\* tak potrafi .

Przynajmniej tak# mam nadziei .

Tyle tylko, \*e jest tak cholernie przystojny w tym swoim T-shircie i nie wiem, jak d#ugo uda mi si# wytrzyma%. Zawieram jednak pakt sama ze sob#. 7ADNYCH CKLIWYCH UWAG i 7ADNEGO B#AGANIA.

Kiedy dochodzimy wreszcie do okienka, gor#czkowo przekopuj torb# w poszukiwaniu portfela, Jack jednak nawet nie chce s#ysze%, \*ebym p#aci#a, i niedbale rzuca na lad# swoj# kart# Visa. Wzdycham skrycie, bo czuj , \*e jego notowania rosn# w tempie b#yskawicznym.

W kiosku kupujemy niezb#dne zapasy: butelk# wody, gum# do \*ucia i fajki. Stoj# za plecami Jacka i nie mog# wyj(% z podziwu. Ale\* on jest asertywny!

— O kt#rej mamy poci#g? — pyta.

Niby takie proste pytanie, a ja wpadam w panik# jak pierwsza lepsza ma#olata. Zezuj# na tablic# odjazd#w, ale wszystko mi si# zamazuje. Czy dlatego, \*e powinnam nosi% ju\* okulary, czy te\* raczej dlatego, \*e Jack stoi tu\* obok, a ja ze wszystkich si# staram si# zapanowa% nad przemo\*nym pragnieniem przytulenia si# do niego?

Musimy gna% p#dem, \*eby z#apa% poci#g. Jack w ostatniej chwili wci#g#a mnie przez zamykaj#ce si# ju\* drzwi i na chwil# l#duj# w jego ramionach. Wspieram si# d#oni# o jego pier(, nasze oczy si# spotykaj# i Jack trzyma mnie d#u\*ej, ni\* sytuacja tego wymaga. Ton# w jego spojrzeniu, poci#g szarpie, a mnie w tym samym momencie serce podchodzi do gard#a. Jack chyba czuje si# podobnie, bo rumieni si# i u(miecha, jakby troch# zmieszany.

Odsuwamy si# od siebie i idziemy do przedzia#u, ja za nim, wstrzymuj#c oddech. Poci#g jest dosy% pusty i bez trudu znajdujemy wolne miejsca przy oknie.

— Dawaj! — Jack chwyta mój torb , \*eby po3o\*y% j# na górnej półce.

Jest to jedna z tych chwil, kiedy wszystko si dzieje w zwolnionym tempie.

Z przera\*eniem patrz , jak szarpie torb za jeden uchwyt, torba si przechyla i wszystkie moje skarby syp# si lawin# na pod3og mi dzy nami. Wszystkie. Z prezerwatywami na czele.

Spogl#damy na nie w milczeniu.

— Hm, Amy — odzywa si w ko1cu, masuj#c sobie policzek. — Jedziemy tylko na jeden dzie1. Czy nie podchodzisz do sprawy zbyt... entuzjastycznie?

Jest mi niedobrze. Padam na kl czki i gor#czkowo upycham wszystko na powrót w torbie. Chyba nawet włosy poczerwienia3y mi ze wstydu.

—Nie kupi3am ich, tylko dosta3am w klinice planowania rodziny... — zaczynam si tłumaczy%, od razu jednak dociera do mnie, \*e tylko pogarszam sytuacj .

—Có\*... to bardzo zapobiegliwie z twojej strony.

Kretyn, psiakrew. Co to ma znaczy% „zapobiegliwie”? Zupe3nie jakbym by3a jak#( walni t#, bezwstydn# bab#. Gwa3townie chowam prezerwatywy. Czuj si jak kompletna idiotka; zaraz chyba rzuc si na tory z rozpdzonego poci#gu. Najgorsze, \*e nie mog powiedzie% nic, czym nie o(mieszy3abym si jeszcze bardziej.

Jack krztusi si ze (miechu, a ja opadam na siedzenie. Kul si i chowam twarz w d3oniach. Nie mam si3y na niego spojrze%, poniewa\* jednak (mieje si coraz bardziej, zerkam nie(mia3o przez palce.

—Ale si zaczerwieni3a(!

—Och, mój Bo\*e! Co ty sobie o mnie pomy(lisz? — zawodz .

Si3# sadza mnie sobie na kolanach i czule tuli.

— 7e nie mog si doczeka%, a\* zrobimy z nich u\*ytek — szepcze, po czym przyk3ada ch3odn# d3o1 do mojego rozpalonego policzka i ca3uje nami tnie, a ja, porwana niepohamowan# rado(ci#, zapominam, \*e chyba mia\*d\* go swoim ci \*arem.

Kiedy dojeżdżamy do Brighton, wydaje się niemożliwe, że stosunki między nami ochłodzą choć na chwilę. Gadamy jak starzy kumple, opowiadamy sobie o minionych wakacjach, rodzinie i jest tak normalnie — po prostu fantastycznie. Zupełnie jak między prawdziwymi przyjaciółmi. Idziemy w stronę plaży i usta nam się nie zamykają ani na sekundę. Sólce odbija się od wody, wszędzie kręcą się ludzie w kostiumach kąpielowych, a w powietrzu unosi się cudowny zapach lata wymieszany z podmuchami, w których daje się wyczuć aromat gofrów i waty cukrowej dochodzący ze straganów rozstawionych na molo.

Upał panuje oszałamiający. Nagle wydaje mi się, że cofnęłam się do czasów dzieciństwa, i ogarnia mnie nieprzeparzona zabawa w piasku wiaderkiem i łopatką. Marzy mi się wódcę ga wzdłuż morza, co najwyraźniej odpowiada też Jackowi. Gapiemy się za siebie i biegniemy w stronę mola, jakbyśmy rzeczywiście mieli po pięć lat i byli partnerami w zobowiązaniu.

Kręcimy się po molu, opychamy lizakami, robimy do siebie miny, wystawiając twarze przez otwory w kartonowych planszach. Może nie zachowujemy się jak należy, nie rozmawiamy o minionej nocy, ale cóż to ma za znaczenie. Wspaniale jest znaleźć się z dala od Londynu i wszystkich znajomych. Jestem wyluzowana i nie staram się ani być cool, ani robić na nim wrażenia. Wystarczy mi, że jesteśmy razem.

Docieramy do toru samochodowego. Jack jest w swoim żywiole. Głównie mi się chce, że taki z niego dzieciak. Zdumiewające, jak wiele może o człowieku powiedzieć zwykła zabawa w wyścigi. Obnaża całkowicie osobowość, dzięki czemu dowiadujemy się, że Jack:

- a) uwielbia współzawodnictwo,
- b) nienawidzi przegrywać.

— Czekaj, dziewczyno, zaraz spuszczę ci manto — oświadcza Nigel Mansell Rossiter, wrzucając monetę do automatu.

— Czyby? Jesteś tego absolutnie pewien? — pytam, ustawiając swoje siedzenie. — Zaraz się przekonamy.

Startujemy i pędzimy po torze Monako. Spoglądam za siebie i widzę, że Jack ma jakieś problemy z hamulcami i maksymalnie skoncentrowa-

ny zagryz# wargi, a ja z trudem opanowuj ogarniaj#c# mnie fal tkli-  
wo(ci, poniewa\* marz o tym, \*eby go pokona%. I przez czysty przypa-  
dek mi si udaje. Trzy razy.

Dzi ki Ci, dobry Bo\*e, jestem Twój# dłu\*nicz#.

Jack nie mo\*e prze3kn#% pora\*ki. I jest powa\*nie wkurzony, kiedy nie  
mam ochoty na jeszcze jeden wy(cig, odbieraj#c mu tym samym szans  
na rewan\*.

— Trzeba wiedzie%, kiedy przesta% i wycofa% si , maj#c przewag —  
droc z nim, gdy na powrót wchodzimy w s3oneczne (wiat3o. Jack  
wygl#da jak rozw(cieczony byk. Mam wra\*enie, \*e z trudem powstrzy-  
muje cisp#ce si na usta s3owa: „Ale przecie\* jeste( tylko dziewczyn#!“  
Z drugiej jednak strony wiem, \*e jest pod wra\*eniem. Rzucam mu spoj-  
rzenie przez rami i mówi z u(miechem: — Stary, nie p kaj!

To wystarcza. Rzuca si w pogo1 za mn#, a ja z piskiem uciekam ile  
si3 w nogach, lawiruj#c pomi dzy dzie%mi i ich babciami. Przebiegam  
przez weso3e miasteczko a\* do ko1ca mola, gdzie Jack mnie wreszcie  
dopada, przypieraj#c do balustrady. Bardzo chce przybra% marsow# mi-  
n , ale zwyci \*a szeroki u(miech i nagle (ciskamy si i ca3ujemy jak  
czternastolatki. Obok przechodzi jaki( dzieciak i wydaje przeci#g3e  
„Uhuhu!“ na nasz widok. Chichocz#c, Jack odsuwa si ode mnie. Przód  
jego szortów przypomina namiot, co roz(miesza nas jeszcze bardziej.

Opiera si o balustrad i spogl#da w d33, na wod pieni#c# si wok33  
mola. Ja staj twarz# do niego, wsparta o por cz 3okciami. Wraz z cie-  
p3ym wietrzykiem dociera do nas ha3as rozp dzonej kolejki górskiej w  
weso3ym miasteczku, któremu towarzyszy zachwycony wrzask pasa\*e-  
rów, kiedy wagoniki spadaj# w przepa(%.

— Jeste( pi kna i wspania3a — oznajmia Jack niespodziewanie. — I  
masz najpi kniejszy u(miech na (wiecie.

Poniewa\* razi mnie s3o1ce, przymykam jedno oko i spogl#dam na  
niego. Oniemia3am, bo nigdy wcze(niej nie powiedzia3 mi nic podobne-  
go. Chyba si troch zawstydzil3.

— Fajnie byłoby tu dać nura — dodaje, pokazując głowę w wodę, ja jednak nie mogę wykrztusić ani słowa, ponieważ moje kołcówki nerwowe tracą władzę, zalane hektolitrami endorfiny.

Ujmuję mnie za rękę, mam jednak spocone dłonie i staram się uwolnić. Zauważa to, ale tylko (cisną mocniej moją lepką rękę i całuje ją).

— Chodź, idziemy na plażę. — Puszcza do mnie oko.

Czasami sobie myślę, że dorosłość to najtrudniejsza rzecz pod słońcem. Żaden egzamin nie może się z nią równać, tym bardziej że nie ma przygotowanych do niej kursów ani szkoleń. Nie wiemy, że pewnego pięknego dnia, mniej więcej w okolicach dwudziestki, nagłe będziemy musieli zacząć zachowywać się inaczej. Być kimś innym. Dojrzałym. Dorosłym, z wszystkimi jego obowiązkami, jak rachunki do zapłacenia, hipoteka i decyzje podejmowane bez żadnych ceregieli. Od bycia dorosłym jedno tylko jest gorsze: bycie dorosłą samotną kobietą.

To o!e, że się do tego przyznaję. Wręcz przeciwnie, powinnam być zadowolona. Dość się naczytałam (wioszkowatych magazynów dla kobiet, aby powiedzieć, że jako kobieta lat dwudziestych, zgodnie z definicją powinnam być całkowicie wyluzowana, zadowolona z własnego towarzystwa i zupełnie niezależna; (wielce radzęca sobie w każdej dziedzinie życia; taka Zosia-sa-mosia o ustabilizowanej sytuacji zawodowej i finansowej; odporna na każdą formę krytyki; nieustannie szczera (liwa, że może rozwijać się duchowo.

Wszystko to jednak jeden wielki stek bzdur. Rzadko kiedy udaje mi się sprostać choćby jednemu wymaganiu, zwłaszcza że od sześciu miesięcy czuję się jak gruby dzieciak, z którym nikt nie chce się bawić. A nawet jeśli jakiś facet wykazał chęć na wspólne zabawy, we mnie na jego widok wzbierał odruch wymiotny i pragnienie ucieczki na koniec świata. Nie powinno to mieć dla mnie znaczenia; cóż, skoro jest akurat na odwrót. A dla tego, że każdy, kto skończył dwa lata, dobrze wie, że zabawa w pojedynkę jest koszmarnie nudna i rzadko kiedy się udaje.



Kiedy jednak jeste( dzieckiem, zawsze mo\*esz wbiec do domu, a tam czekaj#ca mama ci utuli, da ciasteczko i (wiat od razu wraca na swoje miejsce. Po czym nagle stajesz si dorosły i nie ma ju\* gdzie si schroni%, co nale\*y przyjmowa% ze stoickim spokojem, zupełnie jakby nie miało to \*adnego znaczenia. I bardzo szybko zaczyna ci dr czy% poczucie winy, \*e marzysz o kim(, z kim mógłby( si bawi%. I pragniesz tego z ka\*dym dniem mocniej. A im bardziej pragniesz, tym bardziej si to wydaje nieosi#galne. Kr cisz si po supermarkecie z koszykiem i z przera\*eniem patrzysz na ludzi, którzy przyszli tam z wózkami. Ludzie, w których dru\*ynie nie grasz, i zaczynasz si zastanawia%: „Dlaczego w3a(nie ja? Co jest ze mn# nie tak?"

Od czasu do czasu p kasz, a wtedy kto(, na przykład H, mówi ci: „Nie martw si , to przychodzi, kiedy si wcale nie spodziewasz". Ten, kto to powiedział pierwszy, powinien by3 stan#% przed plutonem egzekucyjnym i zgin#%, bo zawsze tego oczekujesz i wsz dzie si za tym rozgl#dasz. A rozgl#daj#c si , przestajesz widzie%.

Po czym nagle, niczym grom z jasnego nieba, to nadchodzi. Tak po prostu. Nagle jeste(cie razem. Jak ja teraz, z Jackiem u boku, który swój krok równa z moim i obejmuje mnie ramieniem. Zupełnie jakby było to co( najzwyczajniejszego pod s3o1cem. Ale jak do tego doszło? Jest fantastycznie, lecz z drugiej strony troch nie fair. Tyle miesi cy cierpienia i szarpaniny, a teraz prosz , wszystko takie proste. Bu3ka z masłem. Skoro jednak uczucie wspólnoty zjawiło si tak szybko, równie szybko mo\*e przecie\* przemin#%.

I nagle pragn , aby ta chwila trwa3a wiecznie, a czas stan#3 w miejscu, \*eby wszyscy mogli nas zobaczy% i zrozumie%, \*e czuj si o wiele lepiej, b d#c cz (ci# „nas", ni\* kiedy jestem nikim wi cej jak tylko sob#.

Jack przystaje ko3o sklepu sportowego.

— Mo\*e si po(lizgamy na nartach?—pyta i 3apie mnie za r k .

Tak szybko znalaz3am si wewn#trz, \*e nie zd#\*y3am nawet zaprotestowa%. Patrz na niego i (miej si w duchu. Jest mi weso3o, bo on nie ma poj cia, co dzieje si w mojej g3owie; zreszt# i tak niczego by nie zrozumia3. Jest w ko1cu tylko facetem, a faceci nigdy takich my(li nie

maj#. I słusznie. Och, jak\* e mu zazdrozcz nieskomplikowanego \*ycia. Wspaniałe jest móc si całkowicie skoncentrowa% na tu i teraz. Ile\* mia-  
łabym czasu, gdybym nie trwoniła go na prze(laduj#ce mnie egzysten-  
cjalne rozterki. Mogłabym by% impulsywna, jak Jack w tej chwili, a mo-  
je \*ycie byłoby jedn# wielk#, nieustaj#c# zabaw#.

Pami tam, jak po raz pierwszy zawi#załam sama sznurówki. Ale\* to  
była rewelacja! Nagle wszystko stało si idealnie proste. Nie musiałam  
ju\* niczego szuka%. Teraz, kiedy w sklepie patrz na Jacka, czuj mniej  
wi cej to samo, zupełnie jakbym nagle poj ła sztuk bycia szcz (liw#. Mam ochot waln#% si w czoło i krzykn#%: „Cholera! Przecie\* to takie  
oczywiste!”

Dziewczyna w sklepie ostrzega mnie, \*ebym nie upierała si przy bi-  
kini, które sfrunie ze mnie w ułamku sekundy, i wr cza mi lepki, wil-  
gotny kombinezon z pianki, który zdecydowanie nie przydaje wdzi ku  
moim i tak zbyt szerokim biodrom. Jack, oczywi(cie, wygl#da jak James  
Bond i a\* mnie skr ca z zazdro(cie, kiedy widz po\*#dliwy wzrok dziew-  
czyny za lad#, którym go taksuje.

Hej ty, trzymaj łapy przy sobie!

W wodzie Jack zamienia si w człowieka pierwotnego. Widz w jego  
oku błysk i ju\* wiem, \*e tylko czeka na rewan\* za kl sk w wy(cigach  
samochodowych. Mknie po wodzie, a ja z trudem utrzymuj równowag  
na wielkich falach, które si za nim tworz#.

— Nie bój si , po prostu jed0! — woła do mnie, wi c przy(pieszam i  
p dz w horyzont z szybko(cie# prawie ponadd0wi kow#. Uczucie jest  
tak niesamowite, \*e a\* krzycz , kiedy woda rozbryzguje mi si na twa-  
rzy. Jack mnie dogania i pokazuje, jak si skr ca. Nawet nie wiem kie-  
dy, staj si gwiazd# *Słonecznego patrolu*. Ju-hu!

Bawi si (wietnie i czas mija błyskawicznie. Kiedy l#duj wreszcie  
na pla\*y i wyswobadzam si z pianki, gardło mam kompletnie zaschni -  
te.

Jack obejmuje mnie ramieniem.

— Dobrze, si bawiła(? — pyta.

— Fantastycznie, tyle \*e umieram teraz z g3odu. — Klepi si po brzuchu, nie mog#c si nadziwi%, gdzie si podzia3a moja paranoja.

—W takim razie zapraszam — o(wiadcza szarmancko.

—Ryba i frytki?

— Jakie to angielskie — pokpiwa sobie. — Nie, my(l , \*e sta% nas na co( lepszego.

Jaki( czas kr cimy si po zau3kach, by wreszcie natrafi% na niedrog# i mi3# francusk# knajpk ze stolikami wystawionymi na zewn#trz. Jack zamawia dla nas piwo.

— Za nas — mówi i stukamy si szklankami. B#belki uderzaj# mi do nosa.

Tyle czasu zastanawia3am si , czym by3a dla niego nasza wsp3lnie sp dzona noc, teraz jednak, gdy mam okazj go o to spyta%, nie wykorzystuj jej. Dociera do mnie, \*e znacznie bardziej interesuje mnie, co my(li o tysi#cu zupe3nie innych rzeczy.

— Lubisz by% artyst#? — zagaduj , gdy podaj# nam zak#ski.

—Chyba tak. Poza tym nic w zasadzie nie umiem. Zreszt# dzi ki temu nie musz pracowa% od dziewi#tej do pi#tej.

—Szcz (ciarz z ciebie — wzdycham. — Chcia3abym umie% robi% co( naprawd dobrze.

—Znam jedn# tak# rzecz — szczerzy do mnie z by. Rumieni si .

—Opr3cz tego.

—To znaczy, \*e marzy ci si sukces?

—Chyba tak. Zreszt#, czy jest kto(, komu si nie marzy?

—Co chcia3a( robi%, kiedy by3a( dzieckiem? — pyta, od3amuj#c kawa3ek chleba, \*eby zanurzy% go w sosie.

—Zawsze interesowa3am si projektowaniem ciuch3w. M skich. Od k#d pami tam, wola3am Kena od Barbie.

— Po prostu chcia3a( mu (ci#gn#% spodnie. 9miej si .

—To prawda. Chocia\* bez nich nie wygl#da szczeg3lnie interesuj#co. Nie, po prostu podobaj# mi si m skie ciuchy. Kiedy ci po raz pierwszy zobaczy3am, od razu zwr3ci3am uwag na twoje ubrania.

Jack podnosi na mnie wzrok.

—Dlaczego w takim razie nie zaczniesz pracować w przemyśle odzieżowym albo czymś takim?

Patrz na szparagi na moim talerzu.

—Kiedyś, wieki temu chciałam, ale nic z tego nie wyszło. Zbyt duża konkurencja.

—Jeśli nie spróbujesz, na pewno ci się nie uda. Jest mnóstwo utalentowanych ludzi, ale nie widzę powodu, dla którego nie miałabyś być jednym z nich. Gdybym myślał tylko o konkurencji, już dawno zapomnielibym o malowaniu.

—Pewnie masz rację.

—Nic nie ryzykujesz. Poza tym wszystko przemawia na twój korzyść.

Patrzy na mnie z uśmiechem. Odczuwam ulgę i jestem tak szczęśliwa, że ufam mu bez zastanowienia. Całkowicie. Poza tym z nikim nie rozmawiałam o swoich planach zawodowych i teraz wydaje mi się, że sam fakt wyjawienia mu swych ambicji uwolnił mnie od ogromnego ciężaru. Znowu czuję się sobą. Sobą, o określonej treści i kształcie na przyszłość. Może rzeczywiście powinnam spróbować.

Nie ruszamy się z miejsca i bawimy się (wiednie, obserwując mijających nas ludzi. Później wracamy na plażę. Opustoszała już nieco i bez trudu znajdujemy spokojne miejsce. W głowie mi szumi i wiruje i mam wrażenie, że poza mną i Jackiem na całym świecie nikt inny nie istnieje. Jack puszcza po wodzie kaczki ku zachodzącemu słońcu, a ja z przyjemnością obserwuję ruchy jego ciała. Miłośniczka mnie całkowicie.

Obraca ku mnie twarz.

—Co robimy? — pytam.

—Chcesz wracać?

—Nie. A ty?

Kierujesz głowę.

Patrzemy na siebie trochę zdenerwowani i (miejemy się). Jack przykłada palec do ust.

— Znam jedno miejsce, gdzie możemy się zatrzymać. To znaczy, jeżeli chcesz.

Chcę. Cała jestem wyjątkowo chętna.

Facet w pensjonacie „Casanova” traktuje Jacka jak dobrego znajomego. Rzuca mu klucze i mruga porozumiewawczo, informuje, że (niadanie jest podawane najpóźniej do 10.30.

Nasz pokój wygląda jak wyjątkowo wygodny z ekspozycji „British Home Stores”, z kwiecistymi zasłonami i wóchatym dywanem. Ale jest czysty, a przy zastawie do herbaty są małe paczuszki herbatników. Rzucam torbę na krzesło koło telewizora i przez firankę zaglądam do niewielkiego ogródka na tyłach.

Trochę dziwnie się czuję, będąc w jednym pokoju z Jackiem. Po zwanym dniu mam wrażenie, że robimy coś (nielegalnego i bardzo dorosłego. Nie mamy (miało) do siebie zbliżyć.

Jack wchodzi do łazienki i podnosi deskę klozetową. Kiedy się załatwia, patrz na jego plecy i, nie wiedząc czemu, jestem w szoku. Teraz, kiedy nie ma już wątpliwości, że znowu wylądujemy razem w łóżku, zaczynam się denerwować. Tym razem będzie to coś więcej niż minionej nocy u niego w domu i przeraża mnie intymność sytuacji. Nasza bliskość.

Jack spuszcza wodę i staje w drzwiach. Zauważam, że spuścił klapę. Ktoś go nieźle wyszkolił. Zastanawiam się, kto...

—Czuję się brudny — stwierdza.

Marszcz nos i przeczesuję włosy, posklejane od słonej wody.

—Ja też.

—Prysznic? — pyta, a ja kiwam tylko głową.

Wchodzi do kabiny pierwszy. Rozbieraj się, widzę przez półprzezroczyste (cianki, jak reguluje wodę. Po chwili otwiera drzwi i wchodzi do (rodka.

Czuję się niezręcznie i głupio. Jest cholernie jasno, a ja stoję naprzeciwko niego, zupełnie naga — beznadziejnie obnażona. Zupełnie jakby-

(my si po raz pierwszy tak naprawd zobaczyli. I chyba jest tak faktycznie. Mam ochot zas3oni% si r kami i zwin#% w k3 bek.

Jack patrzy na mnie. Naprawd patrzy. Przesuwa wzrokiem po całym ciele, zupełnie jakby chciał dostrzec ka\*dy por na mojej skórze, a\* si rumieni ...

Staram si go przytuli% i poca3owa%, odzyskuj#c w ten sposób cho%troch prywatno(ci, on jednak mi nie pozwala. Bez s3owa, nie przestaj#c patrze% mi prosto w oczy, ujmuje ma3e myde3ko i powoli namydl# sobie nim r ce.

Trudno uzna% ciasn# kabin prysznicow# z ró\*owego plastiku za szczególnie erotyczne miejsce, ale w tej chwili jest to numer jeden na mojej li(cie seksualnych fantazji. Poniewa\* Jack zaczyna mnie namydl# dla%, zamieniaj#c w dr\*#c# mas mydlanej piany. Po(wi ca memu cia3u tyle uwagi, jakby je rysowa3. Opieram si o niego, wok33 nas unosz# si k3 by pary, a ja czuj si ... KOBIECI ; .

Mokr# kobiet#. Kobiet# zepsut# .

Dygocz ca3a, kiedy on kl ka przede mn# i zak3ada sobie jedn# moj# nog na rami . Wtula twarz pomi dzy moje uda i odp3ywan. Wszystko si (lizga — moje plecy na (ciance kabiny, jego r ce na moim ciele, i porywa mnie najgwa3towniejszy orgazm, jaki kiedykolwiek prze\*y3am.

Mijaj# ca3e wieki, zanim udaje mi si odzyska% oddech. Dr\* i dygocz ca3a. Wci#\* jeszcze nie odezwali(my si ani s3owem. Patrz na niego przez k3 by pary.

Teraz moja kolej.

Kl kam i pozwalam przem3wi% mojemu j zykowi. Jack wsuwa mi palce we w3osy.

— Amy? — wykrztusza po chwili.

— Mmmmmmm? — na nic wi cej mnie nie sta%, bo usta mam pe3ne.



— Kl czysz na odp3ywie.

Wycieramy zalan# pod3og , zu\*ywaj#c do tego prawie wszystkie r czniki, po czym le\*yemy na 36\*ku i czekamy, a\* sami wyschniemy. Jack przesuwaa palcem po nie opalonych cz (ciach moich piersi.

— S3o1ce ci troch chwyci3o — zauwa\*a.

To prawda. Czuj si rozgrzana a\* do ko(ci. Spogl#damy sobie w oczy i ju\* wiem, \*e b dziemy si kocha%. Najbardziej za( zdumiewa mnie, \*e Jack chyba czyta w moich my(lach.

— Ca3# noc, a\* do rana, tak \*e jutro nie b dziesz mog3a chodzi%...

I dotrzymuje s3owa.

Kiedy w niedziel wieczorem wracamy do Jacka, czuj cudowne zm czenie, kt6re pojawia si tylko po nadmiarze seksu, s3o1ca, morza i alkoholu razem wzi tych.

—Zadowolona? — pyta, otwieraj#c drzwi. Ca3y dzie1 hasali(my po pla\*y, a\* ze s3o1ca powychodzi3y mu piegi. Wygl#da tak wspaniale, \*e musz pog3aska% go po policzku.

—Mo\*e — u(miecham si .

—Tylko mo\*e? Co jeszcze mia3em zrobi%? — Udaje strasznie rozgniewanego, 3apie mnie w p63 i nios#c owini t# wok63 niego w pasie, wchodzi do kuchni. Zanosz si takim (miechem, \*e w pierwszej chwili nie zauwa\*am Matta i Chloe siedz#cych na poduszkach w salonie.

—Prosz , prosz , c6\* to si dzieje. Scenka jak ze snu o mi3o(ci — (mieje si Chloe.

Jack przestaje mnie 3askota% i odskakuje. Na widok Chloe m6j (miech zamiera. Siedzi rozwalona, z butelk# piwa w r ce, jakby by3a u siebie. Jest obrzydliwie szczup3a, a kr6tka letnia sukienka ods3ania idealne nogi.

—Cze(% wam — wita si Jack, przechodz#c obok mnie. Kuca i ca3uje Chloe w policzek.

—Pocz stuj si . — Matt kiwa r k# w stron sto3u, na kt6rym stoi piwo. — Gdzie byli(cie?

—W Brighton — odpowiadam.

—Spójrz tylko na swój nos! — wykrzykuje Chloe. — Biedactwo!

Jack (mieje si i podaje mi piwo. Ale to wcale nie jest zabawne. Nie moja wina, \*e wygl#dam jak klaun. Wykrzywiam si do niego, on jednak nagle stał si bardzo odległy i nie ma zamiaru stan#% w mojej obronie.

—No i? — pyta Chloe. — Opowiadajcie.

—Bawili(my si (wietnie, je0dzili(my na nartach wodnych i takie tam—relacjonuje Jack, opieraj#c si o kanap i otwieraj#c swoje piwo.

—I zostali(cie na noc! Gdzie te\* znale0li(cie ustronny k#cik, Jack? — nabija si Chloe. Strzela palcami i przenosi wzrok na mnie. — Nie mówcie mi, niech zgadn ... W „Casanovie”, mam racj ? Powiniene(mie% ju\* tam zni\*k .

—Przymknij si , Chloe — niby to oburza si Jack, ale tak naprawd jest rozbawiony, zadowolony ze swojego wizerunku Jacka Casanovy. Nagle wszystko staje si jasne. Jestem jego kolejn# zdobycz#. Wszystko to ju\* przerabiał, a ja wcale nie byłam pierwsza. Pod jak# jeszcze dziewczyn# ziemia zadr\*ała w plastikowej ró\*owej kabinie?

—Siadaj, siadaj — zaprasza Matt i pokazuje na poduszki, ja jednak boj si zbli\*y% zanadto do Chloe, bo mogłabym jej zrobi% krzywd .

—Och, wczoraj dzwoniła do mnie Helen — odzywa si Chloe, nie dbale wymachuj#c butelk# z piwem.

Syreny alarmowe. Po có\* H miałaby dzwoni% do Chloe?

—Szukała ci .

—Cholera.

—Nie martw si . Powiedziałam jej, \*e prawdopodobnie zabawiasz si ze swoim kochasiem.

—Dobrze si czuła? Co mówiła?

—Nic specjalnego. Chyba była troch przybita.

—Czy mog skorzysta% z twojego telefonu? — zwracam si do Jacka.

Wychodz z kuchni, z której dobiega ich (miech, i jest mi niedobrze ze zdenerwowania.

—H, to ja. Odbierz, prosz ci , odbierz — ponaglam jej automatyczn# sekretark .

Rozlega się kliknięcie.

—A więc wróciła — odzywa się H podejrzanie grzecznym głosem. Chyba jest powaźnie wkurzona.

—Byłam w Brighton.

—Dobrze ci tak.

To potworne. Nigdy wcześniej nie mówiła do mnie takim tonem. Słyszę cię mocniej słuchawką.

—Co się stało?

—Jestem przekonana, że ci to nie zainteresuje — oznajmia jadowniczo, ale głos jej drży i zaczynam się naprawdę o nią niepokoić.

—Mimo to powiedz mi — nalegam.

W słuchawce rozlega się stłumiony szloch.

—Daj mi spokój.

Rozmawia się. Oniemiała wsłuchując się w cichy sygnał. Jeszcze nigdy nie rzuciła słuchawkę, ale nie dziwi się, że jest wściekła. Gdybym była nią, znienawidziłabym siebie. Miałyśmy plany na sobotni wieczór, a ja dałam plamę, nie odezwałam się do niej przez cały weekend i teraz czuję się winna. Bo zachowałam się jak samolubna krowa, a zawsze sobie przyrzekałyśmy, że nigdy się tak nie zachowamy z powodu byle faceta. Ona właśnie przeżywa kryzys, a ja zostawiłam ją w potrzebie. Na samą myśl, że mogłaby ją stracić, robi mi się ciemno przed oczami.

—Wszystko w porządku? — W drzwiach staje Jack. Podchodzi do mnie i kładzie mi rękę na ramieniu.

—Co się stało i musisz do niej iść? Nie masz nic przeciwko?

—Nie, skądże, jeśli musisz.

Chyba mówi prawdę i nienawidzi go za to. Chciałabym, żeby miał wszystko przeciw, żeby było mu przykro, że nasz wspólny weekend skończył się tak niefortunnie. Wystarczy mi jednak tylko jedno spojrzenie, żeby się przekonała, jak płonne są moje nadzieje. Teraz jest ze swoją bandą i ja się już nie liczę.

Mówimy sobie publicznie, na oczach Matta i Chloe, do widzenia, a Jack traktuje mnie, jakbym była niezbyt mile widzianą ciotką. Badam wzrokiem jego twarz, ale Jack, z którym spędzam ostatnie dwa dni,

gdzie( si ulotni3. Im baczniej mu si przygl#dam, tym bardziej zamyka si w sobie, a\* w ko1cu ca3uje mnie przelotnie.

—To do zobaczenia — rzuca.

Do zobaczenia kiedy? Jutro? Za tydzie1? A mo\*e za miesi#c? Rok? Nigdy Wi cej?

—9wietnie si bawi3em — stwierdza, ale zbyt wyra0nie s3ycha% w jego s3owach czas przesz3y.

—Mam nadziej , \*e z Helen wszystko w porz#dku — wtr#ca Chloe, przy3#czaj#c si do Jacka w drzwiach. Jej g3os ocieka wsp33czuciem, ale nie daje si na to z3apa%, zw3aszczu gdy obejmuje Jacka w pasie i mocno go przytula. Ka\*dy potraktowa3by to jako gest wy3#cznie przyjacielski, kiedy jednak cofa d3o1 z piersi Jacka, nieomal widz wyryty na niej napis: „W3asno(% prywatna. Nie dotyka%”. Wychodz . Zrobi3am zaledwie kilka krok3w, kiedy dobiega mnie jej (miech i s3ysz odg3os zamykanych drzwi. Odwracam si i patrz na nie z niedowierzaniem.

Serce wali mi jak oszala3e przez ca3# drog metrem do H, a wchodz#c za ni# do ciemnego holu, jestem prawie nieprzytomna ze zdenerwowania. Gdyby by3a olimpiada dla pal#cych, H jedna zdoby3aby na niej z3oty, srebrny i br#zowy medal. Wszystko wok33 niej (wiadczy o g3 bokim nieszcz (ciu, na dodatek s3ucha Leonarda Cohena. Wyj#tkowo z3y znak.

Z pocz#tku stara si udawa%, \*e jest bardzo z3a, na szcz (cie jednak nie wytrzymuje zbyt d3ugo i szybko kuli si i chowa w sobie jak ziarnko fasoli w str#czku. Tak jak podejrzewa3am, chodzi o Gava.

—Och, tym razem naprawd spieprzy3am spraw —szlocha.

—Ciii — uspokajam j#, kl kaj#c obok. — Niczego nie spieprzy3a(.

W ko1cu udaje mi si j# uspokoi% i wtedy, wci#\* przez 3zy, opowiada o naj(wie\*szej tragedii.

— Le\*eli(my w 33\*ku i zapyta3am go, czy my(la3 o ma3\*e1stwie. To by3o czysto hipotetyczne pytanie, wcale mu si nie o(wiadczu3am ani nic takiego, ale i tak mu odbi3o. Powiedzia3, \*e nie o\*eni si , dop3ki nie b - dzie chcia3 mie% dzieci. No wi c zapyta3am, kiedy zamierza je mie%, a

on na to, \*e mo\*e za sto lat, a ju\* na pewno nie wcze(niej ni\* za dziesi %, bo jest mnóstwo innych rzeczy, które chce w \*yciu robi%.

Całkiem uczciwe postawienie sprawy; i bardzo w stylu Gava.

— Wtedy wszystko wymkn 3o mi si spod kontroli. Powiedzia3am, \*e dziesi % lat to kawa3 czasu i co to dla nas oznacza. Wtedy on si w(ciek3, oznajmi3, \*e go przyciskam do muru i dlaczego nie mo\*emy po prostu korzysta% z \*ycia? Zapyta3am wi c, po co to wszystko? — Wzdycha g3 boko, a broda jej dr\*y. — No powiedz, po co? Po co si anga\*owa%, kocha% kogo(, kto w ka\*dej chwili mo\*e sobie znale0% inn# i kto nie chce mie% dzieci do czasu, a\* twoje jajniki zamieni# si w uschni te str#czki fasoli?

Wybucham (miechem i ocieram jej 3zy kawa3kiem papieru toaletowego.

—Kochanie, nie jeste( w stanie przewidzie% przysz3o(ci. W \*aden sposób nie mo\*esz wiedzie%, co ka\*de z was b dzie kiedy( robi%.

—Je(li chodzi o Gava, to teraz ju\* wiem — 3ka. — To zmierza doni- k#d.

—Przecie\* to nieprawda. Wszystko sz3o (wietnie, dopóki si nie pok3ócili(cie. Mi dzy wami wspaniale si uk3ada3o, doskonale si razem bawili(cie. Dlaczego nie mia3oby tak by% dalej?

—Och, nic nie rozumiesz. Sko1cz z tymi bzdurami o \*yciu chwil# obecn#, bo nie jestem jak#( tam pieprzon# buddystk# zen, podobnie zreszt# jak ty — warczy na mnie.

Nie trafiaj# do niej \*adne logiczne argumenty. Jest uparta, wy3azi z niej natura typowego Kozioro\*ca. Musz j# jako( wyci#gn#% z tego nastroju. Na szcz (cie zrobi3am doktorat z Technik Opanowania H. Wstaj z westchnieniem.

— Dobrze, ju\* dobrze — poddaj si . — Mo\*esz sobie dalej by% star#, upart# torb#. Nie wi#\* si z nikim, bo nie daj Bo\*e nie oka\*e si Panem W3a(ciwym. Wiem, wiem, wiem, dotar3o do mnie! Musisz po prostu u3o\*y% ankiet i dawa% j# do wype3nienia ka\*demu facetowi, który wpadnie ci w oko, aby( mia3a gwarancj , \*e zrezygnuje z siebie i swoje-

go \*ycia do czasu, a\* ty si zdecydujesz, czego chcesz, poniewa\* tylko wtedy mo\*e si wam uda%.

Cho% bardzo jej to nie w smak, na ustach H zaczyna b3#ka% si cie1 u(miechu.

— A mo\*e po prostu powinna( Gava przyku% kajdankami do kuchennego sto3u i czeka%, a\* ci si o(wiadczy. Czy tego w3a(nie chcesz? Masz sto procent pewno(ci, \*e to w3a(nie ten facet i chcesz z nim by% po wieki wiek3w, amen?

—Nie — przyznaje.

—No widzisz.

—Ale kocham go i chc , \*eby co( z tego wysz3o.

— A czy on powiedzia3, \*e tego nie chce? H, nie b#d0 (mieszna.

—I tak ju\* za p30no. Odszed3 ode mnie.

— Uhm, pewnie do swojego domu. — Podnosz oczy do nieba. — Przecie\* nie wyjecha3 na koniec (wiata. Jutro pewnie b dziecie si z tego oboje (miali.

Humor wyra0nie jej si poprawi3, bo mocno mnie (ciska.

— Najgorsze by3o to, \*e w \*aden spos3b nie mog3am si z tob# skontaktowa% — m3wi. — Naprawd si martwi3am.

— Wiem, wiem, straci3am g3ow . Przepraszam. Wypytuje mnie o nasz weekend w Brighton i opowiadam jej wszystko.

— Sk#d wi c ta ponura mina?

— Sama nie wiem. By3o (wietnie, teraz jednak mam wra\*enie, \*e Chloe wysadzi3a mnie z siod3a. Straszna z niej zdzira.

—Mo\*e mia3a racj , \*eby ci przestrzec. Natychmiast staj si podejrzliwa.

—Dlaczego? Co m3wi3a?

H wzdycha i przybiera min „nie jest dobrze”.

— W sumie to niewiele. Po prostu nie chc , \*eby( cierpia3a.

Chloe zna Jacka bardzo dobrze. Twierdzi, \*e okropny z niego babiarz, który ucieka, gdzie pieprz ro(nie, kiedy tylko nabierze podejrze1, \*e znajmo( mog3aby si przerodzi% w co( bardziej trwa3ego.



—Co ty wygadujesz? Nagle zacz 3a( jej wierzy%?

—Nie — kr ci g3ow# H. — Mówi tylko, \*eby( sobie nie robi3a zbyt wielkich nadziei.

—A wi c o to chodzi? 7e nic z tego nie b dzie. C6\*, bardzo si cie- sz , \*e wszyscy zdecydowali za mnie, oszcz dzaj#c mi tym samym k3o- potu.

H si3# zmusza mnie, \*ebym usiad3a.

— Kto wie. Tylko ty jedna mo\*esz powiedzie%, jak jest. Po prostu musisz cierpliwie poczeka%.

Oczywi(cie, ma racj , ale wkurza mnie, \*e daje mi rady, którymi do- piero co sama j# karmi3am. Ci \*ko sieje przyjmuje.

Wracam do siebie, k3ad si na brzuchu na kanapie i wgapiam w dy- wan. W g3owie mam istny m tlik. Przed pi#tkow# randk# z Jackiem by- 3am taka pewna siebie. Wydawa3o mi si , \*e ca3kowicie panuj nad sy- tuacj#. Mia3am przecie\* by% opanowana, niczego nie ponagla%, a ju\* na pewno nie l#dowa% z nim w 36\*ku. No dobra, przyznaj , kupi3am now# bielizn — nawet podwi#zki (cholernie niewygodne)—na3o\*y3am nowy makij a\*, obla3am si perfumami i wystroi3am jak na bal, ale na pewno nie po to, \*eby tak wszystko schrzani%. Chcia3am tylko, aby mnie po\*#- da3 w stopniu, w którym by do niego dotar3o, \*e jestem dziewczyn#, z któr# móg3by si zwi#za% na d3u\*ej.

A teraz to zniszczy3am. Zanim jeszcze na dobre si rozpocz 3o.

Zaraz jednak przypomina mi si Brighton, a wspomnienia s# tak (wie- \*e, \*e a\* szczypi#mnie oczy. Czy to mo\*liwe, \*e zaledwie dzisiaj rano spa3am mocno w niego wtulona? Czy podobna, \*eby nic to dla niego nie znaczy3o? Jak móg3 tak szybko zapomnie%? Jakim prawem potraktowa3 mnie jak panienk na jeden raz, któr# najlepiej sp3awi% jak najszybciej?

Robi sobie k#piel, ale nie przynosi ona spodziewanej ulgi.

Jest mi zimno, mam spalon# od s3o1ca skór i czuj si taka samotna. Nawet kiedy otulam si czystymi r cznikami, poczucie osamotnienia mnie nie opuszcza. Nie ma sensu wpatrywa% si w telefon, on i tak nie zadzwoni. Bo i po co? Ma przecie\* swoj# Chloe.

Nacieram się całą balsamem, ale choć jestem potwornie zmęczona, o (nie nie ma mowy. Każde ramię na kołdrze, wzrok wbijam w sufit i oczyma wyobraźni widzę nasz weekend, od początku do końca, jakbym oglądała album ze zdjęciami. Na każdym jestem zdecydowanie zbyt obnażona.

To tyle, jeżeli chodzi o moje wielkie nadzieje. Miałam prawie wszystko, i wszystko w jeden dzień straciłam. Mijają lata, a ja, niczym panna Haversham, siedzę w swoim mieszkaniu, coraz bardziej porastając kurzem i pajczykami, a ludzie powiadają: „Och, biedactwo, była taka szczęśliwa tego lipcowego dnia, lecz cóż, życie bywa okrutne”.

Jack mógłby umrzeć albo znaleźć się na księżycu. Torturuj sama siebie, wyobraź sobie, jak wygląda (nie mówi: „Nieźle było bykanko z Amy. Umieliśmy się, ale to nie wystarczy. Po cóż miałbym się z nią znowu spotkać? Kumpel dla mnie ważniejszy, a poza tym chcę być wiecznie młody, wolny i sam. Po co mi się z kim wiązać?”

To nie do zniesienia. Nie mogę wyleżeć w łóżku, nieustannie słyszę jego głos. Wlokę się do kuchni, żeby sobie zrobić czekoladę na gorąco. Obwuchuj mleko. Jeszcze ujdzie. Dopiero kiedy zamykam lodówkę, zauważam, że ktoś poprzestawiał na jej drzwiach magnetyczne literki. Ułożone w różowo-zielono-pomarańczowy napis:

## SUPER AMY

Przykładam twarz do białych drzwi i umiadam sobie, ponieważ mógł to zrobić tylko Jack. Kiedy czekam, a mleko się zagotuje, czuję się już o niebo lepiej.

## 5

## JACK

## ŚWIT NOWEGO DNIA

Zaczynam poranek od zagadki:

*Pytanie:* Co (mierdzi jak ser, ale serem nie jest?

*Odpowiedź:* Stopa Matta.

Nie ma co gada%, Matt to fajny facet. Poprawka: Matt to najlepszy facet pod słońcem. Wiele razem przeszli(my: od lekcji fortepianu w Brighton u wrednej, nienawidz#cej dzieci klepy, panny Hopkins, przez pierwszy zakup spro(nych (wierszczyków i kwa(nego jabola w okresie dojrzewania, a\* do czasów obecnych, kiedy to \*ycie upżywa nam na udawaniu dorosłych, odpowiedzialnych członków londyńskiej społeczności. Mog te\* z ca3# odpowiedzialno(ci# stwierdzi%, \*e w zasadzie nie ma rzeczy, na któr# bym si dla niego nie zdoby3. Gdyby w paczce zosta3 mi tylko jeden papieros, a od najbli\*szego kiosku dzieli3y nas setki mil, bez wahania wypali3bym go do spó3y z Mattem. Gdyby mój przyjaciel wypad3 za burt podczas gwałtownego sztormu, skoczy3bym za nim bez chwili namys3u. Nawet — gdyby okaza3o si to absolutnie konieczne—odda3bym mu swojego ostatniego Marsa. Jednak nawet najwierniejsza przyja01 ma swoje granice. A przebudzenie z jego spoconym paluchem lewej stopy wspartym twardo o moje z by poza owe granice zdecydowanie wykracza.

Usuwa# obrzydliwy kawa3 miecha z moich ust i wycieram je w rami . Lub raczej w r kaw. Poniewa\* w dalszym ci#gu mam na sobie ubranie, w którym urwa3 mi si film o trzeciej nad ranem przy wtórze *Śniadania w Ameryce* zespo3u Supertramp (o ironio, której mój spragniony snu umys3 wtedy nie przeoczy3, podobnie jak pami ta j# teraz). Próbuj usi#(% , ale natychmiast padam z powrotem. Le\* na boku i czekam, a\* ruch wirowy, w który nagle wpad3 dom Matta, ustanie. Trwa to kilka sekund, po up3ywie których udaje mi si stan#%, ruszy% w stron

kanapy, by wyl#dowa% na niej szcz (liwie w pozycji siedz#cej. Dopiero wtedy decyduj si na podj cie ryzyka, jakim jest ocena sytuacji.

Do g3owy przychodzi mi tylko jedno s3owo: apokalipsa. Na polach Armagedonu, które niegdy( były salonem Matta, króluj# niepodzielnie Czterej Je0d0cy: Matt, Chloe, Jack Daniels i Jim Beam. Dwaj pierwsi le\*# tu\* pode mn#, jeden obok drugiego u stóp kanapy, wtuleni w siebie niczym kochankowie. Pozostali to ju\* tylko puste skorupy ich niegdy-siejszych ja0ni. Szklana szyjka Jima jest z3amana od chwili, gdy Chloe str#ci3a go ze sto3u, mniej wi cej oko3o drugiej nad ranem, jednocze(nie rozpryskuj#c jego wn trzno(cie po ca3ym dywanie. Jack jest pusty, do-s3ownie i w przeno(ni pozbawiony tego, co w nim by3o najcenniejsze, a jego szyjka skierowana w stron miejsca, na którym siedzia3em, gdy grali(my w „Powiedz prawd ". Ten obraz dekadencji, zepsucia i prawie ca3kowitej bezsensowno(cie zmusza mnie do wyci#gni cia wniosku, \*e moje \*ycie to jedna wielka kupa g3owna.

Co( trzeba z tym zrobi%, postanawiam.

Przeprowadzam szybki# autodiagnoz :

*W ustach czujq:* Przetrawiony alkohol, papierosy, Pringle o smaku pieczonej wo3owiny.

*Koordynacja ruchowa:* Niepewna/dr\*#ca. *Widzenie:* Zaburzone.

*Slyszq:* Chrapanie Matta, bicie swojego serca. *Czujq zapach:* Stóp Matta.

Potwierdzenie najgorszych obaw. Moje \*ycie; g3owno. G3owno; moje \*ycie. W tej chwili trudno doprawdy dostrzec jak#( ró\*nic .

Za du\*o alkoholu. Za du\*o papierosów. Za ma3o pracy. Oto kwint-esencja mej egzystencji w ci#gu ostatnich sze(ciu miesi cy. Sam sobie tak# zgotowa3em, lecz w tej chwili pragn , aby to si zmieni3o.

Dobiega mnie pierdni cie krowy, szybko jednak sobie uzmys3awiam, \*e to nie \*adna krowa, tylko Matt. Usi3uje w3a(nie otworzy% oczy i twarz wykrzywia mu bolesny grymas. Trudno powiedzie%, czy jest to reakcja górnej cz (cie jego cia3a na krwi# aktywno(% dolnej, czy te\* prosta de-

dukcja oparta na słabym (wiele s#cz#cym si przez zas#ony, \*e tak, nastąpi poniedziałkowy ranek, oraz \*e nie, jego stan nie wyklucza pój(cia do pracy. Wydaje przeci#g#y j k, sprawdza, która godzina, i mamrocze co( niezrozumiale. Po czym, z powiekami na powrót mocno zaci(ni - tymi, budzi Chloe, potrz#saj#c ni# delikatnie.

Matt: Porawstawa%.

Chloe: Uhm. Cota#uchnie?

Matt: Niemam pojecia o czym mówisz.

Chloe: Och, och, och. Gdzie jestem.

Matt: Spó#nimysie. Dopracz. Spó#nimysie do pracy.

Chloe: Piperzy%prace. Umieram. G#owam i zaraz peknie.

Matt: Pos#uchaj chloe. Musisz wsta%. OK? Wstajesz?

Chloe: OK. Wstan . Jeszczetylko dziesie%minut iju\*wstaje.

Matt: OK. Dziesie%minut. Ale potem musimy i(%dopracz. OK?

Chloe: OK.

Na szcz (cie moje kulturowe i lingwistyczne wykształcenie zapewnia mi bieg# znajomo(% kacomowy, wobec czego bez wi kszych k#opotów rozumiem t najwy\*szych lotów wymian pogl#dów, z której dowiaduj si , \*e moi przyjaciele postanowili nie rusza% si jeszcze przez jaki( czas. To dobrze. Poniewa\* mój kac przechodzi w#a(nie w kolejn# faz . Musz si wyk#pa%. D#ugo i dok#adnie si wymoczy%.

Mocz swe obola#e cia#o w wodzie od jakich( pi ciu minut, a mimo to wci#\* czuj si jak chodz#ca (mier%. Nie tylko mam potwornego kaca, na dodatek ogarn #o mnie totalne przygn bienie i niepohamowany wstr t do samego siebie. Potwór Frankensteina to przy mnie zero. Nosferatu, mo\*esz si schowa%. Prawdziwe monstrum to ja, przekl ta istota, po wsze czasy skazana na przemierzanie tego pado#u w agonii. Czego( podobnego nie widzia#o nawet Piek#o Dantego.

Oto fizyczne dowody mo#e az go iz **Tc (w) Tj -0.17952 Tc (e) Tj 0.5 Tc (f) Tj 0.0**

b) Mój \*o#dek kurczy się i skraca, jakbym po#kn#3 w(ciek#ego teriera.

c) Poziom wody w wannie podnosi się widocznie, w miarę jak z mego czoła spływa coraz więcej potu.

Tak bardzo pragnę ukojenia, \*e uciekam się do religii. Staję się pielgrzymem, a k#piel to moje Lourdes. Zanoszę modły do Boga o B#ogoss#awie1stwo Gor#cej Wody. Sk#adam dziękczynienie Oczyszczaj#cej Mocy Myd#ła i Obfito(ci) Piany. Zaprawdę b#ogoss#awi t k#piel i wszystkich, którzy do niej weszli.

Efekt, niestety, jest \*aden. W godzinie potrzeby Bóg, w którego wierzy% przesta#em dwana#cie lat temu, najwyra#niej postanowi# odwdzi - czy% mi się pi#knym za nadobne. Pozostaje mi pogodzi% się z faktem, \*e moje cia#o to nie (wi#tynia, a (wi#lski chlew. I to wyj#tkowo obrzydliwy. W tej jednak chwili przypomina mi się Amy i jej plan odnowy KAZA. Maj#c w pamięci wszystkie jego za#o\*enia, opuszczam na chwilę wannę, cz#apię do szafki, sk#d biorę kilka alkaprimów naraz, pijam je wod# z kranu i wracam do swego wodnego kokonu.

Le\*c i czekaj#c, a\* chemia znacznie czyni% swój# powinno(% zza kranów wyci#gam swój# maskę i fajkę i nak#adam na twarz. Zmiana (rodowiska mo\*e się okaza% kluczem do mego odrodzenia. Niektórzy ludzie oddaj# się medytacji, gdy chc# uporz#dkowa% my#li. Inni potrzebuj# do tego narkotyków. Ja wykorzystuję maskę z fajk# i z g#ow# pod wod# k#adę się na brzuchu w wannie. Zegftaj, suchy l#dzie ze wszystkimi ziemskimi problemami. Witaj, Atlantydo.

Zanurzam się całkowicie i oddaję się zabawie, któr# upodoba#em sobie jeszcze jako ma#y ch#opak. Zamykam oczy i wyobra\*am sobie podwodn# krainę, w której się unoszę. Pod sob# mam kolorowe rafy koralowe, a moje cia#o obmywaj# ciep#e pr#dy. Wyobra\*am sobie, \*e potrafię pod wod# oddycha%. Moją skórę muskaj# podwodne paprocie i inne zielska, obok przep#ywaj# ryby. A u góry, ponad wod# i falami wyobra\*am sobie idealny czysty b#kit nieba.

Bywa jednak, \*e eskapizm nie zdaje egzaminu. Jak tym razem. Wyimaginowany krajobraz rozmywa się i pozostaje tylko m#tna woda i



piana nad głow#. My(1 , \*e to wina koncentracji lub raczej jej braku, gdy\* jestem wyra0nie rozkojarzony. Całkowicie rozkojarzony. Stary problem. I to DU7Y problem. Moje \*ycie i kierunek, w którym zmierza. A tak\*e jak to si stało, \*e do tej pory jeszcze tam nie dotarło. Mam dwadzie(cia siedem lat i jakie osi#gni cia? 7adne. 9wiadomo(% , \*e paranoja, na któr# cierpi , w du\*ej mierze jest wynikiem kaca, niczego nie zmienia.

Co( z tym fantem musz zrobi%. I to nieodwożalnie.

Pod koniec ubiegłego roku postanowiłem, \*e rzucam prac i zostaj artyst# w peźnym wymiarze czasowym. Opuszczam pokład statku „Wygodą”, rezygnuj z bógosławielstwa stażej pensji, emerytury, spokoju i re\*imu pracy od dziewi#tej do pi#tej. Jako Człowiek za Burt# stawiam czoło rekinom i wyruszam na poszukiwanie mitycznej Wyspy Speźnienia. I tak dnia 1 grudnia 1997 porzuciłem stanowisko pracy w dziale artystycznym firmy ProPixel Ltd w Wembley. Na ekranie komputera migotał nie dokończony projekt opakowania Chick-0-Lix™ (smakowitych kawałków kurczaka uwielbianych przez dzieciaki), który, cz - (ciowo jako wyraz solidarno(ci z pierzastymi mieszkańcami naszej planety, jednym klikni ciem przeniosłem w niebyt. W podaniu o zwolnienie, wystukany na domowym pececie Matta, jako powód mojego odej - (cia podałem ch % „użo\*enia sobie \*ycia”.

Dałem sobie rok na osi#gni cie celu. Albo uton , albo wypłyn . Gdybym miał si pogr#\*y%, niech i tak b dzie. Wci#\* jeszcze miałem sporo kontaktów i znajomo(ci, dzi ki którym w ka\*dej chwili mogłem szybko znale0% dziadowsk# prac w kolejnej dziadowskiej firmie. I tak b d zadowolony, bo przynajmniej spróbowałem, nie poddałem si mierno(ci bez walki. Nawet w tej chwili — gdy upłyn 3a ju\* połowa czasu, który sobie dałem, a l#d nawet nie zamajaczył na horyzoncie — nie \*ałuż podj tej decyzji. Dobija mnie natomiast (wiadomo(% , \*e wi kszo(% tego czasu po prostu zmarnowałem. Je(li drog# do sukcesu jest ambicja, to obawiam si , \*e moja cierpi na chorob (mierteln#, co mnie wnerwi#. Rozwi#zanie: musz si zabra% do pracy. Dzisiaj. Dzisiaj zaczn wreszcie na powa\*nie układa% swoje \*ycie. Nowy obraz. W głowie a\* roi mi

si od pomysłów. Czuj narastaj#ce podniecenie i mam namacaln# niemal pewno(%), \*e oto rodzi si co( wielkiego.

U(miecham si . Wystarczy jedna pozytywna my(l, a ca#a paranoja znika jak za dotkni ciem czarodziejskiej ró\*d\*ki. Zupełnie jak w Piotrusiu Panu — wystarczy#a odrobina wiary i ju\* mo\*na si unosi% w powietrzu. Mnie za( nawiedzi#a nie jedna, lecz dwie cudowne my(li. Mam swoj# prac . I mam Amy. Przypominam sobie nasz# przygod w Brighton, rozkoszuj#c si momentami szczególnie radosnymi: gonitwa po molo, francuska knajpka, przysznic hotelowy... i ca#a wspania#a reszta. Amy jest mi#a. Amy jest czysta. Amy jest tym wszystkim, czym ja w tej chwili by% nie mog . Amy z ca## pewno(ci# jest kim(, na kim mógl#bym si wesprze%. Jak na przyjacielu, i to takim, z którym mog i(% óó\*ka.

Jest moj# dziewczyn#.

My(l wyskakuje jak diabeł z pudełka. W nocy grali(my w „Powiedz prawd ". Pami tam, jak Chloe zakr ci#a butelk# po Jacku Danielsie i szyjka wskaza#a wprost na mnie. Matt zosta# wcz(eniej przy#apany na opowiadaniu steku k#amstw, musia# wi c za kar wypi% trzy #y\*ki oliwy i rozebra% si do roso#u. Siedzia# teraz wsparty o kanap z genitaliami skromnie schowanymi mi dzy udami, przez co wygl#da# jak kobieta. Chloe, bardziej w bojach zaprawiona, jak dot#d musia#a pozby% si jedynie d\*insów. A ja, dumny, \*e tak niewiele mam przed swoimi przyjaciółmi do ukrycia, na razie nie musia#em odda% \*adnego fantu. To znaczy do chwili, gdy butelka wybra#a mnie. I dopóki Chloe nie zacz #a wypytywa% o Amy.

— Chyba nie b dzie b# dem — zacz #a, u(miechaj#c si szeroko i z#o(liwie —je(li nazwiemy Amy twoj# dziewczyn#?

—B dzie.

—K#amca — stwierdzi#a, szukaj#c potwierdzenia u Matta.

—K#amca — zawtórowa#. Chloe wyci#gn #a r k .

—Szorty. W tej chwili. Dawaj je tu.

— Nic z tego, do cholery. Mówi prawd . Przecie\* dopiero co si poznali(my. Jeste(my tylko kumplami, rozumiecie? Nic poza tym. A ju\* na pewno nie to. #adna dziewczyna, na mi#o(% bosk#.

Chloe z powściągliwym minem znowu spojrzała na Matta.

—Cosik mi się zdaje, \*e za bardzo protestuje.

—Potwierdzam — Matt na to. — Mam oskarżenie? Chloe usiadła wygodniej i skinęła na niego.

— Do dzieła, uczony przyjacielu. W końcu jesteś prawnikiem.

Matt spróbował wstać, zaraz jednak sobie przypomniał, \*e jest goły jak (wi ty turecki, szybko więc usiadł na powrót i ręce złożył skromnie na wzgórku łonowym.

— Przypominam panu, panie Rossiter — zaczął — \*e spędził pan cały weekend w towarzystwie niejakiej Amy Crosbie. Przypominam dalej, \*e rzeczoną weekend nie upłynął na typowych zachowaniach osoby samotnej, takich jak, proszę mi wybaczyć użycie terminologii wulgarnej — tu głos Matta aż ociekał obrzydzeniem — rwanie i bajerowanie, mające na celu pieprzenie się z osobami całkowicie obcymi. Wręcz przeciwnie — ci nad wyraz gładko — jak szedł. Czy nie jest prawdą, \*e zaprosił pan rzeczoną Amy Crosbie do tego tu domu na — tu melodramatycznie odchrząknął — obiad?

—W istocie.

Matt zmarszczył surowo czoło.

—Panie i panowie przysięgli, tego się wściekałem (nie obawiałem. I czy następnie nie pogłębisz pan tego błądu, zabierając swego gościa do miejsca o wątpliwej reputacji w Brighton, pod nazwą „Casanova”?

—Rzeczywiście — zgodziłem się. — Ale co z tego? Oboje wiecie, \*e nie pierwszy raz pojechałem tam z dziewczyną. Przecież\* to nic nie znaczy, a już na pewno nie, \*e ze sobą chodzimy.

—W takim razie — grzmiał Matt — czy mógłby pan żaskawie wytłumaczyć mi, dlaczego wczynie, w dniu dzisiejszym, gdy się spotkali (my w tym wściekanym miejscu, chichotał pan, żaskotał i niósł rzeczoną Amy Crosbie owiniętą wokół pana w pasie?

— To była tylko zabawa.

Matt stłumił (miech i już opanowany, zaczął zniżonym głosem.

— O nie, to było coś znacznie więcej. Czy nie tak zachowuje się mężczyzna przepełniony uczuciem — nie, afektem — dla kobiety tak mocno przytulanej?

— Nie.

— Chrzanisz — przerwała Chloe, zanosząc się (miechem. — Wziąć ci. I to poważnie. Dlaczego się po prostu nie przyznasz?

Nie mogłem spojrzeć jej w oczy.

— Bo to nieprawda.

— Chcesz powiedzieć — mówił Matt dalej — że nawet w (wielu przedstawionych temu sądowi dowodów nie oddasz swoich szortów?

— Nie.

— Obraża sędziego — zawyrokowała Chloe. — Koniec zabawy.

— A kogo to obchodzi? — wymamrotałem. — Zresztą, to czysty idiotyzm.

Dziewczyna.

Słowo, które wciąż wisi w powietrzu; nie wygoniły go nawet moje gorące i gwałtowne protesty. Dziwne, ale wtedy, kiedy o tym mówiłem, naprawdę wierzyłem, że Amy to tylko kumpela. A teraz sam już nie wiem. Zastanawiam się te wyrzuty sumienia, które odczuwam, że w ten sposób o niej mówiłem. Mam wrażenie, jakbym ją zdradził — co się chyba faktycznie stało. Byłem pijany, ale to raczej kiepskie wytłumaczenie, no nie? Bo wtedy, tak samo jak teraz, dobrze wiedziałem, że spędziliśmy miły weekend. Co ja gadam, weekend był po prostu wspólny. Dlaczego więc wygadywałem wszystkie te bzdury o niej? Czym wytłumaczyłem, że zaraz po powrocie z Brighton zacząłem się zachowywać wobec niej tak nonszalancko, żeby nie powiedzie obojgu? Może tym, że tak szybko się wyniosła na spotkanie z przyjaciółką, a ja miałem już Matta i Chloe? Triumwirat w komplecie. Jak zawsze, upiliśmy się i gadaliśmy, nikogo poza sobą nie potrzebując. Dziewczyna.

Chyba nie zostanie. Ponieważ wiem, że zobacz się z nią ponownie, i to bardzo niedługo, bo tego właśnie (nie chcę.

Przychodzi mi do głowy, że może jednak powinienem być oddać Chloe szorty.

Próbuje odetchnąć, ale nie mogę. W panice obracam się na wznak i wyskakuję spod wody. Na brzegu wanny siedzi Chloe i (miejęc się, trzyma uniesione do góry ręce w geście przyznania się).

—I co, marynarzu, znalazłeś syren? — pyta.

Do łazienki wchodzi owinięty ręcznikiem Matt i spogląda na mnie podejrzliwie.

—Dlaczego to robisz? — pyta mnie, nawet nie starając się ukryć obrzydzenia.

Wyjmuję z ust fajkę.

—Robi co?

—To wstawanie. Zwlekasz się z podłogi i udajesz ci się stanąć jakoś na nogi. Dlaczego to robisz, kiedy nie musisz nawet iść do pracy?

—Ponieważ, miły bracie — tłumacz, uwalniam się od ekwipunku człowieka amfibii i na powrót staję się dwudziestoparolatkiem o łagodnym usposobieniu — muszę pracować. — Wyciągam korek z wanny, daję wolność wyimaginowanemu oceanowi, wstaję, wychodzę z wanny, przechodzę obok Chloe, która skromnie odwraca oczy, i chwytam ręcznik. —I zamierzam z tym nie zwlekać.

## W PARKU

Czwartkowy ranek ma dla mnie niespodziankę: (ni mi się Amy. Siedzimy na tropikalnej plaży, morze skrzy się w słońcu, a na niebie pojawiają się gwiazdy, jakby ktoś zaciągał rolety. Jest ciepło, ale ja i tak przytulam Amy mocniej.

— Mmm, jak dobrze — szepcze i kładzie mi głowę na ramieniu. Jej włosy muskają mi twarz. — Mogłabym tu zostać na zawsze.

—Tak, to jest...

Zanim jednak udało mi się dokończyć myśl — a tyle chciałbym jej powiedzieć — rozlega się przeraźliwy, wysoki pisk. Rozglądam się, nie widzę jednak niczego poza palmami porastającymi brzeg plaży. Pisk przechodzi w urywany, wciągający szczeł. Obracam się do Amy, a ona

podnosi głowę. W pierwszej chwili jestem zbyt wstrząśnięty, żeby zareagować na widok, jaki ujrzałem: z szyi Amy wyrasta głowa wilka toczącego z pyska pianę. Jestem jak sparaliżowany jej widokiem i dźwiżkami, jakie dobywa z gardzieli, które teraz przeszły w upiorne wycie. Zaraz jednak odzyskuję panowanie nad sobą, odpycham je, odwracam się i pędzę jak szalony plaśnik, wzywając pomocy i myślę jedynie o tym, by uciec z wyciem.

Budź się zły potem, którym zdziwiła cię nasza poduszka. Chociaż jednak oczy mam już otwarte i wiem, że jestem w swojej sypialni, potworny skowyt nie milknie. W końcu dociera do mnie, skąd się bierze: to Tłusty Pies, mój budzik. Chwytam go i z wściekłości ciskam o ścianę po drugiej stronie pokoju. Gdy w niego wali, wydaje jęk bólu i, nareszcie milknąc, spada na podłogę.

Dostałem Tłustego Psa na Boże Narodzenie od mojego (winni tego na punkcie gadetów braciszka. Kiedy się wstydzi, zaczyna cichutko popiskiwać, po chwili warczy, przechodzi w gwałtowne szczekanie, by wreszcie osiagnąć rozdzierające uszy wycie. Do budzika dołączona była kartka z napisem: „Twoja nowa dziewczyna”. Cha, cha, cha. Duży bracik Billy. Jak zwykle strasz



nie dowcipny. Z tym \*e, jak na prezenty od niego, ten przedstawia si nie najgorzej. Bez w#tpienia lepiej ni\* elektryczny ogrzewacz skarpetek, który dosta#em przy innej okazji.

Nie po raz pierwszy T#usty Pies wdar# si w moje sny. Co za ulga, bo inaczej musia#bym przywo#a% na pomoc Freuda, \*eby wyja(ni% znaczenie koszmarne go snu. Wspaniale, na przyk#ad, wygl#da#aby nast puj#ca interpretacja:

a) Spokojna pla\*a odzwierciedla moj# podstawow# potrzeb bezpiecze#stwa i emocjonalnej zmiany; przeistoczenie si Amy w wilka do k#adnie w chwili, gdy chc jej wyjawi% moje uczucie, (wiadczy z kolei o moim strachu przed rezygnacj# z niezale\*no(ci; ergo jestem emocjonalnie niedojrza#y i (miertelnie si obawiam cho%by my(li o zwi#zaniu si z kim( bli\*ej.

Albo

b) Amy przypomina z wygl#du wilka i dlatego wcale mi si nie podobaba.

Bezpo(redni zwi#zek pomi dzy sztywno(ci# mojego penisa a czasem po(wi conym na my(lenie o seksie z Amy w ci#gu tych paru dni, kiedy si z ni# nie widzia#em, nakazuje natychmiast drug# interpretacj w#o\*y% mi dzy bajki. W zwi#zku z tym pozostaje wersja (a). Nie dam si jednak wypu(ci%. Wcale nie jestem emocjonalnie niedojrza#y. Mam tyle samo uczu%, co ka\*dy inny facet. Problem tylko w tym, \*e jestem kapry(ny, je(li chodzi o ich wykorzystanie. Niczego te\* si nie obawiam. Bo i czego niby? W ko#cu to ja, a nie Amy, podejmuj decyzje, no nie? Co prawda to ona zadzwoni#a do mnie we wtorek po po#udniu. W porz#dku, nie ona jednak, lecz ja przed#u#a#em rozmow i wci#\* wynajdywa#em nowe tematy. Ale to najzupe#niej normalne, w ko#cu towarzyski ze mnie go(%). Zaanga\*owa#em si na tyle tylko, na ile sam chcia#em, nic wi cej. I w ka\*dej chwili mog si wycofa%.

Nie ma sprawy. Rezygnacja z niezale\*no(ci? Bzdura. Jestem tak samo niezale\*ny jak w dniu, w którym j# poznałem.

To tyle, je(li chodzi o Freuda.

Si gam po telefon.

—Cze(% tu Jack. Co powiesz na lunch?

Z drugiej strony dobiega mnie przeci#góe — i, tak, musz przyzna%, \*e bardzo seksy:

—Jack?

— No wiesz, ten facet, z którym sp dziśa( prawie cały weekend.

Znowu j k, po czym pytanie:

—Która godzina?

— Mniej wi cej ósma trzydzie(ci. Odchrz#kuje.

—Hm-hm... Co... Co u ciebie?

Słysz , \*e Matt wychodzi z łazienki.

—W porz#dku. Czemu jeszcze (pisz?

—Nie pracuj dzisiaj. „Praca dorywcza" mnie spławiła. — Jest wy-  
ra0nie przygn biona.

—To smutne — stwierdzam. — Niech to, przeszkodziłem ci w b0gim  
lenistwie?

—Nie, nie... Chocia\*, w sumie, tak — (mieje si . — Ale nic nie szko-  
dzi. Fajnie, \*e dzwonisz. — Milknie, a ja słysz , \*e porusza si w 3ó\*ku.  
Oczyrna wyobra0ni widz , jak le\*y z zaspanymi oczami i włosami roz-  
sypanymi na poduszce. Szkoda, \*e mnie tam nie ma. — Lunch — od-  
zywa si wreszcie. — 9wietny pomysł. Gdzie?

Wygl#dam przez okno.

— Wiesz co, zanosi si na kolejny pi kny dzieł. Mo\*e wi c by(my  
wybrali si do Hyde Parku. Urz#dzimy sobie piknik. Troch si poopa-  
lamy.

—Brzmi super. O której? I gdzie? Hyde Park jest raczej du\*y.

— Wpadnij po mnie do pracy. — Ledwo to powiedziałem, zoriento-  
wałem si , \*e si wsypałem.

Ona tak\*e nie kryje zdziwienia.

—To znaczy gdzie, do domu?

—Ee, nie — improwizuj na poczekaniu. — To galeria w Mayfair. Mojego kumpla. Wyjechał, a ja obiecałem go zastąpić. Taka koleżeńska przysługa, kapujesz?

—Och, nieważne. Powiedz tylko, gdzie dokładnie.

Rozmawiamy jeszcze chwilę, po czym rozłączam się, przeciągam i w końcu wstaję. Nastrój mam iście szampański. Jestem wyspany, pełen energii, umysł mam jasny. A wszystko zaczęło się w poniedziałek i jak dotąd idzie jak po masle. W poniedziałek już o jedenastej wszedłem do atelier i poza przerwę na lunch i szybkie kawki, gdy Matt wrócił do domu, wyszedłem stamtąd o dziesiątej. Zadnej telewizji. Zadnego lenienia się w ogrodzie. Tylko praca.

Na pomysł wpadłem, siedząc w wannie i lecąc kaca: zabawki dużego chłopca. Zaczęłem od przeglądu kolekcji czasopism Matta i powycinając z nich zdjęcia wszystkich najmodniejszych akcesoriów, które następnie przypinałem na tablicy. Potem pożyczylem jego samochód i pojechałem do Chelsea, gdzie w ArtStart kupiłem płótno. Metr na dwa i pół. Żeby dowieźć je do domu, musiałem zrobić dach spitfire'a. Resztę dnia spędziłem na przygotowywaniu wstępnych szkiców i gruntowaniu płótna. I wtedy zaskoczyłem na dobre. Zupełnie jakby włączył mi się w mózgu sygnał i wiedziałem, że teraz naprawdę coś się zmieni. Podobnie było we wtorkowy wieczór, gdy wracałem z pracy w galerii. Zadnego przesiadywania w pubie. Odpoczyłem nawet wódcą po West Endzie z Getem i Paddym. Tylko pracowałem. Tak jak powinienem być przez ostatnie sześć miesięcy.

—Skąd ten wyraz samozadowolenia na twoim licu? — pyta Matt, ledwie zjawiam się w kuchni.

—Nareszcie czuję się stary. — Z miską w ręce siadam naprzeciw niego, sypię sobie muesli i zalewam mlekiem.

—Doprawdy? Jakież cię perspektywy na dzisiaj?

—Nic specjalnego. Idę do galerii, jak zwykle.

—Aha. Właśnie — dodaje — na sekretarce masz jakby wiadomość.

Zupełnie nie zainteresowany nie przerywam jedzenia.

—Od kogo?

—S&M.

Czuj , \*e na mnie patrzy.

—Czego chce?

—Cóż\*, na pewno nie twojego ciała, je(li przeszło( w ogóle jeszcze ma dla ciebie jakie( znaczenie.

U(miecham si wbrew sobie.

—Cha, cha, niezły \*art.

—Nie, pytała, czy w dalszym ci#gu chcesz, \*eby przyszedła jutro. No wiesz, pozowa%.

—Och.

Czeka, a\* powiem co( jeszcze, ja jednak milcz .

—No i co, wci#\* masz nadziei , \*e co( u niej zwojujesz?

—Chyba b dzie najlepiej, jak poczekamy i zobaczymy? Unosi brwi, wcale nie zbity z pantałyku. — Racja.

—A to co ma znaczy%?

—Zgadnij. Trzy litery. Pierwsza A, ostatnia Y. Amy. Gapi si w mi- sk z muesli.

—A co ona ma z tym wspólnego?

—Chyba sam wiesz najlepiej.

—Nic. A czemu?

—Nie zamierzasz si z ni# wi cej spotka%?

—Tego nie powiedziałem.

—Wi c jednak si z ni# spotkasz — stwierdza. Odkładam ży\*k i przeżykam to, co jeszcze miałem w ustach.

Kiedy podnosz na niego wzrok, nie wiem, czy \*artuje, czy te\* mówi serio.

—Tego te\* nie powiedziałem.

—Cóż\* wi c w takim razie powiedziałe(?

—A bo ja wiem. Jeszcze si nie zdecydowałem.

—To znaczy, \*e nie umówiße( si z ni# dzisiaj na lunch? — Widz#c moj# zdziwion# min , wybucha (miechem. — Sorry, stary, ale nie mogłem sobie podarowa%, \*eby nie usłysze% tego i owego...

Teraz wkurzyś mnie na dobre.

— Chciał( powiedzieć%: podsłucha%.

Matt jednak nie daje si sprowokowa%, tylko dalej szczerzy z by jak głupi.

—Co( niesamowitego, doprawdy...

—Co mianowicie?

—Piknik w parku. Jakie to romantyczne. — Słowo „piknik” wymawia, jakby to była jaka( wyj#tkowo zarażliwa choroba.

—Pozwól sobie zauwa\*y%, \*e piknik jest form# lunchu. Park za( jest miejscem, gdzie ludzie urz#dzaj# sobie pikniki. Niekoniecznie musi to zaraz by% co( romantycznego.

Nonszalancko wzrusza ramionami.

— Jak zwaś, tak zwaś. — Dopija kaw . — Osobi(cie nazwałbym to jednak romantyczn# randk#. Osobi(cie uznałbym to te\* za kolejny dowód, \*e Amy staje si kim( wi cej ni\* tylko „kumpel#”. Osobi(cie radziłbym ci —je(li jest tak w istocie — \*eby( bardzo ostro\*nie post powaś w kwestii S&M.

—To znaczy?

Matt wstaje i nakłada marynark .

— By% mo\*e nadeszła wła(nie pora na podj cie decyzji — rzuca, zmierzaj#c ku drzwiom.

Do galerii jad na rowerze i docieram na miejsce przed czasem. Chwila trwa, zanim udaje mi si wej( do (rodka. We wtorek w nocy kto( bezskutecznie próbowaś si włama%, ale i tak zniszczyś doszcz tnie drzwi. Teraz wi c s# nowe drzwi i nowe zamki; co wi cej Paulie wisi mi kas , któr# wyśo\*yśem na ich zainstalowanie. Od ponad tygodnia, kiedy to wyjechaś na wspinaczkowe wakacje do Nepalu, nie miałem od niego \*adnych wiadomo(ci. Ale nie narzekam. Chocia\* kawaś kutasa z tego Pauliego. Ma dobrze ponad czterdziestk , dawniej pracowaś w City, jest mil-timilionerem o arogancji szerszej ni\* Kanaś Panamski, natomiast osobowo(ci szczerzych odchodów. Kiedy przeprowadzaś ze mn# rozmow kwalifikacyjn#, wcale nie kryś, \*e sztuka guzik go obchodzi, a galeri otworzyś tylko po to, \*eby mie% czym szpanowa% podczas proszo-

nych obiadów. Ale, jak kiedyś tłumaczył mi Chris, dla którego pracowałem w ProPixel: „To tylko praca, za którą ci płacą, więc ją wykonuj”.

Powiedziałem sobie, że jego rada, dobra wtedy, tak że i teraz nie straciła nic na wartości. Co z tego, że to (miertelnie nudna praca? Celu (w końcu) nie ma. Dziś nie mam na czynsz. I jakoś sobie radzę. Wiem nie narzekam, tylko robię, co do mnie należy. Wchodzę do (rodka, parzę sobie kawę, sadowi się przy stoliku obok drzwi i szczerzę z by do ludzi zaglądających przez okno wystawowe, robię co w mojej mocy, żeby wyglądać profesjonalnie i zachęcać.

Wytrzymuję tak jakieś pięć minut. Potem zaczynam kręcić się po kuchni na tyłach galerii. Słucham radia, palę papierosa i rozmyślam o porannej rozmowie z Mattem. Jak zwykle miał rację co do McCullen. Lub raczej co do McCullen i Amy. Ponieważ obie się nawzajem wykluczają. A sytuacja jest delikatna, chodzi w niej bowiem o wierność.

Przez dwa lata, kiedy byłem z Zoe, wierność nie była żadnym problemem; nie zdradzałem jej, i o ile mi wiadomo, ona odpłacała tym samym. Mój pogląd w tej mierze był jasny i prosty jak parasol:

a) Różnica pomiędzy uprawianiem seksu z kimś, z kim się chodzi, a kimś, z kim się nie chodzi, polega na emocjonalnym.

b) Jeżeli uprawiasz z kimś seks na bazie emocjonalnej, to znaczy, że ci na tym kimś zależy.

c) Jeżeli ci na kimś zależy, to przecież nie masz ochoty go (jej) oszukiwać.

d) Jeżeli z żatwością przychodzi ci oszukiwanie osoby, z którą chodzisz, to znaczy, że ci już na niej nie zależy.

e) Jeżeli ci na niej już nie zależy, wtedy nie powinieneś z nią chodzić.

f) Jeżeli osoba, z którą chodzisz, nie jest ci wierna, to nie warto, żeby ci na niej zależało.

Nie znaczy to, że potrafię pamiętać niewierność jako taką; wręcz przeciwnie. Nie twierdzę tego, że nigdy nie miałem udziału w cudzej niewierności, bo bym skłamał. Pomiędzy Zoe a chwilę obecną sypiałem z młotkami i



dwoma dziewczynami, które miały od dawna stałych facetów. We wszystkich tych przypadkach nie ja jednak podejmowałem decyzję o zdradzie, tylko one. Według mnie, zdrada przekroczyła ich progi, nie mój. Osoby samotne są z definicji drapieżnikami. Z chwilą, gdy zerwałem z Zoe, stałem się wolnym strzelcem. Nikomu nie byłem winien seksualnej wierności. To, że sam nie zdradzałem, pozostaję z kimś w stałym związku, nie oznaczało, że powinienem się boczyć, gdy inni chcieli zakosztować zakazanego owocu ze mną.

Zdaj sobie jednak sprawę, że mój błogosławiony stan osoby wolnej wciąż (nie znalazł się w bezpośrednim zagrożeniu. Jakiego jednak uczucia do Amy wywi. Nic wielkiego na razie. Nie jestem oszalałym z miłości trubadurem, który bez wahania rzuciłby się na własny miecz, czy coś w tym stylu. Mimo to jednak ciesz się na myłość, że za parę godzin się zobaczymy. Wszystko przecie musi mieć gdzieś swój początek. A jeżeli wciąż coś się mi dzieje, a Amy zaczyna, to znaczy, że czas skończyć polowanie na McCullen. Muszę się na coś zdecydować. O tym wciąż trzeźwił Matt przez cały ranek. Pytanie, na które muszę sobie odpowiedzieć, brzmi: Czy chcę, żeby pomiędzy nami do czegoś doszło? Gdy jeżeli odpowiedź brzmi tak, wtedy — obojcie, jak długo ma to trwać — bądź jej wierny. A to oznacza koniec bajerowania McCullen. Koniec bajerowania w ogóle.

Doprawdy niebagatelna to decyzja.

Amy zjawia się w galerii cztery minuty po pierwszej. Wiem, ponieważ przez ostatnie dziesięć minut wciąż ciwie nie spuszczałem oka z zegara na stole, kiedy to przygotowuję się na jej przybycie, przyjmuję także oto wystudiowaną pozę: nogi na stole, na kolanach rozłożone ilustrowane wydanie historii dadaizmu. Amy stuka palcami w szybę wystawową, ja obojcie podnoszę wzrok i dopiero widzę ją, uśmiecham się i wstaję. Nosi klapki i te kolorowe, długie do kolan sukienki we wzory. Włosy ma spięte. W jej wypadku mogą w stu procentach zastosować zasadę oceny kobiecego ubioru mego przyjaciela Andy'ego: „Kobieta wtedy jest dobrze ubrana, kiedy patrzysz na nią, widzisz ją wyraźnie na-

g#". Podchodz i otwieram drzwi. Przez chwil stoimy w progu, u(miechaj#c si niepewnie, potem ja si nachylam i nasze usta si spotykaj#.

Kiedy wreszcie si od siebie odrywamy, palcem muskam j# po nosie.

—Cała opalenizna ju\* zeszła...

Rumieni si i wykrzywia twarz w zabawnej minie.

—Trwało to całe pi % słoików kremu Nivea...

Zagl#da przez moje rami do galerii i u(miecha si do mnie.

—Jak to jest dla odmiany popracowa% troch uczciwie?

W tym momencie z zakamarków mego mózgu defiladowym krokiem wychodzi Brygada Czystego Sumienia, w nieskazitelnie białych mundurach, uzbrojona w mopy i kubły mydlanej wody. „Spójrzcie, jak tu wygl#da", mruzc# z obrzydzeniem. „Najwy\*szy czas, \*eby(my zrobili porz#dek i usun li co nieco tego gówna". W tym wzgl dzie maj# absolutn# racj : naprawd poczułbym si o niebo lepiej, gdybym zdobył si wreszcie na odwag i wyznał jej, \*e tak naprawd pracuj tu regularnie, trzy dni w tygodniu.

Kiedy jednak zamierzam ju\* otworzy% usta i wyrzuci% z siebie, \*e wszystko, co jej do tej pory opowiadałem, to tylko czcza gadka, i \*e pragn tu i teraz wyzna% cał# prawd , bo wiem, \*e mnie nie wy(mieje, tchórz mnie oblatuje. A co, je(li jednak mnie wy(mieje? Pomy(li sobie: „Skoro raz mnie ju\* okłamał, na pewno zrobi to znowu"? I wszystko, zanim jeszcze na dobre si zacz ło, znajdzie swój koniec. Stoj wi c i milcz . A ludzie, którzy prawd znaj#, Chloe i Matt, stoj# za mn# murem, rami w rami . Amy nie ma prawa dowiedzie% si kiedykolwiek.

— Pozwól, \*e ujm to w ten sposób — mówi , wol#c raczej zignorowa% jej pytanie, ni\* kłama% wprost. — Im szybciej si st#d przeniesiemy do parku, tym lepiej.

Obracam znak na drzwiach napisem .Zamknij te" do przodu, przekraczam starannie wszystkie zamki i mo\*emy ju\* wyrusza% do Hyde Parku. Po drodze gadamy troch o naszym weekendzie, a tak\*e o tym, co ka\*de z nas od tamtego czasu porabiało i wpadamy do sklepu, \*eby kupi% kilka kanapek i co( do picia. Nagle nasze r ce si o siebie ocieraj# i zanim zd#\* pomy(le%, czuj , jak jej palce splataj# si z moimi. Drgn#łem. To

idiotyczne, wiem, przecie\* nasze r ce dotykały nawzajem o wiele bardziej intymnych cz (ci naszych ciaś. Ale to działo si za zamkni tymi drzwiami albo pod wpływem alkoholu, albo z dala od Londynu. Nigdy na zalanym jaskrawym sło1cem gruncie domowym. My(l , \*e odstraszyło mnie znaczenie samego gestu. Bo oznacza on tylko jedno: Hej, ludzie, patrzcie, oto ja i oto ona, i w3a(nie jeste(my razem.

— Co jest? — pyta ze (miechem, przystaje i spogl#da w dół na nasze z3#czone dłonie.

Nerwowo przygryzam policzek od (rodka, wreszcie mówi :

—Nic, tylko troch to dziwne, nie s#dzisz?

—Je(li nie chcesz, nie musimy tego robi% — zauwa\*a ze szczypt# z3o-(liwo(ci i zabiera r k . — Masz racj , tak chyba b dzie najlepiej.

Stoj kompletnie skożowany, nagle zbity z pantałyku, z lew# r k# ob-ci#\*on# torb# z zakupami, praw# za( dziwnie pust#.

— O co chodzi? — pytam w ko1cu.

Mru\*y oczy i atakuje: — Jak to o co? My(lisz, \*e jestem a\* taka g3u-pia? 7e nie wiem, jak to działa?

Wci#\* nie mam poj cia, co chce powiedzie%. Nawet nie wiem, czy przestała \*artowa%.

—Co działa?

—Na przykład trzymanie si za r ce. Mamusia kazała mi uwa\*a% na takich m \*czyzn jak ty. Najpierw trzymanie za r#czki, potem buziak w policzek. I zanim si obejrz , ju\* b dziesz chciaś si ze mn# kocha%, zajd w ci#\* , a ty mnie rzucisz dla innej ladacznicy.—Wydyma wargi, jak mała dziewczynka. — Ostrzegam ci , Jacku Rossiter, ja nie jestem z tych.

Parskam (miechem.

— W porz#dku — zaczynam j# przeprasza%. — Rozumiem. — Wy-ci#gam do niej r k , ona jednak tylko unosi brwi, jakby czekała na co( jeszcze. — Prosz — mówi wi c. — Naprawd tego chc .

—Jeste( pewny?

—Absolutnie.

Kiedy nasze ręce się znówu i idziemy dalej, muszę przyznać, że to bardzo miłe uczucie.

Trawniki parkowe w pobliżu głównych ulic zapchane ludźmi. Chyba wszyscy urzędnicy postanowili spędzić przerwę na lunch na (wieżym powietrzu, wykorzystując dzienne przydziały nie przefiltrowanego tlenu i promieni słonecznych. Wszędzie widać tylko pozadzierane spódnice, podwinięte rękawy i poluzowane krawaty. Trawa tonie w powodzi pustych butelek po wodzie Evian i opakowaniach Pret A Manger. W drugiej z Amy, lawirując między tymi przeszkodami, ludzi stopniowo jest coraz mniej, a wreszcie natrafiamy na spokojny zakątek w centrum parku. Siadamy w cieniu wielkiego drzewa, jemy, pijemy i gadamy.

Przed wszystkim muszę zauważyć, że cała ta sytuacja wydaje mi się trochę nierealna. Ku swojemu zdziwieniu wczuwam się w rolę, zamierzam się z jej dowcipów, zasypuję ją pytaniami, droczę się z nią i na każdym kroku utwierdzam w przekonaniu, że nigdzie i z nikim lepiej jej nie będzie. Jednym słowem, robię wszystko to, co dziewczyny uwielbiają, albo przynajmniej to, co — jak nauczyło mnie doświadczenie — sprawia, że dziewczyny uwielbiają mnie. Nagle jednak, sam nie wiem kiedy, przestaję kontrolować sytuację. Znika gdzieś Super-Jack, ani (ładnie po Jacku Słuchaczu, podobnie jak po wszystkich innych wcieleniach, których się nauczyłem od czasu zerwania z Zoe. Został tylko ten prawdziwy, czyli Jack We Własnej Osobie, co przepełnia mnie uczuciem ulgi. Czuję, jak się rozluźniam. Leżymy obok siebie, wpatrujemy się we wzorki, jakie na tle nieba tworzą liście, i nagle rozmawiam z nią tak, jak nie rozmawiałem z żadną inną poza Zoe, a czego bardzo pragnęłem.

— To całe zamieszanie z rękami — zacząłem. Delikatnie dotyka moich palców swoimi.

— Chodzi ci o to?

— Tak — przyznaj, ujmując jej dłoń. — Właśnie o to.

— I co z tym zamieszaniem?

— Sam nie wiem. Wydaje mi się, że nie wiesz... że to co oznacza. Tworzy wiązanie. Chcę powiedzieć, że kiedy widzisz dwoje ludzi trzymających się za ręce, myślisz o nich tylko w jeden sposób, mam rację?

—7e s# razem...

—Tak, ale jest w tym co( wi cej. Zakładasz, \*e to im odpowiada i s# z tym szcz (liwi.

Nie cofaj#c dżoni, unosi si i wsparta na łokciu spogl#da na mnie z gó-ry.

—A ty? Czy tak w3a(nie si czujesz, kiedy jeste( ze mn#?

—Tak mi si zdaje.

Marszczy lekko brwi. — Zdaje ci si ?

Staram si jej to jako( wytłumaczy%. — No, przecie\* nie mo\*esz tego wiedzie% na pewno — zaczynam si j#ka%. — Ja przynajmniej nie wiem.

Wygl#da na zawiedzion#, jednak kiedy si odzywa, jej głos brzmi bardzo spokojnie.

—Có\*, Jack, ka\*dy czuje to, co czuje. To proste. Nie da si tego w \*aden sposób zaplanowa%. Tak si dzieje i ju\*. — Kiedy to mówi, mam wra\*enie, \*e setki razy do(wiadczą3a czego( podobnego.

—Gadam jak pokr cony, no nie? — podsumowuj .

—A spodziewa3e( si czego( innego? Jeste( tylko facetem i to nale\*y do twojej charakterystyki.

—Cholernie mnie kr puje, \*e tak si przed tob# otwieram— krzywi si . — Cho% mo\*e stwierdzenie „nie otwieram si " by3oby bardziej na miejscu.

—Nie musisz mówi% niczego, na co nie masz ochoty — zauwa\*a.

—Wiem. Ale w tym w3a(nie ca3y problem, Amy. Ja chc ci to powie-dzie%.

—Co?

— 7e ten weekend by3 wspania3y i \*e dzisiaj te\* jest wspaniale i... i chc , \*eby by3o tak jak najcz (ciej. — Milczy, poniewa\* wie, \*e jeszcze nie skołczy3em. I ma racj . Ja jednak wci#\* si waham. Mo\*e jednak wcale tego nie chce? Zale\*y jej, to pewne, ale na ile? Mo\*e dla niej to tylko co( przelotnego, chwilowego? Powiem jej, \*e jestem bardzo zain-teresowany dalszym ci#giem, chcia3bym czego( wi cej ni\* tylko mi3e bzykanko, a ona si przestraszy. Jestem jeszcze ja, tak\*e cholernie wy-

straszony. Bardzo możliwe, że to tylko chwilowe, letnie zamienie, a za dwa tygodnie zaczną się dusić w związku, którego tak naprawdę wcale nie chciałem.

—Ciska mi ręce mocniej.

—Czy wiesz, co ja czuję?

—Nie, ale powiedz mi.

— Bardzo mi to wszystko odpowiada. — Potrzebuję i uśmiecha się. — Cholernie odpowiada. Czuję się wspaniale. — Podsuwa mi pod oczy nasze złożone dłonie. — To coś cudownego. Wspaniałego. Dokładnie to, czego chcę.

—A jeśli zaprowadzi nas to donikąd?

—W takim razie trudno.

Na tym koniec. Zalewa mnie fala ulgi. Niknie wszelka presja. Wiemy już, na czym stoimy. Robimy to, co miliony nam podobnych każdego dnia: rzucają kostki i czekamy, ile punktów pokażą.

— No i dobrze — ucinam. — Kiedy nas zobaczysz, jak się trzymamy za ręce, i pomyślisz, że jesteśmy parą, bądź mieli rację.

—Wspaniale.

Całujemy się, ale tym razem smakuje to inaczej niż wszystkie nasze dotychczasowe pocałunki. Kiedy nasze usta się spotykają, mam wrażenie, że oto przypiecz towaliśmy dopiero co zawarty pakt. Przerażenie, ale i cudowne jednoczenie. To jest to, myślę sobie. Koniec jednego etapu w życiu i początek nowego. Nasze języki się łączą, a ja zdaję sobie sprawę, że nasze życie tak jest. Kiedy jednak przerywamy pocałunek, one związane są w dalszym ciągu. Jeśli to się zmieni, to tylko wtedy, gdy jedno z nas tak zdecyduje. I to tylko wtedy, gdy przestaniemy wierzyć w wypowiedane do siebie słowa. Kto wie? Może tak jest zapisane w kartach? Ale chyba niewiele możemy na to poradzić. Z drugiej jednak strony istnieje prawdopodobieństwo, że to coś prawdziwego, na myśl o czym uśmiecham się błogo, gdy z Amy w ramionach zapadam w sen na trawie. Wracam do galerii koło czwartej, wciąż jeszcze otumaniony słońcem i oszołomiony tym, co wspaniale się stało. W skrzynce na listy tkwi koperta, którą rozrywam i czytam znajdujący się wewnątrz list.



Napisane w nim jest: *Natychmiast zadzwoń do mnie na komórkę. Paulie.* Do diabła. Do diabła, do diabła, do diabła. Nie wierz własnemu pechowi. Raz jeden, jedyny zdarza mi się bumelka, a on właśnie (nie wtedy musi się pojawić. Wchodzę do (rodka, zbieram się w sobie i wykręcę jego numer. Nie jest w najlepszym nastroju. Pomyłka. Jest w nastroju morderczym. Wyjaśnij mi, pomagajcie sobie morzem epitetów, \*e właśnie (nie wyszedł na dumnia przed nową dziewczyną, bo nie mógł wejść do swojej własnej galerii tylko dlatego, \*e pozmiały się wszystkie zamki. To jednak, jak mam okazję szybko się przekonać, jest za ledwie przygrywką do naprawdę żywych wiadomości.

Ja: Paulie, posłuchaj, nawaliłem, przyznaj. I naprawdę jest mi cholernie przykro. I przysięgam, \*e więcej nic podobnego się nie powtórzy.

Paulie: W tym względzie masz cholerną rację, a chcesz wiedzieć dlaczego? Ja: Dlaczego?

Paulie: Ponieważ, do kurwy nędzy, jesteś od tej chwili zwolniony. Masz zamknąć galerię i oddać klucze Timowi Lee w sklepie obok i nie chcę ci więcej widzieć na oczy. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

Ja: To wszystko?

Paulie: Wszystko.

Ja: Jest tylko jedna rzecz, której nie rozumiem.

Paulie: Mianowicie?

Ja: Dlaczego tak 0le ci się słyszy?

Paulie: Bo lecę helikopterem. Co to jednak, kurwa, ma wspólnego...

Ja: Gdzie dokładnie jesteś?

Paulie: W połowie drogi do Paryża. Ja: Aha.

Paulie: Co to znaczy, aha?

Ja: A to, \*e byłoby lepiej, gdybyś zawrócił, ponieważ zostawił te twoje głupie klucze w twoich głupich drzwiach, a twoje głupie drzwi zostały otwarte na oścież!

Oczywiście nie spełniłem swojej groźby. Człciowo dlatego, \*e Pauliego stał na lepszego adwokata niż mnie, a człciowo, ponieważ jestem bardziej przybity niż nastawiony bojowo. Zamykam więc grzecznie galerię po raz ostatni, a klucze podrzucam Timowi.

Jeśli chodzi o kliski, to przy tej, która w końcu (nie mnie spotkała, wojna stuletnia wygląda jak nieszkodliwa sprzeczka. Wpływ, jaki wywrze na moje życie, jest trudny do oszacowania. Zero dochodów = Niemożność utrzymania dotychczasowego poziomu życia = Brak innej możliwości poza kupnem biletu w jedną stronę do miejscowości Kretyńska Praca = Koniec z ambicjami i początek życia upływającego na bezsensownej harówce.

W końcu (nie utracę jakkolwiek kontrol nad własnym życiem — to jest, jeśli w ogóle kiedyś miałem, wobec czego w poczuciu kompletnej niemożności wsiadam na rower i udaję się do domu, na mieszkanie w którym przestało mnie w końcu być. Nigdy wcześniej się tak nie czułem. No, prawie nigdy.

*Wyznania. Nr 4. Niemożność.*

Miejsce: Mój pokój w akademiku, Edynburg.

Czas: 23.30, 2 października 1991.

Ella Trent to był kociak. Mało powiedziane. Ella Trent była najlepszym kociakiem. Nogi Julii Roberts z *Pretty Woman* do kwadratu. Twarz Urny Thurman, kiedy tańczy z Johnem Travoltą w *Pulp Fiction*. Cycki Jamie Lee Curtis w *Nieoczekiwanej zmianie miejsc*. I zimna charyzma Lauren Bacall. Gdyby istniała szkoła, do której głównym kryterium przyjęcia byłaby uroda, a nie IQ, wówczas Ella Trent z całą pewnością znalazłaby ile na okładce broszury reklamowej. Mężczyźni nie tylko się za kobietami ogłotali, oni sobie po prostu skrcali karki. A mnie się udało je poderwać.

Naturalnie to nigdy nie miało prawa się zdarzyć. Była ona i byłem ja. Północ & Południe. Słodczy & Goryczy. Piękna & Bestia. Nas dwoje nigdy nie powinno być się spotkać. Ella Trent nie była przeznaczona komuś takiemu jak ja. Gwiazdorowi filmowemu albo gwiazdzie rocka? Owszem, jak najbardziej. Randka w ekskluzywnej hollywoodzkiej

knajpce? Znowu jak najbardziej. Ale Jack Rossiter przed „The Last Drop” w strugach ulewnego deszczu? Nigdy. Na wieki wieków nigdy.

Nie, \*ebym si ę uskar\*ać na ten niespodziewany u(miech losu. Miałem dziewiętnaście lat, byłem na drugim roku studiów artystycznych w Edynburgu. Tylko dlatego udało mi się zaliczyć rok pierwszy, \*e Ella Trent studiowała na tym samym pi ętrze biblioteki co ja. W przerwach między gapieniem się w księ\*ki, gapiłem się na nią#. Gapiłem się i planowałem, i kombinowałem. I w końcu zdobyłem się na odwagę , \*eby do niej zagada%. Po nad wyraz subtelnym wst ępie (pro(ba o po\*yczenie długopisu i tym podobne) udało mi się nawi#za% znajomo(ę znaczon#skinieniami głowy podczas przypadkowych spotkań.

Jednak nie zawarto(ę jej piórniką wzbudzała moje najwi ększe zainteresowanie. W owym czasie na czele listy moich fantazji seksualnych — wyobra\*ąłem sobie wszystko zawsze w odwrotnej kolejności, \*eby spotk gowa% podniecenie — znajdowało się , co nast ępuje:

5. Trójka#t w 3ó\*ku, składaj#cy się ze mnie, Hayley i Becky, bliźniaczek z mojego roku.

4. Schwytanie w niewol ę przez plemię nadzwyczaj atrakcyjnych Amazonek w celach prokreacji.

3. Chłosta mokrym halibutem w wykonaniu Mademoiselle Chaptal, mojej szkolnej nauczycielki francuskiego.

2. Szcz ęśliwe prze\*ycie katastrofy lotniczej i wyl#dowanie na bezludnej wyspie jako jedyni ocalały mężczyzna wśród całej gromady uczestniczek konkursu Miss 9wiata. 1. Osi#gni ęcie jednoczesnego orgazmu z Ell# Trent jako ukoronowanie długiej i upojnej nocy wypełnionej wyczerpuj#cym seksem.

Z wyj#tkiem punktu 3 z ryb# jako fetyszem (co przypuszczalnie wynikało z mojej studenckiej diety, na któr# głównie składały się frytki i w#tłusz) uważam, \*e jak na młodego człowieka była to całkiem przyzwoita lista. Ella Trent zajmuj#ca miejsce wy\*sze od nieograniczonego

dost pu do wyuzdanych Amazonek? Zaskakuj#ce, doprawdy. A jednak to ona by#a *numero uno*.

I oto jestem z ni# w moim pokoju, po wst pnym ob(ciskiwaniu si pod „The Last Drop” i potem, w taksówce. Patrz , jak si rozbiera, i rozkoszuj si ka\*d# chwil#. Oto spe#niaj# si moje najskrytsze \*yciowe marzenia. Je(li chodzi o ni#, to jest zalana w trupa, zgubi#a okulary, pomyli#a mnie z Bradem, studentem z Australii, w którym si podkochywa#a. No i co z tego? W tej chwili by#em ca#kowicie pewny, \*e jej obecno(% w moim pokoju jest wy#cznie rezultatem b#yskotliwej, sprawnie przeprowadzonej kampanii. Biblioteka by#a miejscem akcji rozpoznawczej. Natkn##em si na ni# w „The Last Drop”. Przypadkowo wpad#em na ni# przy barze. Nawija#em, bajerowa#em i czarowa#em, jakby zale\*a#o od tego moje \*ycie.

I mój plan si powiód#.

Jest tu, w mojej sypialni i w bardzo krótkim czasie l#duje na moim #ó\*ku, zupe#nie naga. Zwyci \*y#em. Zobaczy#em. I wkrótce przyjdzie spe#nienie. Lub raczej, jak w mojej fantazji numer jeden, spe#nimy si oboje jednocze(nie. Rybka by#a w sieci i nic nie mog#o mi zepsu% po#owu. Oto czeka mnie Bzykanie Stulecia. B dzie wspaniale, pieprzenie cudownie, pieprzenie fantastycznie, wszystko naraz. Zostan jej Clintem Eastwoodem, Seanem Connerym i Richardem Gere'em. Zapami ta mnie do ko#ca swoich dni. Domaga#o si tego moje ego.

Na pocz#tku wszystko sz#o jak z p#atka. Ob#apiali(my si , wili, turlali po prze(cieradle, j cz#c z rozkoszy. Pie(cili(my si , g#askali, macali. Prawdziwie mistrzowska gra wst pna. Na pi#tk . Gdzie tam, na szóstk , jak nic. Nigdy w \*yciu nie by#em taki napalony.

— Teraz — powiedzia#a. — Teraz. Ju\*, na#ó\* prezerwatyw . Och, prosz , zrób to. Zrób to, teraz.

Chocia\* jednak mój plan dzia#a# bez zarzutu, to co innego, niestety, wyra#nie szwankowa#o, co zauwa\*y#em, usi#uj#c na#o\*y% kondom. By% mo\*e by#a to wina o(miu kufli piwa, które wla#em w siebie, \*eby ukoi% rozklekotane nerwy i zdoby% si na atak frontalny na Ell . A mo\*e nie pewno(% , czy jestem w stanie sprosta% oczekiwaniom i standardom jej

niesamowitego ciała. -Albo zwykły szok, \*e oto osi#gn#łem co(, co wydawało mi się nierealn# mrzonk#.

Niewa\*ne, jaka przyczyna, skutek był jeden: dziwne, omdlewaj#ce uczucie w brzuchu i spadek napięcia w kroczu. Patrzyłem, jak mój uzbrojony w kondom penis kurczy się i marszczy niczym dziurawy balon. Nie. To niemo\*liwe. Nie teraz. Nie z nią. Nie mogła to pozwolić. W panice, zdesperowany, zacząłem na gwałt przywoływać w wyobraźni moje fantazje, od numeru drugiego do pi#tego. Niestety, mój ptaszek co innego miał w głowie. Po raz pierwszy odk#d przyszedłem na ten (wiat, przestał \*y% własnym \*yciem. Zamiast tego najzwyczajniej umarł. I to (mierci# gwałtown#. Ella i ja patrzyli(my, jak opada, kurczy się, maleje, by wreszcie zwi#dn#% całkowicie.

—Nie wierz — wyj#kałem.

— Co( ty — wysyczała, wstaj#c z łó\*ka i podnosz#c z ziemi majtki.

— Nigdy mnie co( podobnego nie spotkało.

Zakryłem twarz dłońmi.

—To wszystko wina mojej matki — wybełkotałem.

—Co takiego?

Mój australijski akcent był silniejszy niż zwykle.

— Bo nazwała mnie Brad. Zawsze się tego imienia wstydzilem.

## GADAJĄCE OBRAZKI

Na ogół wszelkie zmiany zachodzą powoli. Tak powoli, \*e się ich prawie nie zauważa. Na przykład dojrzewanie. Masz jedenaście lat i ani jednego włosa łonowego, którym mógłbyś się poszczycić, a za chwilę jesteś starszy o dziesięć lat i nie tylko masz do(% włosów na łonie, \*eby wypchać nimi (redniej wielkości poduszki, to jeszcze porastają ci one kłótkie i dziurki w nosie. Pytasz sam siebie: „Sk#d mi się one wzięły? Kiedy z chłopczyka o delikatnej skórze zmienię się w faceta z wóchatym brzuszyskiem?" Na te pytania nie ma, niestety, odpowiedzi,

gdy\* owe zmiany nie nast pu# z dnia na dzie1, lecz zachodz# caými latami.

Zdarza si jednak inaczej. Czasami zmiany nast pu# z szybko(ci# po ci#gu ekspresowego, do którego wsiadasz na jednej stacji, a ju\* po kilku sekundach wysiadasz na zupełnie innej. Jeste( oszołomiony. Oszołomiony i przera\*ony, bo masz (wiadomo(% przebytego dystansu i wiesz jednocze(nie, \*e wróci% si nie da.

We0my na przyk3ad to, co dzieje si teraz. Jestem u siebie w sypialni, dochodzi 8 rano. Le\* w 3ó\*ku, ramieniem obejmuj#c (pi#c# pi kn# dziewczyn , której g3owa spoczywa na mojej piersi, a oddech wtóruje mojemu. Kilka tygodni wcz(eniej na podobn# sytuacj zareagowa3bym prawdopodobnie mniej wi cej tak:

a)W moim 3ó\*ku (pi dziewczyna; wspaniale, podryw si uda3.

b)Dziewczyna (pi w moim 3ó\*ku; cholera, to znaczy, \*e nie mog da% nogi.

c)Dziewczyna (pi w moim 3ó\*ku; lepiej j# obudz — ale jak ona ma, do diab3a, na imi ?

Tym razem jednak wiem, jakja dziewczyna ma na imi . To Amy. Jest sobota. Pó3tora tygodnia temu zosta3em wylany z pracy. Pó3tora tygodnia temu przeprowadzi3em z Amy rozmow w Hyde Parku, podczas której miejsce Mnie i Jej zaj li(my My.

I Amy jest tu teraz ze mn#, a ja sobie my(1 :

a)Amy (pi w moim 3ó\*ku; wspaniale, podryw si uda3.

b)Amy (pi w moim 3ó\*ku; to dobrze, bo nie chcia3bym, \*eby to by3 kto( inny.

c)Amy (pi w moim 3ó\*ku; fantastycznie, poniewa\* 0le mi si budzi bez niej po nocach, które sp dzamy oddzielnie.

Mimo pocz#tkowych oporów teraz dochodz do wniosku, \*e zmiana niekoniecznie musi oznacza% co( z3ego. I dobrze, poniewa\* zmiana nie dotyczy jedynie mojego nastawienia do rozpoczynania nowego dnia ze



(pi#e# u mego boku Amy. Zmiana, jak niegdy( s#uszenie zauwa\*yli hip-pisi, zachodzi wsz dzie wokó3. Przynajmniej w mojej sypialni na pew-no. Starzy przyjaciele — ukochane plakaty z porozbieranymi dziewczynami, kolekcja krwawych plam, w poprzednim wcieleniu b d#cych owadami na szybie okiennej, ogólnie znana pod nazw# „Gi1, le%, gi1!", cuchn#ce skarpety, bokserki — wszystko zosta#o odpowiednio pozrywane, zmyte i wsadzone do pralki. G#ówne przemiany jednak bez w#-pienia dotycz# mego 3ó\*ka. Prze(cierad#a, ko#dra, poduszki — wszystko jest (wie\*o wyprane i wymaglowane. W popielniczce na nocnym stoliku doliczy% si mo\*na zaledwie czterech, a nie jak zwykle czterdziestu pe-tów. A „Playboy" z marca 71 roku — prezent od Matta na dwudzieste pi#te urodziny — spod materaca pow drowa# do pud#a na szafie.

Nie ka\*da jednak zmiana jest korzystna. Czasami bywa te\* bolesna. Jak na przyk#ad ta dotycz#ca mojej pracy.

W pierwszym odruchu po powrocie do domu w ten feralny dzie1, kie-dy to straci#em prac , chcia#em wykona% podobizn Pauliego z szakale-go 3ajna, na p#ytkach w ogrodzie wyrysowa% kred# pentagram, po czym wbija% w poszczególne cz (ci jego cia#a druty, zmawiaj#c od ty#u Ojcie Nasz. Szybko jednak porzuci#em ten zamys#, g#ównie z przyczyn praktycznych (szakale 3aj no jest w#a(ciwie nie do zdobycia o tej porze ro-ku). Zamiast tego zacz##em sobie schlebia% i wspomina%, jaki to by#em dobry w poprzedniej pracy, nie powinienem wi c mie% najmniejszych problemów z szybkim znalezieniem czego( podobnego, chocia\* tym razem jako wolny strzelec. Bywaj# jednak chwile, kiedy ca#y (wiat zma-wia si przeciw tobie i dowodzi swojej wy\*szo(ci, mia\*d\*#c twoje ego niczym n dzn# mrówk . Dziesi % telefonów i dziesi % odmów pó0niej nie mog oprze% si wra\*eniu, \*e oto nasta#a w#a(nie jedna z takich chwil. Dzielnie prze#ykam t gorzk# pigu#k i wiem, \*e pozosta#o mi tylko jedno honorowe wyj(cie z sytuacji: \*ebry.

Sporz#dzam list potencjalnych dobroczy1ców:

1.Ojciec. W tydzie1 po moich ósmych urodzinach tatu( powiedzia# „pa" mojej mamusi, Kate, Billy'emu i mnie. Dwoje dzieci i \*ona, której

ju\* nie kochał, poświęcone z niedogodnościami ciągłego podróżowania pomiędzy Bristolem a Londynem uczyniły go podatnym na wpływy Michelle Dove, jego ówczesnej sekretarki. Wbrew nadziejom mojej matki, tata i Michelle nadal są szczęśliwym małżeństwem. Mieszka w pięknej posiadłości w Holland Park i dzieli swój czas na wydawanie kroci, jakie agencja nieruchomości taty zarobiła w czasie boomu lat osiemdziesiątych i wychowywanie dwójki dzieci, Daviego (14 lat) i Marthy (lat 13). Tata i ja spotykamy się dwa razy do roku (z okazji urodzin i Bożego Narodzenia). Prawdopodobieństwo poratowania mnie gotówką: 0. Prawdopodobieństwo ponowienia oferty ułatwienia mi startu w City: wysokie.

2. Mój brat, Billy. Wciąż zaangażowany we wszystko, co związane z technologią, zajmuje się marketingiem w jednej z firm komputerowych w Docklands. Billy ma rodzinę i hipotekę do spłacenia. Radzi sobie nieźle i jest szczęśliwy. Ale ma jakiegoś przyszłości. Dzieciaki, o których musimy pamiętać. Nie powinienem zmuszać go do odgrywania roli tatusia, co z powodzeniem robił, kiedy Kate i ja byliśmy mali.

3. Moja matka. Proszę ją o pieniądze postawiłoby mnie w jednym szeregu z Neronem w ubieganiu się o pierwsze miejsce w konkursie na przyzwoitość. Mama jest kasjerką w banku i po opłaceniu hipoteki i rachunków niewiele jej zostaje. Na pewno wytrzasnęłaby trochę pieniędzy, jak robiła to zawsze, kiedy byłem studentem, ale zwykle potem czułem się jak szmata.

4. Moja siostra. Studentka. Równie dobrze mógłbym prosić trupa o wskazówki dotyczące zdrowia. Nie ma o czym mówić.

5. Matt. Trochę nieźle. Ponieważ Matt ma kupkę kasy. I jest moim najlepszym przyjacielem. Ja zrobiłbym dla niego to samo, ale on jest już i tak wystarczająco hojny. Czuję się bardzo głupio, gdybym poprosił od niego trochę forsy. Myślę, że w grę tu wchodzi kwestia szacunku dla samego siebie.

Trudno nazwać to listą marzeń. W chwilach desperacji trzeba się chwycić wszystkiego. Opieraj się na założeniu, że cię szansa jest

lepszy od jej braku, zaszczyciłem telefonem tat. Jego recepcjonistka potraktowała mnie wrednie, on sam jednak, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, chętnie przystał na spotkanie. Umówili(my się) na lunch we wtorkowe popołudnie.

Wszystko poszło dobrze. To znaczy względnie dobrze. Dobrze jak na spotkanie z krewnym, który wzdycha na sam mój widok. Chwilę rozmawiali(my), dzieląc się nowinami. Szybko jednak przeszedłem do rzeczy i spytałem, czy nie mógłby mi pomóc w czymś, na co usłyszałbym, że pora już najwyższa, abym stanął na własnych nogach. Wtedy powiedziałem mu o stracie pracy, na co on zaproponował rekomendację do znakomitej firmy brokerskiej. Przyznałem się, że nie chciałbym zrezygnować ze sztuki, on w odpowiedzi westchnął i zajął się swoim udziałem z homara. A potem zrobił coś, co zdarzyło mu się chyba po raz pierwszy w życiu: zaproponował rozwiązanie, które zadowoliłoby nas obu. Otóż oznajmił, że zleci wykonanie pracy, która miałaby zawisnąć w recepcji jego nowego biura w Knightsbridge. Wtedy ja zrobiłem coś, co również zdarzyło mi się chyba po raz pierwszy: podziękowałem mu, zapewniając jednocześnie, że go nie zawiodę.

W piątek rano do domu Matta wmaszerował — albo raczej się wturlał — Willy Fergusson, dyrektor ds. marketingu w firmie taty. Już po raz drugi z rzędu odwołałem sesję z McCuñlen, wciskając jej kit o pogrzebie w Bristolu. W zeszłym tygodniu, wciąż jeszcze nie mogąc wyjść z depresji wywołanej wylaniem z pracy, nie miałem najmniejszej ochoty na spotkanie z nim. No i w grę wchodziła też nasza umowa z Amy. Musiałem sobie wszystko poukładać, a nie ryzykować, że na widok Sally zapomnę, że nie jestem już wolny. Przeknął za to gładko, co powitałem z ulgą, bo chociaż przestała mnie interesować jako zdobywcza, jej portret nadal chciałem skłócić.

Willy był dobrze po pięćdziesiątce, żył i taszczył przed sobą brzuszysko, na które zapracował sobie może jedynie latami obfitych lunchów i obiadków. W kieliku ust, w gęszczu wosa tkwiło coś, co wyglądało mi na gotowaną fasolkę. Zaprowadziłem go do atelier, gdzie roz-

wieściem osiem swoich prac. Przygl#dał si# im, jakby studiował menu w McDonaldzie.

—Trzy tysi#ce funtów—oznajmił na koniec.—Tysi#c z góry, reszta po wykonaniu pracy. Tylko \*eby to było du\*e, bo przecie\* jeste(my du\*# firm#. Interesuj# nas wy#cznie rzeczy du\*e. Mniej wi#cej co( takie-go—ci#gn# dalej, wskazuj#c na obraz z zabawkami dla du\*ych chłop-ców. — Tylko mniej zwariowane.

—Czy mógłby pan okre(li% dokładniej, co pana interesuje? — zapyta-łem grzecznie.

—Co( jaskrawego. Na widok czego ludzie mieliby lepszy humor.

—Co( jaskrawego...

—Na przykład \*ótego.

—7ótego?

—Albo pomarańczowego. Tak... pomarańczowy b#dzie w sam raz.

—A cytrynowy? — zapytałem, ledwo wierz#c własnemu szcz#ciu, \*e oto zostałem wtajemniczony w Cytrusow#Teori# Sztuki Profesora Will-y'ego Fergussona.

Nie podj#ł decyzji od razu, potrzebował chwili na zastanowienie.

—Nie, cytrynowy nie b#dzie dobry. Nie chcemy, \*eby nasi klienci podejrzewali, \*e mamy zagrzybione (ciany. Zostaniemy przy \*óтым i pomarańczowym. To bezpieczne kolory.

Zanotowałem w my(li, \*eby zaraz po jego wyj(ciu zadzwoni% do Art-Start i zamówi% kubeł najbardziej jaskrawej \*óci, jak#maj# na skł#dzie.

— A to co za kociak? — spytał Willy na widok portretu Sally, pod-chodz#c bli\*ej, by przyjrze% mu si# lepiej.

—Modelka.

Przekrzywił głow# na bok i chwil# stał pogr#ony w kontemplacji.

—Co( wspaniałego — stwierdził na koniec. Zalała mnie fala dumy.

—Podoba si# panu?

— Jasne. W \*yciu nie widziałem lepszych cycków i bardziej kształtnej dupeczki.

Wi# c o to chodzi. Dobru (Amy) towarzyszy zwykle zło (konieczno(% zwrócenia si# o pomoc do taty) i brzydota (\*óty koszmarny, który mam

wymalowa% do recepcji firmy taty). Nie pora jednak na \*ale. Pieni#dze mam w banku. Znowu sta% mnie na \*ycie. Zachciało mi si zmian — prosz bardzo, oto one.

Trzeba wi c stawi% im czoło.

Patrz na (pi#c# Amy. W sumie mógłbym pój(% w jej (lady, zbyt wiele jednak my(li kotłuje mi si w głowie i chyba bym nie zasn#ł. Kusi mnie, rzecz jasna, \*eby w(lizgn#% si pod kołdr i ofiarowa% jej mały prezencik na dzieł dobry, ale poszli(my bardzo pó0no spa%, niech wi c sobie wypocznie. Sam natomiast ostro\*nie wstaj , ubieram si i id do pobliskiego sklepu. Po powrocie kroj w kuchni w dzonego 3ososia i układam na bagietce. Có\* za ekstrawagancja. Podobnie jak sukienka dla Amy, za któr# wczoraj uparłem si zapłaci%. Ale podobne gesty uprzyjemniaj# \*ycie. Zreszt# jaki lepszy u\*ytek mo\*na zrobi% z pieni dzy?

Wchodz do sypialni, ale 3ó\*ko (wieci pustk#, stawiam wi c tac na skotłowanej po(cieli i id sprawdzi% do 3azienki. Pudło, i tu ani (ladu po Amy. Przystaj w korytarzu i wołam j#, poniewa\* jednak nie otrzymuj odpowiedzi, schodz na dół.

Wreszcie j# znajduj , w atelier. Okna s# pozamykane i w pomieszczeniu panuje niezno(na duchota, jak w d\*ungli. Amy siedzi po turecku na podłodze, w białych majteczkach i moim czarnym T-shircie z Hendriksem. Bardzo w stylu jin i jang. Jednak nie jej strój przykuwa moj# uwag , lecz to, w co si wpatruje. A jest tym na wpół ukołczony portret Sally McCullen. Na wpół ukołczony portret bardzo pi knej Sally McCullen, z cyckami i dupeczk#, jakich Willy Fergusson w \*yciu nie widział.

—Wszystko ci wytłumacz — zaczynam. Amy nie patrzy na mnie.

—Wi c to jest Sally. Sally, twoja modelka.

—Powa\*nie — próbuj znowu. — To nie jest... Amy podnosi r k .

—Mo\*e si myl — mówi, nadal nie odrywaj#c wzroku od McCullen—ale o ile pami tam, mówiłe(, \*e ona wygl#da, cytuj , jak karakan. I \*e brzydziłby( si tkn#% j# kijem. Ale o to chyba chodzi w aktach, prawda? Maj# by% interesuj#ce, a nie żadne. Bo wtedy nale\*ałoby je okre(li% mianem pornografii. Zupełnie jakby jaki( zboczeniec onanizował si ,

patrz#c na rozebran# dziewczyn . — Nareszcie obraca si twarz# do mnie. Widz#c jej wyraz, oddzia3 SAS wykona3by zapewne manewr taktyczny polegaj#cy na popuszczeniu w gacie. — Tak chyba w3a(nie mówi3e), prawda?

—No, có\*, w zasadzie tak, ale...

—Ale co, Jack? Ale mnie ok3ama3e(? 7e ona nie jest uderzaj#co pi kna? A ty nie jeste( smutnym zboczkim? No? Przemówisz wreszcie? Bo jestem bardzo ciekawa. Co jest Jack — po3kn#3e( j zyk?

Wpatruj si we własne stopy. Nie po3kn#3em j zyka. Ja go prze\*u3em, strawi3em i wyplu3em do (mieci. Có\* niby mam powiedzie%? Tak, ok3ama3em j#. Tak, Sally McCu3len jest uderzaj#co pi kna. I owszem, chyba mam w sobie co( ze zbocze1ca.

Na koniec mówi jedyn# rzecz, któr# w tej sytuacji powiedzie% mog .

— Przepraszam. — Patrz na ni# w nadziei, \*e mimo wszystko potrafi wybaczy% takiemu kutasowi jak ja.

6

AMY

Nigdy w \*yciu nikt tak mnie nie upokorzy3. Przenigdy.

Jestem nieznanym dzieckiem Huna Attyli i Dartha Vadera. Jestem fataln# krzy\*ówk#.

Spogl#dam za siebie na drzwi, przez które zosta3am w3a(nie wyrzucona, i posy3am w ich kierunku salut (rodkowymi palcami obu r#k. To jedyne, co powstrzymuje mnie przed skopaniem niego(cinnego wej(cia z ca3ej si3y.

Mamroczc w(ciekle pod nosem, gnam jak op tana, a nade mn# k3 - bi# si bure chmurzyska. Jeszcze zanim docieram do stacji, otwieraj# si niebiosy i w jednej sekundzie jestem przemoczona do nitki.



Amy Crosbie: cała zmyta.

Nigdy w życiu bym nie pomyślała, że z pracy dorywczej można wylecieć. Za każdym razem (wielce sobie radziłam, tkwiłam w tym samym przekonaniu, że jestem nietykalna, co — jak widać — okazało się nieprawdą).

Najwyraźniej przybył mi nowy talent — do pomyłek.

Nie jestem nim szczególnie zachwycona.

Zgoda, nie powinnam być głębiej przed Elaine, że żadna centrala telefoniczna pod słońcem nie ma przede mną tajemnic. Prawda byłaby zdecydowanie lepsza, skądinąd wiadomo jednak, że nie zajdzie się zbyt daleko, niczego o sobie nie zatajać. To pierwsza zasada w pracy dorywczej: zawsze zaznaczaj odpowiedź „tak” na kwestionariuszu kwalifikacyjnym. Kiedy więc Elaine zadzwoniła z informacją, że jest (wielce płaćna, dwutygodniowa praca w zarządzie dużej firmy prawniczej, zgodziłam się bez namysłu.

— To dobrze. Pracowałaś już w systemie Elonexic 950 XPCZ 150 — dodała mimochodem. — Wić sobie poradzisz.

— Jasne, żaden problem — odparłam, nawet jej nie słuchając, bo w myślach już liczyłam pieniądze, za które natychmiast kupię sobie fajne buty, jakie w zeszłym tygodniu wpadły mi w oko w Red or Dead. A reszta, cóż to za problem praca w recepcji? Mogę ją wykonywać, stojąc na głowie.

Na myśl mi nie przyszło, że mogłabym nie mieć odpowiednich kwalifikacji, nawet kiedy czapałam przez całą Londyn do City ani nawet wtedy, gdy kroczyłam przez wyłożone czerwonym pluszem atrium w stronę swojego biurka. Nie podejrzewałam jeszcze niczego takiego, gdy sadowiłam swój tyłek w wielgachnym krześle, przedstawiając się Angeli z personalnego.

Kiedy jednak pozostawiono mnie sam na sam z czymś, co wyglądało jak system kontroli lotów, trochę się zaniepokoiłam. Po chwili stało się dla mnie jasne, że tym razem przesadziłam z blagowaniem. Czerwone, pomarańczowe i zielone (wiałka migały jak w ciekocie, a dotychczas-

wa cisza, w jakiej ton 3a ogromna recepcja przesz3a w nieustanne bu-  
czenie przeci#\*onych i zaj tych linii.

—Tylko spokojnie — doda3am sobie otuchy, czu3am ju\* jednak nad-  
ci#gaj#ce trz sienie ziemi, które mog3o naruszy% fundamenty pewno(ci  
siebie pracownicy dorywczej. Po dwudziestu minutach, gdy nie uda3o  
mi si po3#czy% ani jednej rozmowy, zacz 3am wpada% w lekk# panik .  
Po godzinie Angela musia3a si troch ze0li%. Zni\*y3a si do mojego po-  
ziomu z którego( z wy\*szych pi ter i w3a(nie mkn 3a ku mnie z windy  
w obcis3ym pr#\*kowanym kostiumie.

—Masz jakie( problemy? — zapyta3a.

—Ale\* sk#d — zmusi3am si do u(miechu, orientuj#c si jednocze-  
(nie, \*e s3uchawki na3o\*y3am ty3em do przodu.—Wszystko w porz#dku.

Skin 3a g3ow#, wyra0nie jednak nie by3a usatysfakcjonowana.

Patrzy3am, jak odchodzi. Postanowi3am si nie poddawa%. W ko3cu  
zdawa3am w szkole fizyk . To nie powinno by% a\* tak trudne. Jednak  
by3o.

Wkrótce mia3am do czynienia z ogniem zaporowym zrozpaczonych  
dzwoni#cych i musia3am stawi% czo3o powa\*nemu kryzysowi na linii.  
Oko3o jedenastej centralka wygl#da3a, jakby za chwil mia3a eksplo-  
dowa%. Zacz 3am wali% w przyciski, jak popadnie.

— Do kurwy n dzy, (wiry! — wrzasn 3am, trac#c nad sob# panowa-  
nie. — Wyno(cie si do wszystkich diab3ów, idioci! Dzwolcie sobie  
gdzie indziej! Odpieprzcie si !

Dwie minuty pó0niej drzwi windy otworzy3y si i wyskoczy3 z nich  
3ysiej#cy m \*czyzna w nienagannym garniturze i ruszy3 k3usem w moj#  
stron . W pierwszej chwili pomy(la3am, \*e gdzie( wybuch3 po\*ar, po-  
niewa\* gwa3townie wymachiwa3 r kami, szybko jednak si wyja(ni3o,  
\*e jedynym zagro\*eniem w ca3ym budynku by3am ja.

— C3o\* pani sobie wyobra\*a?! — krzykn#3, zatrzymuj#c si przede  
mn# gwa3townie. — Jak pani (mie przeklina% przez intercom! Czy zdaje  
sobie pani spraw , jakich wa\*nych klientów przyjmujemy w3a(nie w sali  
zarz#du? A pani inwektywy s3ycha% na ka\*dym pi trze! Na ka\*dym! —

Gro0nie marszczy3 krzaczaste brwi, a wy3upiaste oczy wygl#da3y, jakby za chwil mia3y mu wyskoczy% z orbit.

Podnios3am si gwa3townie, ale przewód s3uchawek, które ci#gle jeszcze mia3am na g3owie, poci#gn#3 mnie z powrotem w d33.

—Sk#d pani jest?! — wrzasn#3, gdy rozpaczliwie stara3am si uwolni%.

—Z Shepherd's Bush — wyj#ka3am, po raz pierwszy zauwa\*aj#c przycisk intercomu. Nacisn 3am go i (wiate3ko zgas3o, podobnie jak zielona lampka tu\* nad moj# niewyparzon# g b#.

—Z jakiej ona jest agencji? — zapyta3, wskazuj#c mnie palcem, gdy u jego boku zjawi3a si Angela.

—„Najlepsza praca dorywcza” — wykrztusi3a. — Natychmiast ich o wszystkim zawiadomi .

Nie mia3am \*adnych szans. M \*czyzna chwyci3 mnie pod rami i si3# powl3k3 w stron wyj(cia.

—Au! — wrzasn 3am.

—Wynocha! — rozkaza3, patrz#c na mnie, jakbym w3a(nie zsika3a si na dywan. — Nie chc pani wi cej widzie%. Czy zdaje sobie pani spraw ... — Nie doko1czy3 jednak, a ja przez moment obawia3am si , \*e jeszcze chwila i najzwyczajniej w (wiecie kopnie mnie w ty3ek, \*ebym szybciej znalaz3a si za drzwiami.

Wpadam do metra, ciesz#c si , \*e mog3am zapa(% si pod ziemi . To chyba najbardziej odpowiednie dla mnie miejsce. Wybieram lini na chybi3 trafi3, znajduj#c ukojenie w mieszaninie twarzy i plakat3w, nie przestaj#c wymy(la%, co te\* powinnam by3a powiedzie%. W ko1cu mia3am pi % wersji niezwykle b3yskotliwych ripost, które Angel i jej giermka literalnie wmurowa3yby w ziemi , zdumiewaj#c diabeln# (ci-s3o(ci# mojej wypowiedzi.

Niestety, wszystko na pró\*no. Nigdy nie b d mia3a szansy si wyt3umaczy%. Pora przyj#% do wiadomo(ci: nie ja tu wygra3am.

Dochodz do wniosku, \*e koniecznie musz zmieni% otoczenie, wy-siadam wi c przy Green Parku. 6a\* bez celu po \*wirowych (cie\*kach,

czuj#c, jak ci \*ar (wiata przygniata mi barki. Nadal jest pochmurno, ale przynajmniej przestało pada%. Otulam si wilgotnym \*akietem i siadam skulona na jednej z pustych ławek.

Zamykam oczy i widzę rojowisko płam. Wiem, \*e b d musiało poka- ja% si przed Elaine. Podci#gam kolana pod brod i obejmuj je ramio- nami. Dlaczego nikt jeszcze nie wynalazł teleportacji? Byłoby nie0le, gdybym w3a(nie teraz mogła przenie(% si gdzie(, na przykład na jak#( odleg3# wysp w Ameryce Południowej.

H wyjechała gdzie( na zdjęcie, a do Jacka nie mam ochoty dzwoni%. Po odkryciu portretu Sally czuję, jakbym si trochę od niego oddaliła. Mimo i\* przepraszał i tłumaczył si przez blisko godzin . Ale i tak wku- rza mnie, \*e nie powiedział mi prawdy od razu. Chyba sobie pomy(ła, \*e jestem zbyt delikatna i nie znios faktu, i\* portretuje dziewczyn , któ- ra podoba mu si w sposób tak oczywisty. Co on sobie my(ła? 7e p kn z zazdro(ci? Có\*, to wielce prawdopodobne, rzecz nie w tym jednak. Więc teraz staram si zachowa% dystans. Odczuwam jednak co( wr cz przeciwnego. Jestem roztrz siona jak galareta.

Nie mam nikogo, komu mogłabym si wy\*ali%. Starannie i na dobre spaliłam za sob# wszystkie mosty. Cały ostatni tydzień po(wi ciłam na wydzwanianie do wszystkich znajomych, wychwalaj#c pod niebiosa za- lety Jacka i bredz#c, jakie to \*ycie jest wspaniałe. Teraz, kiedy zostałam oficjalnie dziewczyn#, wszystkim, którzy mieli szc(cie znale0% si w moim notesie z telefonami, nie szcz dziłam słów mi3o(ci, nie kryj#c przepe3niaj#cych mnie pozytywnych emocji. I naprawdę wierzyłam w szczero(% swoich intencji. Za kogo ja si jednak uwa\*am?

Spójrzmy prawdzie w oczy. Co innego miałam na celu: na pewno nie kierowałam si szlachetno(ci#, trosk# o innych czy cho%by potrzeb# dzielenia si . O nie, ja chciałam, \*eby wszystkich szlag trafił z zawi(ci.

Zadzwoiłam do Susie, mojej najlepszej kumpeli z college'u, i do- słownie napawałam si ka\*dym słowem, co było wyj#tkowo wredne z mojej strony, zwa\*ywszy na to, \*e Susie zwi#zana jest z \*onatym m \*- czynn#. Gdy skończyłam swój monolog, jak to znalazłam wreszcie sens \*ycia, Susie westchn ła do słuchawki.

—Ty to masz szcz (cie.

—Ty te\* mogłaby( je mie% — przerwałam dla lepszego efektu. Susie wiedziała, co b dzie dalej. Podobn# rozmow przeprowadzały(my chyba ze sto razy. — On jej nigdy nie zostawi. Dobrze o tym wiesz.

—Tak, ale ja go kocham — wyznała z \*ałosnym cockneyowskim akcentem, jak jaka( przebrzmiała gwiazda oper mydlanych i jak zwykle wybuchły(my obie (miechem.

—Och, naprawdę si ciesz , \*e ci si układa — wyznała wreszcie na koniec rozmowy. — Co nie zmienia faktu, \*e a\* mnie skr ca z zawi(ci. Chyba bym fruwała ze szcz (cia, gdyby mój facet był taki romantyczny. Oboj tnie jak, ale pilnuj go sobie, Amy.

Z jednej strony ogromnie zadowolona, nie potrafiłam zdusi% w sobie poczucia winy, \*e to i owo okraszałam szczegółami jakby \*ywcem wyj - tymi z nagrodzonych Oscarami romansów. Jednocześnie przypisałam Jackowi pewne cechy charakteru, których nigdy w \*yciu posiada% nie b dzie. Na przykład pocz stowałam Susie opowie(ci#, jak to zjawił si w moim mieszkaniu z kolosalnym bukietem ró\*owych ró\*, a na naszym pikniku raczyli(my si szampanem z kawiozem.

Piknik i tak był fantastyczny, a po kawiorze mam wzd cia.

Dobrze wiem jednak, sk#d mi si to bierze. Tak bardzo chciałam, \*eby tym razem okazało si , \*e to jest wśa(nie TO, \*e zacząłam zmy(la% i przesadza%, aby przekona% moich przyjaciół, ale przede wszystkim siebie sam#.

Spogl#dam w gór na drzewa i wsłuchuj si w dobiegaj#c# z oddali melodyjk samochodu z lodami. Bior gó boki oddech.

Prawda jest taka, \*e moje \*ycie wcale nie jest doskonałe, a Jackowi daleko do ideału.

Chwil si nad tym zastanawiam, po czym, aby dobi% si ju\* ostatecznie, dochodz do wniosku: moje \*ycie nie jest doskonałe, poniewa\* Jack nie jest doskonały.

By% mo\*e my(l tak, bo nie wiem, czy zamierzam sp dzi% z nim reszt \*ycia. To chyba normalne w przypadku zwi#zków (wie\*ych, jak nasz, ja jednak i tak wpadam w panik . Tyle czasu czekałam na wśa(ciwego

faceta, \*e straciłam poczucie rzeczywistości. Myślałam, \*e kiedy moje pragnienie mi się w końcu zaskawie się zmaterializuje, wszystko ułoży się automatycznie. Miłość. Matrymonium. Dzieci. Żadnych problemów.

Lecz facet, na którego czekam, to nie Jack. Ten facet to ideał.

Zwykły wytwór mojej wyobraźni.

Zamiast niego przypadł mi w udziale Jack. A ponieważ \* jest rzeczywisty, do ideału mu daleko. Tyle rzeczy mnie w nim denerwuje. Można sporządzić z nich całkiem list .

> Jest próżny. Nie, to wykreśliłam. Nie jestem fair. Uważam tak tylko dlatego, \*e ma zwyczaj zapierać się za brodę i w lustrze oglądać swoją twarz z dwóch stron, jakby reklamował (rodki do golenia. To (mieszne, ale na pewno nie wynika z próżności.

RS



> Jest (mieszny.

> Jest dziecinny. Puszczając b#ki i my(li, \*e to strasznie zabawne; po wyj(ciu spod prysznic przetrzuca sobie jajka z boku na bok i wkurza się , kiedy co( idzie nie po jego my(li. Aleja tak\*e nie jestem modelowym przyk#adem doros#o(ci.

> To, co wyczynia ze stopami. Za ka\*dym razem, gdy próbuj zasnąć%, on nerwowo porusza stop#. To taki nerwowy rozkurcz, ale mnie się od razu wydaje, \*e (pi z Alanem Shearerem. Kiedy tr#ca mnie w nog , z#o(ci mnie to tym bardziej, \*e jego stopy s# takie zaniedbane. Dlaczego tylko dziewczyny mają# malowane% paznokcie?

> Najwyra#niej bardziej jest oddany swoim przyjacio#om niż\* mnie.

> 7yje z portretowania obrzydliwie pięknych nagich dziewczyn.

Grr.

Có\*, Jack nie jest idealny. Muszę się z tym pogodzić%. Nie mogę winić% jego za własne nieszcz(ście. Tylko sobie zawdzi(czam, \*e moje \*ycie to jedna wielka pomy#ka. I tylko ja sama mog( na to co( poradzić% i to zanim zamarznię tu na (mier%.

W druż(Oxford Street na nieuniknion# konfrontację z Elaine. Nie wygl#da na szczególnie zachwycon#. Siedzi sztywno za biurkiem w „prywatnym” gabinecie, gdzie ucinamy sobie nasz# pogaw#dkę. Mówi mi, \*e bardzo j# zawiod#am, \*e jest ogromnie rozczarowana, zastanawia się , jak mo\*na by% takim lekkoduchem itd., itd. Stoję przed ni# z r#kami pokornie z#o\*onymi z przodu, a od kiwania i potrząsania, w odpowiedziach na jej uwagi, moja gł#owa zaczyna wpadać% w ruch wirowy. Kajam się i przepraszam ze wszystkich si# , staraj#c się przy tym wygl#dać% na jak najbardziej skruszon#. Wreszcie Elaine kołczy. Gasi papierosa w kamyczkach, którymi wypełniona jest doniczka ze sztucznym kwiatkiem. Doliczam się w niej chyba z dziesięciu petów. Mo\*e to jeden ze żyjących dorywczych dni Elaine.

— Amy, sprawa jest poważna — stwierdza, przygryzaj#c dziobaty policzek, jakby w#a(nie miała zdecydować% o odpowiedniej dla mnie karze. Gruba warstwa fluidu kołczy się zdecydowan# lini# tu\* pod jej pod-

bródkiem. — W tej sytuacji wolałabym nie umieszczać ci nigdzie in-  
dziej.

W głowie ponuro dźwięczy mi dzwon pogrzebowy

Nie chc by% d3u\*ej g3upia ani s3aa

Status dziewczyny na stałe to znacznie bardziej stresujące zajęcie, niż pamiatać. Jest takie czasochłonne. Nieustannie \*yj teraz w stanie „Na wypadek, gdyby”. Na wypadek, gdyby (my się mieli spotkać, muszę codziennie golić nogi i pachy, przez co wciąż te cięciwy (cięcia mam porównaj do ostrzy szczecin; nad klozetem wyskubuję włosy łonowe, co jest istnym koszmarem, ponieważ \*mijają całe wieki, zanim uda mi się je sprząść; sprzątam sypialnię i chowam ubrania do szafy, zamiast jak zwykle zostawić je na podłodze; na okrycie piorun nigdy (ładnie poszłam na kódr, bo wolę to, niż założyć koszmarne w kwiatki; regularnie robi zakupy, a nie \*yj na samych tostach i gorących kubkach; no i wreszcie noszę elegancką bieliznę.

To ostatnie zwłaszcza kosztuje mnie najwięcej. W okresie ZPJ (7 ycie Przed Jackiem) bez obciachu nakładałam ukochane szare majtki i równie (liczny stanik. Mam też kolekcję prawdziwie obrzydliwych stringów, z wygodnych raczej niewiele wspólnego, za to doskonale przecinających narządy rodne na pół.

Czytałam kiedyś artykuł o samotnych dziewczynach, które wkładają seksowną bieliznę dla własnej przyjemności. Kosmiczna bzdura! Według mnie albo dniem i nocą marzę o bzykaniu, albo są zbyt bogate. Zresztą i tak nigdy \*adnej z nich nie spotkałam. Nie znam dziewczyny, która przedłożyłaby Triumph nad poplamioną bielizną, nawet gdyby doszło do międzynarodowego kryzysu majtkowego.

Sama nie wiem, czemu tyle uwagi poświęcam kwestii bielińnianej. Kiedyś wywlekałam pranie Jacka suszyć się na sznurze w ogrodzie. I oto, proszę bardzo, wisiały tam bardzo piękne, ponacigane bokserki, jakby \*ywcem (ciężni te ze 9wi tego Mikołaja. Jak widać, on też ma swoje grzeszki na sumieniu.

Jednak \*e postanowiłam nie dać się przyłapać i dlatego w zeszłym tygodniu udałyśmy się z-mojej podręczni Visa na bielińniane zakupy. W M&S prawie przez cały czas na krok nie odstąpiła mnie wspaniała dama, która zdecydowanie za długo (no perorowała.

— Jaki rozmiar stanika nosisz, kochanie?

— 75C — odpowiedziałam, chwytaj# c si za piersi, jakbym została przy#apana na rozbieranej randce.

—Nigdy w \*yciu! Najwy\*ej 70B, je(li mnie oko nie myli,

—70B ! — wykrzykn #am, a ona wepchn #a mnie do kabiny i zacz #a owija% miar# krawieck#, zamykaj#c moje piersi w ciasnej p tli.

—Ha, tak jak my(la#am — pokiwa#a g#ow#, bardzo z siebie zadowolona.

70B! Przecie\* zawsze, odk#d uros#y mi piersi, mia#am 75C. Kiedy\* to zamieni#am si w #ód0 p#askodenn#?

Nak#adam nowy, wci#gany przez g#ow stanik i patrz na swoje odbicie w lustrze. Czuj si strasznie skr powana i zak#opotana.

Co innego mog nosi%?

Ubiera% si na wyj(cia to \*aden problem, ale co na siebie wk#ada%, kiedy siedzi si w domu? Zwykle wskakuj wtedy w legginsy i ponaci#gany T-shirt, dzisiaj jednak ma przyj(% Jack. Co zrobi%, \*eby wypa(% *au naturell* Czy mam:

a)przygotowa% si na seks?

b)na#o\*y% te same co zwykle domowe ciuchy?

c)ubra% si jak do wyj(cia?

Sk#aniam si ku rozwi#zaniu A i wk#adam majtki Calvina Kleina i bia#y top. Ze stanika rezygnuj .

Na zrobienie makija\*u po(wi cam ca# wieczno(% , bo musi wygl#da% tak, jakby go wcale nie by#o, sprz#tam i kr c si po kuchni. Zastanawiam si , czy co( ugotowa%, ostatecznie jednak z pomys#u rezygnuj . Na pewno co( bym schrzani#a, a podj #am postanowienie, \*e dzisiaj wszystko musi by% tip-top. Jestem nowym cz#owiekiem. Kobiet# niezależ\*n#. I Jack si o tym dowie.

7eby umili% sobie czekanie na jego przyjazd, maluj paznokcie i ogl#dam TV. W ko#cu zapadam w b#og# drzemk , z której wrywa mnie d#wi k dzwonka. W po(piechu usuwam spomi dzy paluchów

k3 bki waty i p dz otworzy%. S3ysz#c jego kroki na schodach, czuj , jak ogarnia mnie podniecenie.

RS



— Cze( — witam go wsparta swobodnie o drzwi. Całuje mnie i u(miecha si .

— Nie zamierzasz si ubra%? — pyta, spogl#daj#c znacz#co na moje majtki.

— Jasne — j#kam si . — W3a(nie, hm... — Kiwam g3ow# w stron sypialni.

— Nie b d ci zatrzymywa3 — mówi z u(miechem. Unosi brwi, a ja mam niejasne wra\*enie, \*e chyba mnie przejrza3. Staram si ukry% rumieniec, który w3a(nie wype3z3 mi na twarz.

— My(la3em, \*e gdzie( wyskoczmy — oznajmia, wchodz#c do du\*e-go pokoju. Podnosi ze stolika pilot i przelatuje kilka kana3ów.

— W porz#dku — odkrzykuj , ju\* z sypialni.

Otwieram szaf i staram si zlokalizowa% d\*insy i jednocze(nie s3ysz odg3osy dochodz#ce z coraz to innego kana3u. Najpierw Jack ogl#da jaki( teleturniej, po chwili przeskakuje na wiadomo(ci, przy meczu pi3karskim zatrzymuje si na d3u\*ej. Przez moment s#dz , \*e zostanie przed telewizorem, \*eby obejrze% go do ko1ca, udaje mu si jednak oderwa% i po chwili siedzi ju\* na brzegu mojego 3ó\*ka.

— Dlaczego nie na3o\*ysz tej sukienki, któr# mia3a( ostatnio? — pyta. — Wygl#dasz w niej super.

— Nie ma sprawy — zgadzam si od razu i (ci#gam sukienk z wieszaka. Obracam si ty3em do Jacka, \*eby zdj#% top. Nagle czuj go tu\* za sob#. Chyba przykucn#3, bo całuje mnie tu\* u nasady kr gos3upa. Całuje dalej, coraz wy\*ej, a\* dochodzi do karku. Wtedy si ga od ty3u i ujmuje w d3onie moje nowiute1kie 70B.

— Jednak po zastanowieniu... — szepcze.

Kiedy ko1czymy si kocha%, za oknem jest ju\* ciemno. Wstaj i przynosz butelk sch3odzonego wina z lod3wki i zapa3ki. Potykam si , kiedy próbuj znale0% i zapali% jakie( (wieczki.

— Dlaczego nie w3#czysz po prostu (wiat3a? — pyta Jack, patrz#c, jak otwieram wino.

—Bo wiem, jak wygląda ten pokój. Musz go odnowić, ale jeszcze nie udało mi się do tego zabrać.

—A co chciałabyś z nim zrobić?

—Sama nie wiem. Ale na pewno coś zmieni. Teraz, kiedy mam czas, na pewno coś wymyślę.

Kład się obok niego i będziemy wyciągnę ci na kółdrze, a w półmroku widać nasze splątane nogi.

—Skąd niby masz nagle tyle czasu? — pyta. Opowiadam mu o przeżyciach minionego dnia, co tak go

rozczłusza, a ona rozlewa mi trochę wina na brzuch. Nachyla się, a żeby jej zlizać, po czym opiera brodę o mój pępek i spogląda na mnie.

—Jeśli ci to pomoże — zaczyna — to mnie też kiedyś wywalili. Trudno mi to sobie wyobrazić. Jack wywalony z pracy? Taki

luzak? Chcę znać szczegóły i dowiadywać się, a może parę lat wcześniej pracowałam w galerii i pewnego razu musiałam zmienić zamki w drzwiach, bo było włamanie. Na nieszczenie, jego szef zjawił się niespodziewanie i dostał szału, bo nie mógł wejść.

—I co zrobię?

—Olałam go. Tak naprawdę to chyba nigdy nic lepszego nie mogło mnie spotkać — ciągnie dalej, rysując mi kółka na brzuchu. — Dzięki temu zrozumiałam kilka spraw. Że przecież zawsze chciałam zostać artystką i temu powinienem się przede wszystkim poświęcić.

Upijam nieco wina.

—I to jest właśnie wspaniałe.

—Co mianowicie?

—Że udało ci się odnieść sukces jako artystka. To jedna z rzeczy, które najbardziej mi się w tobie podobają.

Jack mruczy coś niewyraźnie i wtula twarz w moją szyję. Och, uwielbiam, kiedy się tak wstydy i mocno go przytulam.

—Pozostaje jednak pytanie, co mam robić? — zauważam.

—Coś ci nawinie — zapewnia mnie. — Wiem o tym. A nawet jeśli nie, to bdziesz się musiała spakować, ponieważ zabiorę cię w rejs dookoła świata.

—Może zatem nie ma sensu, żeby pisać swoje CV? — (miej się .

\*

Wbrew kuszącym fantazjom Jacka, CV napisałam. Cały następny tydzieł upłynęło mi na wyszukiwaniu nazw i adresów firm i dopieszczeniu planu działania. Ku memu zdumieniu, Jack służył mi pomocą i nawet pomógł zredagować CV na pożyczonym od Matta komputerze. Z poczłtku czułam się zaangażowana, że poznał wszystkie moje tajemnice, emanował jednak z niego taki entuzjazm, że ani przez chwilę nie poczułam się zagrożona.

— Powinieneć prowadzić kursy pozytywnego myślenia — artykułuj sobie z niego, kiedy w wieczór, który postanowiliśmy spędzić oddzielnie, dzwoni po raz trzeci. — Albo przynajmniej stworzyć własną religię. Masz wyjątkowy dar przekonywania.

—Przestajesz się nabijać, jak zaczniesz zarabiać fortunę .

—Jackizm — zastanawiam się . — Hm, nawet pasuje.

—No dobra, młdralo. Jaka jest pierwsza zasada jackizmu?

—O (wieć mnie, o wielki guru.

—Wszyscy moi uczniowie muszą uprawiać ze mną seks.

—Powinnam być wiedzieć — (miej się .

— No, ale jak dotąd ty jesteś jedynym moim uczniem. Oczekuj cię w domu najpóźniej za pół godziny.

—Nie masz szczęścia. Jestem areligijna.

—Och, daj spokój. Przecież wiesz, na co masz ochotę .

I tu ma rację , bo prawdę mówiąc, uwielbiam nocne spędzane z nim. Kiedy kiedyś podejrzewałam go, że boi się stałych związków, na każdym kroku napotykałam dowody, jak bardzo byłam w błędzie. Nie minęło tydzieł, a on tak mocno wpisał się w moje życie, że nawet nie pamiętam tam, co robiłam, zanim go poznałam. Nawet nie wiem, jak to możliwe, że miałam czas pracować.

Nowe życie podoba mi się tak bardzo, że kiedy w następnym wtorek o dziewiętej rano dzwoni Elaine, jestem bardzo niemiło zaskoczona. Mam wrażenie, że oto pojawiła się jakaś kara z zamierzanej przeszłości.

— Daj ci jeszcze jeden szans — oznajmia. — Ale tylko dlatego, że jestem w potrzebie.

Nie wiem, co poczuję. W ciągu minionego tygodnia przekonałam sama siebie, że z pracą dorywczą skończyłam na amen i sama myślę, że mogłabym na nowo znaleźć się w tym klubie, jeśli mi się nie odrobnie. Jack przewraca się na bok i przykrywa głowę poduszką.

— Prawda mówi ci, Elaine, nie mam teraz czasu — stwierdzam. — Przykro mi.

— Najpierw mnie wysłuchaj — nie daje się spławić. Słyszysz, jak zaciąga się papierosem. Smyram Jacka po rękę, którą położył mi na brzuchu, i wznoszę oczy ku niebu, a raczej ku sufitowi. Moje życie było bez Elaine takie spokojne i pozbawione stresu. Jedyne, o czym marzyłem w tej chwili, to wtulić się w Jacka i spać dalej. — No, mam wreszcie — cięgnie Elaine. — Chodzi o Friers. To jakiś dom mody. Musisz się tam zgłosić jak najszybciej. Dziewczyna, która miała u nich pracować, nie zgłosiła się i...

— Chyba nie mówisz poważnie! Ten Friers? — przerywam jej w pół słowa, gwałtownie siadając na łóżku. Poduszki się poruszają i Jack podnosi głowę.

— Co się dzieje? — J czy z twarzą wymiętą od snu. Przykładam palec do ust i wyskakuję z łóżka w poszukiwaniu czegoś do pisania. Zapisuję wszystko na odwrocie starej koperty.

— Elaine, jesteś boska — kołaczę i rozczmiam się. Jack siada i się przeciąga.

— Z czego się tak cieszysz?

— Friers. — Macham ku niemu kopertą.

— Co takiego?

— Trzy lata temu złożyłam u nich podanie o pracę, ale nigdy nawet nie odpowiedzieli. Mam pracę. Dziękuję ci, Elaine. — Całuję kopertę.

— Wydawało mi się, że skończyłaś z pracą dorywczą.

—No, niby tak, ale może to moja wielka szansa. Muszę tam być za godzin .

Szykuj się pospiesznie i robi Jackowi herbatę, on jednak najwyraźniej nie ma ochoty się ruszać. Z dna miski na owoce w kuchni wyciągam więc zapasowe klucze.

— Wyjdiesz, kiedy będziesz chciał — mówi, całując czubek głowy, jedyną rzecz (jego cię wystają spod pościeli, i dzwoni mu kluczami nad uchem. Podnosi się i opiera na łokciu.

— Jesteś pewna? Idź do niego.

— Jasne, przecież nie proszę cię, żebyś wprowadził, jeżeli o to Ci chodzi. Ale możesz je równie dobrze zatrzymać, bo coś się zdarza mi się zamknąć klucze w środku.

— Super — wyszczerza do mnie zębami. — Nareszcie sobie tu pomyszkuj. Gdzie trzymasz pamiętnik?

— I tak niczego nie znajdziesz — oznajmiam, patrząc na niego w lustrze, bo właśnie maluję sobie usta. — Nie szukaj więc czegoś, z czym byś sobie nie poradził.

— Czyby? — udaje wielce obrażonego.

— Tak. Aleja ci ufam, więc mnie nie zawiedź — ostrzegam go. Będzie mnie i sycowuje mi całkiem szminkę .

— Jack!

Rozsmarowuje ją sobie na ustach.

— Naprawdę nie wiem, o co ci chodzi. Twoja szminka mnie pasuje o wiele bardziej.

— Ty wielka dziewczynko — (miej się i ciskam go na do widzenia.

— Miłego dnia, kochanie — dodaje, zawijając się w kołdrę. — Nie martw się o dzieciaki, odbiorę je ze szkoły, jak zrobi zakupy.

Wspieram się rękami o biodra i patrzę na niego.

— Aha, więc o to chodzi? Po to tak mi pomagasz (w znalezieniu pracy, żebyś sam mógł zostać kogutem domowym?

Podnosi mojego misia.

— Niech to — zwraca się do niego. — Skapnął na siebie .

Pomieszczenia Friers mieszczą się nad kawiarnią przy Charlotte Street. Docieram tam potwornie zdenerwowana. Dziwne to uczucie, biorąc głęboki oddech, żeby się uspokoić, i naciskam guzik domofonu. Nie mam pojęcia, czego się spodziewa, ale wystarczy, że napomknę o stałej pracy, biorę ją w ciemno. Dostałam swój drugi szansę i nie zmarnuję jej.

Biuro zastawione jest biurkami, wieszakami, manekinami. Gdzieś w głębi ryczy radio, a wszędzie wokoło nieustannie dzwonią telefony.

— Jasna cholera! — Wysoki mężczyzna w kamizelce w różowych krótkich i cudacznym czarnych okularach z różowymi szkłami w geście rozpaczy unosi do góry rękę, idąc przez biuro. — Gdzie ta dziewczyna?

— Tutaj — odzywam się. Obraca się w moją stronę.

— Nareszcie! Mam nadzieję, słońko, że można na tobie polegać — mówi, taksując mnie od dołu do góry spojrzeniem.

— Postaram się — odpowiadam.

— Jenny, Jenny! — woła. — Jesteś (my zbawieni! Wykorzystaj to jak najlepiej.

Znika w małym pokoju i zatrząskuje za sobą drzwi.

— Nie zwracaj na niego uwagi — mówi idąc w moją stronę kobieta. — To Fabian. Uwielbia pokazywać, jaki to jest ważny, ale nie daj się zastraszyć. Jestem Jenny. — Uśmiecha się do mnie i już zaczynam ją lubić. — Witaj w domu wariatów.

Oprowadza mnie i przedstawia wszystkim. W pokoju pracuje około dziesięciu osób i wszyscy wydają się mili i serdeczni. Jenny ma jakieś trzydzieści pięć lat i, jak mi się wydaje, wiekszość życia spędziła, imprezując ostro, co ja dawno już przypisałabym (pięćdziesiąt). Pochodzi z Lancashire i mówi z silnym akcentem, który udziela mi się natychmiast, ona jednak wyraźnie się tym nie przejmuje.

Robi mi w kuchni herbatę i dopiero potem prowadzi do biurka, które przez najbliższy tydzień ma być moim stanowiskiem pracy. Mówi, że mam odbierać telefony i wręcza mi kilka listów do napisania.



— Obawiam się, że to tylko nudna sekretarska praca — tłumaczy się.  
— Ale później postaramy się znaleźć ci coś bardziej interesującego.  
Chwilowo mamy prawdziwe urwanie głowy.

RS

— Nie ma sprawy — uspokajam ją. — Zrobi wszystko, co trzeba.

Jenny pracuje z Sam w krojowni, która jest obok. Jakby powiedziała H, to swojaki (tacy jak my), co jest prawdziwą ulgą. Mniej więcej o jedenastej Sam wyskakuje z pracowni z szerokim uśmiechem. Ma na sobie skórzaną minispódniczkę i za duży sweter, w którym jej piersi wydają się wprost ogromne. Po skandalu z rozmiarem 70B najwyraźniej cierpi na biustową obsesję.

— Jak sobie radzisz? — pyta.

— Świetnie. Co jeszcze mogłabym zrobić? — ofiarowuję się. — Listy skończysz. Proszę. — Podaj jej stos korespondencji.

Przerzucaj, nie kryj zadowolenia.

— Wymienicie. Wreszcie ktoś z odrobiną rozumu.

A co! Ona chyba jeszcze o tym nie wie, ale ma do czynienia z SUPERPRACOWNICZKĄ; DORYWCZKĄ; .

Nadchodzi Sam, niesie w jednej ręce plik czasopism.

— Przyniosłam je dla ciebie — mówi. Z pierwszego wyciąga napisane na maszynie listy. — Czy mogłabyś sprawdzić wszystkie zdjęcia zrobione przez tych facetów?

— Jasne.

— Wiem, że to nudne, ale bardzo nam w ten sposób pomożesz.

— Żaden problem.

— Ale najpierw chodź z nami na cygareta.

Idź za nią na metaliczne schody przeciwpożarowe na tyłach krojowni. Jenny już tam jest. Zaprosiły mnie, a to oznacza, że jestem już jedną z nich. Super.

W każdej dotychczasowej pracy tyle się wysiedziałam na płocie, że porobiły mi się odciski na tyłku, teraz jednak może będzie inaczej. Bardzo chcę tych ludzi poznać. Spędziłam z nimi zaledwie kilka godzin, ale wiem już, że mogłabym tu zakotwiczyć na dłużej. Chwilę gadam z dziewczynami o tym i o tamtym. Wkrótce jednak przedmiotem rozmowy staje się Fabian.

Sam używa wypłukanych okularów przeciwsłonecznych z włosów nad czołem. Jenny chwilę się temu przygląda, wreszcie jej pomaga.

—Nie bardzo wiem, co się (wi ci, ale mam wrażenie, jakby Fabian nie miał tu już zbyt długo zagrzebać miejsca.

—Dlaczego? — pytam.

Jenny stuka się palcem w nos, więc nachylamy się ku niej, żeby mogła bezpiecznie zdradzić nam tajemnicę. Uwielbiam takie sytuacje.

— Ktoś ma nas przejść. Zapamiętajcie moje słowa. Z tego, co słyszałam, ktoś ma nas wykupić, a wtedy Fabian odejdzie.

Sam wydaje odgłosy, mające dawać wyraz jej zaskoczeniu. Już chce zapytać o dodatkowe szczegóły, ale w końcu nie zaczyna dzwonić telefon.

—Odbior — mówi, gasząc papierosa na kracie podestu.

Reszta dnia upływa mi na zaegnywaniu kurierskiego kryzysu, pomaganiu Andy'emu w kłopotach z komputerem, przyniesieniu jakichś próbek z Berwick Street; generalnie staram się jak najbardziej służyć katedrze pomocą. Chyba coś mi się stało, bo przez cały dzień ani razu do nikogo nie zadzwoniłam. Kiedy dociera do mnie, że zrobiło się już pół do siódmej, jestem naprawdę zdziwiona.

—Obiecuję, że wrócisz tu jutro — prosi Jenny.

—Na sto procent — zapewniam ją.

—Dzisiaj bym bez ciebie zginęła.

Idę ulicami i nie przestaję się do siebie uśmiechać. Jestem wykończona, ale niezbyt mam ochotę wracać do domu. Cały dzień starałam się jak najwięcej dowiedzieć o Friers. Mniej więcej już wiem, jakie ciuchy szyją na ten sezon. Głównie codzienne ubrania dla sieci sklepów z męską konfekcją, ale mają też swoją kolekcję w butik w Covent Garden.

Postanawiam przejść się po sklepach na Soho i przy St Martin's Lane. Oglądam każdą wystawę i notuję w pamięci wszystkie szczegóły, wyrażając sobie ogólne pojęcie o tym, co się w tej chwili nosi.

W butik w Friers wciągiam nos w każdą kłęb. Ciuchy nawet mi się podobają, ale najbardziej niesamowite fasony są tylko na wystawie. Wewnątrz natomiast ubrania są bardzo klasyczne w stylu, co mnie prawdziwie zaskakuje. Staram się podsłuchać rozmowy kupujących i sprzedawców, orientuję się jednak, że chcę już zamykać, więc wychodzę.

Do domu wracam bardzo pó0no, a w g3owie a\* mi si kot3uje od pomys3ów. Jack po(cieli3 3ó\*ko i pozmywa3. Nie zostawi3 \*adnej wiadomo(ci, nie nagra3 si te\* na sekretark , ale mi3o mi, \*e by3 tu pod moj# nieobecno(%). Zabieram do 3ó\*ka stos czasopism, które kupi3am po drodze i ogl#dam w nich strony po(wi cone modzie. Po raz pierwszy od nie wiem jak d3ugiego czasu czuj , \*e mam jaki( cel. Kiedy wreszcie gasz (wiat3o i si k3ad , poduszka wci#\* jeszcze pachnie Jackiem, i zasypiam, u(miechaj#c si do swoich my(li.

Nast pne dni mijaj# jak z bicza trz#s3, a ja bawi si wy(mienicie. Czuj , \*e Friers to miejsce dla mnie.

—Szkoda, \*e Karen wraca ju\* w przysz3ym tygodniu — o(wiadcza Sam, kiedy w czwartek wyskakujemy do pubu na lunch. — By3oby super, gdyby( mog3a zosta%.

—Wcale nie chc odchodzi% — mówi szczerze. — Mo\*e jest jaka( szansa na sta3# prac ?

—Wierz mi, gdyby tak by3o, pierwsza by( si o tym dowiedzia3a. Masz mo\*e swoje CV?

—Jasne. W3a(nie napisa3am nowe. Przynios ci po po3udniu.

—Zobacz , co si da zrobi% — obiecuje.

Mam nadziej , \*e mówi3a szczerze. Naprawd nie chc odchodzi%. Tak bardzo stara3am si im pomóc w pracach sekretarskich, \*e nawet nie mia3am kiedy im pokaza%, jak bardzo mnie interesuje to, czym si zajmuj#.

W pi#tek rano wzywaj# wszystkich na zebranie, zostaj wi c w biurze sama. Rozgl#dam si wok3 i czuj , jak dopada mnie nostalgia. Kurcze, b d t skni% za tym miejscem.

Dzwoni Elaine.

—Polubili ci — orzeka, j akby spotka3a j# najwi ksza w \*yciu nie spodzianka.

—Ja te\* ich lubi — przyznaj . — Nie masz w r kawie wi cej takich prac?

— Zero. Kompletny zastój.

A wi c z powrotem w punkcie wyj(cia, my(l sobie. Rozlega si brz czyk domofonu.

—Wszyscy s# na zebraniu — informuj go(cia, jak tylko pojawia si na szczycie schodów. — Czym mog s#u\*y%?

—Przyszed#em zobaczy% si z Fabianem — wyja(nia, rozgl#daj#c si po opustosza#ych biurkach. — Mog tu na niego zaczeka%?

—Oczywi(cie — u(miecham si i prowadz go do kanapy przy oknie.

Mo\*e sobie czeka%, ile zechce. Jest cholernie przystojny, ma krótkie blond w#osy, seksowny kilkudniowy zarost i cudown# opalenizn . Musi by% pod czterdziestk , s#dz#c ze zmarszczek w k#cikach oczu.

— Mo\*e napije si pan kawy?

— Ch tnie — odpowiada, rozsiadaj#c si wygodnie, id wi c do kuchni.

Model. Z ca# pewno(ci# model. Kim\*e innym móg#by by%? Rozumiem, dlaczego Fabian chce si z nim spotka% — b dzie wygl#da# super w nowej kolekcji Jenny.

Nie ma sensu udawa%, \*e pracuj , kiedy wszyscy s# na zebraniu, przy-siadam wi c na brzegu biurka i u(miecham si do niego.

— Jak si pracuje w Friers? — pyta.

— Och, to wspania#y dom mody. Ciuchy s# ekstra, chocia\* bardzo klasyczne, a ludzie s# po prostu fantastyczni. Pracuj tu tylko par dni — dodaj . — Ale bardzo \*a#uj , \*e musz odej(%.

—Odej(%? Wzruszam ramionami.

—Pracuj dorywczo.

Patrzy na mnie z uniesionymi brwiami. Wiem, \*e nie powinnam z nim rozmawia%, przecie\* zupe#nie go nie znam, ale rozmowa z Elaine tak mnie przybi#a, \*e nawet nie wiem kiedy, zaczynam przed nim wylewa% swoje \*ale. Opowiadam mu, jak to trzy lata temu wys#a#am swoje CV, a teraz mia#a#am nadziej , \*e praca dorywcza jakim( cudem zamieni si w sta#.

— Czemu w#a(nie tu, a nie w jakim( innym domu mody? — pyta po chwili.

—Bo tu jest potencja#. Tyle rzeczy chcia#a#bym tu zrobi%.

—Na przykład?

Opowiadam mu o swoich pomysłach i wyprawie do sklepów. Ponieważ wciąż zadaje mi nowe pytania, zaczynam się rozwodzić nad moją teorią dotyczącą wystaw i umocnienia pozycji Friers na rynku. Opowiadam mu o podsłuchanej w butikach rozmowie i o czasopiśmie, które przeglądałam. Mówi mi nawet o ubraniach, które nosi Jack.

Słuchajcie mojej paplaniny, co chwila kiwa głową, a ja jestem szczęśliwa, że nareszcie mogłam się przed kimś wygadać. Szkoda, że tylko przed modelem.

—Ach, to takie tam, luźne pomysły—kończ swój monolog.

—Mówiłaś o nich Fabianowi? — pyta.

— Fabianowi! Bożę, gdzie tam! Nie zamienił ze mną nawet dwóch słów. Przecież pracuję tu tylko dorywczo — przypominam.

—Marnujesz się — orzeka, i to chyba szczerze.

Kiwam głową, ale już moją uwagę odwrócili wracający z zebrania ludzie. Zeskakuj z biurka.

—Proszę wybaczyć, że tak pana nudziłam — rzucam, wygadajcie spódnice.

—Cała przyjemność po mojej stronie — on na to. Podoba mi się jego amerykański akcent. — Jak masz na imię?

—Och, jestem Amy — przedstawiam się. — Powiem Fabianowi, że pan przyszedł.

Już mam odejść, ale zaraz gwałtownie się zatrzymuję. Obracam się powoli i robię skręconą minę.

—Byłoby dobrze, gdybym wiedziała, kogo mam zaanonsować. Wstaje.

—Jules. Jules Geller.

Kiedy wszyscy zajmą swoje biurka, wyczuwam, że atmosfera zdecydowanie ulega zmianie. Jak tylko trafia się okazja, idę do krojuwni. Jenny, Sam, Andy i Louise są na schodach pośrodku.

— Co się dzieje? — pytam, stojąc w drzwiach.

—Tak, jak przypuszczaliśmy — tłumaczy Jenny, — Friers został kupiony przez A&M.



—Kto to jest A&M?

—Tak\*e dom mody. Dzia3aj# g3ównie w Ameryce, ale ich rzeczy nie-  
0le si sprzedaj# u nas — wyja(nia Sam. — Przysy3aj# nowego szefa.

—Wprost nie mog uwierzy%, \*e to on — wykrzykuje podniecona  
Jenny. — Jest fantastyczny!

—Na pewno te\* pozb d# si Fabiana, skoro ca3y zarz#d ma si zna-  
le0% w Londynie — dodaje Andy.

—Widzia3a( jego kolekcj , któr# robi3 w Pary\*u? — wtr#ca si  
Louise.

—Wiem. Jest naprawd dobry. Bo\*e, mam nadziej , \*e nas zatrzyma.

—Kto? — udaje mi si wreszcie wtr#ci%.

—Jules Geller — oznajmia Jenny, nareszcie mnie zauwa\*aj#c. — Na-  
szym nowym szefem jest Jules Geller. Czy to nie wspania3e?

Potykaj#c si , wracam do swojego biurka. Nowym szefem jest Jules  
Geller.

9wietna robota, Amy. S3owo daj , popisa3a( si . Naprawd uda3o ci  
si zrobi% tu dobre wra\*enie. Pracownica dorywcza, parweniuszka,  
opowiadaj#ca o swoich pomys3ach facetowi, do którego, s#dz#c po mi-  
nie Jenny, nale\*y ca3y ten cholerny kram.

Cholera.

Przez reszt dnia staram si nikomu nie rzuca% w oczy. Spotkanie u  
Fabiana zdaje si ci#gn#% w niesko1czono(% , s# na nim te\* Jenny i Sam.  
Unikam wzroku innych, próbuj#c nie zwraca% uwagi na panuj#ce w biu-  
rze napi cie. Kiedy wracam z poczty, nie wiem, czy Jules ju\* sobie po-  
szed3, postanawiam jednak, \*e cho%by nie wiem co, wol wle0% pod  
biurko, ni\* natkn#% si na niego znowu.

O wp33 do sz3stej pojawia si Jenny, oddaj jej wi c to, czym si  
ostatnio zajmowa3am, wraz z kart# pracy.

—Zajmuj si tym ostatni raz — mówi z westchnieniem.

—Szczерze mówi#c, lepiej, \*e odchodz — i zaczynam jej opowiada%  
numer, jaki uda3o mi si wywin#%. Jenny kr ci g3ow# i (mieje si .

—Nigdy nic nie jest takie straszne, jak ci si zdaje.

—Nie, tylko znacznie gorsze—rzucam, chowaj#c do torebki kart pracy.

—Powinna( si po\*egna% z Fabianem.

9ciska mnie na do widzenia, zewsz#d rozlegaj# si podzi kowania. Mam wra\*enie, \*e wszyscy patrz# na mnie jako( dziwnie. Albo do brody przyklei3 mi si znaczek, albo mam omamy. Sprawdzam brod .

A wi c jednak omamy.

—B dziemy w kontakcie — obiecuje Sam i (ciska za mnie kciuki. Kiedy pukam do drzwi Fabiana, stoj# obie obok i u(miechaj# si .

—Jest tam? — pytam, obracaj#c si do nich. Wygl#daj#, jakby za chwil mia3y wybuchn#% (miechem.

—No, id0 — ponagla Jenny. Otwieram drzwi.

—Ach, osoba, na któr# czeka3em. — Za biurkiem Fabiana stoi Jules. — Wejd0, prosz — mówi.

—Chcia3am si widzie% z Fabianem—j#kam si .

—Obawiam si , \*e Fabian odszed3. B dziesz wi c musia3a porozmawia% ze mn#.

Siadam na krze(le. Dobrze wiem, \*e si rumieni , bo przygl#da mi si , nie kryj#c rozbawienia.

— Powinnam by3a siedzie% cicho. Nie wiedzia3am, \*e jest pan nowym szefem. Zwykle nie...

Jules przerywa mi, unosz#c do góry r k .

—W porz#dku, Amy. Nie masz za co przeprasza%.

—Ale...

—7adnych ale. Twoje pomys3y bardzo mi si podoba3y. Wiem te\*, \*e szuka3em w3a(nie kogo( takiego jak ty. Potrzebna mi jest osobista asystentka i s#dz , \*e idealnie si nadajesz. Potrafisz pisa% na maszynie?

Mam ju\* na ko1cu j zyka kolejn# blag , w por jednak przytomniej . To si dzieje naprawd , tym razem nie powinnam wydziwia%.

— Niezbyt dobrze — przyznaj . — Ale my(1 , \*e szybko mog to nadrobi%.

— Rozmawiałem z Jenny i Sam i obie uważają, że lepszej pracownicy jak dotąd nie miały. Czytałem też twoje CV. — Podnosi mój wycior. — Jestem pod wrażeniem.

Dziękuję ci, Sam.

— Co ty na to? Oszczędzisz mi koszmarnych rozmów kwalifikacyjnych z jakimiś (miertelnie nudnymi sekretarkami?)

Czy mu oszczędzisz?

Z Sam i Jenny oblażyłyśmy to w pubie, po czym wybrałam się do Jacka z butelką szampana.

— Na pewno nie zginiesz — oznajmiam, ledwo otwieram drzwi.

— Czego?

Wyciągam zza pleców szampana.

— Jednak będziesz mógł zostać kogutem domowym!

Jack i Matt są zachwyceni nowiną. Siedzimy w kuchni, sącząc szampana, a ja rozwodzę się nad Friers.

— Kiedy zaczynasz? — pyta Matt.

— To jest właśnie (nie najpiękniejsze). Dopiero za parę tygodni. Co oznacza, że możemy się wybrać na wakacje.

— Wakacje? — powtarza za mną Jack.

— Oczywiście. Właśnie (ciwie, czemu nie? Kiedy zaczniesz pracować, nie będzie na nic czasu. Wszystko sobie przemyślałam po drodze. Jedziemy na tydzień w jakieś ciepłe kraje.

— Nie sądzisz, że to trochę nagle?

— Masz tydzień, żeby się nad wszystkim zastanowić — zapewniam.

— Och, Jack, daj spokój. Przecież możesz sobie na to pozwolić, no i będziemy się na pewno (wielce bawić).

Jack najwyraźniej nie jest przekonany.

— W przyszłym tygodniu nie możesz jechać — wtrąca się Matt. — Alex urządza wieczór kawalerski.

— Pamiętaj tam.

Jestem tak podniecona, rozgorczkowana i pijana, \*e w pierwszej chwili nie zauwa\*am, jak wymieniaj# mi dzy sob# spojrzenia. Nagle odnosz wra\*enie, \*e czego( tu nie rozumiem.

—Co( wymy(1 — mówi Jack, z tym \*e nie wiadomo do kogo. Wstaje i podchodzi do lodówki.

—Wychodz — o(wiadcza znienacka Matt.

—Nie id0 — protestuj .

—Wybacz, ale musz . Bawcie si dobrze—dodaje i wychodzi, zamykaj#c za sob# drzwi.

—Czy powiedziałam co( nie tak? — pytam.

—Nie, nie przejmuj si .

—Nie musisz jecha% ze mn#, je(li nie chcesz.

—Jasne, \*e chc . Alex to bardziej kumpel Matta ni\* mój. Jako( to z nim załatwi .

—Wspaniale. — Wstaj ze stożka i mocno tul si do Jacka. — Jestem taka podniecona.

—Ja te\*—przyznaje Jack, ale nie brzmi to tak przekonuj#co, jak bym sobie \*yczyża.

7ycie towarzyskie prowadz przez jakie( siedem dni na 365 w roku i niezmiennie, kiedy nadchodzi jeden z nich, dzieje si milion rzeczy i powinnam znale0% si w co najmniej stu miejscach naraz. Najlepszym tego przykadem jest sobota, która wża(nie si rozpoczyna.

Nie zd#\*yżam si jeszcze obudzi%, a ju\* jestem zestresowana. Dr cz#-cy mnie kac dodatkowo pogarsza sytuacj .

W Hemel Hempstead ma si odby% przyj cie z okazji pi %dziesi#tych urodzin ciotki Vi, impreza, na któr# zostałam zaproszona z Jackiem (podejrzewam w tym r k mojej mamy), lecz raczej wol skona%, ni\* przedstawi% go moim kuzynkom. Nie byżoby dobrze, gdyby zbyt pochopnie zacz#3 wyci#ga% wnioski co do genów rz#dz#cych moj# rodzin#. Chocia\* z drugiej strony ciotka Vi jest super i normalnie z niecierpliwoscic# czekałabym na spotkanie z ni#. W tylnej cz (ci ogrodu ma dmuchany zamek do skakania.

Mamie powiedziałam, \*e przyjd , kiedy jednak w sobot mno wracam do domu, wiem ju\*, \*e b d musiała do niej zadzwoni% i jako( si wykr ci%. W#tpi , czy b dzie zachwycona.

Urodziny ciotki Vi zbiegaj# si z kolacj# u H, któr# wydaje w3a(nie dzisiaj z okazji urodzin, tym razem Gava. H od nie wiadomo jak dawna g3owi3a si nad menu i list# go(ci i dostanie szału, je(li nie przyjd . Poza tym obieca3am pomóc jej w przygotowaniach.

Jednak prawdziwy problem polega na tym, \*e w3a(nie dzisiaj Chloe urz#dza u siebie grilla i kiedy rano oznajmi3am, \*e id do H, powa\*nice (ci li(my si z Jackiem.

—Ale tam b d# wszyscy — powiedzia3. — Musisz przyj(% . Matt i ja przygotowujemy \*arcie.

—Obieca3am ju\* H.

—To nie s# jej urodziny. Tylko zwyk3a kolacja. Na pewno si ucieszy, \*e odpadnie jej jedna g ba do wykarmienia.

—Wcale nie.

—To sobie id0 — zez3o(ci3 si Jack. — Ale troch to z twojej strony samolubne. Ja rezygnuj z wieczoru kawalerskiego, \*eby jecha% z tob# na wakacje, a ty dla mnie nie mo\*esz zrezygnowa% z niczego. Chcia3em ci wszystkim pokaza%.

W domu czekaj# na mnie trzy wiadomo(ci od H. Dobrze wiem, \*e p3jd do Chloe, jednak w \*aden sposób nie mog H powiedzie% prawdy. Czuj si wyj#tkowo podle, ale nie mam wyj(cia — b d musiała k3a-ma%.

Kiedy dzwoni po raz kolejny, rozmawiam z ni# s3abym i nieszcz (liwym g3osem.

—Gdzie si podziewa3a(? — pyta. — Ca3e rano staram si do ciebie dodzwoni%. Idziemy na zakupy, zapomni3a( ju\*?

—Nie czuj si najlepiej — odpowiadam.

—Jack jest u ciebie? — pyta sceptycznie.

—Nie. Wymiotowa3am.

—Kac?

Tak bardzo chciałabym jej opowiedzieć o swojej nowej pracy, ale zabrn 3am ju\* za daleko w swoich 3garstwach.

—Nie s#dz , \*ebym da3a rad i(% z tob# na zakupy.

—Ale obieca3a(.

—Wiem, ale naprawd czuj si fatalnie. S3owo. Wzdycha. Nie mam w#tpliwo(ci, \*e jest cholernie wkurzona.

— No dobra, ale lepiej si wykuruj do wieczora. Jack te\* przyjdzie, prawda?

—Nie mo\*e. Urodziny ciotki czy co( w tym stylu.

— Ale ja ju\* wszystko sobie zaplanowa3am! Mog3a( mnie uprzedzi%.

— Przepraszam. Jezu, musz lecie%, zaraz si wyrzygam. W 3azience przed lustrem pokazuj sobie j zyk. Naprawd

zrobi3o mi si niedobrze. Dobrze wiem, \*e tylko sobie mog podzi - kowa% za ca3e zamieszanie, na dodatek drzemie we mnie podejrzenie, \*e sprawy skomplikuj# si jeszcze bardziej. Nigdy w \*yciu nie ok3ama3am H. A poza tym kupi3am ju\* prezent dla Gava. Naprawd b dzie lepiej, jak „si wykuruj " do wieczora. Jack jako( b dzie musia3 to prze3kn#%.

Bardzo z siebie niezadowolona, kr c si bez celu przez ca3y dzie1. O sz3o3tej dzwoni Jack, z telefonu kom3órkowego Matta.

—Gdzie si podziewasz?

—W3a(nie si szykuj .

—B#d0 tu jak najszybciej. 7arcie wygl#da super. Powiedzia3em Chloe, \*e przyjdziesz.

—Jack...

Ale on ju\* si roz3#czy3.

Przez moment rozwa\*am, czy powiedzie% H, \*e id do Chloe, im d3u- \*ej jednak o tym my(l , tym bardziej nabieram przekonania, \*e to tylko wszystko pogorszy.

Pozostaje mi ola% H, bo nie mog zawie(% Jacka. Zanim podnosz s3uchawk , uk3adam sobie w g3owie, co powiem.

—Jak si czujesz? — pyta.

—Gorzej.

—Jad3a( co(?





—Nie, dziękuj. Nie jestem głodna. Jack obejmuje mnie ramieniem.

—Hej, rozchmurz się. W końcu to impreza.

Rozchmurzy się? Kiedy w końcu (nie całe moje życie towarzyskie wali się w gruzy?

Uśmiecham się do niego słabo.

—Kim są ci wszyscy ludzie? — zmuszam się do okazania jakiegoś zainteresowania.

Pokazuje po kolei kręcących się po ogrodzie gości.

—To Stringer, pracuje w siłowni. Damien, stary kumpel ze szkoły — zaczyna wymieniać imiona, których i tak nigdy w życiu nie zapamiętam.

—Och, a to jest Jons — oznajmia na koniec, wskazując na faceta w skórzanych spodniach. Jest bardzo przystojny, ale sądzić go po pozie, a nadto tego (wiadomy. — Uwaga! na niego. Naprawdę się koki po uszy. O rany, idź tutaj.

Towarzyszka Jonsowi dziewczyna wydaje mi się dziwnie znajoma, nie umiem jej jednak nigdzie umiejscowić. Musi być modelką, bo jest bardzo szczupła, ma długie blond włosy i w ogóle wygląda tak, że ma się ochotę natychmiast zmienić płeć.

—Jack, (wielce sobie radzisz — uśmiecha się do niego promiennie.

Zaświadcza, że jej z bólem w życiu nie skalała szminka.

—Nie przedstawiś nas? — pyta, spoglądając na mnie z zainteresowaniem.

Jack jest wyraźnie zakłopotany. Obraca na ruszcie kotlet.

—Jasne. Amy, poznaj Jonsa — macha widelcem do obracania mięsa.

—Cześć — rzucam, patrząc na Jonsa. Faktycznie, Jack ma rację. Już na pierwszy rzut oka widać, że przesadzi z kokiem.

—I Sally — mamrocze Jack.

Gdy prawda do mnie dociera, czuję, jak ośmiłek zamienia mi się w kamień. To już Jack malował? Nagusielka?

—O Jezu! — wymyka mi się. — Wiem, że to ty jesteś (tę Sally z obrazu. Od początku wydawała mi się znajoma.

Do dziś (nie wiem, jak to możliwe, że nie klepnęłam się radośnie w udo, co byłoby (wielce dobiegnięciem fałszywego nieco chichotu, któ-

ry tym słowom towarzyszy. Sally wpatruje się we własne stopy, ale niech mnie szlag trafi, jeżeli jej się wydaje, że ja tak\*ę poczuje się za\*ęnowana.

—O jakim obrazie mowa? — zainteresował się Jons.

—Och, nie udawaj, że nie wiesz! — odpowiadam mu z uśmiechem tak szerokim, że gdybym nie miała uszu, to (miałabym się naokoło głowy. — Ten akt, nad którym Jack pracuje. Jest naprawdę (wietny...

—Chwila! — przerywa mi Jons, unosząc rękę. Na palcu wskazującym nosi wyjątkowo paskudny srebrny pierścionek w kształcie czaszki. — Chwila! — powtarza i gwałtownym ruchem odrzuca do tyłu włosy.

—O mój Boże! — mówi, przykładając dłoń do twarzy. — Czy\*by to miała być niespodzianka? Chciała( mi to dać w prezencie? — Wykrzywiam się do Sally. — No jasne, przecie\* to takie... intymne.

Niezbyt mi się to udało.

A nawet mo\*na powiedzieć%, że nie udało się wcale. Nic a nic.

Sally wpatruje się w Jacka, a jej twarz wyraża samą wściekłość(%). Na ułamek sekundy zapada cisza, a potem Jonsowi puszcza nerwy. Wygląda, jakby za chwilę miała mu eksplodować głowa. Bapie Jacka za kark na piersiach.

— TY PIEPRZONA KUPO GÓWNA! — wrzeszczy i zamierza się na niego.

Zewsząd wokół mnie dobiega jęk, kiedy chybiam i z impetem wpadam na grilla. Padając, chwytam rękę za stół i w powietrze wylatuję hamburgery, on sam natomiast tonie w powodzi sosów. Z potwornym hukiem grill wali się pod jego ciężarem i rozlega się syk przypiek ( \*) Tj/F1 16.08 Tf13. Tj-0.

rusza na Jacka. Stojący za nim ludzie cofają się przerażeni. Jack łapie plastikowe ogrodowe krzesło i przez moment walczy ze sobą, a wreszcie Jackowi udaje się wytrącić Jonsowi widelec z ręki. Jack przykuca i wystawia przed siebie obie dłonie, jakby miał zamiar wykonać cios kung fu.

— Uspokój się wreszcie! — krzyczy znowu. Jons na chwilę się odwraca. Jack wstaje i zbliża się do niego.—Spróbujmy o tym pogadać.

Nie widzi jednak wyrazu twarzy Jonsa. Ja natomiast instynktownie wyczuwam, co za chwilę się wydarzy, i chcę do nich podbiec, lecz przytrzymuje mnie zaczepiona o kolce różowej sukienka.

— Uwaga! — wołam, przez co na sekundę odwracam uwagę Jacka. I oczywiście właśnie (nie w tej sekundzie Jons wymierza swój cios. Widzę, jak trafia idealnie w kość policzkową Jacka. Słyszysz swój własny krzyk, kiedy pierścienek-czaszka rozcina mu skórę, a on zatacza się do tyłu, wpada na stolik, posyła w powietrze baterie, buteleczki i talerzyki.

Matt, Damien i Stringer rzucają się i chwytają Jonsa pod ramiona.

Udaje mi się wreszcie uwolnić sukienkę i podbiegam do Jacka.

Damien i Stringer się wyprowadzają Jonsa, który ani na chwilę nie przestaje wypluwać z siebie steku przekleństw. Sally biegnie za nimi i po chwili hałas milknie w oddali.

Kucam obok Jacka, który właśnie (nie usiadł.

—Nic ci się nie stało?

Idiotyczne pytanie. Trzyma się za twarz i masuje sobie szczękę. Chcę go dotknąć, on jednak gwałtownie mnie odtrąca.

— Daj mi spokój! — syczy z takim wściekłością, że aż mi dech zapiera. Oszołomiona, siadam na trawie i widzę, jak on wstaje i chwiejnie wchodzi do domu.

— Jack! — wołam za nim, on mnie jednak ignoruje. Chowam twarz w dłoniach. Zbliża się Matt i kuca obok mnie.

— Nie przejmuj się — uspokaja mnie. — Potrzebuje kilku minut, żeby ochłonąć. Właśnie (nie oberwał. Ale nie miał nic z tego na myśli.

Wszyscy stoją oniemiały. Matt pomaga mi się podnieść. I obejmuje ramieniem. I wtedy nadchodzi Chloe. Jest wściekła. Wszystko wokół wygląda, jakby przez ogród właśnie przeszło tornado!

—Gdzie Jack? — pyta z nieukrywanym złością. Tępo kiwam głową w kierunku domu.

— Jezu! — Przewraca oczami, po czym rusza przez ogród i znika w ślad za Jackiem w domu.

Po jakimś czasie docieram do łazienki i zamykam się w niej, wciąż oszołomiona sceną, do której przed chwilą doprowadziłam. Nie wiem, ile czasu przesiedziałam na sedesie, kiedy nagle słyszysz cichutkie pukanie do drzwi.

— Amy? — rozlega się głos Matta. Kolejne pukanie. — Amy, wpuść mnie, proszę.

—Drzwi są otwarte — mówi ochryple.

Na widok wyrazu jego twarzy zaczynam płakać.

— Przestań — mówi, siadając na brzegu wanny obok mnie. — Daj spokój, wszystko będzie dobrze.

Obejmuje mnie uspokajająco ramieniem i podaje trochę papieru toaletowego. Wycieram nos.

—Tak mi przykro — pocieram kciukiem nos.

— Niepotrzebnie. Wszystko jest w porządku. Ja także w podobnych sytuacjach boję się jak jasna cholera.

Drzwi gwałtownie się otwierają.

— Och, widać cię tutaj jesteście — wita mnie Chloe przez zaciśnięte drzwi. — Możliwiej i lepiej. Póki co, daleko ci do gwiazdy wieczoru.

Oboje z Mattem wstajemy.

—Jak on się czuje? — pytam.

—Nie martw się. Ja się nim zajmuję.

W drzwiach pojawia się Jack, z ręką przy twarzy. Widzę, że oko już zaczyna mu puchnąć. Chloe mijając Matta i otwiera szafkę.

—Mam tu jakieś opatrunki — oznajmia i wyciąga buteleczkę razem z ogromnym kłębem waty. — Jack, chodź tutaj — rozkazuje.

—Dam sobie rad — zapewnia Jack. Na mnie nie patrzy. — Czy mogliby(cie zostawi% nas na chwil samych?—Spogl#da na Matta, który tylko kiwa g3ow# w odpowiedzi, nast pnie na Chloe, która z kolei sprawia wra\*enie, jakby miała ochot tupn#% nog#. Nie odrywa od niego wzroku, podczas gdy on wyjmuje jej z r#k butelk i wat . — Po prostu trochę tu ciasno — dodaje.

Chloe patrzy na mnie jak na robaka, którego powinno si rozdepta%. Po chwili wychodzi z 3azienki w (lad za Mattem i zatrzaskuje za sob# drzwi. Jack przekr ca w nich zamek. Opiera si o nie i na chwil przy- myka oczy. Potem spogl#da na mnie.

—Przepraszam — zaczyna. — Nie chcia3em ci tak popchn#%.

—Nie musisz za nic przeprosza%. To wszystko moja wina. Och, Bo\*e, Jack, tak strasznie mi przykro.

—Chod0 tutaj — mówi Jack i w sekundzie l#duj w jego obj ciach.

—Co za dupek z niego!

Podnosz wzrok i przera\*a mnie widok, jaki przedstawia jego oko. Prowadz go nad wann i ka\* usi#(% na jej brzegu. Bior wod utlenio- n# i wacik i kl kam przed nim.

— Bardzo boli?

Nie odpowiada. Nachyla si i k3ad#c mi r ce na ramionach, dotyka mojego czo3a swoim.

—Ale afera! — wzdycha.

—Ju\* po wszystkim.

—Niechcia3em...

—Cii. — Przyk3adam mu palec do ust. Patrzy na mnie. Spogl#dam mu prosto w oczy. I naraz wszystko zaczyna nabiera% sensu. Nici nikt si nie liczy, ani Sally, ani Chloe, ani tym bardziej Jons. Wa\*ny jest tylko Jack.

—Kocham ci — szepcz .





tak, może to właśnie (nie chciałem od niej usłyszeć). Naprawdę mi pochwalała, bo s#dz , \*e do powiedzenia tego skłoniła ją swego rodzaju monumentalna, typowo kobieca decyzja, \*e jestem dla niej odpowiednim mężczyzną. Jakaś ( czy (% mnie pragnie wstać, ujęła ją za rękę i spojrzała jej w oczy, potwierdziła: „Tak, jestem twoim mężczyzną. Tak, kocham cię. Tak, jestem szczera (liwy, ponieważ ty też mnie kochasz”. Chcę przez to powiedzieć, \*e do tego się właśnie (ciwie wszystko sprowadza: kochać i być kochanym. Tylko jedna strona równania — bez drugiej — nie prezentuje się najlepiej.

Mam rację ?

Nachodzą mnie jednak także inne myśli. Wypływające z poczucia zagrożenia. Do których sam przed sobą niechcnie się przyznaję. Na przykład, czy ja jestem tak naprawdę zadowolony? Na tyle dobrze, \*eby jej deklaracje miś (ci potraktować poważnie? Czy tak naprawdę ufam jej na tyle? A co będzie, jeżeli się okaże, \*e popełnię błąd? Jeżeli dam się ponieść chwili i tę mieszaniń uczuć, jakie wobec niej \*ywi , ochrzczę mianem Miś (ci?

Moje dotychczasowe doświadczenia w tych sprawach, jak zresztą we wszystkich innych, nie nastraja mnie zbyt optymistycznie i nie dodają pewności. Przede wszystkim tylko raz w \*yciu (wyż#czaj#c krewnych i zwierzęci) powiedziałem „Kocham cię ”. Osobę, do której to zaadresowałem, była Zoe. Miało to miejsce na lotnisku Heathrow. Czekaliśmy tam od sześciu godzin na samolot na Ibiza . Trzy godziny wcześniej pokonało nas zmęczenie. Dopadła typowa lotniskowa nuda. Siedziałem na jednym z tych plastikowych kubełkowych krzesełek i wgapiałem się w tablicę (wielką w nadziei, \*e wreszcie pokaże się na niej napis „NOW BOARDING”. Zoe spała z głową # wspartą na moich kolanach. Pamiętam, \*e patrzyłem na nią, na jej włosy rozsypane po moich udach, na zamknięte oczy i nagle poczułem, jak zalewa mnie pot \*na fala pragnienia, aby zawsze się nią opiekować. Była tak piękna, przepełniona spokojem. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem podobnego uczucia. Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło, a dwa magiczne słowa same mi się

wymkn 3y z ust. Wypowiedziałem je szeptem. Spotykali(my si ju\* od sze(ciu miesi cy i wtedy naprawd wierzy3em w to, co mówi .

Lecz dzisiaj, w 3azience Chloe, ze szczypi#c# od wody utlenionej ran# na policzku i okiem szybko zamieniaj#cym si w po(miertny dzwon dla zwyci zcy w konkursie na najwi ksze podobie1stwo do jajka w koszulce, zupe3nie inne przepe3nia3y mnie uczucia. Nie jestem ju\* dzieciakiem i wiem, \*e mi3o(% to nie potrzeba opiekowania si . Ani te\* spok3j ducha. Mi3o(% to decyzja. Uznanie, \*e to w3a(nie to i nic innego. Nie nale\* do facet3w, kt3rzy wyznaj# mi3o(% tylko dlatego, \*e to 3atwiejsze ni\* jej niewyznanie. Nie nale\* r3wnie\* do tych, dla kt3rych jest to najprostszy kod dost pu pod sp3dnic dziewczyny. (W tym celu got3w jest powiedzie% wszystko, opr3cz tego jednego.) Ale te\* si tego nie boj . Powiem to, kiedy nabior 3tuprocentowej pewno(ci. A kiedy tak patrz teraz na Amy, to wiem, \*e na razie mi do tego daleko.

Wniosek: nasza przysz3o(% to jeszcze ci#gle „je(li", a nie „kiedy".

Zamiast wi c przyj#% jej wyznanie i odp3aci% oczekiwanym „Ja ciebie te\*", wybieram (cie\*k wydeptan# przez ca3e generacje niezdecydowanych m \*czyn: robi unik.

— Masz podart# sukienk — zauwa\*am i przestaj#c patrze% jej w oczy, spogl#dam na poszarpany materia3.

Na kilka chwil zapada cisza. Serce wali mi tak g3o(no, \*e zastanawiam si , czy ona tak\*e je s3yszy.

Wreszcie Amy przerywa milczenie. — Jak si czujesz?

—Do dupy — przyznaj .

Dzi ki Bogu dociera do niej, \*e mam na my(li zaj(cie w ogrodzie, a nie to, co w3a(nie od niej us3ysza3em.

—Strasznie g3upio si zachowa3am — wyznaje Amy.

Przytulam j# mocniej i ca3uj w policzek.

— Nieprawda, to ja by3em g3upi. Zachowa3em si jak idiota, nie m3wi#c, jak naprawd Sally wygl#da. Zreszt# ten walni ty, na%pany dupek te\* zachowa3 si jak idiota, kiedy chcia3 mi do3o\*y%.

Amy pochyla g3ow .

—No tak, ale rozumiesz chyba dlaczego...

—A tam, bzdury. Nikt nie ma prawa zachowywa% si w ten sposób. Tu za du\*o — mówi , pokazuj#c na swój nos. — A tu za ma#o—dodaj , klepi#c si po g#owie. Czuj , jak mój oddech staje si ci \*szy na samo wspomnienie twarzy Jonsa.

—A gdyby( to ty by# na jego miejscu? Gdyby( nagle dowiedzia# si , \*e kto( maluje mnie nag#? Nie odbi#oby ci?

Jest to, oczywi(cie, pytanie bardzo na miejscu, nie mam jednak zamiaru zastanawia% si teraz nad odpowiedzi#. Bardzo pewny siebie kr c przecz#co g#ow#.

—Nie, nie odbi#oby mi, poniewa\* nie jestem kutasem. I poniewa\*. .. poniewa\* ci ufam.

—Wiedzia#e(, \*e ona o niczym mu nie powiedzia#a? Wcze(niej, nie dopiero dzisiaj?

Zastanawiam si , czy sk#ama% i powiedzie%, \*e za#o\*y#em, i\* Jons wie o wszystkim i nie ma absolutnie nic przeciwko temu. Tylko co by mi z tego przysz#o. Wystarczy#o na niego spojrze% i od razu stawa#o si jasne, \*e ci \*ko by#o mu znie(% obcego faceta siedz#cego obok Sally w autobusie, a c#o\* dopiero mówi% o sytuacjach bardziej intymnych. Mówi wi c prawd .

— Tak. Wspomina#a, \*e gdyby si dowiedzia#, wpad#by w sza#.

—Podobnie jak ja na widok obrazu.

—Owszem — wzdycham. — Co( w tym stylu.

— Wobec tego, jak s#dz , wszystko sprowadza si do szczeroci — zauwa\*a Amy. — Nie ufa#am ci i podejrzewa#am najgorsze.

Przekr cam si na brzegu wanny, \*eby m#oc widzie% jej twarz. Ma oczy opuchni te od p#aczu. Czuj si , jakby wszystko by#o moj# win#. Zreszt#, chyba s#uszenie.

—Tak w#a(nie my(la#a(, kiedy znalaz#a( obraz?

—Co, \*e z ni# spa#e(?

—Tak.

—C#o\*, sk#ama#a#abym, gdybym zaprzeczy#a. — Przesuwa r k# po moich w#osach. — Tak w#a(nie my(la#am. — Przekrzywia g#ow i spogl#da na mnie. — Wkurza ci to?

—Nie. — Zbyt d3ugo jednak si przed t# odpowiedzi# waha3em.

—Ani odrobin ? — naciska.

—No dobra — poddaj si . — Mo\*e troch .

— Przepraszam. To zwyk3a zazdro(% . Naprawd ci ufam, Jack. Absolutnie. Wiesz o tym, prawda?

Gdy tak do mnie mówi, czuj si jak kupa g3wna. I to nie taka sobie zwyk3a, standardowa kupa. Jak co( znacznie gorszego. Jak co(, co pl#-cze si pod krowim ogonem albo czepia odw3oka ko3skiej muchy. Podobnie czu3em si wtedy, gdy znalaz3a obraz, co wywo3a3o k33tni , któr#szcz (liwie uda3o mi si zako1czy% szybko i w miar polubownie. Teraz nadarza si odpowiednia chwila, \*eby wyja(ni% wszystko i przyzna% Amy racj , \*e s3usznie podejrzewa3a, i\* maluj#c Sally, kierowa3em si nie tylko motywami czysto artystycznymi. No, dalej, prze3am si stary i wydu( to z siebie.

Pytanie tylko, po co? Czy powinno mie% dla niej znaczenie, co my(la3em i robi3em w okresie „przed Amy”? Po co sprawia% jeszcze wi cej bólu? Przecie\* teraz i tak nie ma to ju\* znaczenia. Dzisiaj zale\*y mi na Amy, nie na Sally. Co przyjdzie jej ze (wiadomo(ci, \*e kiedy( by3o inaczej?

—Sam nie wiem—mówi , odnosz#c si do szerszej perspektywy. — Czym ró\*ni si twoje my(lenie od tego, co przed chwil# zrobi3 Jons? Zareagowali(cie mniej wi cej podobnie.

—Ja ci nie uderzy3am — ona na to. — Ju\* cho%by to samo powinno si liczy%.

U(miecham si wbrew sobie.

— Tak, chyba masz racj . A ja nie przysma\*y3em ci skórzanych spodni. To te\* powinno si liczy%.

Amy krzywi si . — Och, to musia3o go bole%.

—I to jak — (miej si jak g3upi. — Jak bekon na patelni. Nagle jej g33os staje si na powró( (miertelnie powa\*ny. — Jack, musimy sobie co( wyja(ni%.

—Chodzi o kwesti zaufania?

— Tak. Ale nie tylko. O caź# nasz# przeszło(%). 7eby nie było wi cej tajemnic ani kłamstw. I \*eby(my si ju\* nigdy wi cej nie wpakowali w podobn# kabał .

Ma racj : powinni(my si tym zaj#%. Ale nie tutaj i nie teraz. Zwłaszcza \*e wci#\* jeszcze jeste(my bardzo podekscytowani. Rozlega si pukanie do drzwi. Otwieram je i wchodzi Matt.

—Lepiej si ju\* czujesz, człowieu-słoniu? — pyta, krzywi#c si na widok mojej zmasakrowanej twarzy.

—Chyba tak — stwierdzam, obracaj#c si z u(miechem do Amy. — Wracajmy na imprez .

## BAGAŻ

Kiedy we wtorkowy wieczór docieram do „Zacka”, Amy ju\* na mnie czeka przy stoliku na zewn#trz. Umówili(my si tam na drinka, przed pój(ciem na imprez do jednego z jej znajomych. Dzieli mnie od niej jakie( par metrów. Ci#gle jeszcze mnie nie zauwa\*a, przystaj wi c i patrz na ni#. Kiedy chodzę z Zoe, cz sto si tak bawię. Nazwałem to: „Czy gdyby nie była moj# dziewczyn#, w dalszym ci#gu by mi si podobała?” Stoj wi c i wyobra\*am sobie, \*e jest mi zupełnie obca, a ja znalazłem si tutaj przypadkiem. Teraz, kiedy ujrzałem j# po raz pierwszy, automatycznie nasuwa si kolejne pytanie: „Czy miałbym ochot si z ni# przespa%?”

Na pierwszy ogieł id# dane dotycz#ce wygl#du zewn trznego: włosy, budowa, ubranie. Wszystko jest kompatybilne z preferowanym przeze mnie typem. Nie nosi trważej, nie ogoliła głowy, nie ma te\* brody. Nie wida% typowych oznak anoreksji, podobnie jak nic nie wskazuje na uzależnienie od tłuszczów ani nadu\*ywania sterydów anabolicznych. Ma te\* niezły gust, \*adnych odblaskowych legginsów z lycry, szpilek czy T-shirtów z napisem Michael Bolton Fun Club. Jest tak\*e w odpowiednim



przedziale wiekowym: nie wi cej ni\* pi % lat młodsza ode mnie (dzi ki czemu mo\*emy sobie pozwoli% na wspólne nostalgiczne wspomnienia kultowych programów telewizyjnych z lat siedemdziesi#tych i osiemdziesi#tych — *The Dukes of Hazzard*, *The RockfordFiles*, *C.H.I.P.S.* itd.) i nie wi cej ni\* dziesi % lat starsza (co znacznie zmniejsza ryzyko powa\*onego бага\*u—nieudanego mał\*elstwa, dzieci, pżyty winylowych Pink Floydów/Dawida Sou-la itd.) Jak dot#d, wszystko gra. Teraz czas na dodatkowe obserwacje wizualne. Czyta jakie( bżyszcz#ce czasopismo (nie analfabetka—pozytywnie), włosy ma w modnym odcieniu (kosztowne upodobania — gorzej), przed ni# na stoliku stoj# dwa kieliszki i butelka zmro\*onego wina (z kim( umówiona, pewnie z chłopakiem — fatalnie). Analiza ogólna: potencjalna kandydatka; szkoda, \*e ma chłopaka.

Gdybym rzeczywi(cie ujrzał w tej chwili Amy po raz pierwszy, musiałbym odej(% , aczkolwiek ze szczer# niech ci#. Szcz (liwie nie jest to pierwszy raz. Nie przeszkadza mi te\* , \*e ma chłopaka, poniewa\* to ja nim jestem, a na tym drugim kieliszku widnieje bardzo wyra0nie wypisane moje imi . Podchodz do niej z u(miechem, poniewa\* odpowied0 na pierwsze pytanie zdecydowanie brzmi „Tak”.

Cażuj j#, siadam, nalewam sobie wina i orientuj si , \*e to, co czyta, to broszura biura podró\*y. Amy pyta, jak min#3 mi dzieł, a ja zauwa\*am, \*e broszura dotyczy wakacji na Hawajach. A kiedy o(wiadczą, \*e od dwóch lat nie wyje\*d\*aża za granic , dociera do mnie, \*e wszystko to opiera si na zaó\*eniu, i\* ma do czynienia z obrzydliwie bogatym facetem, który zapewne nic innego nie robi, tylko wóczy si po Hawajach i tym podobnych. Na koniec zauwa\*a, \*e mam we włosach \*ózt# farb , a wtedy zdaj sobie spraw , \*e przede wszystkim jestem okropnie zm - czony.

— Co o tym my(lisz? — pyta, obracaj#c w moj# stron broszur otwart# na stronie reklamuj#cej wyj#tkowo luksusow# miejscowo(%.

Co my(l ? Tak naprawd szczerze? My(l , \*e kiedy spżac debet, komorne i pokryj koszty utrzymania z pieni dzy zarobionych za *Studium w pieprzonej żółci* dla firmy tatusia, z bied# wystarczy mi na bilet auto-

busowy do Clacton-on-Sea, nie mówi#c ju\* o niczym bardziej egzotycznym. Uwa\*am, \*e tam jest fantastycznie i gor#co, po co wi c w ogóle zawraca% sobie g3ow jakimi( g3upimi wyjazdami za granic ? My(l , \*e w idealnym (wiecie Amy (miertelnie ba3aby si lata% samolotem i wakacje sp dziliby(my, dygocz#c z zimna, ale w Zjednoczonym Królestwie. Amy jednak nie chce pozna% prawdy. Albo to raczej ja wola3bym o niej zapomnie%. Kiedy otwieram usta, \*eby przemówi%, dociera do mnie, \*e z k3amaniem rzecz ma si podobnie jak z masturbacj#: kiedy si raz zacznie, cholernie ci \*ko jest przesta%. Cho% jednak my(li mam nieweso3e, jakim( cudem udaje mi si nie pokaza% po sobie przera\*enia, a nawet ukry% je pod p3aszczykiem pozy zblazowanego (wiatowca.

—Sam nie wiem — oznajmiam znudzonym tonem. — Z Hawajami ca3y k3opot w tym, \*e jak si tam raz by3o, w zasadzie nie ma po co wraca%.

—Och. — Nawet nie stara si ukry% rozczarowania. — Nie wiedzia3am, \*e ju\* tam by3e(.

—Jasne — mówi .

I to prawd : rzeczywi(cie ju\* tam by3em. Niewa\*ne, \*e by3 to wyjazd fundowany tacie przez firm , a ja mia3em wtedy zaledwie<sup>1</sup> sze(% miesi - cy i wi kszo(% czasu sp dzi3em w w3zku. 7eby nie by% go3os3ownym, zaczynam nawet podrygiwa%, nuc#c sobie do taktu *Hawaii Five-0*, w nadziei, \*e to ma3e przedstawienie pomo\*e mi odwróci% uwag Amy od misji, któr# sobie wyznaczy3a.

Niestety, nadzieja matk# g3upich. Jeszcze dobrze si nie rozp dzi3em, kiedy Amy brutalnie przerywa moje taneczne *pa-pa--pa-pa-param-pam-pam* i pyta:

—Nigdy nie mia3e( ochoty pojecha% tam znowu? Ramiona opadaj# mi bezw3adnie wzd3u\* cia3a.

— C3o\* — musz blefowa% dalej.—Tylko s3o1ce, piasek, fala i tak na-prawd to nic wi cej.

— Brzmi koszmarnie. — Zamyka gwa3townie broszuro i wsuwaj# pod inn#, le\*#c# na stole. Zatytu3owana jest „Wycieczki w lasy zwrotnikowe". — A tu te\* ju\* by3e(? Zwiedzi3e( wszystkie lasy zwrotnikowe?

Rzut oka na pokaz kolekcji kolorowych prospektów wystających z jej torby mówi mi, że nawet zawodowemu globtroterowi trudno byłoby twierdzić, że odwiedził każde z tych miejsc. Musz szybko coś wymyślić, bo wygląda na to, że żadnym miarom nie uda mi się wykręcić. Już jej obiecałem, że pojedziemy na te cholerne wakacje razem, i najmniejsza nawet próba wycofania się natychmiast odczytana by została jako sygnał, że mi dź Rossiterem i Crosbie coś się nie układa. A dyskusja o kryzysie w związku była ostatnią rzeczą, na jaką miałem w tej chwili ochotę. Ponieważ żaden kryzys nie istnieje. Oprócz tego, że nakłamałem jej o wielkiej kasie, jaką zarabiam na swoim malarstwie. I oprócz tego, że kłamałem, mimo iż wcześniej przysięgałem, że już nigdy tego nie zrobię. Kryzys? Ha! Jaki kryzys? To są szczegóły, drobne skazy na wielkim życiowym planie — żaden powód do afery.

Delikatnie odsuwam na bok broszurę i mówię :

— Myślałem o czymś bliżej.

— Dlaczego?

— Cóż... — I nagle mnie oświeciło: — Ponieważ zanim coś zarezerwujemy, zostanie nam tylko tydzień do rozpoczęcia twojej nowej pracy.

Nie tak łatwo ją jednak zbyć.

— Nic nie szkodzi — ona na to, otwierając prospekt z wyjazdami na Bahamy. Przesuwa palcem wzdłuż cennika, który wygląda jak narodowe wyniki ekonomiczne, i zatrzymuje się przy terminach wylotów i przylotów. — Widzisz, można te zawierać transakcje jednotygodniowe.

Transakcje. Ha! Ciekawe, co by na to powiedział mój bankier.

— Wiem — nie ustpuję. — Ale pomyśl tylko, ile taki lot trwa. Potem dochodzi zmiana stref czasowych i takie tam. Ledwie zajdziemy, jako tako dojdziemy do siebie, a tu trzeba będzie wracać. — Już otwiera usta, żeby wejść mi w słowo, nie pozwalam jej jednak na to. — Europa. Czy coś z nią jest nie tak? O tej porze roku jest tam pięknie. W Europie jest — sam nie wiem — jest po prostu fajnie.

Ze zmrużonymi oczami powtarza za mną: — Fajnie?

— No w3a(nie—tryskam entuzjazmem.—Mo\*na robi% tyle rzeczy. Te wszystkie miejsca do zwiedzania... — Sam sobie potakuj g3ow#. — To fajne.

Odchyła si do ty3u. Ca3e jej cia3o mówi, i to niezwykle wyra0nie: *W Europie wcale nie jest fajnie. Nie jest ani trochę fajnie, bo bylam tam ju3ze sto razy i teraz chcę jechać na Hawaje.*

— No, dobrze — mówi na g3os. — W której wi c cz (ci Parku Tematycznego Europa chcesz fajnie sp dzi% czas?

Poniewa\* my(l tylko o tanim samolocie, tanim zakwaterowaniu, tanim alkoholu i tanim jedzeniu, s3owo „Grecja” niejako samo wymyka mi si z ust.

—Grecja? — powtarza za mn# przez tak zaci(ni te wargi, \*e a\* si dziwi , jak w ogóle jej si to uda3o.

—No w3a(nie, Grecja. Kolebka zachodniej kultury. Parte-non, Homer i ca3y ten grecki szpan.

Przez chwil si zastanawia, przenosz#c wzrok ze mnie na broszury w torbie i z powrotem. Budzi si we mnie cie(l podejrzenia, \*e gdyby przysz3o jej wybiera%: one albo ja, mia3bym przed sob# ci \*kie chwile.

—Dobrze — mówi na koniec. — Niech b dzie Grecja. Chcesz si za-j#% rezerwacj# czy ja mam to zrobi%?

—Zostaw to mnie — rzucam pospiesznie, oczyma wyobra0ni widz#c ju\* ca3y pakiet зни\*ek i rabatów, jakimi obsypuje mnie agent biura podró\*y.

Dzi ki Bogu, rozmowa schodzi wreszcie na inne tematy. Chocia\* wdzi czno(% nie jest chyba s3owem najlepiej oddaj#cym mój stan ducha wobec tego, o czym zaczynamy rozmawia%. Niepokój brzmi znacznie lepiej. Albo paranoja. Ale na pewno nie wdzi czno(% . Na my(l przycho-dz# mi okre(lenia „przypiekanie ogniem” albo „przypalanie gor#cym \*e-lazem”. Poniewa\* Amy zaczyna mówi% o tym, od czego ledwo uda3o mi si wymiga% w 3azience Chloe: o przesz3o(ci.

Có\*, moje podej(cie do spraw przesz3ych jest do(% dziwne. Z jednej strony jest mi ona oboj tna. Jestem, gdzie jestem i kim jestem dzi ki wszystkiemu, co mnie spotka3o i czego do(wiadczy3em. Tak by3o na

przykład w ten wieczór, kiedy poznałem Amy. Rozmawialiśmy wtedy o naszej przeszłości i było super. Ale była to przeszłość czysta, ocenzurowana, taka, o jakiej opowiada się dziecku bez obaw, \*e b d# mu się potem (niży koszmary. Z drugiej jednak strony s# pewne sprawy, których lepiej nie ruszać. Na przykład seks. Albo ludzie, z którymi go w ci#gu ostatnich kilku lat uprawiałem. Seks to bardzo (liska sprawa. Kiedy się komuś opowiada o \*yciu seksualnym, ten ktoś wyci#ga na ogół wnioski.

Wemy tak# Christine. Christine to dziewczyna, na którą się strasznie z pocz#tkiem roku napaliłem. Była naprawdę (wietnym kumplem, gadaliśmy o wszystkim, wymienialiśmy prze\*yte historie miłosne jak podobizny piłkarzy. To było coś (wspaniałego. Otwarte i szczerze. Problem w tym, \*e kiedy zaproponowałem jej chodzenie, nie była szczególnie zainteresowana. Bo i czemu? Nie dlatego, \*e jej się nie podobałem — sama przyznała, \*e jest inaczej — ale dlatego, \*e nie miała ochoty stać się jeszcze jedn# smutn# statystyk# w Zbiorze Jednonocnych Romansów Jacka Rossitera.

W przypadku Amy to w#a(nie mnie niepokoiło. Czy b dzie mnie ocenia%? Jeśli się przyznam, \*e ostatnie Bóg jeden wie ile lat spędziłem na b#yskawicznych seksualnych podbojach i równie szybkich ucieczkach z miejsc wypadków, czy wówczas ona sama nie umknie, gdzie pieprz rośnie? To wielkie ryzyko, ale b d musiał je podj#%. Umówiliśmy się przecie\*, \*e \*adnych więcej kłamstw. Jeśli ma mnie zaakceptować, musi przyj#% mnie takiego, jakim jestem. Kochaj albo rzu%, jak to mówi#.

Mam nadzieję , \*e zdecyduje się na to pierwsze.

W tej sytuacji, po kilkunastu wst pnych „hm" i „ha", nareszcie zaczęliśmy rozmawiać o naszych byłych zwi#zkach. Aczkolwiek mam (wiadomo%, \*e tak naprawdę to wcale o nich nie rozmawiamy; one mają nam posłu\*y% tylko jako przykłady, próby mają#ce dowiedzieć, czy jesteśmy kompatybilni. We wszystkich stawianych sobie pytaniach pytamy o jedno, ale tak naprawdę chodzi nam o CO9 innego, prawdziwego. Na przykład Amy pyta mnie:

Czy kiedy byłeś( z kim( zwi#zany na dłu\*ej, zdarzyło ci si nie do-  
chowa% wierno(ci? (*Czy mógłbyś nie dochować wierności mnie?*)

Czy kiedy chciałeś( z któr#( zerwa%, mówiłeś( jej po prostu, \*e mi dzy  
wami wszystko skołczone, czy te\* prowokowałeś( jakie( paskudne sytu-  
acje, \*eby w rezultacie wina spadła na was oboje? (*Jesteś mężczyzną czy  
zwykłą kanalią ?*)

Czy rozwa\*ałeś( mo\*liwo(% mał\*elstwa z któr#( ze swoich dziewczyn,  
nawet jako co( bardzo odległego? (*Czy przeraża cię myśl o związaniu  
się z kimś na stałe?*)

Ja z kolei mam do Amy takie pytania:

Czy gdyby którykolwiek z tych facetów poprosił ci o r k , zgodziła-  
by( si ? (*Czy wy szłabyś za mnie za mąż głównie dlatego, że podoba ci  
się sama idea małżeństwa i właśnie do niego dojrzałaś, a nie wyłącznie  
dlatego, że jesteś we mnie po uszy zakochana?*)

Czy dopu(ciała( si kiedykolwiek aktu zemsty na którym( ze swoich  
byłych kochanków? (*Jeśli nam nie wyjdzie i cię rzucę, jaka jest szansa,  
że staniesz się moim „Fatalnym zauroczeniem”?*)

Czy kochała( si kiedy( z kobiet#? (*Może nam się przytrafić trójką-  
cik?*)

I tak, krocze po krocze, wyci#gamy z siebie ró\*ne rzeczy, jedno-  
cze(nie cały czas badaj#c, czy przypada nam do gustu to, co s#yszymy.

Nast pnie przechodzimy do szczegóów. Zaczynamy od pytania stan-  
dardowego: Z iloma dziewczynami/facetami spałeś(/spała(? Trudno mi  
przewidzie%, jak zareaguje Amy na moj# odpowied0 (dwudziestoma  
pi cioma). Kiedy jednak widz , jak z przymkni tymi oczami liczy na  
palcach swoje zdobycze, by na konieo oznajmi%: „Dwunastoma”, jestem  
— delikatnie mówi#c — zaskoczony. Natychmiast wprowadzam te dane  
do wzoru rozwi#z3o(ci, nad którym wraz z Mattem pracowali(my w  
okresach nadmiernie uci#\*liwej nudy. Zawiera on wszystkie czynniki  
niezb dne do obliczenia w3a(ciwego współczynnika rozwi#z3o(ci (ser-



duszek), wyrażającego (średni liczb osób, z którymi się sypiało rocznie w okresie życia w pojedynk : liczba osób, z którymi się spało (W); aktualny wiek (X); wiek, w którym się utraciło dziewictwo (Y); i liczba lat przeżytych w dłuższych związkach (Z). Sam wzór wygląda następująco:

$$\frac{W}{X - (Y + Z)} = 1 \text{ SERDUSZKO}$$

W odniesieniu do Amy przedstawia się to tak:

$$\frac{12}{25 - (17 + 4)} = 3 \text{ SERDUSZKA}$$

A do mnie tak:

$$\frac{25}{27 - (17 + 2)} = 3,125 \text{ SERDUSZKA}$$

Otrzymany wynik jasno mówi, że chociaż liczba jej partnerów jest prawie o połowę mniejsza od moich, to nasze współczynniki są prawie takie same. W ciągu jej spędzonych w pojedynk , seksualnie aktywnych lat (średnio spędza w śródku trzy razy w roku, podczas gdy ja 3,125 razy).

W zasadzie nie bardzo wiem, jak to interpretować. Odczuwam, rzecz jasna, ulgę , że mamy mniej więcej takie same doświadczenie w tej materii, a ja nie wyszedłem na większego puszczańskiego niemiłośna. Z drugiej

jednak strony jeste

Teraz jednak to co innego. W ciągu ostatnich kilku dni dużo myślałem nad tym, co powiedziała mi Amy w życzliwej Chloe. O tych dwóch małych słówkach. I coraz bardziej dochodziłem do wniosku, że może jednak powinienem być odpowiedzieć inaczej, ponieważ naprawdę mi na niej zależy. I to bardzo. I wydaje mi się, że naprawdę zaczynam się w niej zakochywać. Dlatego właśnie (nie tak niemiłosiernie) słucha mi się tych historii. Pragnę jej. Pragnę jej całej. Wiem, że to oznacza także poznanie o niej całej prawdy, ponieważ wolę, żeby powiedziała mi wszystko, niż coś zataić. Ale jednocześnie nie mam ochoty słuchać, jak zdradza innych. Nie chcę słuchać, jak pijana lądowała w łóżku z byle kim tylko dlatego, że nie miała siły wsiąść do taksówki i wrócić do domu. Nie chcę słuchać o tym wszystkim, co bardziej niż chętnie sam bym wykorzystał, będąc na miejscu tamtych facetów. A dlatego nie mam ochoty o tym wszystkim słuchać, bo nie chciałbym, żeby coś podobnego przytrafiło się mnie.

Trzymaj się, żeby nie być takim dupkiem. Przecież ona musi czuć się podobnie, zważywszy na to wszystko, co jej opowiedziałem. Nie bądź głupi, mówi sobie. Skończ z tym brakiem poczucia bezpieczeństwa i zazdrości. Nie bądź rym wszystkim, czym tak pogardzasz. Walcz z tymi niedobrymi uczuciami. Ciesz się, że do tej rozmowy doszło. Jest szczerą i przede wszystkim normalną. Pogódź się z faktem, że jeśli nie polubi się dziewczycy, prędzej czy później trzeba będzie stawić czoło podobnej sytuacji.

— Ale dzisiaj wszyscy oni to już przeszło? — upewniam się, gdy przebrnę przez numer dwudziesty piąty, a ona przez dwunasty.

Patrzy mi prosto w oczy i mówi:

— Tak.

— Nie zostałeś ci żaden moralny kac? Jakiego nie dokończonych sprawy? Zapomniany bagaż, o który ktoś kiedyś się upomni?

— Nie.

— To dobrze — mówi, starając się ukryć ulgę, którą odczuwam. — Ciesz się.

— A u ciebie? — pyta niepewnie. — Jest ktoś, o kim jeszcze nie mówiłeś?

—Nie ma nikogo — zapewniam j# — oprócz ciebie.

—7adnej Zoe? 7adnych sentymentów?

—7adnych.

—7adnych Sally?

—Nie.

Spuszcza wzrok na stół.

—Dzwoni3a do ciebie?

—Nie, i nie przypuszczam, \*eby jeszcze kiedy( si odezwa3a. Kate mówi3a, \*e jest w Glasgow z Jonsem i stara si jako( wszystko za3agodzi%.

Wyra0nie zadowolona kiwa g3ow#, po czym podnosi oczy i zmienacka pyta:

— A Chloe?

W#tpi , czy pro(ba, \*ebym (ci#g#n#3 spodnie i wysika3 si na (rodku ulicy, wstrz#sn 3aby mn# bardziej. Chc zapyta%: „Co takiego?“, ale wychodzi z tego jakie( „B3uu?“

—Podobasz si jej.

—A tam, bzdura. Przecie\* to jedna z moich najlepszych przyjaciółek.

—No i co z tego? A przyjaciele nie mog# ze sob# sypia%?

—No, tak — zaczynam si nagle broni%, zupe3nie jakbym mimo wszystko mia3 jakie( grzeszki na sumieniu. — Ale my nie spali(my.

—I nie masz nawet ochoty? G3ównie o to chodzi. Nie, czy mia3e(, ale czy b dziesz mia3?

— Nie mia3em i nie b d mia3. Nachyla si i ca3uje mnie.

—To dobrze — o(wiadcza z u(miechem. — Wybacz, ale musia3am zapyta%.

—Dlaczego?

—Dlaczego? Poniewa\* je(li kiedykolwiek co( do niej czu3e(, nigdy nie b d mog3a si z ni# zaprzyja0ni%. Nie chcia3abym, \*eby znalaz3a si bli\*ej ni\* sto metrów od ciebie. Rozumiesz, prawda?

—Tak. Ale teraz to ju\* chyba nie ma znaczenia?

—Nie. — Wyci#ga butelk z lodu. Jest ju\* pusta. Spogl#da na zegarek. — Chod0my — ponagla. — Nie mo\*emy si spó0ni% na imprez u Maxa.

## IMPREZA

Impreza u Maxa to prawdziwa ulga, laksacja, \*eby nie powiedzie% Maksacja. Imprez u Maxa powinno si reklamowa% w telewizji w czasie najwi kszej ogl#dalno(ci jako cudowny (rodek leczniczy dla wszystkich czepialskich facetów—jak ja—którzy dostaj# (wira, maj#c w perspektywie spotkanie z byżymi ch3opakami swojej dziewczyny *en masse*.

Z chwil# gdy Max otwiera nam drzwi, w ze3, na jaki od d3u\*szego czasu zawi#zany by3 mój \*o3#dek, rozlu0nia si . Gospodarz, ca3y w u(miechach, wita nas s3owami:

— Wow, wi c to jest ten twój nowy facet.—Po czym zamiast karniaka, którego si spodziewa3em, wr cza mi puszk sch3odzonego piwa, (ciska Amy, ze mn# wymienia u(cisk d3oni i wprowadza nas dalej.

W mieszkaniu kr ci si ju\* ze sze(%dziesi#t osób. Wiek zró\*nicowany: dwadzie(cia, trzydzie(cia lat. Szacuj pobie\*nie zgromadzonych i czuj si coraz lepiej. Na pierwszy rzut oka wszystko wygl#da normalnie: w \*adnym k#cie zgromadzenie satanistów nie sk3ada w ofierze kozy; na pod3odze nie k3 bi si masa spl#tanych cia3. Jednym s3owem nic, co mog3oby wzbudzi% moje podejrzenia, \*e Amy w rzeczywisto(ci nie jest t# osob#, któr# ja znam.

Przez chwil stoimy w progu, a Amy w skrócie obja(nia mi, kto jest kim. Nast pnie t3um nas wci#ga i zaczyna si 9wiatowe Tournée Amy i Jacka, z wyst pami przy ka\*dej grupce, kiedy to ja si u(miecham, dowcipkuj i kolekcjonuj imiona. Pomi dzy jedn# grupk# a drug# Amy szepcze mi do ucha wszystkie aktualne plotki. Musz przyzna%, \*e to bardzo wyczerpuj#ce. Z trudem opanowuj przemo\*n# ch % ucieczki, gdzie pieprz ro(nie. Cho%by na pi % minut, zw3aszcz \*e to mnie si tu

podziwia jak niedowiedzia na ślachu. Niektórzy z gości znaj# Amy od dziecka i dla nich jestem zapewne tylko kolejnym jej facetem, \*adnym trwałym elementem jej \*ycia, zupełnie przeciwnie ni\* oni.

—I co o nich s#dzisz? — pyta mnie, kiedy wreszcie, po dobrej godzinie chronimy się w k#cie.

—Wi kszo(% jest super — odpowiadam, ponad jej głow# obrzucaj#c wzrokiem otaczaj#cych nas ludzi. Znalazłoby się kilka niechlubnych wyj#tków, ale w zasadzie mówi to, co faktycznie my(l .

—Szczzerze? U(miecham się .

—Nie mówiłbym tak, gdyby było inaczej. — Jest to, rzecz jasna, kłamstwo. Nawet gdybym uwa\*ał ich za najwi kszych (wirów, jakich spotka% mo\*na poza *Kukulczym gniazdem*, i tak zachowałbym to dla siebie. Poniewa\* to ona się tu liczy, a nie oni. A dla niej wa\*ne jest, \*e- bym ich polubił.

—Dzi ki Bogu za to.

—Co to za ulga w głosie?

—Tak się wśa(nie czuję . — Nagle powa\*nieje. — Szkoda, \*e H tu nie ma. To doprawdy wstyd, \*e jeszcze się nie poznali(cie.

Spogl#da na pokój pełen ludzi i przez moment widzę jej profil. Nacodzi mnie my(l, taka sama jak wtedy, kiedy pół godziny wcz(eniej rozmawiałem z jej kumpel# z college'u, Sue. Amy stała przy oknie z jakim( facetem i (miała się wesoło, a ja sobie pomy(lałem: „Szcz (ciarz z ciebie, stary". Teraz to wśa(nie chc jej wyzna%: \*e jest naprawdę wspaniała. 7e dzi ki niej moje \*ycie nagle stało się miejscem, w którym czuję się naprawdę dobrze i w którym mógłbym chyba razem z ni# budowa% dom, \*eby potem siedzie% na jego progu i patrze%, jak zachodzi słońce. Pochylam się i szepczę jej do ucha:

—Pocałuj mnie.

—O mój Bo\*e! — krzyczy i gwałtownie się ode mnie odrywa. W pierwszej chwili, gdy zdumiony patrz , jak przedziera się przez tłum, dopada mnie przera\*aj#cąca my(l, \*e nast#piło jakie( zaburzenie w tym czym(, co śczy mój mózg z narz#dem mowy i \*e zamiast czułego szepetu: „Pocałuj mnie" z moich ust dobył się ryk: „Ognia! Ka\*dy oberwie!"



Szybko jednak okazało się, że moje przerażenie było nieuzasadnione, bo Amy nie pędziła do drzwi, żeby przez nie uciec, lecz aby powitać osobę, która właśnie w nich pojawiła się.

Podchodź trochę bliżej, chcę ci się jej lepiej przyjrzeć, i od razu uderza mnie, jak bardzo określenie „osoba” nieadekwatne jest do tego, co ujrzałem. A ujrzałem Adonisa. Wzrostu mniej więcej metr osiemdziesiąt z hakiem, atletycznej budowy, opalonego, o gładkich ciemnych włosach i olśniewającym uśmiechem, który zapewniłby mu centralne miejsce w zespołach Chippendale. Rozglądam się wokół, ale wszędzie cisza i spokój. Żadnych sygnałów ostrzegawczych, migoczących (wiałeś uprzedzających) zgromadzonych chłopałów, że oto pojawi się WIELKI BIAŁY REKIN i natychmiast muszą zabrać swoje kobiety z płytkich wód i umyć na koniec (wiatra. Lecz może oni nie muszą się martwić, bo on już swój ofiar wypatrzył.

Albo może to ona wypatrzyła jego.

Na widok przed siebie ku niemu Amy rzuca swój plecak na podłogę i szeroko rozkłada ramiona. Spokojnie. To pewnie jej stary dobry kumpel. Nie ma najmniejszego powodu, żeby nie traktować sytuacji z całkowitym spokojem. Facet ma plecak i jest opalony, więc zapewne wrócił z jakiejś podróży i po prostu cieszy się ze spotkania. Przecież to logiczne. I jak najbardziej w porządku. Nie ma się czym przejmować. Podobnie jak tym, że Amy dosłownie na nim zawisała, a on obejmuje ją niczym starą partnerkę do tańca — tak po prostu. To tak powinno potraktować z całkowitym spokojem. Podobnie jak to, że Amy nogami obejmuje jego szczupłą talię — właśnie nie tak — a rękami jego szerokie ramiona. I to, że on okręca ją dookoła — właśnie nie tak — przytrzymując ją — właśnie nie tam — rękami. Po czym stawia ją na podłodze i nie wypuszczając z objęcia, spokojnie z nią gawędzi. Powinienem być całkowicie spokojny, ponieważ w naszym związku czuję się bezpiecznie, spokojnie i bardzo pewny swego.

Potrzebuj nie więcej niż trzech sekund, żeby znaleźć się przy nich i go (no chrzostka, prosto do ucha Amy.

Wypuszcza go z objęcia, ale oczy ma błyszczące, a policzki zaróżowione. Podobny wygląd można czasem zobaczyć w kinie, kiedy reżyser chce nam niedwuznacznie powiedzieć, że tej dziewczynie podoba się ten facet.

—Jack, to jest Nathan, mój naprawdę bardzo serdeczny kolega — wyjął Amy, a on przez cały czas obejmuje ją ramieniem, jakby należała wyłącznie do niego. — Ostatnie sześć miesięcy spędziłem w Azji. — Odwraca się do Nathana. — A to jest Jack.

—Jej chłopak — dodaje, bo najwyraźniej chwilowo o tym zapomniawszy.

Informacja ta wywiera na Nathanie zamierzony efekt. Zdejmuje rękę z ramienia Amy. Zakładam jednak, że zrobił to po to, aby wymienił ze mną uścisk dłoni. Wyciągam więc w jego kierunku rękę. Jednak jego ręka ma znacznie ważniejsze zadanie do wykonania, a mianowicie powolne odsuniecie z czoła opadających na nie bujnych loków. Kiedy odzyskał pełne pole widzenia, szybko taksuje mnie wzrokiem od góry do dołu, żeby na koniec mruknąć:

—Hm — i na powrót skupił swoją uwagę na Amy, sprawdzając, czy dobrze usłyszał. — Jake, mówiła?

—Jack — powtarza Amy.

—Aha. — Nathan patrzy na mnie, jakby chciał się przekonać, czy dobrze usłyszał, po czym znowu przenosi wzrok na Amy. — Chłopak?

—Ważnie.

Pora zapanować nad sytuacją. Przestała bawić mnie rola biernego obserwatora spektaklu. Zignorowałem więc sięgam do najbliższego stolika po butelkę z piwem. Otwieram ją i podsuwam Nathanowi.

—Piwa, stary? — pytam niewinnym i przyjacielskim tonem, jednocześnie nie zmuszając Amy, żeby objęła mnie w pasie ramieniem.

Nathan przygląda się tej publicznej demonstracji uczucia, po czym spoglądając na mnie z góry, żaskawie przyjmuje piwo, czemu towarzyszy znane mi już mruknięcie:

— Aha.

Aha? Za kogo się ten facet uważa? Za jakiego (pieprzonego Elvisa? Nie chcę mu przeszkodzić, na wypadek gdyby nagle zapragnął zakręcić ci biodrami, pogwizdując sobie do taktu dixie, cofam się krok do tyłu. Powodowany wyjątkowo, rzecz jasna, troską o jej bezpieczeństwo, pociągam Amy za sobą. Nelvis niespodziewanie postanawia przemówić bezpośrednio do mnie.

— Czym się zajmujesz? — pyta z absolutnym brakiem zainteresowania. Teraz, kiedy wreszcie zdobył się na wypowiedzenie zdania składającego się z więcej niż dwóch słów, w jego głosie słychać akcent z okolic Londynu z domieszką typową dla absolwentów Eton. Gruba forsa.

— Jestem artystą.

W jego oczach pojawia się błysk zainteresowania.

— Doprawdy? — Porozumiewawczo spogląda na Amy. — Znanym?

— Jasne — mówi, zaraz jednak się asekuruj: — W miarę.

— Jak się nazywasz? — pyta. — Wiesz, mój ojciec jest kolekcjonerem i być może ma którąś z twoich prac. Pomaga wielu dobrze zapowiadającym się ludziom.

Podaj mu nazwisko, chociaż wiem, że nic mu ono nie powie, chyba że jego ojciec nazywa się Willy Fergusson i specjalizuje się w zamawianiu prac w ołoci.

Prycha lekceważyć co i oznajmia:

— Nigdy o tobie nie słyszałem.

Dokładnie to samo mam ochotę powiedzieć jemu. Lub raczej Amy, a dokładniej zapytać ją, kim jest ten facet? Jak to możliwe, żeby ani razu nie zainteresował się dotąd o takim wspaniałym starym kumplu?

Amy zdaje się czytać w moich myślach, bo cisnąc mnie za rękę i wchodzi nam w słowo:

— Nathan i ja studiowali (my razem).

„Co takiego?” — mam ochotę zapytać. „I to niby tłumaczy, dlaczego on traktuje mnie jak jakiś kawał gówna, który wciągnie (nie przyklei) mi się do buta?” Milcz jednak, ponieważ zwracanie uwagi na takich facetów

jak Nathan to spełnianie ich najwi kszego marzenia. Poza tym w gr wchodzi kwestia terytorialna. Amy mu si podoba. Ja jestem z Amy. Chciałby si mnie pozby%, póki jednak siedz cicho, nic nie mo\*e zro bi%.

Jego górna warga wykrzywia si w sposób, który nale\*ałoby chyba okre(li% mianem czaruj#cego grymasu. Element czaruj#cy przeznaczony jest dla Amy, grymas dla mnie.

— Znamy si od wieków — zwraca si do mnie, daj#c mi do zrozumienia, kto tu rz#dzi. — A ty? Kiedy poznałe( Amy?

Poprawka. Impreza u Maxa nie jest \*adn# ulg#. To czysta udr ka. Je \*eli celem tego go(cia jest zale0% mi za skór , kto( powinien przyzna% mu stypendium. Na uniwersytecie nale\*#cym do Ligi Truj#cego Bluszczu. Mój wzrok to czysta, skoncentrowana nienawi(% . Obawiam si nawet, \*e z oczu za chwil trysn# mi dwa snopy promieni jak z lasera i obróć# go w nico(% . Dochodz do wniosku, \*e Nathan to nie zwykłe imi , lecz co( znacznie wi cej. Nathan to czasownik, u\*yty w takim na przykład zdaniu: „Wybacz, ale wża(nie znathanowałem ci si na desk klozetow#". Albo Nathan to rzeczownik, jak dajmy na to w takiej sentencji: „Och, wiem, \*e wczoraj przesadziłem z tym sosem chili, chyba mi rozerwie *Nathana*.

Ale nie powiem mu tego, bo ja jestem dobrze wychowany. Ja nie musz dołowa% innych, \*eby podbudowa% swoje wewn trzne poczucie bezpieczeństwa. Poza tym jestem znacznie od niego wy\*szy. W odpowiedzi na jego pytanie, kiedy poznali(my si z Amy, rzuciłem przybli \*on# dat , Amy jednak natychmiast mnie poprawia i zaczyna mu opowiada% Nasz# Histori . Nathan chwil słucha, nie wygl#da jednak na specjalnie zainteresowanego tematem. Wtedy zjawia si jaka(, trzydziestka z kołskim ogonem, jakby \*ywcem wyj ta z telewizji i informuje go, \*e w cieplarni dziel# kok#.

— Amy, pogadamy pó0niej — zapewnia Nathan, puszcza do niej oczko i odchodzi, mijaj#c mnie oboj tnie.

Nelvis wychodzi. Prosz mnie oficjalnie uznać za gościa boko wstrząsniętego.

—Co za dupek — mruzc pod nosem do Amy. Ona jednak nie słucha, tylko patrzy za nim.

Mniej więcej koło drugiej nad ranem impreza zaczyna zamierać, \*e-  
gnam się więc z ludźmi, z którymi wstać (nie gadam w salonie, i ruszam na  
poszukiwanie Amy. Na tyłach mieszkania, w gabinecie, natykam się na  
Nathana. W pokoju jest a\* g sto od oparów maryjki. Kilka dziewczyn  
leży nieprzytomnych na podłodze. Nathan podaje skrta jakiemuś face-  
towi w dreadlockach, coś do niego szepcze, po czym kiwa głową w moją  
stronę.

— Cześć... — bełkocze, marszcząc z wysiłkiem czoło. — Sorry, sta-  
ry, ale zapomniałem, jak się nazywasz.

—Jack — podpowiadam mu.

— A, tak, artysta. — Mruga i kiwa sam do siebie głową. — Chłopak  
Amy.

—Widziałeś ją? — pytam.

Bełkocze coś, co można by zrozumieć jako: — Jasne, widziałem.  
Kiedy jej kawałek. — Na co facet, z którym dzielił skrta, przewraca  
się na bok i wybucha (miechem.

Robi krok w jego stronę.

—Co ty powiedziałeś?

Dosłownie (ciera uśmiech ze swojej twarzy grzbietem dłoni.

—Nic, stary, nic.

Chwilę na niego patrzę, po czym odwracam się, \*eby odejść.

—Hej! — woła, kiedy prawie już jestem w drzwiach. Obracam się. —  
Czego?

— Jak ją znajdziesz, przypomnij jej, \*e w piątek wieczorem zabieram  
ją na kolację.

Ignoruj to. Ignoruj i nie prosz, \*eby powtórzył. Ignoruj to i nie  
prosz, \*eby powtórzył, bo jeżeli to zrobi i okaże się, \*e on mówi to, co  
ja myślę, \*e on mówi, wtedy będzie zmuszony wrócić i rozkwasi mu ten

jego pieprzony nos. Co( jeszcze za mn# krzyczy, ale ja go nie słucham. Po prostu chc wyj(%.

Ju\*.

Znajduj Amy w ogrodzie, pi knie ululan# i gotow# do wyj(cia, wi c wzywani taksówk , na któr# w milczeniu czekamy, siedz#c na schodach przed domem. W drodze do domu troch trze0wieje i pyta mnie, czy co( si stało. Mówi , \*e nie. Wtedy pyta, dlaczego jestem taki cichy, wi c odpowiadam jej, \*e to z powodu zm czenia. Dopiero kiedy jeste(my ju\* u niej, (wiatło zostało zgaszone i okna zasłoni te, a my le\*ymy na przeciwnych krałcach 3ó\*ka, wyrzucam z siebie, co mnie gryzie.

—Kiedy miała( zamiar mi powiedzie%?

—Powiedzie% co? — pyta sennie.

—7e w pi#tek idziesz na kolacj z Nathanem?

—Ach, to... Jasne, \*e chciałam ci powiedzie%.

—Dlaczego w takim razie tego nie zrobiła(?

—Co?

—Dlaczego — powtarzam bardzo wolno i bardzo dobitnie, na wypadek gdyby nie wszystko, co mówi , było dla niej do(% jasne — tego nie zrobiła(?

—Chciałam ci powiedzie% jutro. 7aden problem.

—Owszem, problem — poprawiam j#.

—Co niby? — Wyra0nie nie wie, o co mi chodzi. Jestem pod wra\*e-niem tego uciele(nienia niewinno(ci.

—7e jaki( facet zjawia si nagle na imprezie, a ty z dzikim wrzaskiem rzucasz mu si w ramiona, zupełnie jakby(cie byli Ginger i Fred.

—Ju\* ci mówiłam, to stary kumpel, przyjaciel. O co ci...

—Taki stary, \*e zapomniła( mi o nim opowiedzie% — przerywam jej.  
— W porz#dku, przyja0nisz si z bratem Johnny'ego Deppa, tyle \*e troch przystojniejszym, i tak sobie, zwyczajnie o tym zapominasz. Mimo \*e nie dalej jak wczoraj siedzieli(my w knajpie i babrali(my si — co wcale nie było łatwe — w naszej przesz3o(ci. 9wietnie, Amy. Po prostu super. Dam sobie g3ow uci#%, \*e gdybym to ja był w podobnie bliskich i serdecznych stosunkach z sobowtórem Cameron Diaz albo Kylie Mi-



nogue, i tak zwyczajnie bym sobie o tym zapomniał, ty byłabyś wprost zachwycona.

Słysz, jak Amy gramoli się spod kołdry, żeby usłyszeć. Wzdycha przy tym i pojekuje.

—Nie mówię ci o nim, bo był za granicą. O tym, że wróci, dowiedziałam się dzisiaj wieczorem, kiedy go zobaczyłam. Myślałam, że ma przyjechać dopiero w okolicy Bożego Narodzenia.

—Ach, rozumiem — nareszcie mnie o tym wiecie — więc uczciwość to kwestia czasu. Mówisz mi o czym dopiero, gdy nadejdzie właściwa chwila. O to chodzi?

—Jack, nie bądź (mieszny. Nie myślałam o nim od wieków. Dlatego ci o nim nie opowiedziałam.

—Pozwól, że się upewnię: jesteście tylko starymi dobrymi znajomymi?

—Dokładnie — potwierdza ostro, wyraźnie rozdrażniona. — Ile razy mam ci o tym zapewniać? Jest dobrym, bliskim przyjacielem.

—I nigdy z nim nie spałaś ani nic z tych rzeczy? Wzdycha, jak gdybym zadał właściwe najgłupsze pytanie pod słońcem, i staraj się do mnie przytulić, zapewnia:

—Nie.

Wspaniale, doszło już do tego, że nie tylko nie mówi mi wszystkiego, ale jeszcze kłamie prosto w oczy. Odpycham ją.

— Dlaczego w takim razie kiedy pod koniec imprezy ci szukałem i zapytałem go, czy ci nie widział, wyskoczył z jakimś brudnym artefaktem, jak to widział ci i to całkiem? Kpił sobie? A może miał to być jakiś artefakt, który tylko ja zrozumiałem opacznie, a jemu chodziło o to, że w dzieciństwie nurkowaliście na golasa i stąd to — zupełnie niewinne — hasło?

Tym razem nie ma gotowej odpowiedzi. Bardzo długo się nad nią zastanawia.

—No, dobrze — odzywa się w końcu. — Spałam z nim.

—Ile razy?

— Jakie to ma znaczenie? To było tak dawno. — Głós zaczyna jej wyraźnie drżeć.

—Wierz mi — mówi . — Ma znaczenie i to du\*e.

—Nie wiem, kilka razy. Zadowolony? Poszłam z nim do 3ó\*ka kilka razy na studiach. Chcesz szczegółów? Dat? O to ci chodzi?

—Nie — odpowiadam cicho. Chocia\* zmusiłem j# do wyznania mi prawdy, nie odczuwam \*adnej satysfakcji. Zbyt zbolało mnie jej wczesne (niejsze kłamstwo. Odczuwam nieomal mdżo(ci. — Chc tylko wiedzie%, dlaczego mi o nim nie powiedziała( — udaje mi si wykrztusi%.

—Ju\* ci mówią: zupełnie o nim nie myślałam. Bo i po co?

—To dlaczego umówiła( si z nim na kolacj ?

—Je(li o to ci chodzi, to nie dlatego, \*e mi si jeszcze podoba — zapewnia mnie. — Przestał mi si podoba% jeszcze w college'u.

—Czuj na ramieniu dotyk jej r ki. Nie reaguj , wi c tym bardziej stara si mnie przekona%. — Umówiłam si z nim na kolacj , poniewa\* jest moim przyjacielem i lubi go. Nic poza tym.

Odsuwam si gwałtownie.

—O, czy\*by? A czemu\* to ci si przestał podoba%? Czy dlatego, \*e jest taki brzydki? A mo\*e dlatego, \*e nie jest cholernie bogaty, a jego ojciec nie jest jednym z najzamo\*niejszych ludzi w tym kraju? Niech to szlag, naprawdę (wielkie rozumiem, dlaczego ju\* ci si nie podoba. I przyznaj ci całkowit# racj . Chryste, czym ja si tak przejmuj ? Przecie\* to oczywiste, \*e nie masz ochoty si z nim przespa%. Tylko kompletna idiotka mogłaby chcie% i(% do 3ó\*ka z kim( takim.

—Dlaczego si tak zachowujesz?

—Bo mnie okłamała(.

—Przepraszam, dobrze? Przepraszam! — Znowu dotyka mojego ramienia. Dr\*y i tym razem nie mam serca jej odr#ci%.

—Dlaczego to zrobiła(? Tylko prosz , nie mów mi, \*e zapomniała( albo nie wydawało ci si to do(% wa\*ne ani \*adnych takich bzdur — mówi bardzo zimnym głosem, ale te\* całe moje ciało jest zimne. Dobrze wiem, jak si to zaczyna, bo ka\*de zerwanie, które prze\*yżem, zaczynało si od tego samego: braku zaufania i porozumienia. A ja nie chc z ni# zrywa%. Do oczu napływa# mi łzy. Nie chc traci% Amy, ani

przez Nathana, ani przez nikogo innego. Lecz jednocze(nie nie mog sam siebie oszukiwa%. Na \*adne kłamstwa si nie zgodz . Albo wszystko, albo nic. — Po prostu powiedz prawd .

Amy oddycha coraz ci \*ej, chwilami nawet wydaje mi si , \*e szlocha.

—Nie powiedziałam ci, poniewa\* prawd# jest to, co mówi teraz. Nic mnie z nim nie 3#czy.

—To dlaczego tak ze mn# rozmawia3? Skoro nie powodowa3a nim za-zdro(%?

—Przecie\* go widzia3e(. By3 na%pany do nieprzytomno(ci. Pewnie nawet nie wiedzia3, co mówi. Normalnie si tak nie zachowuje.

Na kilka chwil zapada cisza, któr# w ko1cu ja przerywam.

— Nie chc , \*eby( si z nim spotyka3a. Nie chc , \*eby( w pi#tek jad3a z nim kolacj . — Amy milczy, wi c mówi dalej. Stawiam jej ultimatum. — Je(li si z nim spotkasz, nie chc ci wi cej widzie%.

A masz, my(1 sobie. Ciekawe, co z tym robi. Niestety, jej reakcja odbiega od moich oczekiwa1- Nie mówi: „Och, Jack, masz racj . To ja si myli3am. Nie spotkam si z Nathanem w pi#tek. Nie spotkam si z nim ju\* nigdy w \*yciu". Nie, ona na moje ultimatum odpowiada swoim.

—Je\*eli zabraniasz mi spotyka% si z przyjació3mi, to nie wiem, czy i ja chc ci jeszcze widzie%.

—To znaczy, \*e jeste( gotowa zerwa% ze mn# tylko dlatego, \*e ci prosz , aby( si z nim nie spotyka3a? — Nie wierz własnym uszom.

—Nie, ale mówisz, \*e jeste( gotów zerwa% ze mn# tylko dlatego, \*e powiedziałam, \*e si z nim spotkam.

Czaruj#ce.

Le\*ymy w milczeniu, Amy czeka na moj# odpowied0, a ja si nad ni# zastanawiam. Sprawa jest skomplikowana. Mo\*liwo(ci mam dwie: mog powiedzie%, jestem gotów, i zerwa% z ni#. Mog te\* powiedzie%, nie jestem, i z ni# zosta%. Rozs#dek kontra serce. Rozs#dek podpowiada mi: „Olej j#. Wsta1 i wyjd0. Przedk3ada Nathana nad ciebie. Ju\* dokona3a wyboru, wi c przesta1 si 3udzi% i robi% z siebie dupka". Lecz argumenty, jakie wysuwa moje serce, s# zgo3a odmienne. Ono mówi: „Zaufaj jej.

Niczego więcej nie trzeba. Skoro jej nie ufasz, to znaczy, że wszystko to nic nie jest warte".

Do tego się wszystko sprowadza: zaufa albo ola.

Wybór należy do mnie.

Wybieram opcję pierwszą i mówi :

—Nie jestem.

—Więc...—zaczyna.

—Więc wygląda na to, że idziesz na kolację z Nathanem.

—Ano, wygląda. Jesteś z tego zadowolony? „Zadowolony" nie jest moim najlepszym słowem, mimo to mówi :

—Tak.

—To dobrze.

Wtula się we mnie i — choć tego nie chce — ogarnia mnie ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Wsłuchuję się w jej coraz głębszy i spokojniejszy oddech, uświadomiam sobie, że oto po raz pierwszy od czasu zerwania z Zoe przyszedł mi komuś zaufa. Co z kolei oznacza, że rezygnuję z emocjonalnej niezależności, przestałem jednoczenie być sam.

## SKOK W BOK

Wtorek upływa mi na wdrówe po szmatławych biurach podróży w poszukiwaniu wakacji w Grecji po obniżonej cenie. Wreszcie udaje mi się trafić na ofertę w biurze o dość cichej nazwie FunSun, mieszczącym się w jednopokojowym lokalu w pobliżu Paddington. Jest to tygodniowy pobyt na greckiej wyspie Kos, wylot samolotem z Gatwick w najbliższą sobotę. Cóż, więc nawet nie kontynent. Zapewne więc będzie dyskotekami i najwiskszych zdobyczy kultury hellenistycznej. Ale co tam, do diabła. W końcu to zagranica, musi wystarczyć.

Mandy, pracownica biura, do której niechcnie udziela bardziej szczegółowych informacji na temat oferty. Nie chce na przykład powiedzieć mi, gdzie będziemy jęjtaja, twierdząc, że tego dowiemy się na miejscu. Po-

dobnie jest z transferem z lotniska, w sprawie którego wszystko wyja-  
(ni% si ma po przyje0dzie. A odleg3o(% do pla\*y? C6\*, Mandy s#dzi, \*e  
na tak niewielkiej wysepce nie mo\*e ona by% zbyt du\*a. Niewa\*ne.  
Wszystkie moje w#tpliwo(ci rozwiewaj# si na widok b3yszc#cego pro-  
spektu, na który Mandy pozwa3a mi rzuci% okiem, nie zgadzaj#c si jed-  
nak, \*ebym zabra3 go ze sob#. No i sprawa g36wna: wyjazd jest tani. Jak  
barszcz. A o to mi przede wszystkim chodzi3o. Wchodz w to. Podpisuj  
o(wiadczenie, w którym zobowi#zuj si do niewysuwania roszcze1  
przeciwko FunSun, na wypadek gdyby wakacje mia3y okaza% si niewy-  
pa3em. Mandy wr cza mi bilety, odprowadza do drzwi, by zaraz za mn#  
je zamkn#% i wywiesi% tabliczk z napisem NIECZYNNE.

Sprawa za3atwiona.

Po po3udniu w pi#tek le\* w 36\*ku i przygl#dam si , jak dym z moje-  
go papierosa smu\*k# unosi si ku sufitowi. Czuj si bardziej ni\* podle.  
M6j pok6j wygl#da jak miejsce katastrofy lotniczej: zawarto(% szafy i  
komody wala si po ca3ej pod3odze i na 36\*ku. Urz#dzi3em sobie zabaw  
w detektywa szafowego, podczas kt6rej odkry3em kilka szczególnie  
obrzydliwych dowod6w ubraniowych zbrodni pope3nionych w ostatnim  
dziesi cioleciu mego wakacyjnego \*ycia: d3ugie do kolan szorty do sur-  
fowania, slipy czule otulaj#ce j#dra, japonki w palmy i czapeczk base-  
ballow# z rozbrajaj#cym napisem DOSTA6EM 9WIRA W LANZA-  
ROTTE. Jednak nie widok tego wszystkiego wp dza mnie w czarn# cze-  
lu(% rozpaczy. Winne jest temu to, czego nie widz . To znaczy Amy.  
Gdzie si podziewa. I co robi.

Minionej nocy wyda3em sobie rozkaz. Dzia3o si to oko3o sz6stej nad  
ranem. Le\*a3em obok Amy, w 36\*ku u niej w mieszkaniu. Za sob# mie-  
li(my fantastyczny wsp6lny wiecz6r, kt6ry zacz li(my od obejrzenia  
amatorskiego przedstawienia z udzia3em jednego z jej znajomych, po-  
tem zjedli(my kolacj z ca3# trup#, \*eby wreszcie zak6lczy% go istnym  
seksmaratonem u niej w mieszkaniu. Amy usn 3a kamiennym snem, ja  
natomiast oka nie zmru\*y3em nawet na chwil . Bez przerwy my(la3em o  
Nathanie. Albo raczej o Amy i Nathanie. My(l o nich razem nie opusz-  
cza3a mnie ani na sekund , chocia\* wci##\* t3umaczy3em sobie, \*e prze-

cie\* nie mam si czym przejmowa%. Na zewn#trz (wita#o, kosy zaczyna-  
y pogwizdywa% swoje kosowe piosenki, pierwsi ludzie wyruszali do  
pracy. A ja, coraz bardziej zestresowany, wci## le\*a#em bezsennie. Roz-  
kaza#em wi c sobie: \*adnego wi cej my(lenia o Nathanie. Ilekro% przy-  
szed#by mi na my(l, natychmiast mam zacz##% my(le% o czym( przyjem-  
nym. Czymkolwiek. Podzia#a#o: nareszcie usn##em. I dalej dzia#a.

W ci#gu ostatnich trzydziestu minut my(li o Nathanie zburzy#y moje  
dobre samopoczucie nie wi cej ni\* jakie( osiem razy. Jako antidotum  
wyobrazi#em sobie osiem rzeczy, które s# od Nathana przyjemniejsze.  
Na przykad:

- a) odchody nietoperza
- b) wszy
- c) psia (lina
- d) hemoroidy
- e) (mier%

Cho% nie do ko1ca mo\*e uda#o si tym przyjemnym wyobra\*eniom  
poprawi% moje samopoczucie, bez w#tpienia ustrzeg#y mnie one przed  
pogr#\*eniem si w niszczej mózg paranoi. Sprawdzam, która godzina.  
Punkt siódma. W#a(nie w tej chwili Amy powinna spotka% si z Natha-  
nem. Dra1. Szybko dodaj \*ylaki do listy Rzeczy Przyjemniejszych ni\*  
Nathan.

— Jak ci idzie pakowanie? — pyta Matt, stoj#c w drzwiach. Ubrany  
jest w najstarsz# koszul i d\*insy, strój bojowy na wieczór kawalerski  
Alexa.

Kopni ciem odrzucam pust# paczk po gladstone'ach.

— Do dupy. A tobie?

Klepie r k# wystaj#c# mu z kieszeni na piersiach szczoteczk do z -  
bów.

— Nie bior zbyt wielkiego бага\*u — u(miecha si szeroko i pod-  
chodzi, \*eby usi#( obok mnie na #ó\*ku. — O której wyje\*d\*acie?

— Rano. Samolot mamy pi tna(cie po dziewi#tej.



—Ach, tak? Amy przychodzi tu na noc?

—Nie, jest na kolacji z przyjacielem.

— Co takiego? — Matt wybuchła (miechem. — I my(li, \*e bez jej pomocy nie spó0nisz si na lotnisko? Chyba postradała zmysły.

—B d na czas.

Ton, jakim to mówi , ka\*e mu przyjrze% mi si dokładniej. — Wszystko w porz#dku, stary?

—Jasne — odpowiadam. — Czemu pytasz?

— Tak sobie. — Patrzy na mnie sceptycznie. — Tylko \*e nie wygl#- dasz na szczególnie szcz (liwego. Chodzi mi o to, \*e rezygnujesz z super wieczoru kawalerskiego w Edynburgu, bo wyje\*d\*asz z kobiet# swoich marze1, a cieszysz si jak, nie przymierzaj#c, (winia id#ca na rze0.

— Nic mi nie jest — zapewniam. Ale to nieprawda. Matt ma racj : co( tu jest nie w porz#dku. Bardzo chciałbym mu powiedzie%, co mnie gryzie. Chciałbym mu opowiedzie% o Nathanie i o tym, jak Amy mnie okłamała, \*e czuj si zagro\*ony, a moje ego z ka\*d# chwil# ma si gorzej. Lecz nie mog , poniewa\* jest moim kumplem. A tak\*e poniewa\* wiem, jak ludzie reaguj# na czyj( brak poczucia bezpieczeństwa. A na jego lito(% nie mam najmniejszej ochoty. Podobnie zreszt# jak na Amy ani na niczyj# inn#. Pozostaje mi wi c tylko jedno wyj(cie: zmiana tematu. — Posłuchaj, Matt — mówi . — Przepraszam.

—Za co?

—Za imprez u Alexa. Za to, \*e nie jad tam z tob#.

—Nie ma sprawy.

—Nie jeste( na mnie wkurzony?

Patrzy na mnie. — Jasne, \*e jestem. Przedo\*yże( kobiet nad kumpli. Powinno si ciebie zastrzeli%. — Wzrok mu łagodnieje, nachyla si i kładzie mi r ce na ramionach. — Ale kar mo\*na odroczy%, pod warunkiem \*e ona jest tego warta, zgoda?

—Jest warta.

— Dobrze. To mi wystarczy. — Wstaje i idzie do drzwi. Przystaje jednak i obraca si do mnie. — Byłbym zapomniał — dodaje. — Mo-

\*esz sobie wybra% z moich ciuchów, co chcesz. Je(li si ubierzesz w co( z tej kupy, porzuci ci ze wstydu. — Salutuje mi na do widzenia i dodaje: — Przyjemnej nocy.

Noc, niestety, mam fataln#. Jak#( godzin zajmuje mi przejrzenie Letniej Kolekcji Matta Daviesa i upchni cie wybranych modeli do torby, razem z biletami i paszportem, co okazuje si najbardziej ekscytuj#cym wydarzeniem wieczoru. Potem ju\* jest tylko gorzej. Siedz przy kuchennym stole, za jedyne towarzystwo maj#c butelk wódki i dzbanek (wie\*o wyci(ni tego soku z cytryn. Taka zabawa przypomina jazd ostro w dó3 bez sprawnych hamulców.

Mijaj# minuty, Churchill 3ypie na mnie ponuro z blatu sto3u, a lista Rzeczy Przyjemniejszych ni\* Nathan wci#\* ro(nie. Oko3o ósmej trzydzie(ci, kiedy to Amy wraz z Nathanem prawdopodobnie docieraj# do jakiej( koszmarnej drogiej, szpanerskiej restauracji, w której ten dupek zamówi3 stolik, ma ju\* prawie pi %dziesi#t pozycji i jest coraz bardziej spro(na. Znalaz3 si na niej na przykad nalot na z bach razem z brudnymi skarpetkami i cuchn#cym oddechem. Ko3o jedenastej, kiedy zapewne dopijaj# kaw , lista wyd3u\*y3a si do setki i teraz na odmian staje si nieco zabawna. Znalaz3a si na niej rybna waga, elektrownia atomowa i b3ocko. Poza uk3adaniem listy i opró\*nianiem butelki, co jaki( czas dzwoni do Amy. Lecz nie odbiera, a to oznacza, \*e wci#\* jest z nim. Pó3noc nadchodzi i mija, zarzucam uk3adanie listy, dla odmiany zabawiaj#c si celowaniem rzutkami w tarcz , na której oczyma wyobra0ni widz twarz Nathana. Przestaj te\* dolewa% sobie sok do wódki i t reszt , która jeszcze zosta3a w butelce, wypijam bez dodatków.

I wtedy, tu\* przed pierwsz#, rozlega si dzwonek do drzwi. Wybucham (miechem. G3o(nym, i cho% pobrzmiwa w nim nutka hysterii, nie przejmuj si tym. Nie odczuwam dumy, tylko zwyk3# ulg . W tej chwili liczy si tylko to, \*e moja Amy przysz3a do mnie, a ja przez ca3y ten czas niepotrzebnie si zamartwia3em.

Wypi3em mocn# czyst# wódk w ilo(ci, której nie powstydz3by si rdzenny mieszkaniec rosyjskiej ziemi, nic dziwnego wi c, \*e zamiast

— jak strzała na powitanie ukochanej, do drzwi ruszyłem, niemal czołgając się po podłodze.

*Wyznania. Nr 5. Niewierność.* Miejsce: Dom Matta, Londyn. Czas: Chwila obecna. Otwieram drzwi.

— Cześć, Jack.

—: Sally? — pytam. Muszę spytać, ponieważ nie od razu udaje mi się rozpoznać rozczochraną kobietę postawioną na progu. Zbyt duży blond włosów opada jej na twarz i zbyt duże w ciemne kolorowe plamy zdobi okrywając jej ciało sukienki, co w połączeniu z rozmazanym przez alkohol polem widzenia czyni rozpoznanie prawie niemożliwym.

— Witaj, słodkiutki — mówi, odsłaniając twarz, dziękuję ci czemu nabieram pewności, że oto rzeczywiście stoi przede mną Sally McCullen.

— Bapi — za rami, chcę pomóc jej utrzymać równowagę. Ponieważ jednak sam mam z tym problemy, wychodzi na to, że podtrzymujemy się nawzajem.

— Co ty tu robisz? — udaje mi się wybełkotać.

— A jak myślisz? — Nachyla się ku mnie, najwyraźniej zamierzając mnie pocałować.

— Powinnaś pójść do domu — mówi, delikatnie ją odsuwając.

Patrzy na mnie wyraźnie zdziwiona. — Dlaczego? Dobre pytanie, z rodzaju tych, na które w tej chwili mój umysł czony mózg nie bardzo potrafi znaleźć odpowiedź. Przecież jest bardzo ładna. Poza tym jestem wkurzony na Amy. Dlaczego więc, w rzeczy samej, nie miałyby zostać? Te pytania nie pozostają jednak długo bez odpowiedzi. Ponieważ byłoby to nie na miejscu. I ponieważ chciałem, żeby przed tymi drzwiami znalazła się nie Sally, lecz Amy.

— Jest późno — mamroczę, usuwając zamknięcie jej drzwi przed nosem. — Jutro muszę wstać. Idź spać.

Ona jednak tylko się uśmiecha i bez pozwolenia wchodzi do domu. Obracam się i zaskoczony patrzę, jak znika w jego wnętrzu. Dlaczego

spotyka to w3a(nie mnie? I to teraz? Dlaczego nie kilka miesi cy wcze-  
(niej, kiedy bardziej ni\* ochoczo bym jej s3u\*y3? Zamykam drzwi, go-  
dz#c si z faktem, \*e nie ma na tym (wiecie sprawiedliwo(ci, i id za ni#  
do kuchni. Kiedy wchodz , Sally stoi przy kuchence i rozgl#da si wo-  
k33. Widz , jak jej wzrok pada na butelk z w3dk#.

—Nie zaproponujesz dziewczynie drinka? — pyta z uniesionymi  
oczekuj#co brwiami.—Przedtem zawsze namawia3e( mnie do picia —  
dodaje chytrze. Podchodzi do sto3u, bierze butelk i poci#ga prosto z  
niej spory 3yk. Spogl#da na mnie przez rami . — Co si zmieni3o? Ju\*  
mnie nie chcesz? — Znowu pije i oparta plecami o st33 patrzy na mnie z  
obra\*on# min#.

Pami tam, jak le\*a3a na kanapie w atelier. Pami tam ka\*d# kr#g3o(%  
jej cia3a, (wiat3o za3amuj#ce si na jej sk3rze. Zamykam na chwil oczy  
i odsuwam od siebie t wizj . Czas p3ynie. Sally ma racj . Zmieni3em  
si . Ju\* jej nie chc . Chc wy3#cznie Amy. 7eby wr3ci3a do mnie, ca3a i  
zdrowa.

—Jeste( pijana — stwierdzam niezbyt wyra3nie. — Wezw ci tak-  
s3wk .

Ruszam w stron telefonu, ona jednak 3apie mnie i gwa3townie do sie-  
bie przyci#ga.

—Nie chc taks3wki. Chc ciebie.

—Sally, ja mam dziewczyn . — Nagle ogarnia mnie ogromne zm-  
czenie. Jestem za bardzo pijany i chc , \*eby sobie posz3a, bo marz wy-  
3#cznie o spaniu.

Ona jednak dopiero si rozgrzewa.

—No i co z tego? Tobie jako( nie przeszkadza3o, \*e ja mia3am ch3o-  
paka. I tak chcia3e( mnie zaci#gn#% do 33ka.

—To prawda — nie mog odm3wi% jej racji. — Ale ty wtedy nie  
przespa3a( si ze mn#, a ja nie prze(pi si z tob# teraz.

Puszcza mnie, podchodzi do zlewu, nalewa sobie szklank wody i  
wypijaj# duszkiem.

—Rzucił mnie, wiesz? — o(wiadczą, odwracając się do mnie. — Przez to, co powiedziała ta dziewczyna, z którą był na imprezie u Chloe. Mówi, że jestem zdmuchany i nie chce mieć ze mną nic wspólnego.

—Przykro mi — komentuj .

Naprawdę jest wręcz odwrotnie. Wiem, że bez niego będzie jej o niebo lepiej. Chociaż w tej chwili nie powinienem chyba jej o tym przekonywać. Może się ze mną nie zgodzi albo — co gorsza — uzna, że skoro według mnie jest za dobra dla niego, tak naprawdę chce powiedzieć, że ja jestem kandydatem idealnym.

—Czy tamta... tamta dziewczyna... chodzisz z nią?

—Uhm, ma na imię Amy.

—Chyba nie bardzo jest w twoim typie.

—A to czemu? — pytam i spojrzę jednocześnie na telefon, wyczekując odpowiedniej chwili, żeby znowu poruszyć sprawę taksówki.

—Fizycznie. — Kładzie nogi na stole. Sukienka jej się odsuwa, ukazując idealnie zarysowane łydki i uda.

—Cóż, Sally, ja uważam inaczej. — Zaczynam mieć jej powoli dosyć.

— Amy jest wspaniała i dokładnie w moim typie.

—Czyby? W takim razie czemu jej tu nie ma?

—Słucham?

—Czemu jej tu nie ma? — Udaje, że rozgląda się po całym pokoju w poszukiwaniu Amy, po czym wstaje. — Gdzie się podziewa ta idealna kobieta? — Otwiera lodówkę i demonstracyjnie do niej zagląda. — Pudło — oznajmia i wyjmuje puszkę z piwem, otwiera ją i pije przez chwilę. — A może tu się schowała? — mruczy, zaglądając do szafki. Obraca się do mnie z pijackim uśmiechem. — Chyba jednak nie... — nuci.

— Wyszła. — Załedwie to powiedziałem, a już spróchniałe staruchy na całym świecie radują się swoim udziałem w tworzeniu listy Rzeczy Przyjemniejszych niż Nathan.

Sally unosi brwi.

—Kiedy kota nie ma w domu...

Nawet jej nie pytam, czy tym razem ma na to ochotę. Domyślnie usłyszałem, \*eaby pozbył się w\*pliwoci. Podchodzi do telefonu, podnosi słuchawkę i wykręca numer radio taxi. Lecz — był może dlatego, \*e robiłem to dzisiaj tyle razy i moje palce innego układu cyfr nie są w stanie wykręcić ci, a może dlatego, \*e rzuciłem okiem na zegar, który pokazywał już dobrze po pierwszej — nie dzwoni do przedsiabiorstwa taksówkowego. Dzwoni do Amy. Dzwoni do Amy, ale nadal nikt nie odbiera. Nikt nie odbiera, ponieważ\* nikogo — czyli Amy — nie ma w domu.

Jest z nim, wci#\* jeszcze.

— Zanim zamówisz dla mnie taksówkę — słysz za sobą głos Sally — najpierw może się obróć i zobacz, ile tracisz. Co nie znaczy — ci#gnie dalej, gdy oglądam się przez ramię — \*e nie widziałem( wszystkiego już przedtem.

Zdejmuje wólanie majtki, reszty ubrania pozbywszy się już wczyniej.

— Idź na górę — mówi i odwraca się do mnie plecami. — Za minutę chcę cię zobaczyć.

Ani za minutę, ani nawet za godzinę, moja droga. Nie ruszam się z kuchni. Jestem jak sparaliżowany. Siedzę i myślę, co te\*, do jasnej cholery, mam poczucie. Skłamałbym, mówię, \*eni jestem zainteresowany. Wystarczy tylko na niego popatrzeć. Uosobienie seksu. Sen kadego podrywacza. Szansa jedna na milion. Ale jest jeszcze Amy. I to, co powiedziałem Sally, było naprawdę szczere: Amy jest dokładnie w moim typie. Calutka, bez wyjątku. Punktualnie o drugiej daje Amy ostatnią szansę i dzwoni do niej raz jeszcze: bez skutku. W porządku, ci#gle nie ma jej w domu, co może oznaczać tylko jedno, a mianowicie, \*e wci#\* jest jeszcze z Nathanem. No i co z tego? Nie wiem przecie\*, czy nic złego się nie dzieje. A zresztą, nawet jeżeli jest wobec mnie nie fair, nie oznacza wcale, \*e mam jej odpłacić piątkiem za nadobne. Nie uprawiamy przecie\* jakiejś tam niedziedzinady, bo decyzję o dochowaniu jej wierności muszę podjąć ja sam, osobiście.

I podjęłem: bądź wierny.



Kiedy wchodzi do swojego pokoju, zastaj Sally leżącą na moim łóżku na wznak. Ustawiam Tłustego Psa na szóstym, co daje mi mnóstwo czasu na dojazd do Gatwick, gdzie umówię się z Amy, po czym wślizguję się pod kołdrę obok Sally, która (pi. Nie, to eufemizm. Ona straciła przytomność. Na dobre, co stwierdzam z prawdziwą ulgą. Przynajmniej nie będę musiał się z nią ugrać, no i mam szansę przespać się chociaż trochę. Jestem padnięty, pijany w trupa i straszliwie samotny. Spragniony jestem ciepła i pociechy, więc mimo iż wiem, że mogłoby to zostać całkowicie błędnie zinterpretowane, przytulam się do Sally i ostro, aby jej przypadkiem nie zbudzi, obejmuję.

Budzi mnie jednak. Mój własny.

Przez chwilę się nie poruszam, tylko leżę i delektuję się rozkoszą, jaka, biorąc początek w kroczu, rozlewa się po całym moim ciele. Z ust wymyka mi się słowo „Amy”. Wyciągam ręce i zanurzam je w jej włosach. Słyszysz, jak się porusza. Unoszę biodra, pragnąc jeszcze bardziej się do niej zbliżyć i jeszcze znowu. Czujesz, jak jej się

Bo policzyłam.

Sonia, pracownica FunSun, odhaczyła ju\* na swojej liście wszystkich i poprowadziła ich do odprawy paszportowej. Zostałam sama przy stanowisku check-in (które lada chwila zamknę) i desperacko przeczesuję wzrokiem twarze w kolejkach obok. Chocia\* nowe sandały raniły mi stopy do \*ywego, nie przestaję chodzić tam i z powrotem.

Z emocjonalnego punktu widzenia przeszłam wszystkie etapy:

7.15. Nie zjawia się = odczuwam lekkie rozbawienie (brak organizacji czasu, typowe dla facetów).

7.30. Nie zjawia się = rozbawienie przechodzi w irytację (nie zdajemy sobie sprawy z zakupu w strefie bezcłowej).

7.45. Nie zjawia się = jestem zła (zepsute początek wakacji).

8.15. Nie zjawia się = teraz ju\* się martwi (z każdą chwilą rośnie ryzyko, \*e spódnimy się na samolot).

8.45. Wciąż się nie zjawia = wpadam w panikę (samolot odlatuje za mniej niż pół godziny).

W tej chwili jestem ju\* naprawdę przerażona.

Jack nie \*yje. To jedyne wytłumaczenie. Został brutalnie zamordowany w drodze do Gatwick i teraz leży w kałuży krwi, przez nikogo nie rozpoznany. Głos z megafonu przerywa te straszliwe myśli:

„Ostatnie wezwanie na lot CB003 na Kos. Wszystkich pasażerów prosimy o skierowanie się do wyjścia D46”.

—Słuchaj, Panie Boże—mówi głos, szybko jednak uznaj, \*e powinnam być trochę grzeczniejsza. — Dobry Boże. Wiem, \*e dotychczas trudno było nazwać mnie ideałem czystości i współczucia, chcę się jednak poprawić. W tej chwili obiecuję ci, \*e w każdą niedzielę będę chodziła do kościoła, tylko proszę, proszę, proszę, spraw, \*eby Jack się pojawił. Wywiadczy mi tylko tę jedną, jedyną przysługę. Błagam. — Rozglądam się wokół.—I wszystkie pieniądze oddam na Caritas.—Wykrzywiam się

do kobiety za kontuarem. Wzrusza ramionami, spogląda na zegarek i potrzepsa z dezaprobatą głową. — Zostan zakonnicą. Czy to ci zadowoli?

—Amy! — Słysz krzyk Jacka, który pada w moją stronę, wymachując biletami.

Cholera! Z tą zakonnicą mogłam zaczekać.

—Przepraszam, przepraszam — dyszy i mija mnie, ledwie mając czas mnie pocałować.

—Co się stało? Gdzie był(e)? — krzyczy, rozdarta mi dycha, uciśnięcia go i zbitcia na kawałki.

Kobieta za ladą przygląda się sceptycznie, jak Jack przekopuje torbę w poszukiwaniu paszportu. Wreszcie go znajduje. Chwilę trwa, zanim udaje mu się zapaść oddech. Kobieta sprawdza zdjęcie w paszporcie i przenosi wzrok na niego. Rozumiem, że trudno jej dopatrzeć się podobieństwa między zadbanym (i, tak, muszę przyznać, całkiem przystojnym) facetem ze zdjęciem a wymiśloną i spoconą kupą nieśzczęścia stojącą przed nim. Jack jednak w porównaniu do siebie przypomina, że skończył z najwyższym wyróżnieniem Uniwersytet Czarowania i posyła jej jeden ze swoich obezwładniających uśmiechów.

—Już za późno, żeby odprawić państwa bagaże, bo dziecię musieli zabrać ze sobą — wyjąkną niechętnie, ale widzę, że już zdobył. — Proszę się pospieszyć.

—Dziękujemy. — Jack wciąga uśmiecha się czarująco. — Chodźmy — wydaje mi rozkaz i przerzuca sobie torbę przez ramię. Ja swoją ledwo mogę unieść. Wbrew radom H, spakowałam do niej wszystkie ubrania, jakie mogłam znaleźć, i połowę drogerii. Jack nie zauważa niczego. Przedzierając się przez tłumy turystów, pokonał już prawie połowę hali.

—Jack! Zaczekaj! — wołam za nim, on jednak jakby wcale mnie nie słyszał.

Ponieważ dzisiaj cały świat sprzysięgł się przeciwko mnie, nasze wyjście jest oczywiste (nie jestem tym najdalszym). Próbuję zatrzymać jeden z wózków wołających grubych facetów z torbami golfowymi. Przecież ja chyba jestem w większej od nich potrzebie? Poza tym im wszystkim trochę wyczerpania wyszłoby tylko na dobre.

Wszystko na pró\*no. Nie mam złudzeń: rycersko(% umarża. Puszczam si w pogoł za Jackiem, który chyba trenuje do maratonu londyńskiego. Mniej więcej po pokonaniu jakichś (pięciu mil, co stanowi zaledwie jeden# trzeci# drogi do wyj(cia, wycielczona wskakuj na ruchomy chodnik. Serce, wal#c jak oszalałe, podchodzi mi do gardła.

— Chod0\*e! Ruszaj si ! — wrzeszczy Jack. Mam wrażenie, \*e jest żywy. — Spó0nimy si na samolot!

—Nie mogę, ja... —Z trudem żapi oddech.—Moja torba... Podchodz do Jacka, który wyrywa mi j# z ręki.

—Amy! Co( ty tam napakowała?

—Cegły — odpalam, l#duj#c na dywanie.

—Cegły? — dziwi si, zrzucaj#c sobie moj# torb na drugie ramię.

—Żeby wybudowa% pięprzony hotel! — odpowiadam w(ciekła. Najchtniej bym go zabiła. 9ci#gam sandały i wstaj. Na nodze mam pcherz wielko(ciego gobelinu z Bayeux.

Sonia cmoka gło(no, gdy z Jackiem wchodzimy do samolotu. Jej gęboko pomarańczowa opalenizna w tym (wielce nabiera zielonkawego odcienia.

— Nie b dziecie mogli siedzie% razem—oznajmia i przybiera zawodowy u(miech. — 7ycz miłych wakacji z FunSun.

Przez moment zastanawiam si, czy byłoby jej do twarzy z wybitymi przednimi zębami.

Mamy miejsca po dwóch stronach przej(cia. Wciskam si na NAJBARDZIEJ ekonomiczny fotel w klasie ekonomicznej w historii awiacji i upycham torb pod nogami.

Pięty mam obdarte, ramiona obolałe i dysz jak zgoniony chart, chwilkę trwa, zanim dociera do mnie, \*e na miejscu obok siedzi Bachor z Piekła Rodem. Potomek samego Szatana w prostej linii. U(miecha si do mnie demonicznie, po czym otwiera dziób i wydaje z siebie wrzask tak potworny, \*e chyba nawet samolot stulił skrzydła z przerażenia.

— Och, zamknij si ! — krzyczy siedz#ca pod oknem blondynka. Rozw(cieczona grzebie w ró\*owej torbie i wyci#ga z niej smoczek. Wyciera go w d\*insow# spódniczkę mini i wtyka bachorowi do gębki. —

Darren, \*adnych wi cej numerów, albo wyfruniesz przez okno! — drze si , a ja odnosz wra\*enie, \*e mówi zupełnie powa\*nie. — Rozumiesz?

Smoczek natychmiast l#duje na moich kolanach, a Darren opluwa mi r kaw sokiem pomara1czowym. Po powrocie dam sobie podwi#za% jajniki.

Zwykle uwielbiam lata%. Uwielbiam plastikowe jedzenie i wszystkie te woreczki i pude3eczka, które do niego dodaj#. Uwielbiam tandetne misie z wolnoc3owych sklepów i krety1skie artyku3y w czasopismach wydawanych przez linie lotnicze. Kocham dysze klimatyzacyjne i muzyk nadawan# przez s3uchawki. Kocham buteleczki z perfumami w toaletach i krany na peda3y. Uwielbiam podniecenie towarzyszy#ce startowi i l#dowaniu. Uwielbiam nawet drobne turbulencje, dzi ki którym towarzyszy temu wszystkiemu dreszczyk emocji.

Jednak dzisiaj moje uwielbienie przerodzi3o si w nienawi(%). Ca3y ten cuchn#cy, beznadziejny samolot napawa mnie obrzydzeniem. Samolot AMY1 na Wymarzon# Wysp run#3 i sp3on#3.

Nie prze\*y3 nikt.

Jestem taka w(ciek3a, bo nasz# podró\* planowa3am od wielu dni. Wszystko mia3am pouk3adane: romantyczne spotkanie na lotnisku Gatwick wczesnym rankiem, zupełnie jakby(my byli tajemnymi kochankami, niespieszna w drówka po sklepach bezc3owych, chichoty i przytulanki, w akompaniamencie których Jack wydaje maj#tek na moje ulubione perfumy. Oczyma wyobra0ni widzia3am nas, jak trzymaj#c si za r ce, idziemy wolno do samolotu, a potem tulimy si , wygodnie ulokowani na zacisznych miejscach przy oknie. W swoich planach posun 3am si nawet do tego, \*e wymarzy3am sobie szybki seks w toalecie, który zapewni3by nam cz3onkostwo klubu wysoko(ciuwego).

To mia3o by% zaledwie na przystawk .

Niestety, nami tne melodie z lat siedemdziesi#tych, które tym marzeniom towarzyszy3y, zosta3y gwa3townie, brutalnie i z g3o(nym zgrzytem przerwane.

Kiedy si ju\* usadowi3am, pytam Jacka lodowato:

—No i? Czemu si spó0ni3e?

Poprawia torb upchan# —jak i moja — pod nogami.

—Kac.

—Rozumiem—chrz#kam. — Co robi#e( wczoraj wieczorem?

—O to samo móg#bym zapyta% ciebie — odbija pi#eczk . W tej chwili staje mi dzy nami jedna ze stewardes, demonstruj#c, jak nale\*y zachowa% (rodki bezpiecze#stwa. Nachylam si do przodu, \*eby na niego spojrze%, bo zas#oni#y mi go jej opi te w pasiast# sp#dnicz#k po(ladki. Jack jednak mnie ignoruje i mechanicznie powtarza za stewardes# wszystkie czynno(ci.

Stewardesa wraca na prz#d samolotu, wi c cofam si , \*eby usun#% si jej z drogi.

—Co to ma znaczy%? — sycz .

Jack wyci#ga z torby walkmana i wk#ada do uszu s#uchawki.

—Wydzwania#em do ciebie przez ca#y wiecz#r, a\* do drugiej. Kolacja si chyba wyj#tkowo uda#a?

—By#aam u H—broni si , zdecydowanie za g#o(no, bardzo jednak za-le\*y mi na zatrzymaniu jego uwagi.

Stewardesa demonstruje dalej. Teraz pokazuje, jak korzysta% z gwizdka przy kamizelce ratunkowej. Kiedy mówi , ona przypadkowo w niego dmucha i przenikliwy d#wi k uruchamia narz#d mowy, lub raczej wrzasku, Darrena. Wygl#da na to, \*e postanowi# ustanowi% w#asn# barier d#wi ku i nie ma zamiaru da% si komukolwiek pokona%.

Jack spogl#da na mnie z uniesionymi sceptycznie brwiami, po czym ostentacyjnie wciska przycisk „play”, nie daj#c mi mo\*liwo(ci wyt#umaczenia si . Widz , jak u(miecha si do stewardesy i przymyka oczy. Zасыpia jeszcze przed startem samolotu.

„Jak mog#e(? — krzycz w duchu. — Tylko dlatego, \*e nie odbieram telefonu, za#o\*y#e(, \*e sp dzam noc z Nathanem. My(la#e(, \*e si z nim przez ca# noc pieprzy#a? Czujesz si a\* tak niedowarto(ciowany i zazdrosny, \*e nie mo\*esz mi zaufa% nawet na pi % minut?”

Zak#adam r ce na piersiach i robi gro#n# min do sk#adanego stolika przede mn#. Nie da si ukry%, \*e moje oburzenie nadawa#oby si na



przesłuchanie do roli głównej bohaterki opery mydlanej, ale co mi tam. Daj mu upust, pomagajcie sobie groźnym tupaniem nogi.

„No dalej, ty t py, humorzasty, wkurzajcie, m(ciwy, niepewny siebie głupku. Zjawiasz się tak późno, \*eby mnie ukara%. Poczekaj tylko, a zobaczysz, ile mnie to obchodzi. Twoje małe, \*aśosne gierki nie robi# na mnie \*adnego wra\*enia, a Nathan i tak nic mnie nie obchodzi...”

Rozkr ciżam się ju\* na dobre, kiedy nagle dociera do mnie, \*e Jack nawet o Nathanie nie wspomniał. On tylko podejrzewa, nic więcej. A całe moje zachowanie tylko go w jego podejrzeniach utwierdza.

Poddaj się i popadam w czarn# rozpacz.

Dzi kuj stewardesie za (niadanie, obserwuj za to, jak Dar-ren obrzuca swój# matkę jajecznic#. Sprawdzam, czy przypadkiem za uchem nie ma wytatuowanego znaku 666.

Prawda jest taka, \*e to Nathan, a nie ja, zagrał nie fair. Naprawdę cieszyłam się na spotkanie z nim. Postawiłam sobie za punkt honoru nie dopu(cić, \*eby głupie obsesje Jacka wpłynęły na moje \*ycie towarzyskie, które w kołcu ma znacznie dłuższe tradycje niż moja z nim znajomość.

Czekałam ponad godzinę w barze w Soho, zanim Nathan w kołcu się pojawił. Sama nie wiem, po co tak bardzo starałam się przyj(ć punktualnie ani te\* dlaczego tak się denerwowałam, czekajcie. Przecie\* jedn# z głównych, nieuleczalnych cech Nathana była absolutna niemo\*ność zjawienia się gdziekolwiek na czas.

— Mam randkę z t# niesamowit# dziewczyn# — nareszcie dobiegł mnie jego głos. Położył mi dłoń na ramieniu i pocałował w policzek. Zrobiło mi się ciepło na sercu. W kołcu bez mała godzinę szykowałam się na to spotkanie. — Jest wyjątkowa — mówił dalej, sadowi#ć się na stołku obok mnie przy barze.

Bez udziału woli moja rękawka powdrowała do włosów.

—Och, Nath — uśmiechnęłam się czaruj#co. Pochyliłam się i tr#ciłam go żobuzersko w kolano. Zapomniałam ju\*, jak potrafi na człowieka patrzeć% tymi swoimi zielonymi oczami.

—Ma na imi Marguerite—wyszeptał rozmarzony.—Pochodzi z Hiszpanii i jest... — przerwał dla wzmocnienia efektu. — Mówi ci, to mogłaby być ta wspaniała. — Skinął na barmana i zamówił dwie lampki szampana. Wypiłam swój pospiesznie. Moje ego bardzo potrzebowało (rodka znieczulającego po tym, jak moja próżność boleśnie poślizgnęła się na skórcie od banana.

—Wspaniale, Nathan! Naprawdę się ciesz! — Wykrzyknęłam zachwycona ze sztywnym uśmiechem, szybko wróciłam z pamięci wszystkie powody, dla których nigdy nie mogłabym z nim być.

—Zabieram ją do klubu, nie będzie ci widać z tej kolacji. Ale nie masz nic przeciwko temu, prawda? — pyta, ale na odpowiedź wcale nie czeka. — Zresztą wystarczy na ciebie popatrzeć. Cała zakochana w tym jak-mu-tam. To takie słodkie.

Pozwalam mu mówić, ochami i achami kwitując jego anegdoty z ostatniej wyprawy w Himalaje. Poza tym prawie się nie odzywam, kiedy jednak docieram do H po tym, jak godzinę później zostawił mnie w barze, trochę tego.

Żałuję, że pozwoliłam mu tak z góry traktować mój związek z Jackiem. Mogłam mu powiedzieć, że jego uganianie się za pięknymi dziewczynami i zakochiwanie co pięć minut w innej nie robi na mnie żadnego wrażenia. Żałuję, że nie uwiadomiłam mu, że wcale nie jest taki wspaniały i nieodparcie czarujący, jak kiedy myślałam, ale po prostu niedojrzały i niezdolny do poważnego związku. Mogłam też dodać, że powinien traktować ludzi z większym szacunkiem, a nie być takim samolubnym, zakochanym w sobie draniem. Żałuję, że nie powiedziałam mu, że niegrzecznie i po chamsku było kazać mi czekać na siebie tak długo. A przede wszystkim żałuję, że w ogóle się z nim umówiłam.

Niestety, w samolocie pełnym wczasowiczów z biura FunSun trudno zdobyć się na pokor potrzebny, żeby powiedzieć Jackowi, jak głupio się w związku z tym czuję.

Rzucam okiem na mego rozczochranego i nierozmownego towarzysza podróży. Pochrapuje sobie cichutko i przez chwilę odczuwam niewypowiedzianą ulgę. Na sam myślenie o kolejnej scenie mam ochotę rzucić się

na pilota i błaga go, \*eby natychmiast zawrócił, bo jednak postanowiłam wstąpić do klasztoru.

Jedyne, o czym w tej chwili marzę, to \*eby wszystko znowu stało się proste i jasne.

A jeszcze nie tak dawno, kiedy to przebywałam na pustyni Gobi kobiety samotnej, moje \*ycie było proste. Wolne od kłótni, napadów złego humoru, nieporozumień. Mo\*e od czasu do czasu trochę się nudziłam, ale przynajmniej wiedziałam, na czym stoję. Byłam ja i byłam ja. Rozumiałyśmy się doskonale. A teraz tkwi w nieustannej pl#taninie uczu% i bez przerwy muszę się usprawiedliwiać%.

Wemy na przykład H. Jak się dowiedziała, \*e byłam na grillu u Chloe, przestała się do mnie odzywać%. Cały tydzień wysyłałam jej wiadomości i zamartwiałam się. W końcu zrozumiałam, \*e muszę się z nią zobaczyć%. Jestem zbyt przes#dna, aby wyje\*d\*a% z kraju ze (wiadomości#, \*e mi dźwiży nami coś jest nie tak. Kiedy więc rozstałam się z Nathanelem, powdrowałam do H.

Stałam na jej progu i na jednym oddechu, chyba ze trzydzieci razy powiedziałam przepraszam, ona jednak pozostała nieugięta.

— Nie uważasz, \*e winna mi jesteś( choć trochę szczeroci? — zapytała, wyjmując mi z ręki butelkę wina, którą przyniosłam jako ga#zk oliwn#. Umilkłam w połowie kolejnego przepraszam. Naprawdę się jej bałam, kiedy była zła.

— Jak ja się twoim zdaniem czuję? — ciągnęła dalej, podczas gdy ja posłusznie dreptałam za nią.

— Jakbyś miała ochotę skoczyć% mi do gardła i zgarotować% mojego chłopaka? — zaryzykowałam.

H jednak nie była w nastroju do \*artów.

— Coś w tym stylu — urwała. Wzięła do ręki pilota i zatrzymała kasetę z *Przyjaciółmi*. Uu, sprawa była poważna. — Czy słowo „szacunek” coś dla ciebie znaczy? — zapytała, nie proponując, bym usiadła.

Jasne, \*e znaczy. Szacunek H znaczy dla mnie wszystko. Nie byłam w stanie kłócić% się z nią na stoj#co, przycupnęłam więc na pufie i wyznałam jej wszystko. Opowiedziałam, jak to było mi niedobrze, gdy j#

okłamałam, \*e mi jest niedobrze, a tak\* e o tym, jak byłam rozdarta pomiędzy ni# a Jackiem, wreszcie o zamieszaniu na grillu, którego byłam sprawczyni#, i okropnym poczuciu winy, jakie mnie od tamtego czasu przeładowało.

H słuchała, a\* w kołcu tak mi się ta pokora przejadła, \*e miałam ochotę wymiotować%.

W kołcu zło\*yła na piersiach ramiona i pokręciła z politowaniem głowę#.

—Kiedy mówi o szacunku, mam na myśli szacunek dla samej siebie, ty idiotko — oznajmiła tonem tak pełnym współczucia, \*e rozłożyła mnie na łopatki. — Nie obchodzi mnie, co robisz, dopóki jest to coś, czego ty chcesz. Nie masz obowiązku sprawiać przyjemności ani mnie, ani nikomu innemu. Poczucie samej siebie to jedna z twoich najlepszych cech, Amy. Nie pozbywaj się jej tylko dlatego, \*e jesteś zakochana.

—A skąd wiesz, \*e się zakochałam? — pytam zdumiona. Przecież nigdy nie spotkała Jacka.

—Co prawda, to prawda. Czasami to a\* nadto oczywiste — H na to.

Wtedy ju\* musiała mi wybaczyć%, bo zacząłam płakać%. Najwyraźniej płacz stał się jedynym z moich najnowszych umiejętności.

Wcześniej nie miałam o niej pojęcia, a teraz zastanawiam się, czy nie powinnam z niej korzystać% czy (ciej dla wzmocnienia efektu. Może powinnam się zgłosić% na zdjęcie próbne do jednego z tych hollywoodzkich romansów, w których od bohaterki wymaga się tylko, \*eby w każdej scenie rzewnie szlochała. Zrobiłabym maj#tek!

Właściwie to nie wiem, czemu zacząłam płakać%. Ale (wiadomo%, \*e H rozumie, jak się czuję, była prawdziwym ulg#: jestem Kobietą Zakochaną#, co do pewnego stopnia tłumaczy moje zachowanie.

—Przełamał — rozkazała H i nalała mi sporą szklankę wina.

—Przepraszam — wyjąkałam.

— I przełamał przepraszać%. Ju\* wszystko w porządku. — Pocałowała mnie w policzek i wsadziła do ręki szklankę .

Wiedziałam, \*e mówi szczerze, zwłaszcza kiedy rozsiadła się wygodnie i odezwała się :

—Ty głupia krowo.

— Bo\*o, ale mi ciebie brakowało — roze(miałam si i wlałam na kanap , \*eby móc si do niej przytuli%.

Stukn ły(my si szklankami.

— Dalej, tumanku. Mów, jak na (wi tej spowiedzi.. Chc wiedzie% wszystko.

Tak wi c przy kolejnych szklankach wina opowiadam jej po kolei, jak było. Mówi jej o pracy, o Jacku, o Nathanie, imprezie i wreszcie o wakacjach. Tyle miały(my sobie do powiedzenia, \*e zanim si obejrzałam, dochodziła druga.

— Zrobiło si pó0no — ziewn ła H — lepiej zadzwol do swojego kochasia i powiedz mu, \*e zostajesz u mnie na noc.

—Nie mog . Musz si jeszcze spakowa%. Pogroziła mi palcem i zli-zała kropelk wina z ust.

— Zawsze bierzesz za du\*o rzeczy. A potrzebujesz tylko dwóch par majtek —jedn# nosisz, drug# pierzesz — kostiumu k#pielowego i kilku sukienek.

Nachylałam si i podnosz słuchawk telefonu. Dr czona poczuciem winy wykr cam numer Jacka. Powinnam była do niego zadzwoni% du\*o wcze(niej.

H przeci#ga si jak kotka.

—Mo\*esz zamówi% taksówk na rano. Nie ma go?

—Zaj te — odkładam słuchawk .

—Nie przejmuj si . B dziesz go miała przez cały tydzieł.

Hurra.

Moi towarzysze podró\*y klaszcz# spontanicznie, kiedy z godzinnym opó0nieniem samolot l#duje wreszcie w Grecji. Nie przyż#czam si do ich rado(ci. Stopy mam obrzmiałe, oczy podpuchni te i czuj si wysuszona jak (liwka.

Jack natomiast (wie\*y i wypocz ty wychodzi w upał na lotnisku. Podczas gdy on z zachwytem wci#ga powietrze, ja w sekundzie oblewam si potem od stóp do głów.

— Pogoda jest w porządku — oznajmia. Zupełnie jakby warunki meteorologiczne były jego osobistym zwyczajem.

Sonia zagania nas do terminalu. Uwaga o pogodzie nie udaje się Jackowi, mnie zmyli. Kiedy Hamlet mówi, że coś się psuje w pałacu duńskim, powinien być przyjechał na Kos.

Po przejściu przez odpraw celną, zanim wszyscy pozbiali swoje bagaże i zajęli miejsca w autokarze, którego nie przyjąłby nawet na najgorszym zlotowisku, między nami zapadło milczenie. W kwestii dźwięków utknęliśmy w martwym punkcie. Kiedy się poznało zapach czyich genitaliów, trudno udawać, że się go nie zna. Z równym skutkiem można pisać egzamin, do którego się nie przygotowało.

Przez porysowane, brudne szyby przyglądam się krajobrazom Kos i obgryzam skórki u paznokci. Czuję się jak w transie.

Cóż, z całą pewnością nie jest to moja Wymarzona Wyspa.

Kiedy autobus z chrząstaniem zatrzymuje się w głównej miejscowości wypoczynkowej, oczy zachodzą nam zębami. Jest za ledwie pora lunchu, a wokoło krąży mnóstwo ludzi. Słuchając po chwili opalenizny, widać, że to Brytyjczycy. Z całą pewnością, bo nikt inny nie przechodziłby tak obojętnie obok pubu „Pod Buldogiem” na rogu, z którego wylewa się jazgotliwa muzyka.

Sonia chwyta za mikrofon i mówi, który się z niego dobywa, jest równie ogłuszający. To jest jej pięć minut.

— Raz, dwa. Raz, dwa — mówi (pięknym głosem, zupełnie jakby była konferansjerką w Royal Variety.—Proszę wszystkich o uwagę - ! Jesteśmy w Villa Stephano. Witamy na wakacjach z FunSun.

No jasne, wnosząc z pubu i sklepów, stoimy przed budynkiem, który od biedoty uchodzi za hotel, chociaż betonowe balkony wyglądają, jakby dobudowano je dopiero po namyśle. Szczyt budynku jest metalowymi prętami, najwyraźniej ktoś zamierza dobudować kolejne piętro. Na dachu dwóch robotników opiera się o pożamany napis „Villa Stephano” i pali papierosa. Przyglądam się turystom raczej podejrzliwie.

To na pewno nie jest nasz punkt docelowy. To niemożliwe, żeby Jack zarezerwował dla nas taką spelunę.



A mo\*ejdnak?

Sonia wyczytuje nazwiska. Rodzina Russellów, wystrojona w identyczne stroje piżkarskie, rusza przeje(ciem w jej stron , k3óc#c si o odblaskowe sombrero, które nosi najm3odszy jej członek. Kapelusz jest zdecydowanie za du\*y i malec nic nie widzi. Potyka si o wszystkie siedzenia, rozbryzguj#c po drodze col z puszki, a zirytowany tatu( cały czas go pop dza. Zaraz za nimi idzie Darren z Piek3a Rodem. Matka niesie go pod pach# jak piżk do rugby, a on wierzga, wrzeszczy i pluje jakim( zielonym obrzydlistwem.

Dociera do mnie, \*e Russell powinno by% za Rossiter, a Sonia nas nie wyczyta3a.

Phi, my jedziemy do eleganckiego kurortu.

Szybko jednak mój koszmar przeradza si w rzeczywisto(% . Mo\*na si by3o domy(li%, \*e Sonia nie zna alfabetu.

— Chod0, teraz my — ponagla Jack.

Nie wiem, na co patrze%: na Alcatraz za oknem czy te\* na p pek Jacka, który schyla si po nasze torby. Nie.

To nie mo\*e by% prawda.

Jeste(my w Grecji. Przyjecha3am na wakacje. A je(li to maj# by% wakacje, musz# spe3nia% kilka podstawowych warunków:

> apartament ma by% w zacisznym, odosobnionym miejscu i mie% pi kny balkon

> pokój ma by% du\*y i z 3azienk#

> widok na morze ma by% 360-stopniowy

> w promieniu pi ciu mil nie mo\*e by% ani jednego turysty

> okolica powinna roi% si od romantycznych, niedrogich, rodzinnych restauracyjek

> musi si znale0% przynajmniej jedna odludna pla\*a

Widywa3am takie miejsca w telewizji. Znam swoje podstawowe prawa konsumenta. Co tu si dzieje?

Oto skutki polegania na Jacku, który zapewne nie umiałyby sobie załatwić dziwki w burdelu.

Zgłaszamy się w recepcji Villi Stephano, która futbolowe bachory za chwilę roznieśli na strzypy, i dostajemy plan wakacji z FunSun. CODZIENNIE NA 7YWO KARAOKE — gości wielki napis nad moją głową.

Na 7ywo?

Ja nie doczekam kółca — z całą pewnością wcześniej padnę martwa.

Korytarz na czwartym piętrze pozbawiony jest (wiatra. Stoję w ciemnościach obok porzuconej, wachaj ton torby, a Jack usiłuje trafić kluczem do dziurki. Wokół mnie unosi się przejmujący odór pleśni. Po dwóch minutach bezskutecznych prób, Jack napiera barkiem na drzwi, które z hukiem ustępują. Odsuwa się na bok, żeby móc swobodnie przejść. Ja wchodzę do pokoju, z którego przedem wybiega karaluch.

Wspaniale! Nawet karaluchy nie mogą tu wytrzymać!

— Nie jest najgorzej — komentuje Jack obronnym tonem, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

Cóż, ma rację. Slumsy Kalkuty prezentują się bez wątpienia gorzej.

Stawiam torbę na podłodze i wolno rozglądam się wokół. Dwa łóżka oddzielone szarym nocnym stolikiem z zepsutą lampką. Pod ścianą króluje zdecydowanie za duży stół, na którym stoi piękny wazon z zakurzonymi sztucznymi kwiatkami.

— Cóż, za dbałość o klienta — udaje mi się wykrztusić, chociaż tak naprawdę mam ochotę cisnąć nimi o ścianę.

Jack otwiera drzwi na balkon i ogląda zapierający dech w piersiach widok na sąsiedni budynek. Coś wspaniałego. Jest tak blisko.

W jednej chwili pokój wypełnia się ciętym aromatem smażonego jedzenia i kanalizacji.

Spoglądam na Jacka, potem idę do łazienki — muszę się uspokoić. Siadam na sedesie i liczę do dwudziestu. Oddychaj. No, dalej. Oddychaj głębiej. Jakoś to przeżyjesz.

Kiedy wracam do pokoju, Jack rozpakowuje torbę.

— W porządku? — pyta.

Nie. Wręcz przeciwnie. Zabrać mnie na wakacje do najgorszego miejsca pod słońcem i naprawdę ryzygam, jeśli mi się chce, kiedy pomyślę, jakim niedzielnym i skąpym się okazałem draniem — z trudem się powstrzymuję, żeby mu tego nie wykrzyknąć w twarz. Lecz jako osoba dorosła i dojrzała, milczę. Ograniczam się jedynie do dźwięków. Niestety, przy Jacku jestem zaledwie początkującym amatorem.

— Jack? — pytam w kołcu.

— No?

— Odezwiesz się w kołcu do mnie?

— Przecież się odzywam. Nie poddam się tak łatwo.

— Daj spokój. Ta atmosfera między nami jest po prostu (mieszna.

— Jaka atmosfera? Zresztą nie ja ją stwarzam. Przykładam obie dłonie do skroni i odsuwam do tyłu włosy.

— Czy mógłbyś na chwilę usiąść?

Rzuca na sofę podkoszulek i siada na krześle. Zakłada ramiona na piersiach i patrzy na mnie, wydymając wargi. Wygląda jak przesłuchiwany na komisariacie drobny złodziejaszek.

— Dzisiaj rano, kiedy nie przychodziłem, naprawdę się denerwowałam — zaczynam.

— Już ci mówiłem. Miałem kaca — przerywa mi. — Piłem z Mattem.

— Myślałam, że Matt pojechał na wieczór kawalerski.

— Owszem, ale dopiero o ósmej.

— A ty co robisz? — Wiem, że zachowuj się jak hiszpański inkwizytor, ale nic nie mogę na to poradzić. Jego tłumaczenie nie trzyma się kupy.

— Zostałem i piłem sam. — Patrzy na mnie zmrużonymi pogardliwie oczami.

— Upiję się, bo nie mogę się do mnie dodzwonić?

— Amy, upiję się, bo chciałem. Uderza mnie ton goryczy w jego głosie.

— Och, Jack, naprawdę się mylisz — zaczynam. — To znaczy, to, co sobie myślisz, tak naprawdę ...

—No, wyrzuć to wreszcie z siebie. Oboj tnie, co by to było.

—Nie mam co z siebie wyrzucać. Dobrze wiesz, że wczoraj wieczorem widziałam się z Nathanem. — Jack przygryza wargi i odwraca wzrok. — Ale wypiliśmy tylko parę drinków — cięgnę. — Nawet nie jedliśmy kolacji. Rozstaliśmy się o wpół do dziewiętej, bo miałam randkę z jakimś dziewczyną w klubie. Wiadę poszłam do H.

—Jak mi było z twojej strony.

—Jack, proszę. Mówi prawdę. Chciałam się spotkać z Nathanem, ale nic mi dzisiaj nami nie zaszkodziło, mówiłam ci już\*. Po prostu się przyjałnimy. Tak jak ty i Chloe.

—Ja nigdy się z nią nie pieprzyłem — nie omieszka mi przypomnieć.

Patrzemy na siebie przez chwilę i wiem już\*, że przegrałam. Nie mam wyboru, czas spuścić z tonu. Ręce opadają mi bezwładnie wzdłuż ciała.

—Jack, przepraszam. Nie powinnam być a ić. Ale zrozumiałam to dopiero, kiedy go zobaczę.

—Wszystko było bardzo platonicznie i niewinnie, prawda? — Jego głos ocieka pogardą.

—Właśnie tak.

—Mogłaś do mnie zadzwonić.

— Wiem. I chciałam, ale straciłam poczucie czasu. Potem dzwoniłam do ciebie od H. Była druga w nocy, ale twój telefon był zajęty.

Jack pociera czoło wierzchem dłoni.

—Ładnie sobie to wszystko obmyśliłaś.

—Ale to prawda! — protestuję. — Zresztą jeżeli mi nie wierzysz, możesz zadzwonić do H.

—A po co? Nie mam wątpliwości, że potwierdzi każde twoje słowo.

Chwytam go za ramię.

—Jack. — Zmuszam go, żeby na mnie spojrzeć, on jednak odwraca głowę. Puszczam go i czuję, jak do gardła podchodzi mi śluz.

—To nie fair. Dlaczego niby masz mnie karać, skoro nie zrobiłam niczego złego? — Spoglądam na sufit i wybucham gorzkim śmiechem. — Ironia polega na tym, że ja sobie ufałam. Kiedy zobaczę Nathana, myślałam tylko o tym, ile dla mnie znaczysz. Nie powinnam być a się z

nim umawia%, bo wiedziałam, \*e nie był( tym zachwycony. Ale si uparłam. Przyznaj to i przepraszam, Jack. Jednak nie zrobiłam nic złe-go. Nie potrafiłabym ci skrzywdzi%. I myślałam, \*e ty o tym wiesz.

Musz wyj(% , bo za chwil si udusz . Podnosz torb .

— Amy, zaczekaj. — Jack wstaje i opiera si o drzwi, tarasuj#c mi drog . — Przepraszam. W porz#dku? Nie chc , \*eby( sobie poszła.

Zaczyna mi wszystko tłumaczy%, aja za wszelk# cen staram si opanowa% dr\*enie podbródka. Niestety, bezskutecznie. Było tak, jak podejrzewałam: Jack zasnął. Przez dwie godziny cierpiałam emocjonalne katusze, a on sobie w tym czasie spał w najlepsze!

Czasami naprawdę nienawidz m \*czyzn.

— Chcesz odej(%? — pyta.

Kr c przecz#co głow# i upuszczam torb .

—Nie! Ale chciałabym, \*eby dzisiejszy dzień zaczął si od pocz#tku — mówi .

—Przepraszam, przepraszam — szepce Jack i mocno mnie obejmuje. Obsypuje pocałunkami moje włosy i kołysze mnie w ramionach. Po chwili przewraca si wraz ze mn# na 3ó\*ko i przykrywa nas kocem. — Zamknij oczy — mówi głosem hipnotyzera. — Za chwil w3#czy si budzik. Kiedy go usłyszysz, obudzisz si i nie b dziesz pamiętała niczego, co wydarzyło si w ci#gu ostatnich kilku godzin. Do(wiadczysz uczucia lekko(ci, spokoju i wyciszenia. Twój chłopak przestanie zachowywa% si jak b cwał, wakacje b d# jednym pasmem (miechu i rado(ci, powróci te\* twoje wrodzone poczucie humoru. Dnrrnmrrrrrrrrrrrr!

—Dobrze, ju\* dobrze! — Ze (miechem wydostaj si spod koca, 3apczywie wci#gaj#c powietrze. Kl kam i siadam na nim okrakiem.

—Przepraszam — powtarza raz jeszcze. Znowu wygl#da normalnie. Jak mój Jack.

—Ja te\* przepraszam.

—Znowu przyjaciele?

—Znowu. — Kiwam głow# i podnosz do góry jego koszulk . Przesuwam si troch w tył i nachylam, \*eby pocałowa% go w brzuch. Przytulałam policzek do jego skóry, czuj#c, jak napinaj# mu si mi (nie.

—A to co? — pytam na widok czerwonej plamy tu\* nad paskiem. Dotykam jej palcem.

—Co? — Jack siada gwałtownie. Z przerażeniem nacięga skór na brzuchu i przygląda si zaczerwienieniu.

—Nie martw si — uspokajam go ze (miechem. — Nie popsuje ci opalenizny. Pewnie obtarę( sobie skór torb#.

Popycham go na 3ó\*ko i całuj w to miejsce. Podnosz głow i widz , \*e Jack, wyraźnie spi ty, wpatruje si w sufit.

—Czy my(lisz o tym samym co ja? — pytam.

—Nie wiem. A o czym my(lisz?

—7e to najpaskudniejszy pokój hotelowy, w jakim kiedykolwiek by-  
łam.

—Nie, ja myślałem o czym( innym.

—A mianowicie?

Jack siada i spuszcza nogi na podłog .

—O jedzeniu. Umieram z głodu.

Sztuka hipnotyzerska Jacka rzeczywi(cie działała cuda. Zjedli(my ogromne (niadanie i humory wróciły nam na dobre. Jack ogłasza, \*e polityka wakacyjna składa si z maksimum zabawy i minimum czasu spędzanego w hotelu. Z początku ten pomysł niezbyt mi odpowiada i bągam go, \*eby(my zmienili hotel. Na mojej Wymarzonej Wyspie ka\*de popołudnie spędzali(my w 3ó\*ku, w błogosławionym chłodzie klimatyzowanego pokoju, \*eby o zmierzchu popija% martini na prywatnej pla\*y. Lecz Jack nie ma poj(cia o Wymarzonej Wyspie. I nawet nie chce sły-sze% o przeprowadzce. Nie bardzo rozumiem, co w niego wstąpiło, ale on w ogóle o niczym nie chce sły-sze%. To nie jest mój Jack — to Pan Gaduła.

—Olejmy hotel. Wiem, hotel to podstawa, ale tak wż(a nie go potraktujmy —jak baz wypadow#. Zwiedzajmy wysp , badajmy j#. Zobaczysz, b dzie fajnie — kusi.

—Ale...



—Och, nie. Tylko mi nie mów, \*e jeste( jedn# z tych dziewczyn, co to marz# o sp dzaniu ka\*dego dnia na pla\*y z jakim( ckliwym romansi-d#em. B#agam, b#agam, b#agam, powiedz, \*e jeste( inna.

—Ja...

—No, to za#atwione. Wynajmiemy skuter i obje0dzimy nim ca# wy-sp . Tu musi by% kupa miejsc do zwiedzania. Przecie\* to Grecja. Kolebka sztuki. Kraina mitów, (wi#ty1 i takich tam. — Wymachuje r kami na wszystkie strony i u(miecha jak idiota.

—Ale Jack...

—I nie bój si , \*e b d prowadzi#. Wiem, \*e bezpiecze1stwo to pod-stawa, ale ja jestem wyj#tkowo bezpieczny. Obiecuj .

—Nie chcia#am...

—Wspaniale. Idziemy — mówi i wstaj#c, podaje mi r k . Patrz na niego podejrzliwie. — Dobrze si czujesz?

— Ca#kowicie. Nigdy nie czu#em si lepiej. Tylko chc ju\* i(% . — #apie mnie za r k i moje palce automatycznie splataj# si z jego. Na chwil przymyka oczy i ca#uje moj# d#o1. — Zobaczysz, to b d# najlep-sze wakacje. Masz moje s#owo.

Po jakim( czasie Pan Gadu#a troch si uspokaja, aleja wci#\* czuj , \*e nie do ko1ca jest sob#. Nie chodzi o to, \*e zachowuje si wobec mnie dziwnie — nigdy nie schlebia# mi bardziej ani nie by# taki taktowny i delikatny — lecz o to, \*e przez ca#e trzy dni ani razu si nie kochali(my. Traktuje mnie jak towarzyszk zabaw, nie kochank . Mo\*na by to k#a(% na karb zm czenia, jakie odczuwamy wieczorem po ca#ym dniu szalo-nych eskapad. Pojedyncze #ó\*ka i s#oneczne poparzenia tak\*e nie zach- cajt# do mi#osnych zapasów. Mimo to gdzie( g# boko tkwi we mnie obawa, \*e nie ko1ca uwierzy# we wszystko, co mówi#am o Nathanie.

Postanawiam nie naciska% i nie ponagla% go. W ko1cu to tylko facet. A znaj#c Jacka, kwesti# czasu jest, \*e hormony w ko1cu wezm# górnad tym, co go gryzie, cokolwiek to jest. Zreszt# ta niespodziewana abs-tynencja ma te\* i swoje dobre strony. Poniewa\* Jack i ja rozmawiamy. Naprawd rozmawiamy. I (wietnie si przy tym bawimy. Wszystkie te chwile, które inaczej bez w#tpienia up#ywałyby nam na kochaniu si ,

spodzamy na poznawaniu. Nie tylko wyspy, z jej gajami oliwnymi i zakurzonymi drogami, ale także siebie nawzajem. W ciągu tych pierwszych dni Jack odmówił mi swojego ciała, dając w zamian coś znacznie cenniejszego — informacje. W małych tawernach, które odkrywamy podczas naszych wypraw, nad szklankami sangrii opowiada mi o sobie, o swojej wizji malarstwa, o niech ci do komercyjnych zamówień, które musi przyjmować, żeby mieć z czego żyć. Każdego wieczoru, kiedy umordowani (ciągamy do hotelu, przekonuj się, że jako człowiek coraz bardziej przypada mi do gustu.

Lecz wszystko to ulega zmianie czwartego dnia. Wtedy właśnie (nie nasze poszukiwania plaży idealnej dobiegają końca. Jadąc nadmorską drogą, oboje w tej samej chwili zauważamy niewielką zatoczkę. Niestety, w żaden sposób nie potrafimy znaleźć do niej drogi. W końcu postanawiamy porzucić skuter przy drodze i zejść na dół po skałach. Po pewnym czasie natrafiamy na wykute w skale, strome i krzywe stopnie, schodzące do zatoczki.

Docieramy nimi na dół i z zachwytem odbieramy mi słowa.

Wymarzona Wyspa, możesz się wypchać. Znalazłam raj.

W ułamku sekundy rozbieramy się i pędzimy do morza. Woda jest szmaragdowa i tak niemożliwie czysta, że widzę w niej dokładnie moje paznokcie u stóp. Jack daje nura w falę, podpływa przede mną i wynurza się, żapie mnie. Po raz pierwszy od wielu dni nasze ciała znalazły się tak blisko siebie. Obejmuję go w pasie nogami. Ma posklejane rany, a w oczach odbijają mu się refleksy (świetlne rzucone przez wodę. Uśmiecham się do niego.

— Och, jak wspaniale — wzdycham i spoglądam za siebie, w stronę brzegu. Nigdzie ani (ładu żywej duszy.

— Ty jesteś wspaniałą — mówi Jack.

Wsuwam mu palce we włosy i delikatnie całuję. Dłużej już nie wytrzymam. Ta abstynencja mnie zabija. Poza tym to może być niebezpieczne. Kto wie, ile szkód może wyrządzić stan permanentnego, nie zaspokojonego podniecenia.

— Chodź ze mną — szepczemy i ciągniemy go za sobą.

—Dokąd? — pyta.

Widziałam 10. Widziałam *Na przekór wszystkiemu*. Nic mi nie przeszkodzi kochać się z nim w wodzie. Nawet gdybym musiała go zgwałcić.

Ale nie muszę. Z gwałtem nie ma to nic wspólnego. Zaczynamy się całować, fale obmywają nasze nogi i czuję, jak w Jacku coś się dzieje. Zupełnie jak gdyby nami rządził ktoś, który stara się przez te wszystkie dni okiełznać, wreszcie przerwać wszelkie tany. Nie umiem powiedzieć, ile razy już się kochaliśmy, ale wszystko to okazało się niczym w porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj.

Jack się ze mną kocha. I robi to tak, jakby nagle wszyscy moi wyznienicy i wymarzeni kochankowie skupili się w nim jednym. Nieważne, gdzie jest piasek i jest gorąco. Kiedy jednak oboje jednocześnie doświadczamy orgazmu, jest to chwila jedyna w swoim rodzaju.

To najlepsze bzykanko, jakie KIEDYKOLWIEK przeżyłam.

— O rany — jak kocha Jack, kiedy nasze zmysły na powrót osiągną poziom ziemski. Całuje mnie w powieki, w nos i policzki, zupełnie jakbym była dla niego najcenniejszą rzeczą na świecie. Czuję mój dotyk na twarzy, otwiera oczy. I wtedy, niczym zastrzyk adrenaliny, przesywa mnie pewność.

Jack marszczy brwi. Wygląda, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Odsuwa mi z czoła zapiaszczony kosmyk włosów.

—Amy ja...—zaczyna.

—Ciii... — Umiecham się i uciszam go, przykładając mu do ust palec. Ponieważ w tej chwili nie ma potrzeby, aby to mówił. Boja i tak wiem.

Odczuwam cały czas. Spędzamy na błogosławionej plaży. Jednego popołudnia, po powrocie do hotelu Jack wciera mi w ciało balsam po opalaniu. Ogarnia mnie cudowny spokój, czuję się absolutnie rozluźniona i nawet nie wiem kiedy, naga zasypiam na łożku.

Budzi mnie jakiś dziwny, chroboczący dźwięk.

—Nie ruszaj się — słyszysz głos Jacka. Sztywniej całuję.

—Tylko mi nie mów, \*e to jaki( paj#k! Jack wybucha (miechem.

—Nie. Po prostu le\* spokojnie, ju\* prawie skołczyżem.

—Co skołczyże(?

—Zaczekaj, zaraz zobaczysz.

Chrobotanie rozlega si jeszcze przez jaki( czas, a kiedy ustaje, sży-  
sz , jak Jack podchodzi do żó\*ka i siada kożo mnie.

— Mog si ju\* rusza%?

— Tak — odpowiada, wi c obracam si twarz# do niego. — Prosz .  
— Podaje mi kaważek papieru.

Podsuwa mi wykonany ożówkiem rysunek, na którym poznaj siebie.  
Jest prze(liczny.

— Podoba ci si ? — pyta.

Nachylam si i cażuj go.

—Jest cudowny. Ile ci to zaj żo czasu?

—Nie wiem, spaża( jakie( pój godziny.

Znowu patrz na rysunek. Czy naprawd wygl#dam na tak# szcz (li-  
w#, kiedy (pi ?

Jack przygl#da si mojej twarzy.

— Nie cażkiem mi si udażo. Wygl#daża( tak pi knie. — Gżaszcz  
mnie po policzku.

Nagle przypominam sobie, \*e przecie\* kiedy( maloważ Sally, i cho%  
tego nie chc , zastanawiam si , czy i z ni# byż wtedy tak blisko jak dzi-  
siaz ze mn#.

—Zażo\* si , \*e to samo mówisz wszystkim dziewczynom. — Miażo  
to zabrzmie% jak \*art, nie udażo mi si jednak ukry% w gżosie napi cia.

—Nie ma \*adnych innych dziewczyn. Ju\* nie. Jeste( teraz tylko ty.

Odkżadam rysunek na stój i przyci#gam go do siebie. Le\*yimy obok  
siebie na żó\*ku i czuj , \*e mu wierz . Cażkowicie. Wierz , \*e jest mój, i  
kiedy wdycham jego oddech, mam (wiadomo(% , \*e nigdy wcze(niej nie  
byżam taka szcz (liwa.

Cażujemy si i gżaszcz go po wżosach.

—Dzi kuj — szepcz . — Chod0, zapraszam ci na kolacj . U(mie-  
chaj#c si do mnie, Jack siada na brzegu żó\*ka i nakżada

koszul . Jeszcze raz chc si przyjrze% rysunkowi. Kiedy na niego patrz , nie mog si zdecydowa%, czy ucażowa% rysunek czy te\* jego autora — obaj tyle dla mnie znacz#.

Wszystkim wiadomo, \*e tydzie1 to zdecydowanie za krótko na wakacje. Ja pami tam tylko, \*e min 30 zaledwie pi % minut i ju\* by3 pi#tek. Dopiero zaczynam naprawd wypoczywa%, opali3am si w sam raz i ju\* musimy wraca% do domu. To nie fair.

W ostatni wieczór elegancko ubrani jemy kolacj w naszej ulubionej tawernie.

— Nie chc jeszcze wraca% — j cz . Siedzimy na tarasie, a pod nami rozci#ga si zatoka. Jedyne (wiat3o pochodzi ze (wiec ustawionych na nakrytych kraciastymi obrusami stolikach i z wielkiego ksi \*yca wiesz#cego nad nami niczym lampa.

— Ale\* chcesz — (mieje si Jack. — Masz now# prac , na któr# si cieszysz, i pi kn# opalenizn , której ci wszyscy pozazdroszcz#. Zobaczysz, b dziesz zachwycona po powrocie.

Podchodzi kelner i chwil z nim gaw dzimy. Pyta nas o wakacje, a my zapewniamy go, \*e by3y fantastyczne. Na wie(% , \*e ju\* jutro wyje\*d\*amy, udaje wielk# rozpacz.

Odchodzi, a my, oparci o balustrad tarasu, podziwiamy rozpi te nad nami, iskrz#ce si od gwiazd niebo.

—Masz racj — wzdycha na koniec Jack. — Zlikwidujmy wszystko i zostalmy tu na zawsze.

—Masz g3os — mówi#c to, siadam i obracam si twarz# do niego.

—Znajdziemy w górach jaki( dom. Ty zajmiesz si hodowl# kurzajek i w#sów — \*artuje. — Ja b d rze0bi3 kozie odchody.

— A je(li si sob# znudzimy?

—Có\*, zawsze b d móg3 si zainteresowa% któr#( z kóz. Nie mam te\* w#tpliwo(ci, \*e znajdzie si niejeden m3ody rybak gotów zaspokoi% twoje potrzeby.

—Wy(mienicie. Zostajemy. — Nachylam si i ca3uj go w policzek.

—Nic by z tego nie wyszło — szepcze Jack. — Musiałbym trzymać ci nieustannie w zamknięciu, \*eby mieć ci tylko dla siebie.

Przykłada mi palec do nosa i uśmiecha się.

—Dziękuję za dotrzymanie obietnicy.

—Której?

— Też dasz mi najwspanialsze wakacje. — Całuję jego rękę. — Nie kłamaj.

Przykłada mi palec do nosa i uśmiecha się.

— Nie rozczulaj się za bardzo, mamy jeszcze przed sobą prawdziwe uczucie.

Wypijamy dwie karafki wina i nagle okazuje się, \*e późno dawno już minęła. Czuję się tak napchana jak faszerowane liście winogron, które wcale nie zjadłam.

—Pora na nas — oświadcza Jack, gdy kelner wręcza nam rachunek. Jak zwykle, wychodzimy z knajpy ostatni.

—Nie chcę.

—No, co ty? Chyba nie chcesz przegapić dyskoteki FunSun. Poza tym mam zamiar spróbować swoich sił w karaoke.

—Nie odważysz się — wybucham (miechem).

—Nie wiesz? Masz przed sobą króla karaoke.

—Co zaśpiewasz? — pytam.

—No jak to? *Letnie noce*, ma się rozumieć.

W drodze do miasta, z policzkiem wtulonym w jego plecy, nuci sobie pod nosem. Och, jaka jestem szczęśliwa. Ciepły wiaterek rozwiewa mi włosy i dopiero po dłuższej chwili zauważam, \*e nie jesteśmy na drodze wiodącej do hotelu.

—Dokąd jedziemy? — pytam.

—Zobaczysz — odpowiada, zatrzymuje skuter i spuszcza nogi.

Prowadzi mnie po skałach, a wreszcie docieramy na skraj urwiska.

— Musiałem popatrzeć po raz ostatni — tłumaczy Jack. Pod nami, z rosnącymi po bokach dwoma drzewkami oliwkowymi, rozciąga się nasza plaża. Nigdy nie widziałam jej pod takim kątem. Stoję, oczarowana księżycem i srebrzystym powiatem na wodzie. Jack jest tuż za mną. W



pewnej chwili obejmuje mnie w pasie ramionami. Oddycham g3 boko, a powietrze jest a\* g ste od zapachów i (piewu cykad.

Lepiej by% nie mo\*e.

Odnalaz3am to, czego tyle czasu szuka3am.

—Jack? — szepcz .

—Hmm? — mruczy, wtulaj#c nos w moje w3osy.

— Czy ty tak\*e to czujesz? — pytam.

—Co takiego?

Serce wali mi jak oszala3e.

— 7e tak w3a(nie powinno by%. 7e my powinni(my by% razem? 7e to jest co( powa\*nego? — trudno mi uwierzy%, \*e w3a(nie wypowiedzia-3am tak wa\*nego s3owa, ale naprawd wyra\*aj# one to, co my(l . Bardziej ni\* wszystko inne, co do tej pory mówi3am.

Jack obejmuje mnie mocniej i przytula g3ow do mojej szyi. Si gam za siebie, \*eby pog3aska% go po w3osach, on jednak powstrzymuje mnie, chwytaj#c za nadgarstek. Obracam si do niego i przygl#dam si jego twarzy o(wietlonej ksi \*ycowym blaskiem. Wiem, \*e zaraz to powie. Jest lepiej ni\* we wszystkich filmowych scenach, jakie sobie przypomi-  
nam. Z dygocz#cymi kolanami wstrzymuj oddech.

—Powinni(my ju\* jecha% — mówi Jack, nie patrz#c na mnie.

—S3ucham?

Puszcza moj# r k . Wci#\* nie patrzy na mnie.

—Jest ju\* pó0no. Zbierajmy si .

Siadam za Jackiem na skuterze, z trudem nad sob# panuj#c. Nie chwytam, o co chodzi. Dlaczego? Tylko to chc wiedzie%. Co jest ze mn# nie tak?

Wydawa3o mi si , \*e wszystko uk3ada si wspaniale. By3o nam ze sob# naprawd wy(mienicie, roz(mieszali(my si nawzajem, w 3ó\*ku by3o fantastycznie, a on wci#\* nie mo\*e si zdoby% na to, aby mi powiedzie%, \*e mu na mnie zale\*y.

Mo\*e za bardzo nalega3am. Mo\*e przera\*a go my(l o zwi#zaniu si z kim(. By% mo\*e jeszcze do tego nie dorós3. A mo\*e po prostu uzna3, \*e

nie jestem dla niego. Możliwe, że wszystko sobie tłumaczę opacznie, a on po prostu chce czegoś więcej. Tyle że ja nie mam już nic do dania. Ofiarowałam mu całość siebie, bez ograniczeń.

Có w końcu mam robić? Wzruszyłam ramionami i najzwyczajniej w świecie go olałam? Czy raczej kontynuować naszą znajomość na luźnych zasadach? Spróbowałam się zmienić?

Nie rozumiem, skąd ten kryzys. Jak to możliwe, że w jednej chwili wszystko układa się idealnie, a w następnej z hukiem się wali? Co ja takiego robiłam?

W głowie ktoś mi się odpytał i wstydliwie (ci, nie zauważyłam więc w porządku, że Jack jedzie coraz szybciej.

—Zwolnij! — wrzeszczę i chwytam się go kurczowo, gdy wchodzi w ostatni zakręt przed wjazdem do miasta. Niestety, żuk okazuje się zbyt ostry i czuję, jak Jack przemyka mi nad głową, usiłując wyhamować.

—Uważaj! — wyrywa mi się, jest już jednak za późno.

Kiedy dochodzę do siebie, spostrzegam, że leżę na ziemi z ramionami wyrzuconymi do przodu. Pod sobą mam piasek i czuję dotkliwy ból w łokciach. Wokół panuje ciemność i jest bardzo cicho.

—Amy? — dobiega mnie stłumione wołanie Jacka, nie wiem jednak, skąd dochodzi. — Amy, nic ci nie jest?

Nie mogę mówić. Jack kuca koło mnie. Wygląda na przerażonego. — Obejmij mnie za szyję — szepcze, unosi moje ręce i zakłada je sobie na ramiona. Pomaga mi wstać. Dopiero wtedy zauważyłam, że płacze i że to raczej ja podpieram jego.

—Jack? — chrypię. — Jesteś cały?

—Myślałem, że ci zrobię krzywdę — szlocha. — Myślałem, że ci zrobię krzywdę.

—Ciii — uspokajam go i zmuszam, żeby na mnie spojrzeć. — Widzisz, nic mi nie jest. — On jednak potrzebuje głowę jak oszalały, a zaczynam się go bać. — Jack, uspokój się. Wszystko jest w porządku. Wywrócili się, ale nic się nie stało. Mnie się też nic nie stało.

Jack z trudem ściąga oddech. Rękami chwytam się za głowę, szarpie włosy.

—Ty nic nie rozumiesz. Ja muszę ci coś wyznać. To mi nie daje spokoju. Zwłaszcza od kiedy spytała, co czuję... Czy uważam, że tak powinno być... A ja chciałem ci powiedzieć... Chciałem ci powiedzieć... Ale nie mogłem...

Przytuliłem go do siebie, czuję, jak zalewa mnie fala ulgi. Wszystko będzie dobrze, bo on jednak mnie kocha. Wiedziałam. Co prawda trzeba było aż wypadku, żeby oprzytomniał, ale w końcu do niego dotarło, a to najważniejsze.

Odsuwa się ode mnie i znowu zaczyna potrzebować głową.

—Powiedz mi — ponagliam go.

Szlochając tak gwałtownie, że nie mogę oprzeć się współczuciu. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś był tak przygnębiony.

—Spieprzyłem to. Spieprzyłem wszystko.

— Och, to nieprawda — uspokajam go. — Wszystko jest w porządku. Nie bój się mi tego powiedzieć. — Jack zanoszą się od płaczu jak małe dziecko. — Uspokój się.

Kręci głową.

— McCullen. McCullen — krztusi się. — Dziewczyna z obrazu... Ta z imprezy u Chloe...

Milknie, próbuję złapać oddech. Patrzy na mnie, a po policzkach płyną mu łzy. Wygląda, jakby za chwilę miał się załamać, ale instynktowo zdumiewająco zjawisko. Odsuwam się od niego.

— Co z nim? — pytam, chociaż znam już odpowiedź, mimo że on jeszcze nie powiedział niczego.

Głęboko pociągając nosem. — Coś się stało. W zeszły piątek. Myślałem, że jestem z Nathanem, i wydzwaniałem do ciebie bez końca. Ale ciebie nie było. Zalałem się — wzdycha rozdierając go. — I ona przyszła. Przepraszam... Cholera, tak strasznie mi przykro...

Nie słyszysz już nic więcej. Wszystko w jednej sekundzie układa się w logiczną całość: jego spotkanie na lotnisko; dziwne zachowanie po przyjeździe; to, że nie chciał się ze mną kochać; zaczerwienienie na brzuchu...

„Malinka” na jego brzuchu.

Wyczuwam, że się do mnie zbliża.

—To nie była moja wina. Miałem zamiar ci powiedzieć.

Nareszcie zrozumiałam, co znaczy „wpadła w furję”. Nie słyszysz ani słowa z tego, co do mnie mówi, bo moje pięć dni leży na jego twarzy.

Krzyczy z bólu i odskakuje przed siebie, ale ja biegnę. Biegnę najszybciej jak potrafię. Nieco dalej, na poboczu drogi odnajduję skuter. Silnik wciąż jeszcze pracuje. Potrzebuję wszystkich sił, żeby go podnieść, i wskakuję na siodełko dokładnie w chwili, gdy dogania mnie Jack.

RS

—Amy! — woża i próbuje mnie zżapa%.

— Odpierdol si ! — wrzeszcz i z całej siży kopi go w krocze, po czym odje\*d\*am.

Instynkt samozachowawczy to pot \*na i zadziwiaj#ca siża. Cho% wydaje mi si , \*e cały mój (wiat wża(nie legż w gruzach, do Villi Stephano docieram zdrowa i caża. Spokojnie parkuj skuter. Wża(ciciel baru, Vasos, zapowiada konkurs karaoke i wygl#da na to, \*e wszyscy (wietnie si bawi#. Matka Darrena uszcz (liwia zgromadzonych koszmarn# interpretacj# *Karma Chameleon*, do taktu ta1cz#c z kole\*ank# kankana. Nie zauwa\*ona przechodz przez bar i wspinam si na schody. Dlaczego niby miażabym zwróci% czyj#( uwag ? Przecie\* nie ma \*adnych oznak zewn trznych zszarganego stanu moich władz umysżowych.

Kiedy jednak przekraczam próg pokoju, nerwy mi puszczaj#. Najpierw tylko pżacz , szybko jednak trac nad sob# panowanie. Wywrzaszkuj#c spro(no(ci, wyrzucam przez okno ubrania Jacka, a\* wreszcie padam ze zm czenia.

Od samego pocz#tku, ju\* na lotnisku czużam, \*e co( jest nie w porz#dku. Powinnam si byża domy(li%.

Jak on mógż?

Jak mógż zrobi% mi co( takiego?

Padam na żó\*ko i przyciskam r ce do piersi. Och, jak boli. Mo\*e moje serce p ka naprawd .

Po jakim( czasie uspokajam si troch , ju\* tylko cichutko poj kuj , a z dożu dobiegaj# mnie odgżosy karaoke. Lecz my(le% mog tylko o jednym:

Jak?

Co?

Gdzie?

Dlaczego?

Kiedy?

Nie wiem, jak długo siedzę tak po ciemku, wpatrując się w ciemność i starając się znaleźć odpowiedzi na każde z tych pytań, kiedy nagle słyszysz słabe pukanie do drzwi.

—Amy? — Za drzwiami jest Jack. — Wpuść mnie. Zaciskam z całej siły powieki.

— Nie odejdziesz. Musisz mnie wpuścić — oznajmia i puka trochę mocniej.

Zatykam uszy.

—Daj spokój — głos (niej tym razem. — Musimy porozmawiać. Wiem, że tam jesteś.

—Odejdź — wykrztuszam. Chcę umrzeć. Zwijam się w kłębek na łóżku. Nie chcę, żeby mnie teraz zobaczył.

—Amy, proszę — błaga Jack. Puka coraz mocniej.

Ignoruję go i marzę, żeby znalazł się już w domu. We własnym łóżku. Chcę się poczuć bezpieczna. Żałuję, że byłem głupia i w ogóle zacząłem się z Jackiem zadawać. Szkoda, że nie miałam do niego rozszedku i zaufałam mu. Pozwoliłam mu się skrzywdzić. Chciałabym być kimś innym, gdzieś indziej, w innym miejscu i o innym czasie.

Później — choć nie wiem kiedy — dociera do mnie, że pukanie ustało.

Wiem, że Jack nie odszedł. Wiem, że tam jest, zupełnie jakbym go widziała. W tym cały problem — widzę go. Mam go cały czas przed oczami.

Widzę, jak całuje mnie na naszej plaży. Albo jak patrzy na mnie w świetle księżycy. Widzę, jak się śmieje, a wiatr rozwiewa mu włosy.

Widzę wszystko.

Tylko jego z Sally nie widzę.

Szarpnięciem otwieram drzwi. Jack skulony siedzi na schodach, z twarzą schowaną w dłoniach. Patrzy na mnie. Twarz ma poranioną, oczy nabiegłe krwią.

—Co to miało znaczyć, że coś się stało? Patrzy na mnie tylko.

—Mów. Co się stało? Siedzi bez ruchu.

—Nie pieprzyłem jej — szepcze. Dygoczą cała.



—A co robię(?

—Nic nie robię. Tylko ona. Ona robiła wszystko.

—POWIEDZ!

Znowu chowa twarz w dżoniach.

— Spałem. Obudziłem się, a ona mi obciagała. Przysięgam, do niczego wicej nie doszło.

—Och! Ona tylko ci obciagała! — krzyczy. — Biedactwo! Wstaje.

—To nie było tak.

—Więc powiedz mi! Jak było? Jak doszło do tego, że obudziłem się z fiutem w jej ustach?

Nie potrafi wydusić z siebie słowa. Brzydzi się nim, jakby był wylewającym się z szamba gównem.

Bo teraz już widzi. Widzi grymas rozkoszy na jego twarzy. Rozkoszy, której dostarcza mu inna.

—Nie chcę ci już nigdy więcej widzieć! — mówi gwałtownie.

Zatrząskuję drzwi i padam na łóżko. Przykrywam głowę poduszką, żeby nie słyszeć, jak Jack znowu dobija się do drzwi. Wykrzykuje moje imię tak głośno, że zagłusza chyba nawet dyskotekę FunSun. Słyszysz jakiego hałas i czyje głos, który każe mu się zamknąć.

Wreszcie zapada cisza. Nie wiem, czy ktoś Jacka wyprowadzi, czy też wciśnięty tam jeszcze jest. Nic mnie to nie obchodzi.

Biorę ze stolika walkmana i nakładam słuchawki. Naciskam przycisk „play” i ustawiam głośność na pełną moc, byle tylko zagłuszy własny płacz. Z głośniczków płynie piosenka Beatlesów *Chodźmy razem*.

Cholernie zabawne.

## ODRZUCONY

—Co zrobiła? — pyta Matt z niedowierzaniem, patrz#c na moj# pora-  
nion# twarz.

—Rzuciła mnie — powtarzam, po czym na wypadek gdyby mnie nie zrozumiała, dodaj : — Ołała, pu(ciała kaniem, pu(ciała w tr#b , kazała spada%, spu(ciała do kanału. — Kiedy to mówi , czuj si jak wyrzucony (mie%, i s#uszenie, bo kim\*e jestem, je(li nie (mieciem? Gdyby w tej chwili do salonu Matta wkroczył karaluch, nie mam najmniejszej w#t-  
pliwo(ci, \*e bez wahania skierowałby swoje kroki ku szczerze wam od-  
danemu i oznajmił, \*e oto wła(nie znalazł si w domu.

Najwyraźniej jednak Matt ma pewne trudno(ci z przyj ciem do wia-  
domo(ci straszliwej nowiny. Opada na kanap obok mnie.

—Przecie\* to niemo\*liwe.

Uwaga, w poź#czeniu z wyrazem konsternacji na jego twarzy, przez  
chwil przypomina mi scen , w której Spock na statku kosmicznym  
„Enterprise” napotyka naukow# aberracji . Jego reakcja jest dla mnie w  
pełni zrozumiała. To, co si wydarzyło, rzeczywi(cie przeczy wszelkiej  
logice i pozostaje w niezgodzie z \*yciem, przynajmniej tym mnie zna-  
nym.

Och, ch tnie przyznałbym Mattowi racj w tej materii. Szczerze. Du-  
\*o bym dał, by móc usi#( przy nim i zapewni% go, \*e w istocie niemo\*-  
liwe jest, aby taka miła dziewczyna jak Amy postanowiła rzuci% równie  
mięgo go(cia jak ja. Z rado(ci# bym go zapewnił, \*e skoro jest to tak  
oczywi(cie niemo\*liwe, ja w takim razie uległem chwilowej iluzji, z  
której jednak wkrótce si ockn , by przekona% si , \*e w moim (wiecie  
wszystko jest w jak najlepszym porz#dku. Poniewa\* jednak nigdy nie  
byłem specjalnie dobry w zaprzeczaniu, mogłem mu jedynie o(wiad-  
czy%, \*e: — Gówniane nieszcz (cia chodz# po ludziach.

Poniewa\* to prawda.

Wiem o tym.

Co( podobnego w3a(nie mnie si przytrafi3o.

— Ale przecie\* wszystko uk3ada3o si tak dobrze — dziwi si Matt.

— Naprawd wam na sobie zale\*a3o.

— Uk3ada3o si i zale\*a3o nam. Chwil na mnie patrzy, po czym do-  
rzuca:

— Wi c?

— Wi c co?

— Wi c kto pogrywa3 nie fair?

— Co...

— Jedno z was musia3o — zauwa\*a. — Dlatego w3a(nie ludzie si  
rozstaj#. Przynajmniej w wi kszo(ci przypadk3w.

— To nieprawda — protestuj . — Ludzie si rozstaj# z miliona r3-  
nych powod3w. — Czeka, \*ebym kontynuowa3, co te\* czyni : — Na  
przyk3ad jedno mo\*e chrapa%, a drugie nie jest w stanie tego znie(% . Al-  
bo na przyk3ad ka\*de kibicuje innej dru\*yynie. Och, nie wiem... to mo\*e  
by% cokolwiek. Mog# im si wyczerpa% tematy do rozmowy.

— Wi c to by3e( ty — podsumowuje.

Nie ma sensu g3upio si wypiera%; za dobrze mnie zna. Poza tym  
przed kim( musz si wygada%. Kto( mi musi powiedzie%, \*e nie pora  
jeszcze, aby k3ad3 krech na swoim \*yciu.

— Tak. Kiwa g3ow#.

— Tak my(la3em. Chcesz mi o tym opowiedzie%?

I opowiadam. Wszystko po kolei. Zaczynam od tego, jak razem z  
Amy wywn trzyli(my si przed sob# nawzajem „U Zacka" i jakie to by-  
3o fajne uczucie, kiedy wszystko sobie wyja(nili(my. Potem dok3adnie  
opisa3em przebieg imprezy u Maxa, m3j atak zazdro(ci, ultimatum i  
op3r Amy. Potem przychodzi czas na Czarny Pi#tek, kiedy to Amy mia-  
3a randk , a ja dostawa3em (wira. Ze szczeg3ami opowiadam, jak p3n#  
noc# zjawi3a si McCullen, by rankiem obudzi% mnie w tak brutalny  
spos3b. M3wi mu, jak wy wali3em j# za drzwi z ostrze\*eniem, \*eby si  
wi cej u mnie nie pokazywa3a. Wreszcie opowiadam o naszych waka-  
cjach, o wypadku, o tym, co powiedzia3em Amy, i co ona powiedzia3a  
mnie.

Gdy historia mojego nieszczęścia (cia dobiega kołca, pierwsze słowa Matta brzmi#:

—Straszny kutas z tego Nathana.

To mi#e, \*e Matt stara si# mi doda% otuchy, nie bardzo mu si# to jednak udaje. Mimo to, cho% bardziej z przyzwyczajenia, ni\* wiedziony nienawi(ci#, kiwam g3ow# i karbuj# w pami#ci, aby do mojej listy Rzeczy Przyjemniejszych ni\* Nathan dopisa% ludzi zjadaj#cych własne kozy z nosa.

Poniewa\* na pierwsz# uwag# nie reaguj#, Matt pyta:

— Dlaczego, do ci# \*kiej cholery, nie powiedzia#e( Amy oS&M?

Spodziewa#em si# tego pytania. Podobne nasun#o mi si# zaraz po wypadku, podczas kr3otkiego, aczkolwiek niezbyt mi#ego odcinka czasu pomi#dzy ciosem wymierzonym mi przez Amy w twarz a kopniakiem w jaja. I od tamtej chwili zadaj#e sobie nieustannie.

Przede wszystkim, nie musia#em jej o niczym mówi%. Jasne, zawsze pozosta#by ci#1 niepokojem, \*e w jaki# sposób si# dowie. M3g#bym na przyk#ad wygada% si# przez sen. Albo McCullen zacz#aby sypa%. M3g#bym te\* przysta% do jakiej# sekty, w kt3orej istnia#by przymus wyspowiadania si# ka\*demu, kogo w swoim \*yciu zdarzy#o mi si# ok#ama%. Lecz prawd# powiedziawszy, zarówno wtedy, jak i teraz ma#o jest prawdopodobne, aby kt3ory# z tych scenariuszy si# sprawdzi#. Faktem natomiast pozostaje bezspornym, \*e gdybym trzyma# j# zyk za z bami, upiek#oby mi si# .

Podobnie jak mi si# to udawa#o przez ca#e \*ycie.

Konsekwencje za( by#yby oczywiste i bardzo korzystne.

Unikn liby(my, na przyk#ad, kraksy. Omin#aby nas te\* ponura podr3o\* do domu samolotem, podczas kt3orej ona nie chcia#a ze mn# nawet rozmawia%. Zamiast tych ponuro(ci, staliby(my sobie we dwoje na zboczach, zapatrzeni w zalan# ksi#ycowym (wiat#em pla\* pod nami. I to nie tak# sobie, byle jak# pla\* , ale nasz# pla\* — miejsce, gdzie si# kochaliby(my. Tylko ona, ja i morze. Na mi#o(% bosk#, by#oby zupełnie jak w poezji.

Ale — o nie — nie z Jackiem Rossiterem podobne numery. Jack Rossiter miał inne plany. Postanowił tam, na szczycie zbrocza, zignorować ją, gdy pytała, czy on tak\*e to czuje. Mimo i\* czuł. Po raz pierwszy od wielu lat. Mimo i\* po raz pierwszy od wielu lat znalazł się w takiej sytuacji z dziewczyną, która była spełnieniem jego marzeń. Problem polegał jednak na tym, \*e było zbyt dobrze, aby mogło być prawdziwie.

—Chodziło o szczeroko — tłumacz . — Chciałem być wobec niej szczeroko.

—Szczeroko? — upewnia się Matt. Patrzy na mnie, jakbym się skopcił.

—Właśnie, szczeroko. Mówienie prawdy.

—Jack, ja rozumiem, co to słowo znaczy.

—Z czym więc masz problem?

— Z tym mianowicie, \*e nie bardzo wiem, jak się to ma do waszego związku.

—Od początku do końca — dodaj , bardzo już znużony. Przygląda mi się bez wyrazu.

—Nie, jeżeli o mnie chodzi. I myślę, \*e podobnie jest u większości ludzi. — Jego spojrzenie staje się podejrzliwe. — Chyba nie czytałeś moich *Dziesięciu kroków do wiecznej miłości*?

—Czego?

Matt wstaje i podchodzi do okna.

—A, nic takiego.

—Nie chciałem jej wciskać kłosa — ciągnę dalej. — To mi się wydawało nie w porządku. Ona mi zaufała, a ja ją okłamałem i im dłużej zwlekałem z wyznaniem prawdy, tym gorzej się z tym czułem.

Matt obraca się i mruczy, patrzy na mnie.

—Co, sumienie ci gryzło? — upewnia się . — Ilekroć na niego spojrzysz, czujesz, jak trucizna zdrady zatruwa ci organizm? Za każdym razem, gdy ją całowałeś albo się kochaliście, czujesz, \*e zdradzasz ją od nowa? Zupełnie jak gdyby każde kolejne zbliżenie nic nie znaczyło, ponieważ opierało się na zdradzie?

—Właśnie — przytakuj, bo czuję, że Matt dotknął sedna sprawy. — Tak dokładnie było. — Przepełnia mnie uczucie ulgi. Najwyraźniej ktoś mnie jednak rozumie.

Okazuje się, niestety, że tym kimś nie jest Matt.

— Innymi słowami, zrobię to, żeby poczuć się lepiej. Nie uważasz, że mój drzej byłoby samotnie uporać się z poczuciem winy, a z zajęciem wyćmię tylko tak nauczki, żeby nic podobnego więcej się nie powtórzyło? — pyta i wraca, żeby ponownie usiąść na kanapie.

Chwila trwa, zanim udaje mi się przezwyciężyć rozczarowanie, że w tej chwili nie poświęca nas miśka solidarność i zrozumienie. Na szczęście, jakoś sobie radzę. Po pierwsze, przytulanie się do drzew nigdy nie było moją ulubioną zabawą — zdecydowanie za dużo mchu i wiewiórczych odchodów. Co do wspólnych polowań — jako dziewięć ciolatek zostałem wykopany z zuchów za palenie papierosów i nigdy tego nie robiłem, lepiej więc być jak i teraz nie będę się zbytnio rozczulał. Myślę jednak, że tak łatwo się z tym pogodziłem, bo nie jestem na Matta wkurzony. Raczej na samego siebie.

Chodzi mi o to, że nie uważam jego reakcji na moje zachowanie za coś nienormalnego. Wręcz przeciwnie. Zlecono by mi, dajmy na to, przeprowadzenie szybkiej sondy ulicznej przed domem Matta i zadanie członkom społeczeństwa pozostającym w stałych związkach następujących pytań:

a) Gdybyś po pijanemu przespał się z osobą, której już nigdy więcej nie ujrzysz na oczy, czy powiedziałbyś o tym swojej partnerce?

b) Gdybyś zaczął z kimś romansować, by wkrótce przekonał się, że tak naprawdę kochasz tylko swojego aktualnego partnera, czy powiedziałbyś jej o tym chwilowym zauroczeniu? c) Gdybyś mógł się z kimś przespać, mając pewność, że ujdzie ci to na sucho (tak, tak, dotyczy to także gwiazd Hollywoodu), czy odrzuciłbyś taką okazję?

Nie przypuszczam, żeby ktoś udzielił odpowiedzi innych niż „nie”. W dzisiejszych czasach raczej mało kto spowiada się ze swojej niewierno-



(ci. No, mo\*na o tym opowiedzie% kumplowi, ale na pewno nie kochance. Bo i po co niby? Chyba \*e szuka si pretekstu do zerwania.

Có\*, kiedy( tak w3a(nie my(ła3em. Nawet kiedy by3em z Zoe. Chocia\* nigdy jej nie zdradzi3em, przypuszczam, \*e gdyby nawet, i tak nie pu(ci3bym pary z g by. Z Amy mi to jednak nie wysz3o. I st#d g3ówna rola, jak# odgrywam teraz w klasycznym greckim melodramacie *Zwierzenia kierowcy skutera*. Najwyra0niej przegra3em ze szczeroci#. Podobnie jak Matt, nie popieram szczeroci samej w sobie. To zbyt proste i zbyt 3a-twe. Jasne, szczeroci( jest wa\*na, ale dopiero jako symptom czego( wi-cej. Szczeroci( sama w sobie sta3a si towarem niepe3nowarto(ciwym. Chyba \*e jest elementem wspomagaj#cym. I to wspomagaj#cym nie by-le co, lecz — jak sobie w3a(nie u(wiadamiam — Rzecz Wielk#. A w kwestii emocji jedno tylko uczucie na miano Rzeczy Wielkiej zas3uguje. Zdumiewaj#ce, ile czasu potrzebowaa3em, \*eby je wreszcie rozpozna%.

Patrz Mattowi prosto w oczy.

— Kocham j# — mówi . — Powiedzia3em jej o McCullen, bo j# kocham.

Matt podnosi r k w ostrzegawczym ge(cie.

—Wolnego, bracie, wolnego.

—Co?

— Dobrze wiesz, co. Wielkie s3owo. W3a(nie je wypowiedzia3e( — grozi mi palcem.—Tylko si teraz nie wypieraj. Nawet nie próbuj udawa%, \*e by3o inaczej.

— Nie b d .

Matt przekrzywia zdziwiony g3ow .

—Nie b dziesz?

—Nie, nie b d . Powiedzia3em tak, bo tak jest. Kocham j#.

—Ws3uchuj si w d0wi k tych s3ów i dochodz do wniosku, \*e brzmi# nie0le. Tak dobrze, \*e ch tnie wypowiem je jeszcze raz.

—Ja, Jack Rossiter — og3aszam uroczy(cie — b d#cy w pe3ni w3adz umys3owych...

—Rzecz wzgl dna — mruczy Matt.

—...kocham Amy Crosby. Matt d3ugo mi si przygl#da.

—Cóż, to tłumaczy wszystko — stwierdza na koniec.

cz sty przypadek. Nie ma o co kruszy% kopii. Tak, bracie, my(l , \*e to kupi i b dzie zachwycona.

Matt spogl#da na mnie z ukosa.

— Wiesz, naprawd musisz si nauczy% ukierunkowywa% swoj# agresj . Bo wyra0nie nie wychodzi ci ona na zdrowie.

—Co ty gadasz?

—We0 g3 boki oddech — radzi Matt.

—Co?

—Wyluzuj si . Uspokój. Daj si na chwil unie(% nurtowi. No, nie. W tej chwili naprawd nie jestem w nastroju na te

hippisowskie bzdury — szczególnie je(li wypowiedza je prawnik z Ci-ty, który nie potrafi odró\*ni% soczewicy od luffy.

— Wyluzowa% si ? — mówi gwałtownie. — Jak si , do kurwy n -dzy, mog wyluzowa%? Na mi3o(% bosk#, w3a(nie rzuci3a mnie dziewczyna!

Matt daje mi kilka chwil, \*ebym si uspokoil, po czym orzeka:

—Stary, nic nigdy nie jest takie tragiczne, jak si na pierwszy rzut oka wydaje.

—Mo\*esz si wyra\*a% (ci(lej?

9ci#ga w zamy(eniu wargi, wreszcie oznajmia:

—Obiektywizm. Musisz spojrze% na to obiektywnie.

—Obiektywizm? — pryham.

—Uhm — kiwa g3ow#. — No wiesz, to tak, jak patrze% na swoje mia- sto z odleg3ego wzg3rza. Wydaje ci si wtedy zupe3nie inne ni\* zwykle, a to tylko dlatego, \*e zwi kszy3e( dziel#cy was dystans.

—Matt — mówi . — Naprawd szczerze w#tpi , \*eby spogl#danie z jakiego( pieprzonego wzg3rza mog3o cokolwiek pomóc.

Zniecierpliwiony przewraca oczami.

—Wys3uchaj mnie, dobrze?

—S3ucham.

Matt zapala papierosa i zaci#ga si kilka razy.

—Obiektywnie rzecz bior#c — zaczyna w ko1cu — mi3o(% twojego \*ycia ju\* ci nie chce. Odkry3a, \*e za jej plecami wypychasz swojego ku-

tasa innej dziewczynie do buzi. W rezultacie czego, a tak\*ę w konsekwencji zatajenia przed ni# tego faktu, uznaję, \*ę jeste( nic niewart#, beznadziejn# kup# gówna i zasługujesz na sma\*enie si w ogniu piekielnym po wieki wieków. Do(% powiedzie%, \*ę nie chce ci ju\* nigdy więcej ogl#da% na oczy.

—Dzi ki, Matt — wtr#cam si , zaczynaj#c jednocze(nie powa\*nie w#tpi% w jego umiej tno(ci doradczę. — Dlaczego nie wr czysz mi prostu brzytwy i nie napu(cisz do wanny wody?

—Dobra, zostawmy na razie obiektywizm—godzi si Matt. — Masz racj , obiektywnie rzecz bior#c, masz przesrane. Mimo to — dodaje po chwili — mogłoby by% o wiele gorzej.

Po raz pierwszy mówi co( z sensem.

—Owszem — przyznaj mu racj . — Mógłbym, na ten przykład, znaleźć si na (rodku Sahary bez kropli wody. Albo zosta% \*ywcem po\*arty przez robaki. Albo jeszcze gorzej, zostałbym zmuszony do obejrzenia wszystkich odcinków *Dynastii*, jakie kiedykolwiek powstały. Poza tym jednak nie bardzo wiem, co gorszego mogłoby mnie jeszcze spotka%.

Matt (wiadomie ignoruje gł boki sarkazm mojej wypowiedzi.

—Stary, mówi powa\*nie. Tyjiesz. Podobnie jak ona. Nieszczę(cia chodz# po ludziach. W kołcu ka\*demu z nas cho% raz w \*yciu przydarzyło si co( niemiłego, mam racj ?

—Nie, Matt — wchodzi mu w słowo. — Chyba jednak nie. Na przykład nie przypominam sobie, \*ęby ciebie spotkało co( podobnego. No, Matt, mam racj , prawda? Popraw mnie, je(li si myl , wczę(niej jednak odpowiedz: czy kiedykolwiek rzuciła ci dziewczyna, w której by(e( zakochany?

—Nie.

—No w(ęa(nie, wi c jak widzisz, nie ka\*demu si to przytrafia. Tylko niektórym. I to przyjmuj do wiadomo(ci. Podobnie jak nie na tym polega mój problem.

—Na czym wi c on polega?

—A na tym, \*ę nie mnie si to powinno być przytrafi% — odpowiadam burkliwie.

- — Niby czemu?

Obejmuj głowę rękami.

—Ponieważ ja jej zaufałem, stary. I tak naprawdę to nie daje mi spokoju. Całe moje życie okłamywałem kobiety, nie mówiłem im wszystkiego. Z nią było inaczej. Jej zaufałem i wyznałem prawdę. Powiedziałem prawdę, ponieważ ją kocham. I co mi to dało? Rzuciła mnie. Nawet nie pozwoliła mi niczego wytłumaczyć.

—Naprawdę uważasz, że coś by to zmieniło, gdyby wysłuchała twojej wersji? — pyta Matt.

—Tak — mamroczył — jestem o tym przekonany. Tylko co z tego? Cały dzień do niej wydzwaniałem, ale ona nawet nie podnosi słuchawki.

Matt kładzie mi rękę na ramieniu.

—Może potrzebuje trochę czasu, żeby się uspokoić — podsuwa. — Daj jej trochę luzu. Uwierz mi — przekonuje mnie. — Nie może ci zniechęcić na zawsze. — Patrzy przed siebie. — Jak to mówi — dodaje — jeżeli kogoś kochasz, daj mu wolność. Wróci: bo dzień twój na wieki. Nie wróci: znaczy, że i tak nic by z tego nie było.

Jak na Matta, było to niezwykle głęboce. Ja mogłem tylko dojść do wniosku, że potrzeba byłoby prawdziwego geniuszu, aby pomóc mi się z tego wykaraskać.

## GRA W CZEKANIE

— Wiem, że mnie słyszysz — mówi . — Tak, Amy Crosbie, mówi do ciebie.

Czekam kilka chwil na odpowiedź, lecz na próżno. Ale nie wycofuję się. Mam tu do spełnienia misję jako Partyzant Serca. A Partyzantów Serca pierwsze oznaki oporu nie mogły odstraszyć. Jesteśmy w pełni oddani, nie wiemy, co to strach. Rozkoszujemy się wyzwaniem, albowiem wiemy, że gdy nadejdzie w końcu zwycięstwo, smakować będzie dwa razy lepiej.

— 9wietnie — wołam gło(n. — Mo\*esz si ukrywa%, je(li chcesz, ale ja nie odejd . Słyszysz mnie, Amy? Nie cofn si , nawet na milimetr. B d tu stał tak długo, a\* w kołcu zejdziesz i pozwolisz mi wszystko wytłumaczy%.

Nadal bez odzewu.

Moja stanowczo( ulega nagle osłabieniu. Przysuwam usta jak najbliż\*ej domofonu i szepcz :

— Amy, prosz . Ja ci kocham. Kocham ci i to mnie zabija. — Znowu czekam, ale odpowied0 wci#\* jest taka sama: cisza.

Po przeciwnej stronie ulicy na ławce siedzi stary m \*czyzna. Widz#c moje poczynania, z politowaniem przewraca oczami i poci#ga łyk jabola z butelki. Wydaje si , \*e takie rzeczy nie raz ju\* zdarzyło mu si ogl#da%. A co mnie to obchodzi. Mówi to, co naprawdę czuj : kocham j#. Ona jest t# dziewczyn#. Moj# wymarzon#. Której szukałem przez całe \*ycie.

Odk#d wczoraj wieczorem wyznałem Mattowi, \*e j# kocham, o niczym innym nie potrafi my(le% — zupełnie jakby wypowiedzenie tego na głos u(wiadomiło mi, \*e tak dzieje si naprawdę . Nie boj si mówi% o tym gło(n. bo chc , \*eby dowiedzieli si wszyscy, a Amy przede wszystkim.

I dlatego wła(nie znalazłem si tu, przed jej domem.

Min ła jedenasta trzydzie(ci niedzielnego poranka, a ja stoj na stopniach prowadz#cych do jej drzwi wej(ciuowych. Jestem tu od dziewi#tej. Je(li nie liczy% starucha na ławce, ulica (wieci pustkami. Poniewa\* chodniki po obu stronach s# remontowane, nie ma nawet samochodów. Nade mn#, współgraj#c z moim pogrzebowym nastrojem, po raz pierwszy od wielu tygodni niebo zaci#gn ło si szarymi chmurami. Cofam si kilka kroków i zadzieram głow do góry, ku ostatniemu pi tru, gdzie znajduje si mieszkanie Amy.

Znik#d najmniejszego (ladu jawnej agresji. Z \*adnego okna na oblegaj#cych nie leje si wrz#cy olej. Nigdzie nie czaj# si łośnicy. Ale te\* nie zanosi si na rychłe pojednanie. Na wietrze nie powiewa biała chusteczka. Nie wida% wzywaj#cej mnie smukłej dłoni, nie opuszcza si gru-



by warkocz Rapunzeli. Nawet \*adne okno si nie otworzyło. Nie szkodzi, i tak wiem, \*e tam jest. Mog czeka%. Je\*eli \*yczeniem jej jest, abym rozbił tu obóz i rozpoczął regularne obl \*enie, spełni je co do joty. Je\*eli potrzebuje dowodu mojej miłości — prosz bardzo, oto on. A je\*eli go nie chce — có\*, i tak go dostanie.

Wracam do drzwi i przyciskam guzik domofonu. Brz czy jak rozw(cieczona osa. Nie puszczam i wyobra\*am sobie Amy wsłuchuj#c# si w ponagla#cy d0wi k. Musi doprowadza% j# do szału. O to mi w3a(nie chodzi. Mo\*e to brutalne, ale co tam. Zale\*y mi tylko na tym, \*ebym mógł przedstawi% jej moj# wersj całej tej historii. Przecie\* na tym w ko1cu polega demokracja. Nie skazuje si ludzi bez procesu. Sprawiedliwo(% wymaga, \*eby mnie wysłuchała. Wiem, \*e schrzaniłem spraw . Ale przecie\* b3 dy zdarzaj# si ka\*demu, no nie? A ja ze swojego wyci#gn#łem nauczki . Ju\* nigdy wicej nie dopuszcz do podobnej sytuacji, jaka miała miejsce z McCullen. Nigdy te\* nie ok3ami Amy ani jej nie oszukam. Musz tylko mie% szans — jedn# jedyn# — \*eby powiedzie% jej, \*e j# kocham, \*e nale\* do niej i z nikim poza ni# nie chc by%. Ju\* nigdy.

Nadal \*adnej odpowiedzi.

Głowa do góry. Jestem od niej znacznie lepiej przygotowany na taki rozwój sytuacji. Przede wszystkim, jedzenie. Co ona b dzie jadła? Znam j#. Spi\*arnia pełna zapasów nigdy nie była jej mocn# stron#. Te dwa kartony długoterminowego mleka i tubka humusu, którego termin ważności skończył się chyba w zeszłym roku, na długo jej nie wystarczą. Poza tym jest jeszcze jej nowa praca. Przecie\* nie zrezygnuje z niej tylko po to, \*eby unikn#% spotkania ze mn#. Zbyt wiele dla niej znaczy. Nie, nie mo\*e si wiecznie ukrywa%. Szybko si zm czy, wpu(cie mnie albo w najgorszym razie sama zejdzie na dół i wysłucha wszystkiego, co mam jej do powiedzenia. Logika podpowiada, \*e przewaga jest zdecydowanie po mojej stronie. Zwa\*ywszy zwłaszcza na wysiłek, jaki w3o\*yłem w przygotowania. Jako chwilowy specjalista od obl \*e1, mam ze sob# podstawowy Zestaw Podtrzymania Zwi#zku:

a) Dwie ró\*owe ró\*e (zgoda, ju\* troch zwi dni te, ale o jakim potencjale romantyzmu!).

b) 7ywno(%: rodzinny zestaw kurczaka na zimno (poza tym w całodobowym sklepie przy stacji benzynowej nie było nic), ciasteczko mi towe (standardowe wyposażenie wojskowe) i dwie paczki sma\*onych orzeszków (bogate w proteiny).

c) Napoje: dwie puszki Toxoshocku (izotoniczny napój energetyzuj#cy, zawieraj#cy kofein ), plus jeden karton nutro-skake'ów (o smaku truskawkowym).

d) Ubiór: d\*insy i T-shirt (jedno i drugie Matta), buty trapery (idealne na trudny teren).

e) Inne: dwie paczki marlboro (light), jedna zapalniczka sztormowa (na benzyn ).

Nie bior#c pod uwag ubrania — spogl#dam na niebo: zdecydowanie si zachmurzyło — jestem przekonany, \*e mog utrzyma% si na placówce przez długie godziny, je(li nie dni. Innymi s#owy, Amy, która nie zdoła skonstruowa% sznura z prze(cieradeł i innych posiadanych w domu rzeczy i spu(ci% si po nim z dachu, szanse na ucieczk ma raczej nik#e. Czyje si to podoba, czy nie, postawi na swoim.

Z po\*egnalnym: — Wci## tu jestem — puszczam przycisk domofonu i przysiadam na schodach. Czuj , \*e co( l#duje mi na twarzy. Spogl#dam w gór i orientuj si , \*e w#a(nie zacz ło pada%.

Przysuwam si bli\*ej drzwi i z plecaka wyci#gam zestaw z kurczakiem. Chwil prze\*uwam k s, ale raczej bez entuzjazmu, w kołcu postanawiam zast#pi% jedzenie papierosem. Gdzie( w oddali zaczynaj#bi% dzwony ko(cielne, wzywaj#c wiernych na porann# msz .

Zmówcie i za mnie krótk# modlitw .

Zesz#ej nocy nie spałem. Nawet nie zmru\*y#em oka. Po prostu le\*a#łem i patrzy#łem, jak wskazówki na tarczy T#ustego Psa wolno sun# do przodu. Nie musz chyba mówi%, \*e nie spałem z powodu Amy. A mo\*e raczej z powodu braku jej przy mnie. Poniewa\*, co chyba oczywiste, nie było jej. A nie było jej dlatego, \*e mnie nienawidzi. Uwa\*a za ostatnie-

go kutasa. Czemu niby miałoby być inaczej? Gdybym znalazł się na jej miejscu, myślałbym zapewne dokładnie tak samo. Psychologia odwrotność. Jakbym ją się czuł, gdyby ona powiedziała mi, że jakiś facet się na nią spuścił? Byłbym zły? Zazdrosny? Zdegustowany? Wszystko naraz. A przede wszystkim, zdradzony. Tyle tylko, że ja Amy nie zdradziłem. Nie chciałem jej skrzywdzić. Po prostu schrzaniłem sprawę. Przyznałem: postąpiłem źle. Co wcale nie poprawiło mi samopoczucia. Wręcz przeciwnie. Gdy tak leżałem, nie mogłem się nawet przytulić do poduszki — wciąż jeszcze (mierzwiła McCullen — czułem się po prostu jak wyopatroszony. Zmieszany. Przepuszczony przez maszynkę. Jakby ktoś niewinnie rozerwał mi serce na dwoje.

Nawet mój wacek miał zepsuty humor. A to do niego raczej niepodobne. Obojgu, koniunktura dobra czy zła (z wyjątkiem incydentu z Ellą Trent), on zawsze był w kondycji idealnej. Nigdy bym nie przypuścił, że może mnie w taki sposób zawieść. A mimo to leżał sflaczały pomiędzy moimi nogami, niczym zahibernowany stwór. Gdyby potrafił mówić, zapewne odbylibyśmy mniej więcej tak rozmowę:

Jack: Co się dzieje?

Wacek: Nic się nie dzieje. W tym cała rzecz. Jack: Jaka rzecz? Wacek: No właśnie.

Jack: Masz ochotę o tym pogadać?

Wacek: Nie mam ochoty na nic. Jestem zupełnie odrętwiały. Jack: Chodzi zapewne o Amy?

Wacek: Chyba nie sądzisz, że o McCullen? Zwłaszcza nie po tym fatalnym wypadku z obciążeniem.

Jack: Nawet tego nie pamiętam. Było a tak źle?

Wacek: Ujmijmy to w ten sposób: jeśli o obciążenie chodzi, było tragicznie — i nie mówię tego przez grzeczność. Właśnie się szykowałem do naprawd mocnego, erotycznego snu. Snu jak marzenie. Siedzimy sobie — ty i ja — w saunie, wokoło kłóbi się para, a tu nagle pojawia się Amy w szkolnym mundurku...

Jack: Szkolnym mundurku? Przecież nawet nie wiem, jak on wyglądał.

Wacek: Licentia dramática. Odczep się. Jack: Rozumiem. I co było dalej?

Wacek: Zjawia się cholerna McCullen. Wkracza do akcji, nie czeka, a\* Amy sobie pójdzie, tylko brutalnie ją odpycha i sama bierze się do roboty.

Jack: Tak strasznie to nie brzmi. Jak na marzenia senne, rzecz jasna.

Wacek: No właśnie, tu wychodzi cała twoja indolencja. Uwierz profesjonalistom na słowo, Jack. Jeśli ktoś siłą przyzwyczajony jeździ na co dzień Rolls-Royce'em, nie może być zadowolony, przesiadając się do mini. Ale nawet mimo to postanowiłem nie grymasić. „W porządku — pomyślałem — trzeba brać, co daje”. Ale — och, nie — to tak ci nie odpowiadało. Nie wystarczyło ci, że wpuściłem mnie w kanał z niewłaściwymi dziewczynami. Nie, ty musiałeś posunąć się dalej. Kiedy wszystko znów zaczynało nabierać kolorów, ty się wycofałeś. Wycofałeś się, Jack. To jest chore! Takie... nieprofesjonalne!

Jack: Wacek, spróbuj mi wybaczyć. To się już więcej nie powtórzy. Czy nie możemy znów być przyjaciółmi, jak za starych dobrych czasów?

Wacek: Za starych dobrych czasów. O, tak, pamiętam tam je. Tylko ty, ja, butelka oliwki dla niemowląt i numer „Hustlera”. Nie zapominajmy też o jednorazowych numerkach, którymi mnie człapałeś. Szybkie ładowanie w trójwymiarowym rajku, tylko po to, by już następnego ranka mnie go pozbawił. Rzeczywiście

dobrze czasy. Niemniej jednak wybaczyć mi, że nie skaczę z radości, mając znów taką perspektywę. Jack: Przecież już przeprosiłem.

Wacek: Wiem, wiem. Chodzi o to, że mi jej brakuje, Jack. Pasowała mi, wiesz? Dobrze się z nią czułem.

Musieliśmy przyznać, że po raz pierwszy w życiu mój wacek miał absolutną rację.

Zaczęłam się zastanawiać nad radą, której udzielił mi Matt. O tym, że powinienem dać Amy trochę luzu. Tyle tylko, że wcale nie mam ochoty dawać jej luzu; ja chcę być przy niej cały czas. Mówi też jakieś bzdury, że jak się kogoś kocha, to powinno mu się zwrócić wolność. Świetnie,

pomysł nad wyraz słuszny, który jednak rozważyć mogłoby wyłącznie na gruncie teoretycznym. Mogłoby go zastosować w praktyce, ale w odniesieniu do ptaszków albo tygrysa. Rzecz jednak dotyczyła nie ulubionych zwierzków, lecz Amy. Kobiety, którą — jak widać (nie zdałem sobie spraw — kocham. I z mojego punktu widzenia, może bym się nawet zdecydował zwrócić jej wolność, ale dopiero po zapoznaniu jej z faktami. Podjęta przez nią decyzja była zdecydowanie jednostronna. A ja musiałem teraz przywrócić zasady demokracji. Jaki bowiem sens w zwracaniu jej wolności, skoro nie miała nawet pojęcia, że pragnę tylko, aby do mnie wróciła? Mogłaby się budzić na wolności, co jednak dobrego by dla nas z tego wynikło? Ona straciłaby dom, ja pozostałbym w nim samotny. Podwójna tragedia. Nie chcę, aby odzyskała wolność. Chcę, aby wróciła. A skoro to oznacza, że muszę o nią walczyć — cóż, trudno. Będzie walczył. Całe dziesięć rund. Jak Muhammad Ali. Jak motylek. Albo pszczołka.

Albo siedzę pod jej drzwiami.

W strugach deszczu.

Zamorzony głodem i przemarznięty.

Kulę się i zamykam oczy.

Kiedy się budzę, jest już piątek po trzeciej. W ustach mi zaschło, jakbym najadł się kleju do tapet. Kiedy jeszcze pracowałem w ProPixel, miałem okazję zapoznać się ze składnikami różnych produktów spożywczych, mogłem więc spokojnie założyć, że uczucie to jest skutkiem ubocznym spożycia kurczaka z zestawu rodzinnego, którym się wcześniej posiliłem.

Z trudem wstaję i dłużej chwilę staram się rozprostować nogi i uwolnić od skurczu, który mnie chwycił. Spoglądam na niebo, teraz już bezchmurne. Najwyraźniej czarne chmury znalazły schronienie w mojej głowie.

Obracam się i naciskam dzwonek domofonu. Amy jednak niezmiennie ignoruje jego dźwięk. Spoglądam na drugą stronę ulicy. Nic się nie zmieniło. Staruch, podobnie jak chodnikowe pęty i narzedzia, wciąż tkwi w tym samym miejscu. Twarz rozciąga mi się w pełnym nostalgii

u(miechu, bo przypominaj# mi si wakacje, podczas których jako student pracowa#em w ekipie drogowców. K3adli(my kable telewizyjne i, podobnie jak tutaj, musieli(my rozkopa% drog , u3o\*y% przewody, naprawi% nawierzchni i na nowo wymalowa% na niej pasy. Nagle przychodzi mi do g3owy pomys3, od którego mój u(miech staje si jeszcze szerszy.

— W porz#dku, Amy! — krzycz do domofonu. — Chcesz gra% ostro? No to patrz.

Przechodz przez ulic . Staruch, widz#c, \*e ospa3y dot#d towarzysza zaczyna dzia3a%, odstawia butelk i saltuje mi. Odwzajemniam si podobnym gestem, przecie\* faceci na ca3ym (wiecie reaguj# tak samo. Zamierzam w3a(nie wyda% niezmiernie wa\*ne o(wiadczenie. B d romantyczny, ale jednocze(nie na luzie. Tego gestu pozazdro(ci3by mi ka\*dry facet, \*a3uj#c, \*e jemu na podobny zabrak3o jaj.

Z3amanie zabezpiecze1 maszyny do malowania pasów zajmuje mi le dwie chwil — wystarcza par ciosów znalezionym w namiocie robotników 3omem i pojazd jest mój. Opuszczam r#czk i robi na prób kilka kroków. W porz#dku, jest uzbrojona: na asfalcie pojawi3a si p3ómetrowej d3ugo(ci bia3a linia. Bior si wi c do dzie3a: zaczynam wypisywa% przes3anie, które, mam nadziej , Amy przeczyta, gdy tylko wyjrzy przez okno. W gr wchodzi kilka wersji:

- a) Amy + Jack = WM (zbyt szczeniackie).
- b) Kocham ci (zbyt oczywiste).
- c) Przyjmij mnie z powrotem (zbyt cikliwe).

Mój wybór pada jednak na klasyk — kwestia, której nie powstydzilby si sam Cyrano de Bergerac. Pracowicie manipuluj#c maszyn#, litera po literze maluj na ulicy napis. Nie jest to 3atwe. Maszyna przeznaczona jest do malowania linii prostych, musz wi c ci#gle j# przestawia%. Ale powoduje mn# mi3o(% , a dla niej nie ma rzeczy za trudnych. Po up3ywie dwudziestu minut napis jest gotowy. Utrafi#em w sam raz, bo z



ostatni liter w maszynie skończyła się farba. Ale napis jest czytelny, a przecie o nic więcej nie chodziło.

Odstawiam maszynę na miejsce. Wracam pod dom Amy i napawam się swoim dziełem. Wygląda dobrze. Co tam, dobrze. Wygląda wspaniale. Miało mogłoby powiedzieć, choć sam tego dokonałem, że zasługuje na miano dzieła sztuki. I nie tylko ja jestem pod wrażeniem. Podziękowało też na starucha. Kiedyś okazał, jak wstaje ze swojej ławki — chyba po raz pierwszy dzisiaj — robi kilka kroków, przystaje i wolno przesuwając głowę od lewej do prawej, przygląda się memu arcydziełu. Potem podchodzi w moją stronę. Jak pszczoła do kwiatu. Widzi piękno mego tworu. Ale nie chce być zbyt ostentacyjny. Z obojętnym wyrazem twarzy spokojnie czekam na pytania publiczności.

— W porządku, stary — oświadcza i wychodzi do mnie rękami.

— Jestem Clifford.

— Witaj, Clifford. — Wymieniam z nim uścisk dłoni. — I co o tym myślisz?

Clifford chwilę spogląda na ulicę w milczeniu. Rozumiem go; niełatwo spokojnie przejść koło czynu tak ambitnego. Otwiera usta, by przemówić, a mnie zawczasu przepełnia uczucie dumy.

Ciekawe, jak to wyrazi? Jakich słów użyje, by wyrazić emocjonalny wstrząs, jakiego doświadczyłeś, czytając to krótkie i proste wyznanie?

Takich mianowicie:

— Pracujesz w mleczarni, synu?

Patrz na niego. Potem przenosisz wzrok na opróżnioną do połowy butelkę jabłona, którą trzyma w ręce. I znowu patrz na niego. Wreszcie uśmiecham się, dając mu do zrozumienia, że podzielam jego spojrzenie na świat — choć osobiście szczerze w to wątpię.

— W mleczarni? — powtarzam za nim. — Nie, Clifford, nie pracuję w mleczarni.

Taksuje mnie spojrzeniem od stóp do głów i próbuje znowu.

— W takim razie w zakładach tłuszczowych?

— Dlaczego tak sędzisz? — pytam.

—Bo to, co tu wypisał(, synu — tłumaczy — wygląda jak reklama, no nie? — Pocięga spory łyk z butelki. — Ser i tak dalej. Je(li nie mleczarnia, to zostaj tylko zakłady tłuszczowe.

—Doprawdy — mówi wielkodusznie. Nie oszukujmy si , w chwilach tak wzniosłych nie wypada si z nikogo wy(miewa%.

—Jasna sprawa, synu. Brzmi nie0le — zauwa\*a, po czym dodaje: — Gdybym kupował w mleczarni i zobaczył tak# reklam , zaraz bym si przeniósł do zakładów tłuszczowych, słowo.

— O czym ty, do diabła, mówisz? — nie wytrzymuj . Patrzy na mnie jak na wariata.

— Przeczytaj sobie — ponagla i pokazuje palcem jezdni .— O, tam. Pod#\*am wzrokiem za jego r k#, ale dalej nie wiem, o co chodzi.

— Nie kumam. Clifford kr ci głow#.

— Przecie\* to musi by% reklama. Inaczej nie ma sensu.

Dot#d byłem przekonany, \*e Clifford ma kłopoty z czytaniem. Im dłu\*ej jednak spogl#dam na litery, które z takim mozołem wypisałem na ulicy, tym bardziej dochodź do wniosku, \*e chyba jednak nie ma. Wr cz przeciwnie. To nie Clifford ma kłopoty z czytaniem, tylko ja. Cho% chyba nie z czytaniem, a raczej z pisaniem. Poniewa\* gdy patrz na swoje dzieło, oto, CO widz :

CA6YM SEREM NALE74 DO CIEBIE Nie za(: CA6YM SERCEM NALE74 DO CIEBIE. Gdzie podziało si wspaniałe wyznanie? To, co napisałem, pozbawione jest jakiegokolwiek sensu. W pierwszej chwili chce mi si (mia%. Przecie\* to niemo\*liwe. Jak mogłem pomyli% si w takim słowie, pomijaj#c jedn# liter ? Szybko jednak zapominam o wesóło(cu. Clifford ma racj — to, co napisałem, rzeczywi(cie wygląda jak niezbyt udane hasło reklamowe mleczarni. Rzucam si do feralnego słowa, staram si zatrze% je podeszwami butów; nic z tego. Próbuje raz jeszcze; nic nie psuje idealnie gładkiej bieli. Padam na czworaki i usiłuję dokona% zniszczenia r kami; tak\*e na darmo. A w maszynie nie została ani kropla farby.

Długo chwil stoj jak skamieniały. Doprawdy trudno mi pojąć, jak mogłem spreparować podobnego gniot. Potem obracam się do Clifforda i pytam:

— Mogłeś napić? — Nie czekajcie na odpowiedź, wyrywam mu z ręki jabłko i wypijam do dna.

## REZYGNACJA

Poniedziałek mija we mgle wywołanej psychicznym i fizycznym wycieńczeniem po wydarzeniach weekendu. W większości czasu spędzam w łóżku, po czym (ci) patrzę, po czym (ci) wpatrzę się w sufit i słuchaję kompaktów. Nie golę się. Nie myję. Nie przebieram. Staram się nie myśleć o niczym. Gniję w samotności i ciszy, do pełnej degrengolady brakuje tylko, \*abym zaczął się załamywać pod siebie. Matt wyjechał w interesach, tym samym wyczerpał mój kontakt ze światem zewnętrznym ograniczony do zera. Nie przeszkadza mi to jednak. Pragnę tylko, aby dni mijały tworząc pomiędzy mną a Amy coraz większy bufor, gdyż jest to jedyny sposób na stopniowe złagodzenie bólu, jaki wciąż jeszcze mnie dręczy.

We wtorek po południu \*ośmiędek domaga się należytą sobie daniny, zmuszając mnie do chwilowego wyjścia ze stanu pogłębionego nihilizmu. Zamawiam przez telefon pizzę. Przeuwam ją powoli, kiedy nagle dociera do mnie, \*e może podchodzi do problemu w sposób bardziej dny. Przeciwnie pogromienie się w rozpacz nie doprowadzi mnie donikąd. Kto powiedział, \*e chociażby udane malowidło drogowe pod oknami Amy zmusiło mnie do odwrotu, każda inna próba odzyskania jej ma się równie nieudanie (liwie zakończy? Na miłość boską, przecie prawie mi się udało. Ledwie jednej litery zabrakło. O tym muszę pamiętać. Nie o tym, jakim jestem nieudacznikiem, ale jak bliski byłbym sukce-

su. Teraz potrzebny mi jest nowy plan. Nowe podejście. Biorę butelkę wódki i wracam do swojego pokoju, żeby spokojnie wszystko przemyśleć.

Nadchodzi wieczór, a ja wciąż siedzę w swoim pokoju — od tej chwili znanym raczej jako twórcze schronienie. Mam już plan. Jest tak genialnie prosty, żeby dziwić naprawdę, i wcześniej na niego nie wpadłem, zwłaszcza żeby rozwiązanie miałem wciąż przed oczami.

Moja gitara.

Stoi oto, oparta o szafę, nie ruszana od ubiegłego roku, kiedy to wziąłem kilka lekcji gry na niej. Przecież to oczywiste. Napisz piosenkę. Serenadę, która uwiadomi jej, ile naprawdę dla mnie znaczy. Idzie mi świetnie. Znacznie lepiej, niż się mogłem spodziewać. Z początku mam trochę kłopotu z dobraniem właściwych słów, szybko jednak zaczynam własnym wyciśnięciem. Melodia także jest po prostu fantastyczna — zważywszy na to, że znam zaledwie trzy chwytów. Atmosfera panuje idealna: palisz każdą dziewczynkę, z głosów Elvisa dodaje mi otuchy, chociaż dopełnia bandana, którą zawiązałem sobie na głowie à la Springsteen.

Dochodzi jedenasta, a ja gotowy jestem do prawykonania. Odstawiam na pół wypitą butelkę na podłogę, żeby jej, bro! Boże, nie potrząsnę, biorę gitarę i stoję w progu, zapowiadam.

— A teraz, proszę państwa, na żywo z Hollywood Bowl z dumą przedstawiamy jednego, jedyne! Jaaaackieeee Rossltera.

Przechodzę przez pokój i wskakuję na (rodek estrady mieszczącej się na 30\*ku.

— Zaczynam teraz kawałek — mówi z najlepszym akcentem Południowca, na jaki mnie stać. — Napisałem go dla jednej znajomej damy. Ma na imię Amy i bardzo ją kocham. — Dłoni przecieram czoło. — Zatyłkowałem go *Myślę, że się chyba wścieknę*.

Kilka razy uderzam w struny i zaczynam:

*Myślę, że się chyba wścieknę,*

*Moje życie bez ciebie stało się piekłem.*

*Tak za tobą tęsknię,*

*Że mi zaraz serce pęknie.*

Teraz wchodzi chórek składający się z trzech kręcących biodrami kowbojek:

*Myślę, że on się chyba wścieknie,  
Bo odkąd odeszłaś, jego życie jest piekłem.  
To chyba nic trudnego  
Wrócić do Jacka twojego?*

Druga zwrotka. Naprawdę się rozkręcam.

*Myślę, że się chyba wścieknę,  
Nie widzę niczego wkoło poza piekłem.  
Uratuj mą duszę zgubioną,  
Ogniem rozłęki wypaloną.*

Do drugiego refrenu nie udaje mi się dojść, bo nagle słysz : — Co ty, do ci \*kiej cholery, wyprawiasz? Podnosisz wzrok i widz stojącego w drzwiach Matta, na którego twarzy maluje się wyraz bezgranicznego zdumienia.

—Śpiewam — odpowiadam. — A co myślisz? Chwilę się zastanawiam, wreszcie stwierdza:

—Te chyba nadajesz się do leczenia zamkniętego.

—Masz prawo do swobodnego wyrażania opinii. Powoli rozgląda się po pokoju.

—Słuchajcie po wystroju, nie pogodziliście się.

—Śluzna uwaga.

—Pora więc spojrzeć prawdzie w oczy, Jack: już się nie pogodzicie.

—Potrzebna głowa. — To koniec. Pogódź się z tym.

—Tęden koniec.

—Jutro będzie koniec.

—Co takiego?

—Jutro — informuje mnie. — Jutro skończy się to całe gówno. Koniec z pogrzebowymi pie(niami). Koniec z nienawi(cie# do samego siebie. — Jego wzrok pada na butelkę z wódk#, potem na mnie. Nawet nie stara się ukry% obrzydzenia. — Koniec z zalewaniem się w trupa. Koniec z tym wszystkim, rozumiesz? —Milcz .—Uwierz mi, bracie—ostrzega mnie. — Tak w³a(nie b dzie.

Z tymi słowami wychodzi, zatrząskuj#c za sob# drzwi. Chwil za nim spogl#dam, po czym uderzam w gitar i zaczynam tam, gdzie mi przerwano. Nie mam pojęcia, która jest, gdy wreszcie padam, za to budzi mnie pot \*ny kac i dochodz#cy z oddali głos Matta:

— Radiohead... Nick Cave i Bad Seeds... Portishead... Bob Dylan... Nick Drake ... A to co, Smurfy? Nie, na szczęście nie. A to, czy\*by miał przed sob# zbiór kół w wykonaniu Chóru Młodzie\*owego Ko(cio³a pod wezwaniem 9wi tego Jerzego? Nie, znowu się pomyliłem. — Na sekund otwieram oczy. Widz (wiatró i Matta, który kucaj#c na podłodze, ogl#da kompakt, których przez ostatnie dni s³uchałem. — Na razie jednak — stwierdza na koniec — wszystko wskazuje na to, \*e mam do czynienia z rozczulaj#cym się nad sob#, \*a³osnym pijaczyn#. — Klaszcze głó(no w dłonie. — Ale szybko go wyprostuj . Wstawaj.

Pokój zalewa jaskrawe słoneczne (wiatró. Otwieram oczy i widzę stoj#cego przy oknie Matta. Unoszę głowę i spogl#dam na T³ustego Psa. Jest (roda rano, godzina ósma. Zjakiem chowam głowę pod ko³dr .

— Nie \*artuj — powtarza Matt i (cie#ga ze mnie okrycie. — Tak jak ci wczoraj powiedziałem, dzisiaj kołczymy z tym gównem.

Dopiero teraz reaguj . Chwytam uciekaj#cy róg ko³dry i usiłuj j# nacie#gn#% na siebie z powrotem. Z Mattem jednak nie mam szans.

—Odpierdol się — odparowuj i chowam twarz w poduszk .

— Czaruj#ce. — Przez chwil panuje cisza, po czym znowu rozlega się głos Matta. — Mo\*emy to załatwi% w dwojaki sposób: albo prosto i bez komplikacji, albo na udry. To znaczy, \*e albo wstaniesz sam, albo ja ci do tego zmuszę . — Czeka na odpowiedź. Nic z tego, nie dam mu satysfakcji. — 9wietnie — stwierdza. — Pójdziemy na udry.



Słysz , \*e wychodzi z pokoju, i zaczynam si lekko niepokoi%. Wiem, jaki potrafi by%, kiedy co( sobie postanowi. Konsekwentnie i skutecznie d#\*y do celu. Zaraz jednak si uspokajam. Je(li nie wróci tu z naładowanym pistoletem, to guzik mo\*e zrobi%, \*eby mnie do czegokolwiek zmusi%. A do tego si przecie\* nie posunie, bo jako prawnik ma zbyt wiele do stracenia. Nie ma o czym mówi%, blefuje i tyle. Nagle jednak przypominam sobie o bli0nie na czole, któr# mam od czasu, jak postrze-lił mnie z kapiszonowca, kiedy byli(my dzie%mi. Niestety jednak, nie dał mi czasu, \*eby dłu\*ej si nad tym zastanowi%.

Woda, która na mnie l#duje, nie do(% , \*e jest lodowata, to jeszcze w ilo(ciach niewyobra\*alnych. Pewnie bym wrzasn#ł, jednak zetkni cie z ni# byóo dla mojego ciała takim szokiem, \*e całe powietrze uszóo mi z póuc.

—Ty kupo gówna—warcz i rzucam si na niego. — Jestem cały mokry.

—Wcale mnie to nie dziwi — o(wiadcza Matt i niedbale koóysze pustym ju\* teraz, plastikowym wiadrem.

Siadam, a po twarzy (cieka mi woda z włosów. Koszulka i d\*insy, których nie zdejmowaóem od soboty, s# kompletnie przemoczone.

—Pewnie my(lisz, \*e to strasznie zabawne? — Spogl#dam na niego spode óba.

—Kawa — oznajmia, skinieniem góowy wskazuj#c stolik przy óó\*ku. Niech tnie poci#gam jeden óyk.

—Prosz bardzo — mówi . — Zadowolony?

—Nie o moje zadowolenie tu chodzi — zauwa\*a. W milczeniu przygl#da si , jak wypijam kaw do kołca.—A teraz wstawaj — rozkazuje.

—Co?

Mru\*y oczy. — Rób, co mówi , Jack. Nie mog si z tob# cacka% przez cały dzieł. Za godzin musz by% w biurze.

Poniewa\* wiem, \*e nie popu(ci, póki nie dostanie, czego chce, zrezy-gnowany wstaj .

—Popatrz, do jakiego si doprowadzióe( stanu — mówi.

Dostrzegam swoje odbicie w lustrze za jego plecami. Przyznaj, nie najpiękniejszy to widok. Przy szyi koszulka jest szara od potu i brudu. Paznokcie mam czarne, zupełnie jakbym gołymi rękami grzebał w ziemi. A to, co mam przyklejone do czoła, wygląda jak pepperoni, choć nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. Ale tak naprawdę przerażają mnie własne oczy. Wyglądaj, jakby jakiś szalony dzieciak pokolorował mi całą białką czerwonym kredką. Chociaż chyba nawet najwiskrzy przysięgł dwa razy by się zastanowił, zanim odważyłby się do mnie zbliżyć. Prędzej zawiadomiłby policję, że na wolności przebywa morderca.

— Wyglądasz paskudnie — ocenia Matt, taksując mnie z góry do dołu pełnym obrzydzenia spojrzeniem. — Istne szkaradziństwo. — Patrzy mi w oczy. — Brzydz się, że mieszkam z tobą pod jednym dachem. Czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

Spuszczam wzrok i wbijam go we własne stopy.

— Niech ci będzie — bełkocz. — Moje rzeczywiście nie wyglądam w tej chwili najlepiej.

— Nie wyglądasz najlepiej! Ty nawet nie wyglądasz najgorzej. Wyglądasz tak, że nawet twój najgorszy wygląd skrzywiłby się na twój widok z obrzydzeniem.

— Dobra — prychnam wściekle. — Wyglądam tragicznie.

— Tak lepiej — jest wyraźnie zadowolony. — Skoro wiesz już, że masz problem, istnieje szansa, że dojdiesz do siebie. A teraz powtarzaj za mną: nazywam się Jack Rossiter.

— Co ty... — zaczynam, ale ostrzegawczy błysk w jego oczach natychmiast przywołuje mnie do porządku. Przypominam sobie, że ten człowiek to bestia, zdolna do wszystkiego. — Nazywam się Jack Rossiter — powtarzam posłusznie, starając się jednak, aby mój głos zdradzał jak najwięcej znużenie.

Nie zwraca na to uwagi.

— Jestem człowiekiem — ciągnie dalej.

— Jestem człowiekiem — nie rezygnuj z tonu znużonego robota.

— Jestem człowiekiem silnym i niezależnym — mówi Matt.

—Jestem człowiekiem silnym i niezależnym.

—Kobieta nie jest mi potrzebna do samookrelenia.

—Kobieta nie jest mi potrzebna do samookrelenia.

—Bez niej też potrafi być szczęśliwy.

—Bez niej też potrafi być szczęśliwy.

— Jestem nie tylko człowiekiem, ale na dodatek bardzo brudnym człowiekiem.

Stwierdzam, że po raz pierwszy od wielu dni udaję się.

— Jestem nie tylko człowiekiem, ale na dodatek bardzo brudnym człowiekiem — udaje mi się powtórzyć.

—I muszę się wykąpać.

—I muszę się wykąpać.

—I zmienię bieliznę.

—I zmienię bieliznę.

—Ponieważ cuchnie.

Tego już nie udaje mi się powtórzyć; za bardzo się śmieję. Matt wy-  
ciąga z kieszeni kostkę mydła i wciska mi do ręki. Następnie kieruje  
mnie w stronę drzwi i palcem pokazuje w kierunku korytarza, gdzie znajdu-  
je się łazienka.

Pó0niej, gdy ju\* wyk#pany wycieram si r cznikiem, zagl#da przez drzwi.

—Wróć ko3o szóstej — informuje mnie. — I je(li przy3api ci , jak bawisz si w nie(lubne dziecko Bon Joviego, Bóg mi (wiadkiem, roz-trzaskam gitar o twój ty3ek.

—Nie martw si — uspokajam go. — Duch Hendriksa nie powstanie wi cej.

Kiwa g3ow#. — Aha, jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Wczoraj dzwoni3a Chloe. Dzisiaj o ósmej czeka na ciebie z kola-cj#. — Puszczu do mnie oko.—To tak\*e nale\*y do twojego programu rehabilitacyjnego, wi c si nie spó0nij.

Przez reszt dnia sprz#tam pokój, a po po3udniu postanawiam doko1-czy% *Studium w 3ólci*. Poranna sesja z Mattem okaza3a si na tyle sku-teczna, \*e powstrzyma3em ch % zamalowania go na czarno. Niestety, nie mog uzna% terapii za zako1czon#. Nieustannie powracaj# my(li o Mc-Cullen. To chyba pobyt w atelier tak na mnie dzia3a. Ca3y czas czuj , jak obserwuje mnie ze swojego portretu, który wcisn#3em w k#. W ko1cu dochodz do wniosku, \*e co za du\*o, to niezdrowo, przechodz przez pokój i wyci#gam go. Otwieram drzwi do ogrodu i wychodz .

Po chwili p3on#ce p3ótno i farby zaczynaj# wydziela% przemi3# kom-binacj zapachów. Ani troch mi nie \*al. Zbyt du\*o kry3 w sobie wspom-nie1. I to nie tylko tego, co zasz3o pomi dzy McCullen i mn# w noc poprzedzaj#c# wakacje. Zbyt du\*o wspomnie1 o mnie. I o tym, kim by-3em. By3 (wiadkiem wszystkich naszych rozmów. Moich knowa1 i ma-nipulacji. Na nic si one nie zda3y wtedy, a i teraz niewiele s# warte, bo ca3y ten mój don\*u-anizm nie pomóg3 mi zdoby% jedynej rzeczy, na któ-rej naprawd mi zale\*y: przebaczenia Amy lub raczej jej samej. Ona ju\* podj 3a decyzj , i to nieodwracaln#, z czym musz si pogodzi%. Nie zmusz jej do zmiany zdania. Tylko taki g3upiec jak ja móg3 my(le% ina-czej. Patrz , jak p3ótno kurczy si , zwija i wreszcie przemienia w popió3. Wtedy odwracam si i id do (rodka.

U Chloe zjawiam si punktualnie o ósmej.

—Matt nie \*artował — mówi na mój widok.

—Na jaki temat?

—Na twój, moje biedactwo. Wygl#dasz koszmarnie.

Na tyle zdały si# moje k#piele i golenie. Zdobywam si# na s#aby u(miech.

—Dzi ki — mówi i taksuj j# wzrokiem. — Ty za to wygl#dasz wspaniale. — To prawda. Rzekłbym, ol(niewaj#co nawet, w czym( krótkim i obcisłym. Chocia\* w stanie, w jakim si# aktualnie znajduj , nie robi to na mnie zbyt wielkiego wra\*enia.

—Chod0 tutaj — co mówi#c, obejmuje mnie i mocno (ciska. Dobr# chwil stoimy tak przytuleni, potem bierze mnie za r k i prowadzi do jadalni. — Mam nadziej , \*e jeste( g3odny. — Nalewa mi kieliszek wi-na. —Bo nagotowałam tyle, \*e i z dziesi % os3b by si# najad3o.

Wychodzi do kuchni, a ja w tym czasie rozgl#dam si# po pokoju. Nie przesadzi3a. Oceniaj#c wysi3ek, jaki w3o\*y3a w przygotowania, mo\*na by pomy(le%, \*e wydaje proszone przyj cie. Na pi knie nakrytym stole po3yskuj# eleganckie srebra, z g3o(ników s#czy si# 3agodna muzyka, pa-l# si# (wiece. Patrz na swoj# pomi t# koszul i wyp3owia3e d\*insy i zaczynam mie% cholerne wyrzuty sumienia. Zaraz jednak si# uspokajam: przecie\* to tylko Chloe. M3g3bym mie% na sobie habit zakonnicy i kow-bojski kapelusz, a j# i tak guzik by to obesz3o. Zjawia si# po chwili z przystawkami i u(miechem szerokim jak Wielki Kanion. I zaczyna mó-wi%, nie milkn#c nawet na sekund . Przez ca3y posi3ek zgrabnie aiz#p1113300

—To znaczy?

—Bo ja wiem? Kobiety. Wydawało mi się, że nie mają przede mną tajemnic, że je rozgryzęm.

—A teraz zmieniłeś zdanie?

—Nie. Ale nie potrafię się w tym znaleźć. — Opowiadam jej, jak to Amy nie odpowiada na moje telefony, o niedzielnej krucjacie. Nawet o tym, na czym ostatniej nocy przyjął mnie Matt.

—Och, bądź inne — zapewnia mnie. — Podobasz się dziewczynom. Na pewno kogoś sobie znajdziesz.

Zamykam na chwilę oczy, ale jedyny widok, jaki mi się pojawia, to obraz Amy płaczącej na skraju drogi.

—Nie chcę nikogo. Żadnej innej.

Chloe przewraca oczami i szturcha mnie w bok.

—Och, przestań dramatyzować. Takie jest życie. Dostajemy kopa, ale podnosimy się i zaczynamy od nowa. Tak to działa. — Kładzie swoją dłoń na mojej. — Będziesz musiał się z tym uporać, Jack — wzdycha. — Nie przyjdzie ci to łatwo, ale prędzej czy później okaże się to jedynym wyjściem.

—Och, Chloe, to takie trudne. Cholernie trudne. Głaszcze mnie po włosach.

—Wiem, kochanie — przyznaje. —Wiem dobrze. Ale jakoś sobie z tym poradzisz.

—Nie bardzo tylko wiem jak. Milczymy przez chwilę, potem ona dodaje:

—Jeśli chcesz, mogę ci pomóc.

Obracam się do niej. Jej twarz znajduje się tuż obok mojej.

—Jak?

Zbliża się jeszcze bardziej i szepcze:

—Na przykład tak. — I całuje mnie w usta.

—Przestań — ucinam i odsuwam ją od siebie. — Nie o to mi chodzi.

Chyba ją przekonałem. Prostuje się i nie patrzy na mnie, zapala papierosa.



— Przepraszam — mówi i obraca się do mnie. Wyraźnie się zaczerwieniła.

—Chloe, przecie\* jeste(my przyjaciółmi — przypominam najłagodniej, jak potrafi . — Dobrymi przyjaciółmi. Ale nic poza tym.

—Wiem. Jestem głupia. Chyba za du\*o wypiąam. — Jakby na dowód, wstaje, chwyta swój kieliszek i napełnia go po brzegi. — Jeszcze raz przepraszam.

—Nie ma sprawy — zapewniam ją# szczerze. — To się nigdy nie wydarzyło.

—Tyj# autentycznie kochasz, prawda? — pyta, gdy wypala papierosa do końca.

—Tak, naprawdę .

— W takim razie napisz do niej. Powiedz jej, co czujesz. Mo\*e to ci coś pomo\*e. Warto spróbowa%, skoro wszystko inne zawiodło.

—Tak zrobi .

—Obiecujesz?

—Obiecuj . Zrobi to jeszcze dzisiaj, a jutro wy(ł . Chloe podchodzi, nachyla się i całuje mnie w policzek. Potem prostuje się i z u(miechem kręci głowę#.

— Nie(lubne dziecko Bon Joviego. Słowo daj , Jacku Ros-siter, co z ciebie za cholera?

Kiedy wracam, Matt jeszcze nie (pi, ale siedzi w kuchni i czyta gazetę .

— Wcze(nie wróci( — zauwa\*a. — My(łałem, \*e przegadacie ca3# noc.

Przysiadam na krawędzi stołu. Nie mam zamiaru opowiada% mu, co zaszło u Chloe. Sprawa uznana jest za nieby3#. Zreszt# to i tak nie mia3oby sensu. — Jestem wykończony.

— Zapewne przez to nocne koncertowanie?

U(miecham się do niego.—Wybacz. I dziękuję za doprowadzenie mnie do stanu u\*ywalności. Przydał mi się porządny kopniak w tyłek.

— Cała przyjemność( po mojej stronie. — Baczenie mi się przygl#da. — Doszedł( ju\* do siebie?

Kiwam g3ow#. — Tak. Nie, ale tak to bywa. Potrzebuj czasu.

— A tymczasem?

—Tymczasem?

—Tymczasem — o(wiadacza — zabawimy si .

—Zabawimy?

—Tak jest. Chyba jeszcze pami tasz, co to znaczy? Gdzie( wyjdziemy. Po(miejemy si . Mo\*e co( poderwiemy.

—Prawd mówi#c, Matt, to ostatnia rzecz, na jak# mam w tej chwili ochot .

—Nie mówi3em o tobie. Z tak# g b# nie mia3by( szans nawet u Dzwonnika z Notre Dame. Mówi3em o sobie.

Wstaj i ziewam. — Wszystko jedno, stary. Pozwolisz, \*e przez jaki( czas nie b d ci towarzyszy3.

— Nie ma sprawy. Daj ci czas do soboty. Poniewa\* w sobot wychodzisz. Razem ze mn#. Ruszamy na knajpy, a ja postaram si ci przypomnie%, co to znaczy dobrze si zabawi%.

Na g3rze siadam przy biurku z pi3orem w r ku. Przede mn# le\*y kartka papieru. „Kochana Amy" — zaczynam. Patrz na arkusik. W por3wnaniu z tym, co chc napisa%, wydaje si taki malutki. Mimo to nie poddaj si . Lecz ka\*da kolejna pr3ba ko1czy si niepowodzeniem. Poniewa\* nie wiem nawet, jak zacz#% pisa% o mojej mi3o(ci do niej, o t sknocie ani jakimi s3owami wyt3umaczy%, co tamtej nocy naprawd si wydarzy3o Jest jeszcze jedno: nie chc tego ko1czy%. A ten list oznacza w3a(nie koniec. Co do tego nie mam najmniejszych w#tpliwo(ci. Ja si poddaj . Cokolwiek si dalej wydarzy, zale\*y ju\* tylko i wy3#cznie od niej.

## AMY

— Je\*eli s#dzisz, \*e uda ci si mnie wyci#gn#% do jakiego( klubu w sobot , to jeste( w wielkim b3 dzie — powtarzam po raz ostatni.

H obejmuje ustami szyjk butelki z piwem i z desperacj# spogl#da na mnie z drugiego kra1ca sto3u.

— Nie b d dobrym kompanem. Nie jestem w nastroju do zabawy — tłumacz dalej, jednocze(nie k3ad#c resztk kormy na kawa3ek chlebka i pakuj#c to wszystko do ust.

Siedzimy na dywanie w moim pokoju, pomi dzy nami walaj# si pozosta3o(ci po indyjskim jedzeniu na wynos. H upar3a si wcze(niej, \*e-by(my co( zjad3y, bo wed3ug niej za bardzo schud3am po tragicznych wydarzeniach minionego tygodnia.

Nie mia3abym nic przeciwko temu.

H g3o(no czka i odpina guzik w d\*insach.

—O czym dyskutowa3y(my przez ostatni# godzin ? — pyta, ale nie czeka, a\* jej odpowiem. — O tym, \*e musisz \*y% dalej. Nie mo\*esz wiecznie tkwi% zawieszona w pr3\*ni.

—Wcale nie tkwi — protestuj ze znu\*eniem. Opieram si o kanap i wbijam wzrok w sufit.

—Ot3\* tu si mylisz. Ca3y bo\*y czas sp dzasz w pracy...

—Przecie\* to moja nowa praca! — przerywam jej.

—Bzdury! Po prostu unikasz w ten spos3b my(lenia o Jacku. Musisz si z tym jako( upora%. A najbardziej pomaga w tym wyj(cie mi dzy ludzi i dobra zabawa. Patrz, wej(cie jest za darmo.

To jaki( nowy bar, z muzyk# i ta1cami. Musimy tam i(% , bo zabawa na pewno b dzie przednia.

Podciagam kolana pod brod i obejmuj je r kami. H przez cały czas tokuje. Zaczyna mi si robi niedobrze. By mo\*e dlatego, \*e w\*a(nie poch\*on \*am ilo(% jedzenia zdoln# wykarmi% ca\*# populacj Milton Keynes, cho% mo\*liwe te\*, \*e jest to kolejny atak md\*o(ci, jaki odczuwam za ka\*dym razem, gdy kto( przy mnie wspomni o Jacku.

Nie mam do H pretensji za jej praktyczne podej(cie. To zrozumia\*e, \*e tak usilnie namawia mnie do wyj(cia. Przez cały ostatni tydzie1 gni\*am jak zapomniana resztka jedzenia pod kuchenk#. Gdyby role si odmieni\*y i to H sta\*a na kraw dzi przepa(ci, zachowywa\*abym si tak samo jak ona w tej chwili. Te\* bym j# namawia\*a do utopienia wszystkich smutk\*ow. Ale dlaczego tak si uczepi\*a tego cholernego baru?

Wol po\*re% w\*asn# g\*ow .

Wiem, \*e jestem pod\*a, ale H nie jest tak do ko1ca altruistk#. Po prostu Gav gdzie( wyje\*d\*a i H postanowi\*a nie dopu(ci%, \*eby bawi\* si lepiej ni\* ona. Oznajmi\* niespodziewanie, \*e jego firma organizuje tygodniow# wyjazdow# imprez dla pracowników. Ma to im pomoc lepiej si pozna% i wzajemnie do siebie zbli\*y%, H jednak podchodzi do tego nad wyraz sceptycznie. Twierdzi, \*e wycieczki rowerowe i rozgrywki w golfa s# dla frajer\*ow.

Ja my(1 , \*e jest po prostu zazdrosna.

Sko1czy\*o si na tym, \*e kiedy wr\*o\*am z WzPR (Wakacj z Piek\*a Rodem), H postanowi\*a zaj\*#% si wszystkim. Naprawd uwielbiam j# ponad \*ycie i ceni sobie jej pomoc, tym razem jednak wola\*abym, \*eby si ode mnie odczepi\*a i da\*a mi (wi ty spok\*oj. Wcale nie chc poprawia% sobie nastroju. Wr cz przeciwnie, chcia\*abym umrze%. Ona jednak nie przyjmuje tego do wiadomo(ci.

Nie ma o niczym poj(cia.

Po pierwsze, sk\*d jej przysz\*o do g\*owy, \*e staram si nie my(le% o Jacku? Przecie\* ja przez cały tydzie1 nic innego nie robi , tylko o nim my(1 . Prawd mówi#c, wkurza mnie, \*e ani na u\*amek sekundy nie mog o nim zapomnie%. Zacz \*am si nawet zastanawia%, czy nie przyda\*aby mi si terapia elektrowstrz#sowa.

Jest ze mną przez cały dzień, w nocy tak\*ę mnie nie opuszcza. Próbowałam już\* wszystkiego, \*ęby się go pozbyć. Rzuciłam się na nową pracę niczym matador na szalejącego po arenie byka, \*ęby jednak wykonać najprostszą rzecz, muszę się maksymalnie skoncentrować. Wystarczy chwila nieuwagi, a wszystko natychmiast wraca.

Jak w tej chwili.

—Och, kochanie — H wzdycha z rozpaczą. Nachyla się i ujmuje mnie za rękę. — Przestał.

—Przepraszam, ale nic nie mogę na to poradzić — mówi przez żyły, które znowu zaczynają\* mnie dąawić. Skąd tyle ich się bierze? Bardzo chciałabym wiedzieć. Przecież\* to niemożliwe, \*ęby jeden człowiek nosił w sobie taką obfitość wody.

—Posłuchaj. Właśnie dlatego wszystko musimy zaplanować. Przecież\* nie możesz siedzieć tu i zapakować się przez cały weekend.

—Mogę — szlocham, zupełnie już\* nad sobą nie panuję.

—Zajechała\* już\* na (mierzą *Winner Takes It All*. Pociągami głośno nosem.

—Lubi Abb.

H robi do mnie krzywą minę.

—Powinnaś więcej wychodzić.

—Zamknij się.

Wzdycha hałaśliwie, co jest wyrazem głośnej bokiej troski.

— Wiesz co, zażość się, \*ę Jack nie czuje się nawet w połowie taki nieszczęśliwy.

Znowu wkracza na wojenną (ciekawe. Zachowanie Jacka potraktowała jako osobistą zniewagę. Przestałam nawet \*ażować, \*ę nie zdążyli się poznać. Gdyby, nie daj Boże, natknęła się na niego w miejscu publicznym, jestem pewna, \*ę co najmniej by go zgarotowała. Już\* sobie wyobrażam artykuł w „Evening Standard:”

M47CZYŻNA ZAATAKOWANY  
W KOLEJCE DO KASY

Dzisiaj, w godzinach rannych dwudziestosiedmioletni rozpustnik, Jack Rossiter, został brutalnie pobity paczką mroźnego groszku w hipermarkecie Tesco. Pozbawiona jakichkolwiek wyrzutów sumienia Helen Marchmont z Brook Green zaprzeczyła, jakoby cierpiała na chwilową niepoczytalność. „Zaszuć sobie na to”, krzyczała do wstrząsniętych kupujących, gdy policja eskortowała ją na posterunek na Shepherd's Bush. Po trwającej dwie godziny operacji usunięcia mroźnych warzyw z ciała, Jack Rossiter został zwolniony ze szpitala. Lekarze obawiają się, że może utykać już do końca życia. Mimo to, pod wpływem słów panny Marchmont, rozwścieczony tłum, uzbrojony w różnego rodzaju warzywa, zebrał się w pobliżu miejsca schadzki kochliwego kawalera i trzeba było wzywać siły szybkiego reagowania...

Potakuj głowami i wycieram nos, żeby jakoś uspokoić H. Zasłanianiem twarzy rękawiczkami kuchennymi po czym równie dlatego, że nie chcę dopuścić, aby H zgadła, co tak naprawdę myśli. Ponieważ nie chcę się do tego przyznać, podobnie jak nie chcę jej powiedzieć, że Jack czuje się równie nieszczęśliwy jak ja — mógł się założyć o wszystko. A może nawet cierpi dziesięć razy mocniej. I mimo iż zranił mnie bardziej, niż sama przypuszczam, myśli, że on cierpi, unieszczęśliwia mnie jeszcze bardziej.

Wyzwolona kobieta lat dziesięćdziesiątych? Chyba nie do końca.

— Nie chcę rozmawiać o Jacku — oznajmiam. — Zostawmy to.

H jednak jeszcze nie skończyła.

— Jakoś nie skomli pod twoimi drzwiami i nie błaga ci o przebaczenie — zauważa.

— To prawda, ale...

— Kilka razy zadzwonił i potem co? Nic. Więcej nie próbował. Złamał ci serce i gównem go to obchodzi. Według mnie, szacunek należy się każdemu, a jego zachowanie z szacunkiem niewiele ma wspólnego.

Zwieszam głowami w milczeniu. Ma rację, ja nie mam żadnych argumentów, ale mimo to i wbrew sobie wciąż zajmuję pozycję obronną.



H o tym wie.

—Halo? Amy? Przecie\* ci zdradził.

—Nie spał z nią.

—Ach, więc wszystko jest w porządku? Chcesz, \*eby wrócił?

Przyciskam dłoń do skroni. Jak mogłoby być na to pytanie? Ponieważ\* moje serce krzyczy TAK. Pewnie, \*e chcę, aby wrócił. Od powrotu z Grecji przeszłam wszystkie stadia emocjonalne od niepokonanej wściekłości, poprzez oburzenie, aż do totalnej depresji, nie zmienia to jednak faktu, \*e za nim tęsknię. I kocham go.

Poprawka.

Kochałam.

Mimo to chcę, \*eby wrócił. Ale \*eby wrócił Jack, z którym kochałam się na plaży. Jack, który w nocy trzymał mnie w objęciach. Jack, który roz mieszał mnie do żel i sprawiał, \*e wszystko było wspaniałe.

Nie chcę natomiast Jacka, który potrafił przespać się z Sally McCullen, po czym przez cały tydzień mnie okłamywał.

I tu jestem w kropce.

Ponieważ\* obydwaj Jacki to jedna i ta sama osoba. H marszczy brwi.

—Je\*eli zrobił to raz, na pewno nie raz jeszcze powtórzy — ostrzega.

— Z takimi facetami to normalna.

—Wiem.

Teraz oczywiście zrobi wykład o chorej miłości.

—Je\*eli marzy ci się związek, w którym nie możesz facetowi zaufać, proszę bardzo, wal jak w dym. Ale nie przychodź do mnie wypłakiwać, kiedy coś będzie nie tak.

—Przecie\* wiesz, \*e wcale tego nie chcę.

—Nie ma nic ważniejszego od zaufania — peroruje dalej H — Bez niego każdy układ jest poroniony. A Jack właśnie nie je zabił tak sobie, po prostu. Wiem, ci \*ko się z tym pogodzi, ale z czasem będzie coraz mniej bolało.

—Naprawdę?

—Jasne.

— Dlaczego w takim razie jestem taka skołowana?

—Poniewa\* wydaje ci si , \*e za nim t sknisz. Ale tak naprawd bra-  
kuje ci tylko tego, z czym ci si jego obecno(% kojarzy3a: poczucia bez-  
pieczelstwa i takich tam.

—Och — mruzc . Mam wra\*enie, jakby w3a(nie wyt3umaczy3a mi  
matematyczn# zagadk , a ja dalej niczego nie kapuj . Potrafi by% na-  
prawd wkurzaj#ca, kiedy ogarniaj# zapas3 terapeutyczny, a wszystko  
wskazuje na to, \*e dopiero si rozkr ca.

H wstaje. Chwyta mnie za r k i podrywa na nogi.

—Hej, co wyprawiasz? — protestuj . Wlecze mnie do 3azienki i zapa-  
la (wiat3o.

— Prosz bardzo — mówi ze skrzy\*owanymi na piersiach r kami.  
G3ow# pokazuje lustro nad umywalk#. — Co widzisz?

Widz w nim odbicia nas obu. Ja mam opuchni te oczy i generalnie  
wygl#dam, jakby kto( twarz# przeci#gn#3 mnie po \*ywop3ocie. Na doda-  
tek na brodzie wyrós3 mi pryszcz wielki jak ca3y Manchester.

—H, to g3upie — j cz .

—Wcale nie.

Przewracam oczami i patrz na ni# w lustrze.

— Co chcesz, \*ebym powiedzia3a?

Nie reaguje na moje pytanie. Ona te\* si na mnie gapi.

—Prosz pa1stwa, oto Amy Crosbie, dziewczyna, która uwielbia, jak  
kto( nasra jej na g3ow , poniewa\* znacznie bardziej przera\*aj# samot-  
no(% . Zgadza si chodzi% z k3amliwym draniem, który nie potrafi wy-  
zna%, \*e j# kocha, zabiera j# na wakacje i wreszcie nieomal pozbawia  
\*ycia, po czym, \*eby ul\*y% swojemu sumieniu...

—Przesta1! — przerywam jej, bo czuj jak narasta we mnie w(cie-  
k3o(% . — Przecie\* si z nim rozsta3am, no nie?

H przygryza od wewn#trz policzki.

—Dok3adnie.

Przez bardzo d3ug# chwil mierzymy si wzrokiem. Wracam my(lami  
do wakacji, ale Jack ograbi3 mnie ze wszystkich dobrych wspomnie1,  
poniewa\* to, co zrobi3, sprawi3o, \*e najlepszy tydzie1 w moim \*yciu sta3  
si niewa\*nym, nic nie znacz#cym epizodem. A co by3o w tym wszyst-

kim najgorsze? Zachowałam si jak kompletna idiotka, której nawet przez my(l nie przeszło, \*e jej facet nosi w zanadrzu bomb mog#c# rozzerwa% nas na strz py. Wreszcie zaczynam rozumie%, o co H chodzi.

—Masz racj — mówi .

—On na ciebie nie zasługuje. Wzdycham i kiwam głow#.

—To prawda.

H obejmuje mnie i dżugo do siebie tuli. Potem wracamy do pokoju, gdzie H usuwa w k#t wszystkie opakowania po naszej kolacji.

— OK. To by było na tyle. Moja panno, nie \*ycz sobie wi cej \*adnych smutnych min — o(wiadacza, podchodzi do wie\*y i nastawia pżyłt .

— Specjalnie dla ciebie — mówi i podkr ca gło(no(% . — Kiedy si bałam, byłam przera\*ona — (piewa i wykrzywia si , na(laduj#c Toma Jonesa.

Wie, \*e jej terapia poskutkowała, ale \*eby nie zostawia% niczego przypadkowi, robi to co zwykle. Roz(miesza mnie.

—Och, tyle nocy si nad sob# rozczulałam — wyznaj i czuj , \*e w tej chwili bardzo j# kocham. H wskakuje na kanap i wci#ga mnie za sob#. Wydzieramy si , przedrze0niaj#c Glori Gaynor i ta1cz#c szalony taniec, cho% miejsca jest zdecydowanie niewiele.

—Odejd0 teraz! Wyjd0, nie obracaj si , ju\* ci tu nikt nie chce! — Grozimy sobie nawzajem palcami. Nastrój mi si poprawia niesamowicie.

—Czy to nie ty chciae( mnie swymi kłamstwami zrani%? — (piewam i przykładam r ce do serca. — I co? Czy si załamalam? Umarłam?

9piewamy „Prze\*yj " tak gło(no, \*e nie od razu słysz dzwonek domofonu. Zeskakuj z kanapy i (ciszam muzyk . Pot zalewa mi oczy.

—Słyszała( dzwonek? — pytam H i p dz do domofonu.

—Nie.

Chwil wydzieram si do domofonu, poniewa\* jednak nikt nie odpowiada, zbiegam po schodach do drzwi wej(ciuowych. Kiedy je otwieram, jestem prawie bez tchu. Wygl#dam na ulic , nikogo jednak nie widz . Zamykam drzwi i na nowo zapalam czasowe (wiatło na schodach. Na wycieraczce le\*y list.

Wracam z nim do mieszkania, a serce mi t#ucze jak oszala#e.

— Co to jest? — pyta H. Wyra#nie przestraszona, wy#cza wie\* . W mieszkaniu nagle robi si# dziwnie cicho.

—List — odpowiadam. — Od Jacka. Patrz to na list, to na ni#.

R ce mi si# trz s#.

Mog#am si# by#a domy(li%, \*e dopadnie mnie, gdy zaczn# do siebie dochodzi%.

—On ci to da#? — pyta H.

—Nie. Znalaz#am go na wycieraczce.

H podchodzi i obie przygl#damy si# kopercie. Jest na niej napisane charakterem pisma Jacka: *A. CROSBIE, MIESZKANIE NA NAJWY#SZYM PI#TRZE*. Napisa# to zielonym d#ugopisem.

A. Crosbie.

Nie Amy Crosbie.

Albo tylko Amy.

Nawet nie narysowa# znaczka.

A. Crosbie — to mo\*e by% ka\*da Crosbie.

Nawet m#j bankier adresuje listy do mnie A.L. Crosbie. Amy Lauren. (Kiedy si# urodzi#am, tata mia# lekkiego bzika na punkcie Lauren Baccall.)

Wpatruj si# w list, staraj#c si# odgadn#% jego tre(%). Obracam go. Na odwrocie nie ma nic. W#cham kopert . Nawet nie pachnie wod# po go-  
leniu.

To tyle, je(li chodzi o moj# pachn#c# m \*czyn# korespondencj .

—Przeczytasz? — pyta H.

—Nie wiem.

Bo nie wiem. Nie wiem, co robi%. Nie jestem pewna, Olj#nios to, co Jack ma mi do powiedzenia. Przecie\* mog si# wtedy poczu% jeszcze gorzej. Chyba nie mam si#y przeczyta%, \*e podj #am w#a(ciw# decyzj . Podobnie jak tego, \*e w#a(nie zacz#3 si# spotyka% z Sally McCullen. Nie chc# te\* pozna% \*adnych plugawych, (liskich szczeg#b#w. Nie chc# mie% do czynienia z niczym, co sprawi, \*e znowu wyda mi si# realny.

H dotyka mojego ramienia.

—Zastanów się. Czy może w tym liście być coś, co sprawi, że poczujesz się lepiej?

Gdyby nawet było, i tak jest nieprawdopodobne: „Amy, kochanie, kłamałem. Z Sally do niczego nie doszło... To było tylko „art“.

Gdyby nawet jednak wszystko odszczekał, nie na wiele by się to zdało. Wycierpiałam tak wiele, że nie mogłabym myśleć o nim inaczej, jak o głupim dupku.

—Nie — odpowiadam zdecydowanie. — Zresztą, jeżeli ma mi coś do powiedzenia, powinien zrobić to osobiście. — Celowo zapominam, że nie dałam mu szansy na powiedzenie czegokolwiek osobiście. Ale to szczegół bez znaczenia.

Chodzi o zasady.

—Doskonale. — H zaciera ręce. — Czas na dokonanie egzorcyzmów. Pozbądźmy się go na dobre. Przynieś piwo. No, rusz się. Bądź mi asystową. — Wyrywa mi list z ręki i idzie z nim do kuchni. Ze zlewomywaka bierze gumowe rękawice. — Patelnia! — rozkazuje jak chirurg przy stole operacyjnym.

Wyciąga rękę, więc zrywam patelnię z wieszaka i podaję jej. Nie patrzy na mnie.

—Benzyna do zapalniczek — mówi dalej. Kiedy bierze butelkę z półki na przyprawę, zaczynam chichotać. H rzuca list Jacka na patelnię. Spogląda na mnie przelotnie, a ja w jej oku dostrzegam diabelski błysk.

Kiwam głową.

H odkręca butelkę z benzyną i polewa cały list.

—Zapałki!

Wrzucam jej pudełko z zapałkami, czuję się przy tym, jakby ona była Thelma, a ja Louise. H zapala zapałkę i dramatycznym gestem wrzuca ją do patelni. List Jacka bucha płomieniem. Odskakujemy i kurczowo się nawzajem obejmujemy.

—Nie wierz, że to zrobiła! — mówi przez ściśnięte gardło.

—Wyrzuciłyśmy go z twojego życia na dobre — oświadcza H i stuka się ze mną butelką z piwem. — Na wieki wieków.

—Na wieki wieków — powtarzam za ni#, chocia\* w g3 bi ducha wcale nie jestem taka szcz (liwa, jak na zewn#trz udaj . Co prawda odprawi3y(my w3a(nie nasze bia3e czary, ale w (rodku wci#\* dwie Amy — feministka, po\*eraczka m skich serc i heroina melodramatu — walcz# mi dzy sob# o lepsze.

Po\*eraczka: Jestem kobiet# wyzwolon#. Jestem wolna. Jack Rossiter nie jest mi do niczego potrzebny. Nale\*y ju\* do historii.

Heroina: By3 tu dzisiaj. Sta3 przed moimi drzwiami. Oddychali(my tym samym powietrzem.

Po\*eraczka: Ju\* kiedy( by3am sama. Teraz te\* mog . Mam swoje zasady, a Jack Rossiter nie potrafi im sprosta%.

Heroina: T skni za nim. Czy on za mn# tak\*e? Co napisa3 w swoim li(cie?

Po\*eraczka: Pozwoli3, \*eby Ta Suka Sally McCullen mu obci#gn 3a. C3\* wi cej mog powiedzie%? Z tego si nie wywinie, cho%by nawet by3 poetyckim laureatem Nobla.

—Ciesz si — zapewniam g3o(no.

Lecz jaki( czas p33niej, po wyj(ciu H, kiedy myj z by, dochodz do wniosku, \*e wcale si nie ciesz . Id do kuchni i spogl#dam na patelni . Wk3adam pokryt# pian# szc3oteczki do ust i bior zw glony list do r ki. Odrywaj# si od niego czarne p3atki i 3agodnie wyp3ywaj# przez otwarte okno.

Dlaczego post#pi3y(my tak bezmy(lnie? Przecie\* chc wiedzie%, co Jack napisa3. Ciekawi mnie, jak stara3 si wyt3umaczy%. Pragn , aby jego g3os zabi3 cisz panuj#c# w tym mieszkaniu, cho%by wypowiedane s3owa by3y nie wiem jak bolesne. Jaka( cz (% mnie ma (wiadomo(% , \*e moja s3abo(% wynika z samotno(ci, lecz instynkt okazuje si silniejszy od zdrowego rozs#dku Po raz pierwszy od powrotu z Grecji robi to, czego poprzysi g3am sobie nie zrobi% nigdy wi cej. Podnosz s3uchawko telefonu i dzwoni do operatora. Kiedy( odkry3am, \*e wystarczy przed w3a(ciwym numerem wykr ci% 141 i wtedy ten, do kogo si dzwoni, nie ma szansy doj(% , jaki numer chcia3 si z nim po3#czy%. Robi tak teraz.



Dzwoni do Jacka, chocia\* nie wiem, co powiem. Nie mam poj cia, jak mu wytłumacz , dlaczego spaliłam list. Ale chc usłysze% jego głos.

Odbiera po pierwszym sygnale i, jak podejrzewałam, na d0wi k jego głosu serce podskakuje mi do gardła.

— Halo? — mówi. Brzmi podejrzanie normalnie. Nie żka rozdzieraj#co, nie przechodzi załamania nerwowego. Nawet nie sprawdza, kto dzwoni. Czy to znaczy, \*e si czyjego( telefonu spodziewa?

—Czy to ty? — pyta cicho po krótkiej pauzie. Ty? Kto to jest „ty”, do cholery?

Jestem tak wstrz#(ni ta, \*e dopiero po dłu\*szej chwili dociera do mnie, \*e mo\*e chodzi o mnie. A je(li „ty” znaczy „ja”, jak „(mie” tak jawnie demonstrowa% samozadowolenie? Có\* on sobie wyobra\*a? 7e podrzuci mi list pod drzwi i zaraz wszystko b dzie jak dawniej? 7e do niego zadzwoni i od razu przebac? Nagle mi si przypomina, \*e usta mam pełne piany, wi c tylko gulgocz gło(no i z hukiem odkładam słu-chawk . Przynajmniej si nie dowie, \*e to ja dzwoniłam.

Dzi ki Ci, Bo\*e, za technologi .

Makija\* nie pomaga! Tragedia!

Jest pi#tek rano. Nażo\*yłam tyle warstw korektora pod oczy i na nos, \*e wygl#dam jak Mrówka Z, a wory pod oczami jak były, tak s#. Dlaczego nie mog spa%? To nie fair. Kiedy( potrafiłam zasnąć% zawsze i wsz dzie. Wszystko przez tego cholernego Jacka. Je(li ta bezsenno(% nie minie, b d musiał si gn#% po valium.

Wykrzywiam si do swojego odbicia w lustrze. To bez sensu. I tak wygl#dam jak dziewczyna z antynarkotykowych plakatów.

Bior klucze i kiedy mam ju\* wychodzi% do pracy, dzwoni mama.

— Kochanie, jak si czujesz?—pyta. Wyczuwam, \*e gotowa jest na porann# porcj *Zrozpaczonych córek*, opery mydlanej z \*ycia wzi tej.

Chocia\* jej intencje s# dobre, nie potrafi opanowa% irytacji. Pocieram czoło, my(l#c, jaka byłam głupia. Wiedziałam, \*e tak si to skołczy. Nie powinnam być, niczym rozhisteryzowana trzynastolatka, gna% do niej prosto z lotniska. Wtedy jednak bardzo mi to pomogło. Po rozstaniu z

Jackiem nie potrafiłabym pój(ć) nigdzie indziej. Mama jest jedyn# osob# na (wiecie, która w takich chwilach potrafi cz#owieka ukoi%.

A moja stawi#a czo#o wyzwaniu z nieskrywan# rado(ci#.

Zrobi#a mi gor#c# czekolad , zapakowa#a do mojego starego #ó\*ka i u(pi#a monologiem o wszystkich nieszcz (ciach ludzko(ci. W niedziel pozwoli#a mi spa% do pó0na, potem przynios#a do #ó\*ka (niadanie, wypra#a wszystkie rzeczy i futrowa#a przez ca#y dzie1, a\* j edynym moim marzeniem sta#a si ucieczka. Kiedy w niedziel wieczorem wróci#am do domu, mia#am w sobie do(ć si#y, by na nowo rzuci(ć (wiatu wyzwanie.

Jestem jej bardzo za to wszystko wdzi czna, chocia\* teraz \*a#uj troch , \*e tak bez reszty wtajemniczy#am j# w swój emocjonalny kryzys. W ko1cu mam dwadzie(cia pi % lat, wystarczaj#co du\*o, \*eby samej rozwi#zywa% swoje problemy.

—Bardzo dobrze — mówi . — Naprawd .

— Jeste( pewna? Je(li chcesz, mo\*esz przyjecha% do domu na weekend.

—Nie, mam tu troch spraw do załatwienia. Nie s#ucha mnie.

— Zzap dzisiaj po pracy poci#g i przyje\*d\*aj. Ugotuj co( dobrego — kusi.

Wszystko ju\* sobie zaplanowa#a. Zamykam oczy i staram si by% mi#a. Nie potrzebuj ju\* chroni% si pod p#aszczykiem jej troski. To zbyt klaustrofobiczne prze\*ycie. Poza tym najgorsze, mam ju\* za sob#, prawda?

Ale nie mog by% dla niej niegrzeczna. Odk#d dosta#am prOfij zacz #o si mi dzy nami lepiej uk#ada% i przesta#a mnie zadr cza% Nie chc tego popsu%, rozdra\*niaj#c j#.

Poradz sobie.

—Przepraszam ci , ale naprawd nie mog . Obieca#am, \*e jutro wyjd razem z H. My(l , \*e troch rozrywki dobrze mi robi.

Zadziwiaj#ce, z jakim przekonaniem to powiedzia#am. W zasadzie to ju\* kombinowa#am, jakby tu si wykr ci% od planów H, ale wobec propozycji mamy nagle wyda#y mi si one wprost idealne.

—Kochanie, jeste( pewna?

—Jasne, ale i tak dzi kuj . Jeste( bardzo kochana — dodaj .

—Od czego ma si matk ? — dodaje, wyra0nie zadowolona, a mnie si upiek3o.

Zamykam w3a(nie drzwi, kiedy spotykam Peggy, moj# s#siadk . Peggy ma co najmniej ze sto pi %dziesi#t lat i jest na3ogow# okienn# podgl#daczk#. Mo\*na powiedzie%, \*e sta3a si zawodow# Stra\*niczka# S#siedzka#. Mam wra\*enie, \*e czyha3a na mnie od paru dni.

—Kochanie, ten wariat si jeszcze odezwa3? — pyta.

—Jaki wariat?

—No, ten obszarpaniec, co si tu kr ci3 ca3# niedziel .

—Co za obszarpaniec? — pytam, bo wci#\* nie bardzo wiem, o co tym razem jej chodzi.

—Och! Wygl#da3 okropnie! — wyja(nia pogardliwie, poprawiaj#c jednocze(nie farbowan# na niebiesko fryzur . — By3 kompletnie przemoczony. I wydziera3 si do domofonu. Powiedzia3am Alfowi. Mówi mu: „Trzeba si go pozby%”. Wystaje tu przez ca3y dzie1. My(lisz, \*e si ruszy3? Gdzie tam! Ca3y czas gapi si w to cholerne pud3o!

Wspaniale, o niczym innym nie marz , tylko o poznaniu telewizyjnych upodoba1 Alfa.

—Nic mi o tym nie wiadomo — zapewniam, usi3uj#c j# wymin#%.

—W takim razie musia3 chyba pomyli% domy. — Peggy nie poddaje si 3atwo. — No i jeszcze to graffiti. Chcia3am nawet dzwoni% do rady miejskiej. Kiedy( to by3a taka mi3a okolica.

U(miecham si do niej blado. Pewnie chodzi jej o ten bzdurny napis, wymalowany przez jakiego( idiot na jezdni.

—Och, Peggy, te dzieciaki dzisiaj — stwierdzam i umykam. W drodze do pracy ca3y czas my(l o rewelacjach Peggy.

A je(li to Jack wydziera3 si do domofonu? Mimo wszystko budzi si we mnie poczucie winy. Przypominam sobie, jak kopn 3am go w jaja. Przed oczami staje mi jego podrapana twarz i to, jak nie chcia3am z nim rozmawia%. Przypomina mi si , jak wymazywa3am z sekretarki wszyst-

kie zostawione przez niego wiadomości i wreszcie zemsta ostateczna — wykreślenie numeru jego telefonu z listy Przyjaciół i Rodziny w British Telecom. Na koniec widzę scenę palenia listu.

Zaraz jednak słyszysz jego głos w telefonie i słowa H. Nie powinnam czuć się winna. Dlaczego, po tym, co zrobił, miałabym mu uwierzyć, nawet gdyby w swoim liście wyznał mi do zgonu miłość?

Za późno na to.

Zdecydowanie za późno.

Mimo to wciąż miotają mnie sprzeczne uczucia. Czemu wszystko musi być takie skomplikowane? Czemu życie nie może być proste?

Ponieważ łatwe jest tylko w teorii.

W teorii życie dzieli się na trzy kategorie: kariera zawodowa, życie uczuciowe i życie w ogóle (to znaczy dom, kumple etc.) Problem polega na tym, że jednocześnie z tych trzech mogą układać się pomysły. To jak konglerka. Kiedy byłem z Jackiem, życie uczuciowe i życie w ogóle nic nie pozostawiały do życzenia, kariera zawodowa natomiast wyglądała katastrofalnie. Teraz kariera kwitnie, życie w ogóle jest OK, życia uczuciowego za to nie ma wcale.

Koszmar!

Czy kiedyś miała wszystko?

Dopiero bezpieczna za swoim biurkiem trochę dochodzi do siebie. Uwielbiam tę pracę. Przez cały tydzień Jules pojawia się i znika, co w zupełności mi odpowiada. Nie zagląda mi przez ramię, dzięki czemu miałam czas nieco okrzepnąć w nowej roli. Dzisiaj czeka mnie z nim spotkanie, na którym mamy wreszcie wszystko ustalić. Prosi, abym zebrała swoje pomysły, i teraz, kiedy nadaj im ostatni szlif, czuję się naprawdę szczera (liwa. Przecież to moja pierwsza stała praca!

Nareszcie.

Mam etat.

I zamierzam na nim zostać jak najdłużej.

(Trzymam kciuki, że i Jules będzie podobnego zdania.)

Jestem tak pochłonięta pracą, że nie zauważam stojącej obok mnie Jenny. W ten weekend wybiera się na bal przebierańców i wciągnie na so-

\*yża kostium, który przygotowuje dla niej Sam. Ma na sobie (mieszni# peruk a la Kleopatra i bardzo seksowne koronkowe body.

— Jak wygl#dam? — pyta i okr ca si przede mn# na pi cie.

— Niesamowicie! — mówi ze (miechem. — Na bank kogo( pode-  
rwiesz. — Zauwa\*am, \*e na biurku stoi mój aparat. — Nie ruszaj si .

Jenny przybiera ró\*ne pozy, a ja robi jej zdj cia. Po trzecim kołczy si film. Przewijam go, a Jenny tymczasem (ci#ga peruk i mierzwi so-  
bie włosy. Przysiada na brzegu biurka i konspiracyjnie si ku mnie na-  
chyła.

— Mam na oku (wietnego dwudziestotrzylatka — szepcze. — Istny  
Leonardo Di. — Z komiczn# min# krzy\*uje na piersiach ramiona. —  
My(l , \*e co nieco uda mi si z niego uszczkn#%.

— Jeste( okropna — (miej si .

— Zawsze byżam, zawsze b d — u(miecha si do mnie. Chwil mi  
si przygl#da. — A ty? Lepiej si dzisiaj czujesz?

Jenny i Sam byży naprawd fantastyczne w tym tygodniu. Pewnie to  
bardzo z mojej strony nieprofesjonalne, \*e od razu pierwszego dnia  
opowiedziażam im wszystko o Jacku, dziewczynom jednak wcale to nie  
przeszkadzażo. Wr cz przeciwnie, robiży, co tylko si da, \*e bym nie po-  
padaża w przygn bienie. Andy nazywa nas czarownicami i za ka\*dym  
razem, gdy wracamy z przerwy na papierosa, wrzeszczy jak oszalaży:  
„Kryjcie si , chżopaki! Tylko patrze%, jak wampoobcinaj#jaja!" My od-  
powiadamy demonicznym wrzaskiem i (wietnie si bawimy, zwżaszcza  
od czasu, gdy Andy wpadż Sam w oko. Wyjmuj z aparatu film i patrz  
na Jenny.

— Wczoraj wieczorem podrzuciż mi list. Wykrzywia si .

— I?

— Spaliżam go. Nie czytaj#c.

— Moja dziewczynka—u(miecha si i przybija ze mn# pi#tk . —  
Wiedziażam, \*e nie jeste( gżupia. W twoim wieku nie ma sensu żama%  
sobie serca, zwżaszcza \*e mo\*na si tak (wietnie zabawi%.

— Nie martw si , bior przykżad z ciebie — mówi . — Jutro wycho-  
dz .

—Super—kiwa z aprobat# g3ow#.—Tylko pami taj: lepsza (mier% ni\* kompromis.

Za to j# podziwiam. Nie daje sobie wciska% \*adnego kitu. Robi, na co ma ochot , i nie ulega wp3ywom. Ma ju\* chyba ze trzydzie(ci lat, ale nigdy nie s3ysza3am, \*eby rozpacza3a z powodu braku faceta czy wpada3a w panik przez tykaj#cy nieub3aganie biologiczny zegar. A je(li ona si nie denerwuje, ja tym bardziej nie mam powodu.

Ja te\* mog by% jak Jenny.

Albo nawet lepsza.

I to o niebo.

W biurze panuje radosna, bo pi#tkowa atmosfera. Po raz pierwszy od powrotu z Grecji czuj , \*e znowu jestem sob#, i nie zostaj w tyle we wzajemnych przygaduszkach i \*arcikach.

O wpo3 do dwunastej Jules wzywa mnie do siebie. D3ugo omawiamy przygotowane przez mnie projekty, kt3ore wyra0nie mu si podobaj#. Zdradza mi swoje plany zwi#zane z Friers, z kt3orych cz (% zbie\*na jest z moimi pomys3ami, co bardzo dodaje mi wiary w siebie.

Moje akcje zdecydowanie rosn#.

— Chod0my co( zje(% — proponuje na koniec Jules. — Umieram z g3odu.

Ju\* mam przyj#% zaproszenie, gdy dzwoni jego \*ona. Zaczynam zbiera% swoje rzeczy.

— Nie mog — m3owi Jules do telefonu. — Zabieram moj# sekretark na lunch. Zobaczymy si p3o0niej. Kocham ci .

Dlaczego mnie nie mo\*e si trafi% kto( taki jak on? Dlaczego nie mog znale0% faceta uczciwego i przyzwoitego, kt3ory nie boi si swoich uczu%? Przecie\* gdzie( tacy musz# by%, czego Jules jest chodz#cym dowodem. Tylko gdzie?

W zwi#zkach ma3\*e1sit, l



—Witam pana. Co mam poda% do picia? — pyta. Jules u(miecha si do mnie.

—My(l , Tom, \*e szampana.

—Co to za okazja? — chc wiedzie%.

—Prze\*yli(my nasz pierwszy tydzie1.

Kiedy zjawia si szampan, Jules rozsiada si wygodnie.

—Jak leci?

— Wspaniale — odpowiadam. — Jestem autentycznie zachwycona.

Jules rozk3ada sobie na kolanach serwetk .

—Daj spok3j, Amy. Obserwowa3em ci przez ca3y czas. Ze zdziwie-  
nia otwieram usta.

—Wszystko jest w porz#dku — ci#gnie. — Nie podpuszczam ci .  
Pracujesz wspaniale. Po prostu martwi si o ciebie, to wszystko.

Nie wierz w3asnym uszom. Ilekro% by3 w pobli\*u, ze wszystkich si3  
stara3am si wygl#da% na najszcz (liwsz# na (wiecie.

—To a\* tak wida%?

—Niestety. Nigdy nie wiadomo, mo\*e uda mi si jako(  
pom3c, w ko1cu te\* jestem cz3owiekiem — m3wi, do przesady  
podkre(laj#c sw3j ameryka1ski akcent.

Potrz#sam g3ow#. Jest moim szefem, nie terapeut#. Poza tym jest face-  
tem. C3o\* on mo\*e wiedzie%?

—E, nie chc ci zanudzi% — t3umacz .

—Spr3buj.

C3o\*, skoro i tak ju\* wie, nale\*y mu si przynajmniej wyja(nienie. Bio-  
r g3 boki oddech, chwil patrz na niego i wreszcie opowiadam mu  
wszystko o Jacku, naszych wakacjach i o tym, jak si od tego czasu czu-  
j . Staram si , \*eby nie brzmia3o to zbyt powa\*nie, kiedy jednak zaczy-  
na zadawa% mi pytania, wyjawiam mu wszystkie, nawet te najgorsze  
szczeg33y.

—Co ci bardziej wkurza? Fakt, \*e to zrobi3, czy te\* raczej, \*e ci nie  
powiedzia3? — pyta Jules.

—Trudno stwierdzi%. Wiem tylko, \*e poniewa\* mi nie powiedzia3, ca-  
3e nasze wakacje — nasz zwi#zek — przesta3y cokolwiek znaczy%.

—W kołcu ci jednak wyznał, a z tego, co wiem, \*eby si na co( podobnego zdoby%, trzeba mie% nie lada jaja.

Powinam si byża domy(li%. Typowo m ska odpowied0. Nie mam ochoty wysłuchiwa%, jakie to Jack ma jaja. Z tego, co ja wiem, okazał si zwykłym tchórzem.

Podaj# nasze przystawki.

—Ja te\* kiedy( miałem romans — oznajmia Jules po chwili. Prawie si udławiam. Jules? Ten rodzinny człowiek? Pan

Deklaracje Miśo(ci Do 7ony W Biurze (przed lunchem)? On tak\*e?

—Ann wie o wszystkim.

—Powiedział( jej? — pytam z niedowierzaniem.

—Jasne, \*e tak.

—Jak to było? To znaczy — natychmiast si reflektuj — nie musisz mi mówi%.

—Mój romans był o wiele gorszy ni\* ten Jacka — przyznaje Jules. — Sypiałem z inn# kobiet# przez sze(% tygodni, a kolejnych sze(% zbierałem si , \*eby powiedzie% Ann.

—Dlaczego wszystkiego nie przemilczał( ? — staram si , \*eby w moim głosie nie wyczuł oburzenia.

—Co chcesz przez to powiedzie%? 7e znowu zdradzisz \*on ?

— Nie — milczy przez chwil . — Chocia\* nie \*ałuj tego, co si stało. Dzi ki temu wiem, co naprawdę czuj . Poza tym zrozumiałem, \*e nad zwi#zkiem dwojga ludzi trzeba nieustannie pracowa%, a nie pogr#\*a% si w błogim samozadowoleniu.

Składam razem nó\* i widelec na talerzu. Jestem kompletnie skożowana.

—To proste. Kochasz go? — pyta Jules.

—Ale...

— Je(li go kochasz, musisz si pogodzi%, \*e jest tylko człowiekiem. Przykro mi, Amy, ale to nie film.

Po powrocie do domu rozpakowuj zakupy i zbieram siży, \*eby obejrze% zdj cia z wakacji. W przerwie na lunch Jenny wywożała film i

przez całe popołudnie dr czyż mnie widok pliku zdj %. Zanim jednak zdobd si na ich przejrzenie, musz si wzmocni% kieliszkiem wina. Sama sobie obiecuj , \*e si nie rozklej .

Ledwie jednak je wyjmuj , zaczyna mi si robi% mi kko w dożku. Ogl#dam je, jakby byzy nie z tego (wiata. Wydaje mi si niemo\*liwe, \*eby byzy prawdziwe. O, tu jest Jack na skuterze, pi knie opalony, a tu ja na pla\*y, (pi . Wstrzymuj oddech, zdecydowana wytrzyma% do ko1-ca. Jednak ka\*de kolejne zdj cie rani coraz gż biej.

Obejrzaam ju\* prawie wszystkie i gotowa jestem sobie pogratulowa%, kiedy nagle trafiam na fotografie, na których jeste(my oboje. I wtedy puszcza# wszelkie hamulce. Poniewa\* na zdj ciach jeste(my razem.

Razem tak naprawd .

Zupełnie jak gdyby(my mieli ju\* tak zosta% na zawsze.

Stoimy przed tawern#, Jack obejmuje mnie jedn# r k#, a w drugiej, wyci#gni tej do przodu trzyma aparat. Byam pewna, \*e te zdj cia nie wyjd#. Myliam si . Kiedy mam je teraz przed sob#, serce p ka mi z bólu, bo na nich Jack patrzy mi w oczy, a moje uczucia a\* wida% w przestrzeni, jaka dzieli nasze twarze. On si u(miecha, stykamy si nosami, i nie mog ju\* wi cej patrze%. Poniewa\* czuj dotyk jego r ki na moim ramieniu i zapach jego skóry. Danej sobie obietnicy nie udaje mi si do-trzyma%.

Na mojej twarzy zamieszkał wodospad Niagara.

Pżacz chyba mnie u(piż, bo kiedy budzi mnie d0wi k telefonu, jest ju\* bardzo pó0no. Na wpó3 przytomna 3udz si , \*e to Jack. Niestety, dzwoni Nathan i chyba jest nie0le wlany.

Opowiada mi, jak to rzucił swoj# hiszpa1sk# dziewczyn dla argen-ty1skiej mistrzyni polo, potem o jakiej( panience z Glasgow. Do(% dżugo trwa, zanim dociera do niego, \*e ja nie mówi nic. Dochodzi do wniosku, \*e na pewno jestem strasznie na niego obra\*ona, zaczyna mnie wi c gorliwie przeprasza%, \*e nie móg3 zje(% ze mn# kolacji.

—Nie ma sprawy — mówi .

— Super — w jego g3osie s3ycha% ulg , \*e tak 3atwo mu si upiek3o. S3ysz , jak zaci#ga si papierosem. —Wakacje z kocha-siem si uda3y?

—Rozstali(my si . Chwila ciszy.

—O rany! To fatalnie!

Milcz . Wiadomo(% najwyra0niej „z3ama3a" mu serce.

—Spójrz na to z dobrej strony...

—A która to mianowicie? — przerywam mu nad wyraz grzecznie.

—Nie by3 do ko1ca w twoim typie.

U(wiadamiam sobie, \*e Nathan nie wiedzia3by, kto jest w moim typie, nawet gdyby ten kto( waln#3 go g3ow# w \*o3#dek. Prawd powiedziaw-szy, nawet by nie wiedzia3, czego ja chc . Pewnie by mu nawet nie przy-sz3o do g3owy zapyta%. Poniewa\* od czasu wyjazdu bardzo si zmieni3. Chocia\* nie, on jest wci#\* taki sam, zawsze by3 arogancki. To ja si zmieni3am. I chocia\* nie3atwo mi to przyzna%, zmieni3am si dzi ki Jac-kowi.

—Sk#d mo\*esz wiedzie%? Przecie\* nawet z nim nie rozmawia3e( — stwierdzam rozz3oszczona.

—Nie bardzo mia3em o czym — broni si .

—A kto o tym zdecydowa3?

—Hej! Nie wy\*ywaj si na mnie. Przepraszam, w porz#dku?

—Wszystko jedno. S3ysz , jak zaciska z by.

—Chyba niezbyt dobrze trafi3em. Zadzwo ni kiedy indziej. D3u\*s3# chwil trwa, zanim wreszcie si roz3#cza. Ciesz si , \*e zrobi3 to pierwszy; zaoszcz dzi3 mi wysi3ku.

—Cieniarz! —krzycz i z hukiem odk3adam s3uchawk . Jestem w(ciek3a.

Jak on (mie os#dza% Jacka? Co on wie? Zreszt# to i tak wszystko jego wina. Gdyby nie zachowa3 si w tak obrzydliwie niegrzeczny spos3b, Jack nie by3by zazdrosny. A gdyby nie by3 zazdrosny, nie wyl#dowa3by z Sally.

To jednak \*adne wyt3umaczenie.

M \*czy0ni!

Fuj!

Okropna z nich banda neandertalczyków. W ewolucji nie posunęli się ani o krok. Potrafią myśleć tylko o swoich fiutach i o swoich ego, co zresztą jest jednym i tym samym.

Króćcie głowę, nie mogą nadziwić się własnej głupocie. Nawet jeśli spojrzeć na Nathana oczami Jacka, tego ostatniego to nie rozgrzesza. Wszyscy oni, co do jednego, są tak cholernie do siebie podobni. Nathan, Jack... Nawet Jules nie potrafił nad swoim kutasem zapanować.

Czy jest jeszcze choć cień nadziei?

Popijam spory łyk wina prosto z butelki. Opieram łokcie na kolanach i chowam w dłoniach twarz. Na dywanie leży zdjęcie cie, a na nim Jack, oparty o skuter.

Biorę je z podłogi i długo się w nie wpatruję.

Nic dziwnego, może jest taki cholernie zadowolony. Nie tylko ta dziwka Sally najadła się do syta; on tak może ani przez chwilę sobie nie ażłował.

— Od dawna to planowałeś, Jack? Od czasu, gdy malowałeś ją nagie, udając, że wszystko to w imię sztuki? Pewnie cały czas miałeś na to ochotę, co?

Wciąż ten sam kretyłski uśmiech.

Znowu piję wino.

— No, powiedz, bardzo chciałabym wiedzieć, co się stało? Zaprosiłeś ją, prawda, bo wiedziałeś, że ja jestem z Nathanem? I co robiłeś? Ugotowałeś coś dobrego? Zabawiałeś ją rozmową? Czy stawałeś winem? Trzymałeś ją za rękę i patrzyłeś gdzieś bokiem w oczy? I co mówiłeś? Nie, nie, zaczekaj, sama zgadnę.

Kolejny spory łyk wina.

— „Jesteś piękna, jesteś niezwykła, masz najwspanialszy uśmiech na świecie”. Tak mówiłeś, Jack? Mówiłeś jej wszystko te rzeczy, które wcześniej opowiadałeś mi, bo byłeś napalony? Tak było? Chciałeś się z nią pieprzyć, bo jesteś mężczyzną i wszędzie musisz zostawić swoje nasienie? O to chodzi?

On się uśmiecha.

— A ona? Co robiła? Niechciej się przewróciła i wylądowała z twoim fiutem w ustach?

Zdjęcie zaczyna dygotać w moich rękach. Przyglądam się jego ustom.

— A jak się całowało? Bo całowało, prawda? I co jeszcze robiło? Pewnie ręce trzymało schowane za plecami. Na pewno wcale nie miało ochoty jej dotykać, przecież nie pytałam, czy może.



Dzisiaj zaczynam wszystko od nowa.

Od dzisiaj znowu jestem t# sam# co kiedy( Amy Crosbie. Koniec z rozczulaniem si i mazgajeniem. Nie ma po\*eraczki m skich serc.

Zostałam tylko ja.

Spokojna.

Wyciszona.

M#dra.

Dzisiaj odzyskam t swój# cz (% , w której dot#d niepodzielnie panował Jack. Od tej chwili będzie ona wypełniona wy#cznie my(lami o mnie samej.

O MNIE.

O MNIE.

O MNIE.

Odkopuj gdzie( ta(m z nagranyimi odg#osami wielorybów, któr# kupiłam w przelotnym okresie New Age w roku 1990, i przygotowuj sobie wielk# k#piel. Pora doprowadzi% umysł do porz#dku. Rozpryskuj wko#o siebie mydliny, wsadź wielki palec u nogi w kran i pozwalam p#yn#% swoim my(lom swobodnie. Ilekro% zbli\*am si niebezpiecznie do obszarów nawet minimalnie zwi#zanych z nim, natychmiast w#czaj # si syreny ostrzegawcze, a ja szybko si wycofuj .

Z pocz#tku nie przychodzi mi to #atwo. Ostro\*nie, na paluszkach zwiedzam zakamarki swojego umysłu, pilnuj#c si , aby nie otworzy% \*adnych drzwi wiod#cych do zakazanych obszarów pamici. Szybko jednak odkrywam, \*e mog my(le% o tysi#cach interesuj#cych rzeczy, jak na przykad o akcji w *Eastenders*, konkursie piosenki Eurowizji, kolorach, na jakie mog#abym pomalowa% (ciany, i wreszcie o zakupach.

Zakupy s# kluczem.

Po k#pieli długie godziny szykuj si do wyprawy z wszechpot \*n# kart# Visa. Depiluj nogi, wyskubuj brwi, nakładam na twarz maseczk , maluj paznokcie, godzinami susz i układam włosy, a kiedy nareszcie jestem gotowa, czuj si na nowo jak cz#owiek.

I wygl#dam jak cz#owiek.

Nie, wygl#dam wspaniale.

Chyba rzeczywi(cie, bo faceci usuwaj#cy graffiti z jezdni przed moim domem gwi\*d\*# na mój widok z nieskrywanym uznaniem. Ale na mnie nie robi to najmniejszego wra\*enia. W ko1cu to tylko faceci. Nie licz# si .

— Spada%!—krzycz do nich.

Musz przyzna%, \*e marny ze mnie kupuj #cy. Zazwyczaj wszystkie moje zakupy by3y raczej nie przemy(lane, dlatego te\* wola3am sobotnie popo3udnia sp dza% inaczej, na przyk3ad w pubie albo w3ócz#c si z by-3ym ch3opakiem. Ale dzisiaj i to si zmieni. Dzisiejszy dzie1 jest wy-3#cznie mój. I sp dz go na zakupach.

Po przeje(ciu pi ciu sklepów wyda3am z mojej Visy wi cej pieni dzy, ni\* kiedykolwiek uda mi si zwróci%, ale co tam.

Komu potrzebni s# m \*czy0ni, skoro wsz dzie tyle pi knych toreb na zakupy?

Jestem w3a(nie na New Bond Street, ca3kowicie pogr#\*ona w rozmy-  
(laniach nad pokazowo kosztown# sukienk#, kiedy wszystko bierze w 3eb. Trzymam sukienk przed sob# i przegl#dam si w lustrze, gdy nagle dostrzegam za swoimi plecami znajom# twarz.

Zamieram.

To Chloe.

Nie mam szans, je(li si porusz , ona natychmiast mnie zauwa\*y. Pa-  
trz na ni#, nie maj#c odwagi nawet mrugn#%.

Jak zwykle jednak jej szósty zmys3 pracuje na pe3nych obrotach. Do-  
strzega mnie prawie od razu.

—Witaj — rozpromienia si na mój widok.

—Cze(% — udaje mi si wykrztusi% przez zaci(ni te z by. Podziwia  
sukienk .

—Rany, wygl#dasz w niej super.

Jestem jak zamurowana. Wszystkie mi (nie odmawiaj# mi pos3usze1-  
stwa. Jak idiotka trzymam przed sob# sukienk , modl#c si w duchu, \*e-  
by znikn#%, zapa(% si pod ziemi .

— Koniecznie musisz j# sobie kupi% — dodaje Chloe. Najwyra0niej wyg3osi3a zakl cie zdejmuj#ce ze mnie czar.

Sukienka osuwa si na pod3og .

—Mo\*e rzeczywi(cie... — pl#cz si . Schylam si , \*eby podnie(% sukienk , ale r ce mam jak z waty.

—Co u ciebie? — pyta.

—W porz#dku, dzi kuj — staram si zyska% na czasie. — Mam now# prac .

Wolno kiwa g3ow#, nie zdejmuj#c ze mnie baczego spojrzenia.

—I jak ci idzie?

—Wspaniale. Jest po prostu fantastycznie. A co u ciebie?

—OK.

Nasze oczy si spotykaj# i na chwil zapada milczenie.

—S3ysza3am — mówi cicho. — Bardzo mi przykro. Tylko kiwam g3ow#, niezdolna wypowiedzie% cho%by s3owa.

Wcale nie jest jej przykro. Zaciskam wargi i delikatnie przewieszam sukienk przez rami .

Ona wie, co u niego s3ycha%. Zna odpowiedzi na wszystkie pytania, o których, \*eby zapomnie%, ja musia3am potwornie si wycierpie% i wyda% maj#tek. I chocia\* odda3abym wszystko, zap3aci3a jej, byleby tylko mi je wyjawi3a, duma zwyci \*a.

Jest co( fa3szywego w jej pe3nym troski spojrzeniu, co zakazuje mi si przed ni# otworzy%. Niech mnie szlag trafi, ale nie poka\* jej, \*e jest mi przez niego smutno. A kiedy o wszystkim mu doniesie — co do czego nie mam najmniejszych w#tpliwo(ci — poza tym, \*e wygl#dam (wietnie, nie b dzie mog3a mu nic wi cej powiedzie%. Chyba tylko, \*e (wietnie si czuj . 7e prze\*y3am i jestem ponad.

I wszystko to b dzie prawd#.

— Wiesz co, chyba rzeczywi(cie j# kupi — mówi , wskazuj#c na sukienk .

Chloe wyra0nie jest zaskoczona. Ha, przechytry3am j#. I ona dobrze o tym wie.

—Na jak# to okazj ? — pyta na widok moich zakup3w.

—Wychodz dzisiaj wieczorem.

Nie my(1 sobie, Jack. Mam swoje \*ycie. Dzisiaj wyruszam w miasto.

— A gdzie dok3adnie?

Có\* to ma znaczy% „A gdzie dok3adnie"? Nie jej interes.

—Do „Zanzibaru" — mruzc niech tnie.

—Na Beak Street?

—Uhm — kiwam g3ow#.

—Powiedz mi, je(li oka\*e si co( wart.

—Jasne.

—Musimy kiedy( wyskoczy% gdzie( na drinka — dodaje z pytaj#cym u(miechem.

—Nie ma sprawy — udaje mi si wykrzesa% resztk dobrych manier.

Nachyla si i ca3uje mnie w policzek.

— Odezw si — mówi na odchodnym.

Po ca3ym tym spotkaniu mam dosy% mieszane uczucia. Na wp33 przytomna p3ac za sukienk i taks3owk# wracam do domu.

Kiedy do niego docieram, jestem kompletnie przybita. Zakupy nie na wiele si zda3y; \*a3uj , \*e w og3le si na nie wybra3am.

Rzucam wszystko w przedpokoju, (ci#gam buty i padam na 33\*ko. Dzi ki Chloe pojawi3o si tysi#c nowych pyta1:

Czy powie Jackowi o naszym spotkaniu?

Co mu powie?

A je(li mu nie powie?

Je(li on si nigdy nie dowie, jaka jestem cool?

Je\*eli tak b dzie?

Czy jeszcze kiedy( go zobacz ?

Czy spali3am za sob# wszystkie mosty?

Czy nic mnie ju\* z nim nie 3#czy?

Za wiele tego. Moj a karma j est fatalna. Przede mn# \*ycie pe3ne szarpaniny i pyta1 bez odpowiedzi. To nie w porz#dku.

Zjawia si H, a ja siedz nieruchomo i gapi si na *Randk3 w ciemno*.

— Wygl#dam (wietnie, czuj si wspaniale — %wierka i wywija mi przed nosem butelk# wódki.—Wygl#dam (wietnie, czuj si ... Co ci jest? — pyta.

Opadam bezw#adnie na krzes#o.

—Widzia#am si z Chloe. H sznuruje wargi i chrz#ka.

—Co mówi#a?

—Nic.

—Nic?

—Nie da#a jej szansy.

H wspiera si pod boki. Ju\* widz , \*e rozwa\*a, czy kontynuowa% t rozmow . Nie obchodzi mnie to i ignoruj j# ca#kowicie.

—Poka\*, co kupi#a( — mówi niespodziewanie.

—S#ucham?

—Poka\*, co kupi#a(. Chc obejrze%.

Skinieniem g#owy wskazuj na walaj#ce si w przedpokoju torby.

— Same (mieci. Kosztowa#y maj#tek.

H oblizuje wargi i wysypuje wszystko na dywan. Dalej nie zwracam na ni# uwagi. Przegl#da po kolei ciuchy, na koniec chwyta sukienk i przerzuca j# sobie przez rami . Nast pnie maszeruje do kuchni.

Wraca z dwoma kolosalnymi wódkami, z których jedn# mi wr cza. — Pij.

Wydymam policzki.

—Pij! — mówi ostrzegawczym tonem. Upijam #yczek.

—Do dna.

Nie spuszcza ze mnie wzroku, póki nie wypijam wszystkiego. Czuj , jak wódka pali mnie w gardle.

— A teraz s#uchaj. Jest sobota wiecz#r i nie mam ochoty na \*adne bzdury. Rozumiesz? 7adne! — Rzuca we mnie sukienk#. — Masz pi t-na(cie minut.

„Zanzibar" p ka w szwach. Na widok wszystkich tych ludzi mam ochot obróci% si i wzi#% nogi za pas, H jednak w por chwyta mnie za

rami i wciaga do (rodka. Wypijamy kilka drinków, chwil tańczymy, ale jako( nie mog si rozgrza%. Zupełnie nie czuj bluesa, a ruszam si , jakbym miała dwie lewe nogi.

Jak( godzin pó0niej, po wyj(ciu z klopa nie mog nigdzie dojrze% H. Parkiet jest zapchany po brzegi i ogarnia mnie panika, \*e j# zgubi-łam. Mam wra\*enie, \*e wszyscy na mnie patrz#, a ja nie mam nikomu nic do powiedzenia.

—Amy! Tutaj! — Dostrzegam j# wreszcie, jak macha do mnie r k#. Z ulg# odpowiadam skinieniem.

—Znalazłam nam dwóch facetów — oznajmia z b3yskiem podniece-  
nia w oczach.

—H! — protestuj z oburzeniem.

—Spokojnie — mityguje mnie. — Rozmawiałam z jednym z nich przy barze. Jest naprawd mi3y. I przyszed3 z nieszcz (liwym kumplem!

—Stokrotne dzi ki!

—S# na górze. Kupuj# nam co( do picia — co mówi#c chwyta mnie za r k , ale odtr#cam j# ze z3o(ci#.

—Je(li masz zamiar wyswata% mnie z jakim( smutasem, zabij ci .

—No co ty? Nawet go nie widziałam. Chc , \*eby( pozna3a tego przy barze. Jest s3odki.

—Nie!

— Och, tylko si przywitasz. Zrób to dla mnie. Co ci szkodzi? Wyj-  
dziemy, je(li si nam nie spodobaj#.

Zagryzam wargi, ale daj si jej prowadzi% przez zat3oczony parkiet w  
stron schodów. Na ostatnim stopniu zahaczam o co( obcasem i obra-  
cam si , \*eby si odczepi%. H macha do mnie r k#.

—S# tam — pokazuje. Prostuj si i id za ni# do boksu pod (cian#.

—Prosz bardzo — o(wiadcza H, bardzo z siebie zadowolona, kiedy  
j# doganiam. — To jest Matt. — Patrzy na niego. — A to Amy.

?!?

Nie mog oddycha%.

Nie mog oddycha%, poniewa\* mam przed sob# nie jakiego( tam Mat-  
ta, ale Matta Jackowego.



Najdziwniejsze jest jednak nie to, że spotykam go w takim miejscu, lecz brak jakiegokolwiek zdumienia na jego twarzy.

Chloe.

To musi być sprawka Chloe. Nie da się inaczej wytłumaczyć jego obecności w tym miejscu.

O co jej chodzi? Chce postawić mnie w głupiej sytuacji? Wziąć odwet za dzisiaj?

Jak mogła?

H nie ma najmniejszego pojęcia, co się dzieje. Wsuwa się na miejsce obok Matta i zachowuje się jak idiotka, żeby poszła w jej stronę. Potrzebuje mnie za rękę i groźnie marszczy brwi, po czym się zmusza, żeby usiadła. Z hukiem leży na poduszkach kanapy.

Wszystko wokół mnie zamiera.

Czas przestaje płynąć.

Ponieważ tam, gdzie jest Matt, zwykle ma spotkanie z Jackiem.

I wtedy go dostrzegam.

Idzie ku nam od baru, niosąc cztery kufle piwa, od których ani na chwilę nie odrywa wzroku.

— Proszę, oto nasz (liczny) chłopaczek — mówi Matt i zacięży rękę.

Wszystko we mnie krzyczy: „Uciekaj!”, ale siedzę jak skamieniała.

Jack za późno.

Jack dochodzi do stolika i stawia na nim kufle. Dopiero wtedy podnosi wzrok i zauważa mnie. Obraca się gwałtownie i spogląda na Matta.

— Co tu się dzieje? — pyta.

Z twarzy odpływa mu cała krew, co pozwala mi przypuszczać, że jeżeli Chloe maczała w czymś palce, nie tylko H nie została w to wtajemniczona.

Matt jest ucieleśnieniem niewinności.

— Nic, stary. To są dziewczyny, o których ci mówiłem.

— Cześć, sódziutki — grucha H. — Jestem Helen. Chwilę trwa, zanim Jack ujmuje jej wyciągniętą rękę na powitanie

do siebie.

— Miło mi — mamrocze.

— A to Amy — wtóruje jej Matt. Czeka, a\* Jack si odezwie, ten jednak milczy. — Cóż\* to, stary, nie przywitasz si ? Gdzie twoje manie-ry?

Jack siada i po raz pierwszy spogl#da na mnie. Prosto w moje oczy.

— Witaj, Amy — mówi. Ale r ki nie wyci#ga. H patrzy na Jacka i podnosi swój kufel.

—Zdrówko. Zapewne ty jeste( ten nieszcz (liwy. — Szturcha mnie w bok. — Chocia\* bardziej wygl#da na takiego, co unieszcz (liwia.

—Nie, to pierwsze by#o prawdziwe — oznajmia Jack.

—Amy jest ekspertem od tych spraw, prawda, z#otko? — H strzela gaf , nie zauwa\*aj#c jednak kamiennego wyrazu twarzy Jacka. — Ma-cie ze sob# wiele wspólnego.

Matt krztusi si piwem, z hukiem odstawia kufel, pozoruj#c nad wyraz gwałtowny atak kaszlu. Jack wali go w plecy tak mocno, \*e tylko cze-kam, kiedy wypluje wszystkie z by.

9wietnie. A wi c Matt ma ochot si zabawi%? Prosz bardzo.

— Cóż\* to za tragiczna historia? — pytam ze wzrokiem wbitym w Jacka.

—Rzuci#a mnie dziewczyna — odpowiada.

—Uuu, bardzo przykre. By#a pi kna, co? — wtr#ca si Matt.

—Wyj#tkowa. Drugiej takiej ju\* nigdy nie spotkam. H musi dorzuci% swoje trzy grosze.

—Kochaniutki, z tob# jest tak samo 0le jak z Amy. Ale nie poddawaj si . Niejedna rybka w stawie.

—Takich jak ona nie ma — dodaje Jack. Jego wymowne spojrzenie mnie nie peszy.

—Dlaczego ci rzuci#a? — pytam.

— Uwielbiam to. Zata1czymy? — wtr#ca Matt, zwracaj#c si doH. Ona jednak kr ci g#ow#.

—Teraz nie mo\*emy odej(%, w#a(nie b dzie najciekawsze.

—Chrza1 to — mówi Matt. — Znaj#c go, b dzie smuci# do rana. Chod0, niech wymieni# pogl#dy.

H wstaje. Zanim rusza za Mattem, nachyla si i szepcze mi do ucha:

—Zawołaj mnie, je(li oka\*e si , \*e to (wir. Zostajemy sami.

—Wi c? — pyta on.

—My(l , \*e winien mi jeste( odpowied0.

—Jak#? Dlaczego mnie rzuci3a?

—Na pocz#tek wystarczy. Bierze g3 boki oddech.

—Poniewa\* zrobi3em GOŚ bardzo g3upiego. Pope3ni3em b3#d.

—Tylko b3#d?

— Nie, to by3o co( znacznie gorszego. Zawiod3em j#. A kiedy zacz#-  
3em jej o tym opowiada%, ona nie chcia3a s3ucha%.

— Masz do niej o to pretensje?

— Jasne, \*e nie. To by3by cud, gdyby po tym, co us3ysza3a, chcia3a  
jeszcze ze mn# gada%.

—I co zrobi3e(?

— Wydzwania3em do niej. Potem poszed3em do jej domu i czeka3em  
na ni#, ale ona nie otworzy3a drzwi. Wi c napisa3em list, w którym  
wszystko jej dok3adnie wyja(ni3em, ale ona nie odpowiedzia3a.

Czuj , jak 3zy podchodz# mi do gard3a.

— Mo\*e go po prostu nie przeczyta3a — mówi cichutko. — Mo\*e  
czu3a si tak zraniona i z3a, \*e pozwoli3a, aby jej najlepsza przyjaci3ka  
spali3a ten list na patelni?

Jack jest przera\*ony. Bardzo wolno przesuw a sobie r k# po policzku.

— W takim razie nie ma poj cia, jak si czu3em i co si naprawd sta-  
3o.

—W takim razie co si sta3o? Naprawd . Jack patrzy mi prosto w  
oczy i zaczyna mówi%.

—Zasn#3em obok innej dziewczyny. Nie powinienem by3, ale by3em  
zalany i w(ciek3y. A kiedy si obudzi3em, tamta dziewczyna mi obci#g-  
3a. Dosta3em sza3u. Odepchn#3em j#. I wyrzuci3em za drzwi.

—I spodziewa3e( si , \*e twoja dziewczyna ci uwierzy?

—Tak. Bo to prawda — milknie, ale nadal patrzymy sobie w oczy. —  
Najgorsze jednak w tym wszystkim by3o to, \*e j# ok3ama3em. I to nie  
dawa3o mi spokoju, bo nagle co( sobie u(wiadomi3em.

—A mianowicie?

Jack wyci#ga r k i dotyka mnie jednym palcem.

— 7e j# kocham. Ca#y czas. Do szale1stwa. I \*e najbardziej na (wie-  
cie pragn z ni# by%. Ale \*eby jej o tym powiedzie%, najpierw musia#em  
jej wyzna% prawd , nawet gdybym mia# j# z tego powodu utraci%.

Przypomina mi si # wszystko, co sobie przez ca#y miniony tydzie1 my-  
(la#am. Przypominam sobie o radzie, jak# dosta#am, i o mieszanych  
uczuciach, kt#re mn# miota#y. I nagle pojmuj , \*e, dzie#o si # tak, ponie-  
wa\* nie s#ucha#am w#asnego serca. Chcia#am przesta% wierzy% w Jacka,  
a to by#o niemo\*liwe, poniewa\* go kocham. I teraz, kiedy pozna#am ca#  
prawd , wszystko nabiera sensu. Moje serce nie myli#o si # ani przez se-  
kund .

Zanim jednak zd#\*y#am to wszystko wypowiedzie% na g#os, H i Matt  
wracaj#.

—Dobrze si # czujesz? — pyta H.

—Nawet lepiej ni\* dobrze. — U(miecham si # i bior # Jacka za r k . —  
W#a(nie zosta#am poproszona do ta1ca.

## **SPIS TREŚCI**

### **PODZIĘKOWANIA**

#### **1.JACK**

**Ideał**

**Początek**

**Przyjęcie urodzinowe Matta**

#### **2.AMY**

#### **3.JACK**

**Rozmowa telefoniczna**

**Góra McCullen: obóz pierwszy**

**Wyjście**

**Bycie**

#### **4.AMY**

#### **5.JACK**

**6.Świt nowego dnia**

**W parku**

**Gadające obrazki**

#### **6.AMY**

#### **7.JACK**

**Bagaż**

**Impreza**

**Skok w bok**

#### **8.AMY**

#### **9.JACK**

**Odrzucony**

**Gra w czekanie**

**Rezygnacja**

#### **10.AMY**